

Mikołaj Wasyliewicz Berg

ZAPISKI
O POWSTANIU POLSKIM

1863 i 1864 roku

I

KSIEGARNIA
SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
W KRAKOWIE.

MIKOŁAJA WASYLIEWICZA BERGA

ZAPISKI O POWSTANIU POLSKIM

1863 i 1864 roku

i poprzedzającej powstanie epoce demonstracyi od 1856 r.

Z ROSYJSKIGO ORYGINAŁU, WYDANEGO KOSZTEM RZĄDU,
A NASTĘPNIE PRZEZ CENZURĘ ZNISZCZONEGO, DOSŁOWNIE PRZEŁOŻYŁ K. J.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1898.

S

94(438).07

~~BIBLIOTEKA~~
~~Górniczego Działu Kultury~~
~~Kopalni „Kościusko-Nieka” w Jaworznie~~
Numer ~~242~~ Dział ~~93~~



04

~~3345~~



7039/02

W KRAKOWIE, W Drukarni »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

P/26/98

Przedmowa Autora.

Każdy czytelnik a tembardziej historyk z zupełną słusznością zapytać może, co to za utwór ma przed sobą? co znaczą *Zapiski o wypadkach dziejowych?* na czem się opierają, skąd się wzięły i jakie są dowody ich wiarygodności? Na te kilka pytań winien jestem dać odpowiedź.

Przybyłem do Warszawy w samym początku 1863 roku, z zamiarem śledzenia rewolucyjnego ruchu w jego rozwoju nie tylko w Królestwie Polskiem lecz i w sąsiednich miejscowościach ziem zabranych, dokąd częste robiłem wycieczki. — W połowie 1864 roku, zupełnie niespodzianie, otrzymałem ze strony ówczesnego namiestnika hrabiego Berga, wezwanie, bym wypracował dla niego »historyczny memoriał o spiskach i powstaniach, jakie miały miejsce w Polsce od 1830 roku aż po najnowsze czasy«, ku czemu dostarczy mi wszelkich materyałów źródłowych, którymi rozporządza.

Propozycję taką skwapliwie przyjąłem, zastrzegając tylko, by mi hrabia wystawił list ochronny, że za wypowiedziane w tym memoryale przekonania i poglądy, czy to o osobach, czy o samym rządzie, nigdy i przez nikogo nie będę pociągany do odpowiedzialności, a także, że nikt nie będzie mieć praw zażądania odemnie wyjaśnień, zkąd zaczerpnałem wiadomości o tym lub owym fakcie, nie podanym w źródłach urzędowych.

Hrabia się zgodził; zażądał bym sam sobie ułożył wzór takiego listu ochronnego, a gdym to uczynił, zatwierdził go bez zmiany. — Zgadzam się. — data. — Hrabia Berg.

Zabrałem się więc do pracy. Ze względu na bezpieczeństwo i nadzór dostarczanych mi, bardzo ważnych materiałów, wyznaczono mi lokal na zamku, zaopatrzone we wszelkie przybory do pracy i odpowiednio umeblowany. Później mogłem pracować we własnym mieszkaniu, w hotelu europejskim. Na żądanie przynoszono mi tam akta z rozmaitych dykasteryj: sprawy śledcze z polowego audytoryatu; z kancelaryi generał-policmajstra sprawozdania agentów policyjnych, różne sprawy sekretne, przejęte depesze rządu narodowego i jego wydziałów, plakaty, ryciny, fotografie, różne podziemne wydawnictwa; wreszcie z dyplomatycznej kancelaryi namiestnika zagraniczne polskie dzienniki. Nadto z listem otwartym namiestnika jeździłem po całym Królestwie, zbierając ustne opowiadania od dowódców wojskowych i innych osób o bitwach i różnych wydarzeniach, w których brali czynny udział, lub tylko byli świadkami; miałem przytem prawo żądania, by mi były przedkładane wszelkie papiery i pisma, znalezione u powstańców.

Dla lepszego obeznania się z przeszłością, badałem archiwa warszawskiego wojennego okręgu i warszawskiej Aleksandrowskiej cytadeli, w których znalazłem nietylko miejscowe materiały, utrzymane w nadzwyczajnym porządku, skatalogowane i opatrzone indeksami, lecz także odpisy spraw politycznych i z innych zaborów, sporządzone z rozkazu Paszkiewicza. Ma się rozumieć, że starałem się przeczytać wszystko, co o tych czasach wyszło z druku: oświadczenia członków centralizacji, broszury, pamiętniki osób wybitniejszych, czego część znalazłem w wojennym archiwum, resztę zaś sprowadziłem z zagranicy.

Następnie udzielił mi namiestnik zapiski różnych ważniejszych działaczy powstania 1863 roku, członków rządu narodowego, dowódców oddziałów, które były spisywane po uwięzieniu ich dla komisji śledczych. Najważniejsze z nich i najczęściej rzucające światło na całą organizację rewolucyjną są zeznania Oskara Aweydy i Karola Majewskiego, którzy wchodzili w skład, kilku po sobie następujących rządów, wie-

dzieli bardzo wiele i wiele wyjawiali. Wiarygodność tych zeznań stwierdza i ta okoliczność, że autorowie ich osadzeni w różnych kazamatach, nie o sobie nie wiedzieli, a nawet nigdy nie byli z sobą konfrontowani, a mimo to w opowiadaniu wypadków, istotnie ważnych, są z sobą zupełnie zgodni i przytaczają wszędzie też same nazwiska osób, udział w sprawach tych biorących.

Te zeznania, jako stanowiące ważny historyczny materiał do ostatniego powstania, namiestnik kazał przetłumaczyć na język rosyjski i wydrukować w trzydziestu egzemplarzach, które rozesłano najwyższym dostojnikom. Drukowano je w drukarni generał-policmajstra w Warszawie.

Zeznania Aweydy w druku sformowały cztery tomy. Zapiski Majewskiego bardzo skrócono, stanowią one broszurę grubości małego palca. Na obydwie te wydania bardzo często powołuję się w mej pracy, przytaczając tom i stronicę.

W 1867 roku przedstawiłem mą pracę namiestnikowi, spisana w czterech grubych tomach *in folio*. Wyjątki z pewnemi zmianami były drukowane w *Ruskim archiwie* i *Ruskiej starinie*.

Potem dzieło uzupełnione zostało dalszemi badaniami nowych źródeł i materyałów, ogłoszonych w najnowszych czasach. Najpoważniejsze z nich to *Historia powstania narodu polskiego 1861—1864 roku* przez Agatona Gillera, wydana w czterech tomach; dzieło Lisickiego o Wielopolskim, po polsku w czterech, a po francusku w dwóch tomach dużego druku; oraz anonimowa *Porozbiorowe aspiracje polityczne narodu polskiego*. — Mniej ważne materyały polskie i rosyjskie, drukowane lub rękopismach, wymienione są w tekście, o ile się na nie powołuję.

Rozumie się, że niejedna rzecz mogłaby być opisana szczegółowiej i dokładniej, lecz to, również jak i napisanie właściwej historii tej epoki należy pozostawić przyszłym czasom.

Mikołaj Berg.

W S T Ę P.

Od czasu gdy Rosya zajęła i rządzi pewną częścią ziem polskich, przeważnie w tak zwanem Królestwie kongresowem miało miejsce kilka spisków i powstań, co można po części wytłómaczyć i tą okolicznością, że spiskowcom zawsze chodziło o owdzielenie najważniejszego punktu, głównego ogniska polskiego politycznego życia z ostatnich czasów. Poruszyć Warszawę i Królestwo, znaczyło już prawie dokonać połowy dzieła.

Z drugiej jednak strony i rząd rosyjski, jakby umyślnie dopomagał, aby głównie w tym zaborze powstawały spiski i wybuchały powstania; otwierał im po prostu drogę przez bezładny zarząd kraju, przez to ciągle przerzucanie się od skrajnej surowości i represyi do pobłażania bez granic; przez zupełny brak jakiegoś prawidłowego systemu administracyjnego a głównie przez tę niezwykłą umiejętność drażnienia wszystkich w ogóle i każdego z osobna, bez żadnej potrzeby lub przyczyny, ni ztąd ni zowąd, jedynie chyba *par l'art du métier*. Wskutek tego wyrobiło się we wszystkich trzech zaborach to przekonanie, że największymi wrogami Polaków są Moskale.

Któryż z innych monarchów, władających częściami dawnej Polski, doprowadził do tego, że musiał przysłuchiwać się na ulicach Paryża okrzykom *Vive la Pologne!*

W innych państwach, gdy wybierają rządcę dla kraju tak ważnego jak Polska, opatrzą go przedtem dokładnie w instrukcyę; zbadają pod każdym względem jego przeszłość i wy-

kształcenie: czy ma wyobrażenie o geografii, historii, języku, literaturze i innych właściwościach kraju, którym ma zarządzać. On otrzymuje od rządu ściśle i dokładnie instrukcje, wynik długoletnich badań i doświadczeń, sam się też stara uzupełnić swe wiadomości o kraju, do którego jest przeznaczony; otacza się ludźmi, którzy tam służyli i zamieszkali od dawna. A jeśli taki rządca rozmyślnie lub mimowolnie, zezdzie ze wskazanej mu drogi, zaraz się znajdzie ostrzeżenie, które mu wskaże błąd popełniony, wytknie zboczenie od przyjętego systemu. Gdy to nie pomaga, rządzcę zmieniają.

W Rosyi nie podobnego się nie dzieje! Na rządzcę jakiegokolwiek prowincyi biorą bez ścisłego wyboru, pierwszego z brzegu starszego w służbie generała lub też kogoś, cieszącego się protekcyą tej lub owej wpływowej osobistości. W Rosyi według starej rutyny wielkorządcą, chociażby najobszerniejszej prowincyi, może być tylko człowiek wysokiej rangi, długoletniej służbowej karyery, posiadający liczne ordery, gwiazdy i wstęgi. Czy zaś człowiek ten posiada odpowiednie zdolności i wiadomości, oto nikt nie pyta. I bez nich można być wielkorządcą, można mówić kilkoma językami i zgrabnie się znaleźć w salonie. Znajomość praw i obyczajów kraju, którym się ma zarządzać, zastąpi przyboczna kancelarya — a co się tyczy tej ręki opiekuńczej, wskazującej omyłki i zboczenia od systemu — o takim zbytku, o takich dziwnych rzeczach rosyjsey wielkorządcy nawet nie słyszeli, i nie mają pojęcia, że to może być gdziekolwiek. Zresztą, jakież mogą być zboczenia od systemu, gdy takowego w rządzie nie bywało i niema...

To też biedną Polską pod rosyjskim zaborem, trzęsie chroniczna febra powstań, naksztalt nieuleczalnej choroby. — Hrabia Fryderyk Skarbek w dziele swoim *Dzieje Polski* część III, str. 183 powiada: »że febra powstańcza powtarza się w Polsce co lat szesnaście mniej więcej, to jest, gdy podrośnie pokolenie, które nie zaznało na sobie wszystkich nieszczęść powstania.« Rosyianie patrzą na ten wiekowy przebieg dziejów porozbiorowych, jako na złe nieuniknione i nawet nie

szukają środka skutecznego ku zapobieżeniu złemu. Owszem częstokroć jakby dopomagali działaniom niszczącym. Wywołują powstania do spółki z Polakami i to do tego stopnia nieraz serdecznie i gorliwie, że gdyby Polacy nie byli Polakami, t. j. gdyby byli zgodniejsi i nie rozpadali się na tyle różnorodnych stronnictw, gdyby w swych działaniach politycznych okazywali więcej ładu organicznego i wytrwałości, jużby się Polska dawno wyzwoliła. Nieraz Polakom kładziono do ust wolność, chodziło tylko o to, by rozgryźć i przelknąć dawkę. Słabe, chorowite dzieci, i tego uczynić nie byli w stanie i nie umieli!...

Wszystkie polskie powstania układają się podług jednego, stereotypowego szematu. Partya czerwona, gotowa zawsze do ruchu, wymyśli jakąś mniejszą lub większą manifiastacyę, korzysta z każdej sposobności, by wykazać swe niezadowolnienie z nienawistnych jej rządów; po największej części płomień wybuchu nie w porę, przygotowania idą niedbale, niezdarnie, lecz zato prawie jawnie, tak że każdy rewolucjonista widny jak na dłoni. Byle dmuchnąć a mrzonka się jak mgła rozwieje. Tego wszakże bynajmniej nie robią, owszem zapomocą różnych bezmyślnych zarządzeń dolewają oliwy do ognia i jakby rozmyślnie podsycają płomień. Biali zarzucają młodzieży, co robi? że teraz nie czas na powstanie! Młodzież odpowiada starszym, »że są głupcy, przeżyci; w swoim czasie nie potrafili przeprowadzić rewolucyi jak należało, więc niech teraz milczą i nie przeszkadzają, niech się nie mieszają w nieswoje sprawy... obecnie wszystko jest doskonale obmyślane i odpowiednie środki po temu, by uniknąć dawniejszych błędów.«

Nareszcie w braku poważnej opozycyi ze strony starszych, a także wskutek ślamazarności władzy, następuje wybuch i wówczas ciż sami starsi, płacząc nad dziećmi, przypasują palasze i niosą siebie i wszystko co mają, »na ołtarz ojezyzny.«

Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu!

Najbardziej chaotyczny i niedbały był zarząd Polską za czasów wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza. Na ka-



żdym kroku same przeciwieństwa. Z jednej strony liberalna konstytucya, własny rząd i własne wojsko, sejm i do pewnego stopnia *habeas corpus*, z drugiej zaś strony najdziksza, despotyczna i brutalna samowola; codzienne obrażenie oficerów, łajanie ich od ostatnich słów na Saskim placu, wobec wojska i publiczności, legiony niezdarnych szpiegów, umięających tylko drażnić i dokuczać spokojnym mieszkańcom a niedostrzegających tego, co własnie należało przedewszystkiem widzieć.

W archiwum warszawskiego wojennego okręgu są przechowane codzienne raporta ówczesnej tajnej policyi, jedne pisane po francusku, drugie zaś po rosyjsku. Rosyjskie doniesienia przepisane są bardzo porządnie i oprawne w karton latami, w piętnastu tomach *in folio*. Francuskie są pisane na ćwiartkach, pochodzą od różnych osób i nie zgadzają się z rosyjskimi. Autor przejrzał te raporta za lata 1829 i 1830, jako poprzedzające wybuch rewolucyi. Szpiegowano przeważnie ludzi nieszkodliwych i obojętnych, spiskowców zaś, a przynajmniej główniejszych przywódców nie dostrzegano wcale, albo też bardzo powierzchownie. Ani o Zaliwskim, ani o Wysockim niema wzmianki w tej *Księdze żywota*, jako o ludziach choćby cokolwiek niebezpiecznych.

W czasie, gdy Piotr Wysocki stał na czele szeroko rozgałęzionego spisku i przygotowywał wybuch listopadowy, raz się tylko dostał do księgi szpiegowskich raportów i to z powodu, że któregoś dnia nie przybył na przegląd na Saskim placu!

Zato jakiegoś Westermajera śledzono na każdym kroku, podsłuchiwano jego najblahsze rozmowy. Zapisywano także, kto bywał u księżny Zajączkowej, jak długo bawił; również śledzono i księcia Lubeckiego.

O kimś donoszono, że gdy wjeżdżał do Warszawy, czekający nań u rogatki człowiek, podał mu czapkę.

W ten sposób postępują i dotychczas. Na szpiegostwo w Królestwie wydają się bajeczne sumy, śledzą zaś

Bóg wie za kim: »za muchą goniono z maczugą«, ale nie uprzedzono jeszcze ani jednego powstania.

Czasem starsi agenci nasadzają podwładnych do śledzenia swych kochanek, pieniądze zaś przeznaczone na śledzenie osób podejrzanych, tracą na hulankach ze swymi przyjaciółmi i kochankami... A jednak ten system trwa bez przerwy...

Po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja, bezład ten wzmógł się jeszcze bardziej, i doszedł do ostatecznych granic.

Wreszcie wielki książę Konstanty do tego stopnia był znudzony i zbity z tropu wręcz sprzecznymi i różnorodnymi doniesieniami tajnej policyi, że niczemu już nie chciał wierzyć i pomimo ostrzeżeń o grożącym mu bliskiem niebezpieczeństwie, nie zarządził żadnych środków ostrożności i jak wiadomo, omal że nie zginął.

Wybuch musiał nastąpić, rewolucyi wszakże nikt nie przewidywał i zaskoczyła ona rząd i wszystkich zupełnie zniecka. Mimo to pożar w samym zarodku mógłby być z łatwością stłumionym, gdyby nie bezprzykładny i niczem nieuzasadniony popłoch wielkiego księcia. Gdyby nie to, z rana 30. listopada 1830 roku znaczna część mieszkańców Warszawy mogłaby nawet nie wiedzieć, że w nocy zanosilo się na coś wcale poważnego.

Wiadomo, w jaki sposób ostatecznie został ugaszony ów pożar, i jakie narzędzia musiano ku temu sprowadzać naprędce z Rosyi. Wiadomo także, że wkrótce po wzięciu Warszawy, tłumy zbrojnych Polaków przeszły granicę i rozprószyły się po Europie, unosząc w swych piersiach wątek przyszłych spisków i te rewolucyjne zarodki, które przez długi czas potem, podsycane warunkami życia emigracyjnego, niezdrowy swój owoc wydawały.

Po uśmierzeniu powstania 1830 i 1831 roku zarząd Królestwa spoczął na długie lata w ręku Paskiewicza, zawdzięczającego swą niezwykłą karierę nie tylko szczęśliwym okolicznościom, lecz także rozumowi, zręczności i śmiałości, grani-



czącej z zuchwalstwem, w korzystaniu z każdej okoliczności dla swojego wyniesienia się.

Iwan Fiodorowicz Paskiewicz, herbu Radwan, pochodził z zamożnej białoruskiej szlachty, osiadłej w gubernii mohylewskiej. W jego formularzu służbowym wykazano, że wspólnie z ojcem posiadał w guberniach: poławskiej, mohylewskiej i jarosławskiej 1160 dusz męskich dziedzicznych, zaś w petersburskiej 770 dokupionych. W dzieciństwie był to śmiały, ładny i bardzo żywy chłopak, o dużej kędzierzawej głowie, z ogromnym czołem, z pod którego błyszcząca para nadzwyczaj przenikliwych, szarych ocz. Między tysiącem swych rówieśników on się od razu wyróżniał. Po wyjściu z dzieciństwa z wcale nie osobliwym początkowym wychowaniem, został oddany do korpusu kadetów w Szklowie, założonym przez faworyta Katarzyny, Zorycza, który otrzymał Szklów z przyległymi dobrami na własność.

W formularzu Paskiewicza nie ma wzmianki o tem, gdzie się wychowywał, tylko w rubryce, jakie posiada wiadomości, powiedziano: »umie czytać po rusku, francusku i niemiecku.«

W roku 1798 cesarz Paweł w przejeździe zwiedził korpus kadetów w Szklowie. Przechodząc między ustawionymi w rząd malcami zatrzymał się przed Paskiewiczem i zapytał go: »A tyś kto?« Paskiewicz — odpowiedział zwięźle i śmiało, patrząc przenikliwie wprost w oczy cesarzowi. »Przenieść go do korpusu paziów« — zakonkludował cesarz.

W korpusie paziów młody chłopak potrafił zwrócić na siebie uwagę cesarzowej Maryi Fiedorówny, która go wzięła na pazią pokojowego, a dnia 6. października 1800 roku awanzował na porucznika gwardyi z równoczesnem naznaczeniem na skrzydłowego adjutanta przy cesarzu.

Miał wówczas lat 17; była to już karyera.

W roku 1806, jako sztabs-kapitan, Paskiewicz znalazł się w armii, działającej na Wschodzie. Brał udział w zdobyciu Braiły, przyczem został ranny kulą karabinową w głowę, następnie był w bitwach pod Kiustendzą, Razowatem, Sylistryą,

Bazardżykiem, Warną, Szumłą i Bediną. Za odznaczenie się w bitwach otrzymał w 1809 roku stopień pułkownika, zaś w 1810 roku został generałem.

Już jako generał był w bitwach pod Smoleńskiem i Borodiną, zaś po bitwie pod Lipskiem awansował na generała-porucznika.

Po ukończeniu wojny francuskiej, towarzyszył najmłodszemu bratu cesarza, wielkiemu księciu Michałowi Pawłowiczowi w jego podróżach po Rosyi i zagranicą, zaś w 1823 r. został mianowany generał-adjutantem cesarza Aleksandra.

We trzy lata potem odznaczył się w wojnie z Persją i awansował na generała broni. Było to w rok po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja.

Rozgłaszane dziwaczne wieści, jakoby naczelny wódz na Kaukazie, generał Jermolow, nosił się z zamiarem detronizacji szacha perskiego i zajęcia jego miejsca, bardziej zaś nadzwyczaj szorstkie zachowanie się tegoż wobec cesarza Mikołaja, sprawiły, że Paskiewicz zajął miejsce tego generała.

Tak jak Jermolow przemawiał i pisał do cesarzy, nikt przedtem i potem nie odważał się do nich odzywać.

Od tej chwili koło fortuny naszego bohatera potoczyło się chyżej, spieszej niż wszelkie inne koła ulubieńców, szybciej nawet niż koła kibitek, rozwożących carskich kuryerów z rozkazami między Petersburgiem a Kaukazem.

Cesarz Mikołaj, uważający wszędzie i we wszystkim siebie za pierwszego: jak był Mikołajem pierwszym, pierwszym mężczyzną co do urody i klasycznej budowy ciała z profilem rzymskich imperatorów; pierwszym władcą na ziemi, niejako imperatorem imperatorów, dla którego stanowczo było wszystko możliwe, i który przedewszystkiem zważał na wspaniałe otoczenie, — tak zdawało się, że się wziął wytworzyć drugiego Suworowa, któryby tak wślawił jego panowanie, jak zwycięstwa Suworowa pierwszego wślawiły panowanie Katarzyny.

Na takiego Suworowa nadawał się najbardziej Jermolow, obdarzony bez porównania wyższemi, tak wojskowemi jak

i administracyjnymi zdolnościami — lecz... sam nie chciał tego — zapomniał się! W Rosyi zaś potrzebni są Suworowowie nigdy się nie zapominający, pokorni, z umiejętnością niskiego kłaniania się; Suworowie chłopcy, niewolniczo tłumiący w sobie wszelkie zuchwale porywy dumy, miłości własnej, żądzy sławy, a nawet ludzkiej godności wobec tych, którzy mogą jednym skinieniem w proch ich zetrzeć. Na takiego Suworowa Jeremołow nie nadawał się wcale, lecz zupełnie był odpowiedni generał, który po nim objął dowództwo na Kaukazie. I dlatego ostrożny despota, całą siłą swych potężnych ramion, popchnął rydwan, wiozący nowego Suworowa Mikołajowskich czasów, do świątyni sławy.

W rok po objęciu dowództwa na Kaukazie, Paskiewicz otrzymał naczelne dowództwo armii, wysłanej do Persyi. Tam pobił na głowę wojska perskie pod wodzą Abbassa Mirzy, i zdobył Erywań. Za to zwycięstwo otrzymał milion rubli i tytuł hrabiego Erywańskiego.

W następnym 1829 roku za zwycięstwa nad Turkami otrzymał wielki krzyż orderu świętego Jerzego i stopień feldmarszałka. Gdy w 1831 roku kampania w Polsce zaczęła przyjmować obrót niepomyślny, cesarz wysłał tam swego ulubieńca, »by jak najprędzej bieg rzeczy poprawił.« Lecz Polacy, to nie Persowie ani Turcy, wojna się przeciągnęła i Paskiewicz nie bardzo umiał dawać sobie rady. Przy szturmie zaś Warszawy we wrześniu 1831 roku doniósł, że jest chory, natychmiast jednak wyzdrowiał, gdy Warszawa została wzięta przez hrabiego Tolla, szefa jego sztabu, człowieka wielkiej energii i znakomitych zdolności, a którego na ten czas zastępował.

Cesarz nadzwyczaj niemile był dotknięty tym wybiegiem swego gagatka, którego obsypywał tyłoma łaskami, tytułami, orderami i pieniędzmi; a że lubił zawsze okazywać niebaczny, że w Rosyi i z najwyższego stanowiska można odrazu spaść w błoto i zapomnienie, napisał więc do Paskiewicza, ubole-

wając z powodu jego nawerężonego zdrowia i radząc mu usunąć się na jakiś czas do Homla ¹⁾ dla wypoczynku.

Nie było rady, Paskiewicz wyjechał, a na pełniącego obowiązki namiestnika w Królestwie Polskiem został назначony generał-adjutant hrabia Rüdiger, dowódca trzeciego korpusu czynnej armii, człowiek zdolny i z charakterem.

Siedząc w Homlu, Paskiewicz nie spuszczał z oka biegu spraw w Królestwie. Tam wypadki rozwijały się zwykłym urzędowym porządkiem, jak wogóle i w innych rosyjskich prowincjach, zarządzanych przeważnie przez generałów. Wydawano wiele i ważnych rozporządzeń, Rüdiger coraz bardziej uważał się za rzeczywistego namiestnika, zaś o pustelniku Homelskim zdawano się coraz bardziej zapominać, nawet nikt się nie dowiadywał o stanie jego zdrowia. Paskiewicz oceniając bardzo dobrze całe niebezpieczeństwo takiego zapomnienia, zdecydował się na krok ryzykowny; powiadają, że »tonący brzytwy się chwyta.« Napisał do cesarza, że »czując się już zupełnie zdrowym, wraca do swych obowiązków i obejmuje napowrót dowództwo pierwszej armii.«

Cesarz jakoś to strawił i przywrócił swego Suworowa do dawnych łask i znaczenia, nadał mu tytuł Księcia Warszawskiego i zrobił namiestnikiem Królestwa. Paskiewicz zaczął rządzić Polską jak jaki królik.

Wschodnie właściwości, utarte w sferach otaczających feldmarszałka, niesłychana uniżoność i niewolnicza pokora jego podwładnych, wytworzyły z tego człowieka jakiegoś dzikiego, nieprawdopodobnego i prawie niemożliwego w wieku XIX satrapę. Brak słów na opisanie trwogi, jakiej wobec niego doświadczali jego podwładni. Pewien generał, który z obowiązku służbowego potrzebował codziennie stykać się z Paskiewiczem, opowiadał naiwnie autorowi, że »Boga tak się nie obawiał jak feldmarszałka. Spojrzy, bywało na ciebie, swojemi straszniemi,

¹⁾ Homel w bieleckim powiecie mohylewskiej gubernii, znaczne bardzo dobra, nadane Paskiewiczowi.

szaremi oczami, to dusza w człowieku zamiera, cały zdrętwiejesz, albo takie gorąco do głowy uderzy, że pot kroplisty na czoło wystąpi.»

Książę Golicyn, członek rady państwa, kawaler orderu św. Andrzeja i mohilewsko-witebski generał-gubernator, przybył pewnego razu do miasta powiatowego Rohaczewa, na spotkanie przejeżdżającego tamtędy Paskiewicza. Gdy na stacji pocztowej, w pełnym galowym mundurze, przy gwiazdach i wstęgach oczekiwał na przybycie feldmarszałka, spostrzegł zdala, że ten dojeżdża czegoś mocno rozdrażniony, krzyżąc i łając. Nie namyślając się długo, usunął się na stronę i schował się za stojący w dziedzińcu chlewek. Szukano go wszędzie, lecz napróżno. Paskiewicz odjechał nie widząc go i dopiero później dowiedział się o tem zdarzeniu i był z tego bardzo zadowolony. — (Opowiadanie generała A. S. Uszakowa).

I zapomocą tego strachu Paskiewicz potrafił prawie przez ćwierć wieku utrzymać we względnym spokoju kraj, »znajdujący się, według słów Mochnackiego ¹⁾, w stanie ciągłego powstania.«

Obawiano się go, wprost jego osoby; gdyż policya i żandarmerya były niezdarne za Paskiewicza tak samo, jak są nieodpowiednie obecnie i jak były do niczego i przedtem. On wiedział o tem i dlatego starał się o ile mógł nadrabiać sobą i wzbudzać strach przed swą własną osobą.

Ogólny kierunek spraw w Europie i Rosyi, ugniatanie niższych przez możniejszych, popieranie arystokracji bez wyjątku i wszędzie, stawiało i Paskiewicza w położeniu, że potakiwał i zbliżał do siebie polskich panów. Wszakże ani jednemu nie pozwolił nawet na jedną chwilę się zapomnieć. Straszny wzrok feldmarszałka osadzał na miejscu każdego śmiałka, kórenby powążył się przekroczyć granicę przez niego nakreśloną.

Zdarzało się to wszakże nader a nader rzadko; wszyscy chodzili na palcach, obawiali się, a nawet do pewnego stopnia

¹⁾ Tom II, str. 119., wydanie poznańskie z 1863. roku.

poważali swojego satrapę; gdyż nie dostrzegali w nim żadnych zamiarów tłumienia w Polsce wszystkiego, co jest polskie. Za Paskiewicza Polska tak dobrze była Polską, jak za jego poprzednika, wielkiego księcia Konstantego. Paskiewicz miał dar rządzenia i był wrogiem wszelkiej bezmyślnej represyi, wieszai setkami, zsyłania na Sybir tysiącami. Wszakże nie był to człowiek wielkich zdolności, a tem mniej genialny. Najlepiej charakteryzował go jego własny ojciec, do końca życia typowy małoruski obywatel. Gdy ktoś przy nim mówiąc o synu, nazwał go geniuszem, ojciec odparł żywo: *Sxexo henii, to ne henii; a sxexo wexe, to wexe!* (Geniusz, nie geniusz; ale ma szalone szczęście). Od pierwszej chwili swoich rządów troszczył się o zachowanie sił kraju, o poprawienie komunikacyi, o poprawienie rolnictwa, przemysłu, fabryk i rękodziel.

Za jego rządów, Warszawa z brudnego polsko-żydowskiego miasta, bez bruków i latarni na przedmieściach, przestoczyła się na okazałe europejskie miasto, z wodociągami i brukami. W 1846. roku zbudowano wspaniałą i wygodną jazd nad Wisłę. Drogi wszędzie były stanowczo lepsze, niż w Rosyi; dobra i folwarki obywatelskie porządnie zagospodarowane i zbudowane; uprawa pól zbliżała się do zagranicznej, i Rosyanin wjeżdżając w granice Królestwa, w jednej chwili uczuwał zmianę we wszystkich stosunkach, czuł się już jakby za granicą, w Europie. Za Paskiewicza Królestwo przybierało coraz bardziej pozór europejski, i każdemu Rosyaninowi życie tam było o wiele przyjemniejsze, niż we własnej ojczyźnie. Nieraz się zdarzało, że taki Rosyanin, szczególnie, jeżeli był nieżonaty, przybywszy do Polski w jakimkolwiek interesie na tydzień lub dwa, ugrzązł tam na stałe, zbliżył się do Polaków, odwykł od Rosyi, jej literatury, spraw i interesów i zaprzestał zupełnie tęsknić do swoich.

Pozostali z owych czasów Rosyanie, przebywający w Polsce, zapewniają, że nawet ostatecznie zaczynało wyrabiać się pewne zbliżenie sprzecznych z sobą żywiołów, jakiego nigdy

przedtem nie było, i którego nie prędko się znów doczeka ten kraj nieszczęśliwy. Znaczna część Polaków przyszła niejako do przekonania, że chyba inaczej być nie może; że my i oni — musimy się złąć w jedno, wytworzyć jakiś sposób wspólnego pożycia; że waśń do niczego nie doprowadzi, chyba tylko do coraz większego zniszczenia kraju; że jakkolwiek nie wiele otrzymują od rządu, pozostając z nim w zgodzie, to wszakże i to nie wiele jeszcze coś znaczy i żadne powstanie, chociażby nawet wywołane w tak pomyślnych warunkach jak 1830 roku uzyskać tego nie zdoła.

Czy dobrze się działo Polakom za Paskiewicza? najłatwiej rozstrzygnąć, zapytując pierwszego lepszego miejscowego obywatela w Polsce »czy chciałby powrotu rządów strasznego Paskiewicza?«...

Bywały jednak i za Paskiewicza chwile, w których, czy to wskutek ogólnych ruchów europejskich, czy też skutkiem błędów rządu i niezręczności policyi, wulkan zaczął dymić i uśmierzeni, że tak się powie, polacy - czerkiesi, w których już się zaczynało wyrabiać jakieś przychylnie dla Rosyi usposobienie, naraz wychodzili z zawias, dowodzili i robili różne warryactwa, porywali się z dwoma tysiącami talarów na formowanie armii, mającej zwalczyć wszystkich i wszystko... Nie darmo, wszak Polska jest wulkanem, a Polacy polakami.

Takie ruchy i porywy narodów ujarzmionych są bardzo naturalne, u namiętnych zaś i porywczych Polaków naturalniejsze niż u kogobądź. Mickiewicz w przecudnym swym sonecie *Cisza morska*, doskonale oddał ten stan polskiej duszy:

„O morze! pośród twoich wesołych żyjatek
Jest polip, co spi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija romiony.
O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek
Co spi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serece spokojne, zatapia w niem szpony.

Paskiewicz wiedział jak postępować w podobnych chwilach. Dwóch, trzech najzapaleńszych usuwało się bez ceremonii z drogi; kilkudziesięciu pozbawiało się domu i rodziny; Warszawa na jakiś czas przybierała pozór oblężonego miasta: wojska, armaty, patrole... a potem wszystko wracało do zwykłego porządku. Moskale znów się całowali z miejscowymi mieszkańcami, na wspólnych hulankach wracały dawne, dobre czasy...



KSIĘGA I.

Smierć Paskiewicza. Książę Gorczakow mianowany namiestnikiem. Charakterystyka i przeszłość tegoż. Aleksander II. w Warszawie. *Point de reveries*. Niezadowolenie i pierwsze kółka patryotyczne. Andrzej hrabia Zamoyski. Towarzystwo rolnicze. Muchanów. Żydzi i artykuł Königa. Kółka czerwone. Jurgens. Jankowski. Akademicy. Początek manifestacyi. Bytność w Warszawie trzech monarchów. Zuchwalstwa czerwonych. Nowakowski. Manifestacye na Lesznie i na Starem mieście. Zebranie Towarzystwa rolniczego. Strzały. Pięć ofiar. Delegacya. Pogrzeb ofiar. Ustępstwa władzy.
(20. stycznia 1856 do 27. lutego 1861 roku).

Nadszedł rok 1856. Dnia 20. stycznia o godzinie 9-tej rano zakończył życie człowiek, który mimo swych strasznych wad był najlepszym i najpoważniejszym wielkorządcą, jakich Rosya aż do chwili obecnej Polsce dała.

Na razie zastąpił go generał Wincenty hrabia Krasiński, lecz gdy skutek tego zaczęto powszechnie mówić o radykalnej zmianie systemu rządowego w Polsce, i gdy nadto sam generał zbyt gorączkowo zadarł na wstępie z kilku administracyjnymi tuzami, szczególnie zaś z Muchanowem, pełniącym obowiązki kuratora warszawskiego naukowego okręgu, zaczęto szukać namiestnika w gronie starszych generałów, rodowitych Rosyan.

Bardzo naturalnie, że przedewszystkiem zwrócono w Petersburgu uwagę na wodza armii południowej w Krymie, księcia Michała Dymitrowicza Gorczakowa, który przez lat dwa-

dzieńca zajmował przy Paskiewiczu różne wyższe stanowiska i powinien był znać dobrze stosunki miejscowe.

Mógł także i ten взгляд zaważyć, że chciano grzeźnie usunąć z dowództwa przestarzałego jenerała, i wybrano dlań odpowiedniejsze, pokojowe stanowisko, ani przewidując, że wysyłają go do drugiego Sewastopola, gdzie się znajdują baterye nie mniej niebezpieczne, jak francuskie i angielskie w Krymie.

Przedewszystkiem warto jest poznać przeszłość tego człowieka, który mimo braku wybitnych zdolności, wskutek zbiegu fatalnych okoliczności bywał stawiany na takie ważne i dziejowej doniosłości stanowiska, że stał się do pewnego stopnia wybitną osobistością, a przynajmniej taką, której nie można ominąć, omawiając wypadki owej epoki.

Większość Gorczakowych, pochodząc z rodziny wcale niezamożnej, potrzebowała w służbie rządowej szukać środków utrzymania i dalszej krescytywy. Do takich zaliczał się i urodzony w 1792 roku książę Michał.

Ojciec jego, książę Dymitr Piotrowicz, był człowiekiem wykształconym, zajmował się literaturą i należał do rosyjskiej akademii nauk w Petersburgu. Z pod pióra jego wychodziły satyry, komedye, powieści, opery i przysłowia ¹⁾. Dzieciom dał staranne wychowanie, zwracając szczególniejszą uwagę na dokładną znajomość języka i literatury francuskiej. Książę Michał znał wszakże dokładnie także języki: niemiecki i rosyjski, i naśladowując ojca pisywał rosyjskie wiersze.

W 1807. roku zaciągnął się jako junkier do gwardyjskiej artyleryi i mając zaledwie lat piętnaście, w tym samym jeszcze roku awansował na oficera. Fundusze jego podówczas tak były szczupłe, że kolegując ze swym bratem, księciem Piotrem, późniejszym jenerał-gubernatorem zachodniej Syberyi, w tej samej bateryi, mieli na dwóch jedną parę paradnych butów.

¹⁾ Patrz historyczną chrestomatję rosyjskiej literatury A. Gałachowa, str. 170—176.

W czasie wojen napoleońskich książę Michał znalazł się w czynnej armii i stawał odważnie w wielu bitwach. W roku 1815. już w stopniu sztabs-kapitana zostaje adjutantem jenerał-porucznika barona Dybicza, szefa sztabu pierwszej armii. W 1817. roku jest pułkownikiem kwatermistrzostwa w świącie jego cesarskiej mości (dzisiejszy sztab główny), a po trzech latach w r. 1820. zamianowany szefem sztabu trzeciego korpusu piechoty, bierze udział w wojnie tureckiej w latach 1828. i 1829. w stopniu jenerał-majora.

Był to wątły i niezgrabny młody człowiek, szczupły, z płaską, mongolską twarzą, bez żadnego wyrazu, o wąskich, mongolskich oczach z opadającymi powiekami, wskutek czego chcąc coś widzieć dokładniej, bywał zmuszony do niezgrabnego zadzierania głowy. Z wiekiem coraz bardziej tracił siłę wzroku i bardzo wczesnie zaczął się posługiwać okularami. Wogóle, pomimo dokładanych starań, nigdy nie nabral woj-skowej fizygnomii.

Cudzoziemskie wychowanie, nieustanna francuszczyzna i wogóle jakieś szczególniejsze upodobanie do wszystkiego, co tylko nosiło na sobie piętno francuskie, uniemożliwiało zbliżenie się Górczakowa z prostymi rosyjskimi wiarusami, umięjącymi mówić tylko swym rodowitym językiem. On nietylko uważał ich za gburów i nieuków, lecz jeszcze gardził nimi jako plebejuszami. Biada takiemu prostaczkowi, jeżeli się przy pierwszym spotkaniu nie potrafił zdobyć na jaki taki frazes francuski, książę bywał wprost grubiański, nawet bardzo grubiański. Lecz jeśli przy pomocy bliższych a znających słabość księcia francuszczyzna poszła zwinnie, ucho księcia stawało się mniej wybredne i plebejusz mógł usłyszeć także z ust dostojnych parę laskawych wyrazów, wypowiedzianych klasyczną francuszczyzną. Tak opowiada radca tajny Kazaczkowski, dyrektor kancelaryi namiestnika, który przed przedstawieniem księciu świeżo przybyłego urzędnika zwykł był zalecać, by tenże przemówił coś po francusku, gdyż wtedy przedstawienie pójdzie gładko.

Nie więc dziwnego, że wojsko i przeważna część oficerów, nie lubiła niedostępnego i zfrancuziałego arystokratę. — Gorczaków był najniepopularniejszą osobistością w wojsku. Ci co go potrzebowali, musieli znosić wszystko, nawet wynajdywali w nim niebywale zalety; lecz ludzie chociaż cośkolwiek niezawisli, uważali go wprost za trutnia sztabowego, za oficera, który, gdyby nawet posiadał jakie wojskowe wiadomości, nie potrafił nigdy dojść do zrozumienia tych zasadniczych warunków i właściwości służby wojskowej, ani też poznać potrzeb żołnierzy i oficerów, gdyż przez cały czas swej służby nie dowodził żadnym oddziałem wojska, jak: kompania, batalion lub pułk. Znający go doskonale, były jego szef sztabu a później namiestnik Królestwa Polskiego, E. Kotzebue, opowiadał autorowi, że w zimie 1853 roku, gdy jechali razem do Bukaresztu, a Gorczaków, jak to miał zwyczaj, mruczał coś do siebie pod nosem, naraz się odezwał głośno: *Savez vous mon cher; je suis assez intelligent; j'ai étudié l'artillerie, la stratégie, le génie... mais j'ai fait des fautes à cause de n'avoir jamais commendé... C'est vrai, mon Prince* — odpowiedział Kotzebue. — (Spisano dosłownie).

To też podawane na radach wojennych wnioski i plany księcia Gorczakowa, wywoływały u ludzi fachowych a niezawisłych śmiech i żarty. Mimo to Gorczaków zawsze był jak najlepszego rozumienia o swych wojskowych zdolnościach i uważał, że wojskowa karyera najbardziej dlań jest odpowiednią, i w tem przekonaniu przy każdej sposobności narzucał się ze swymi planami bitw i poruszeń wojskowych, napraszał się o najtrudniejsze i niebezpieczne poruszenia.

W połowie czerwca 1829. roku trzeci korpus zajął Sylistryę i ztamtąd wyruszył pod Szumłę, celem osaczenia tej fortecy, i ułatwienia dwom innym korpusom wyprawy za Balkany po bitwie pod Kulewczynem. W lipcu postanowiono zdobyć szturmem główny, przodowy szaniec, z zamiarem usadowienia się w niem silnie i połączenia przez to głównych swych sił z prawem skrzydłem wojsk blokujących Szumłę. —

Gorczaków ułożył plan ataku, lecz wskutek zwykłego wahania się i braku stanowczości, pisząc i poprawiając bez końca, przewidując i uwzględniając wszelkie możliwe i niemożliwe zajścia i okoliczności, stworzył taką gmatwaninę, że gdy wysłane oddziały zaczęły wypełniać otrzymane rozkazy, nastąpiło takie zamieszanie, że Turcy szturm odparli i omal że nie zdobyli kilka rosyjskich linii. W boju tym polegli: pułkownik Zeltuchin i major Rymski-Korsaków, dowódczy wysłanych oddziałów. — Porażka ta wywołała w całym korpusie szemranie, wszyscy głośno przypisywali doznaną porażkę niezdarności szefa sztabu i jego planom. Jego też obwiniono o nieporządki i brak czujności w okopach oblężniczych, które wskutek tego tylko co się nie dostały w moc nieprzyjaciela.

Nie zważając na to, w jakiś czas potem, temuż samemu Gorczakowowi polecono wyprawę w góry dla zapewnienia połączenia z armią zabalkańską. I w tym wypadku pomimo bardzo mądrze skombinowanych planów, został pobity na głowę i sromotnie przepędzony.

Tak opowiadają ówczesni towarzysze broni księcia Gorczakowa. Oficjalna historia, jak zwykle, przemilcza i nie wypowiada żadnej krytyki nad działaniami wyższych osobistości: dowódców korpusu, szefów sztabu, szczególnie, jeżeli to byli książęta lub hrabiowie, cieszący się protekcją sfer petersburskich. Główny dziejopis tej wojny N. J. Uszaków, zawisły przez całe życie od księcia Gorczakowa, nie śmiał wypowiedzieć nic niepoehlebnego. Ale nawet i teraz potrzeba posiadać sporą dozę cywilnej odwagi, ażeby wystąpić publicznie z całą szczerością ze swem zdaniem o rosyjskich generałach. Autor miewał z tego powodu różne przepawy z generałami. Łajano go prawie. Zresztą byli to tylko wojskowi generałowie, z cywilnych generałów jeszcze go żaden nie zlażał.

Ponownie zaczęto mówić o niezdarności Gorczakowa i ponownie wszyscy na niego wyrzekali.

Przez cały czas wojny, szczęście nawet wypadkiem, ani na chwilę nie uśmiechnęło się temu człowiekowi. Wojskowi

uwawali go za zupełnego niezdare, pobłażliwi dowodzili, że książe ma tylko nieszczęśliwą rękę. Wszakże w długim, bardzo długim formularzu służbowym księcia, wszystkie te zawody i błędy zostały pokryte różnymi górnołotnymi frazesami z dodatkiem, że po zawarciu pokoju książe »za wzorowe męstwo okazane przy przeprawie przez Dunaj, za szczególniejszą odwagę i skuteczne prowadzenie oblężniczych robót pod Silistryą«, i za takąż odwagę i działalność w bitwach pod Szumłą, został zaszczycony orderami: św. Jerzego, św. Włodzimierza drugiego stopnia i wielkim krzyżem św. Anny, oraz otrzymał złotą szpadę, osypaną brylantami z napisem: »za męstwo.« Nadto zamianowanym został generał-adjutantem, a w 1830. roku po wybuchu powstania w Polsce, został szefem sztabu pierwszego korpusu piechoty, i jako taki odbył całą kampanię 1831. roku. Tutaj zdobył nowe wawrzyny, uwidocznione orderem św. Aleksandra Newskiego i nadaniem 12-letniej dzierżawy o 2000 rubli srebrnych rocznego dochodu.

Wojenny dyktator Paskiewicz, rozpoczynając swe długoletnie rządy nad uspokojoną Polską, przez dłuższy czas nie mógł sobie dobrać odpowiedniego szefa sztabu. Ludzie nadający się na to stanowisko, o ile tylko byli obdarzeni jakim takim poczuciem własnej godności, unikali tego zaszczytu i woleli szukać krescytywy w samej Rosyi.

Wzrok »jego swietłosti« zatrzymał się wreszcie na księciu Gorczakowie. Paskiewicz wiedział doskonale, że Gorczaków nie posiadał odpowiednich zdolności dla tak ważnego stanowiska, że zanadto troszczył się o drobiazgi, że niezdecydowany i roztargniony, że zabalamuci i generała i dyżurnego i innych swych podwładnych oficerów, zameczy ich niekończącym się nigdy przerabianiem i przepisywaniem referatów, które musiały przechodzić przez jego ręce, jako szefa głównego sztabu, ale wiedział także, że wybraniec jego, o ile jest niezdecydowany i roztargniony, o tyle, a może jeszcze bardziej, nie odważy się głosu podnieść wobec każdego przełożonego; że jest uosobioną cierpliwością i milczeniem, potrafi jak nikt inny w danej

chwili unicestwić się prawie. Takie przymioty w człowieku zbliżonym, którego codziennie się widzi i co chwila z nim styka, dla samowładnego dyktatora były rzeczą pożądaną i prawie niezbędną, a zresztą Paskiewicz zawsze sam się uważał za rzeczywistego swego szefa sztabu i czuł, że w każdej chwili, gdyby nominalny szef sztabu wskutek braku decyzji nie zrobił coś tak, jak potrzeba, on zaraz potrafi rzecz naprawić i na właściwą drogę skierować. Byłże przecież Gorczaków szefem sztabu trzeciego i pierwszego korpusu i to w czasach wojny, i sprawy szły i idą... jak wszędzie; nikt się nie skarżył i nie wyrzekał, owszem bezpośredni dowódcy przedstawiali księcia do nagród.

Radca tajny Czestilin, który z Gorczakowem przesłużył lat dwadzieścia i w końcu był dyrektorem jego kancelarii, opowiadał autorowi, że pewnego razu Gorczaków dziewięć razy kazał zmieniać i przepisywać jakiś elaborat, w końcu zaś zapytał: »a masz pierwszy operat?« — Jest mości książę! — »No to zostaw jak tam było!«

Setki takich historyjek możnaby przytoczyć. Dla przykładu podamy jeszcze jedną. W 1842. roku znany strategik, generał Jomini, został wysłany przez cara Mikołaja dla szczegółowego zbadania północno-zachodniej granicy i wybrania odpowiednich miejsc dla ufortyfikowania takowej, na Litwie i w Królestwie. Między innymi punktami miano ufortyfikować Grodno i Serock. Jomini przedewszystkiem przybył do Warszawy, dla porozumienia się w tej sprawie z feldmarszałkiem. Paskiewicz wśród wielu innych wojskowych rozrywek, urządził dla niego na zamku grę wojenną, mającą odtworzyć pewien epizod z wojny francusko-austryackiej z 1809 roku. Stroną zaczepną dowodził sam feldmarszałek, bronić się miał książę Gorczaków. Jenerałowie Jomini i hrabia Berg byli sędziami i świadkami walki, która trwała blisko dwa miesiące, gdyż grywano tylko raz na tydzień w gabinecie feldmarszałka. Obaj zapaśnicy mieli po kilku oficerów jeneralnego sztabu do pomocy. Pierwszych dni, gdy działano w oddaleniu, jedna strona

wychodziła z pokoju, gdy druga ustawiała swoje figury, mające oznaczać różne oddziały wojska: pluton, kompanię, pułk, szwadron, baterię i t. p. Gdy wracała, figury przeciwnika zakrywano papierem.

Jednego razu pomocnik Gorczakowa, kapitan Grossman zrobił uwagę, że należałoby przecież wskazany punkt obsadzić batalionem piechoty. Gorczaków natychmiast umieścił tam odpowiedni znaczek, lecz następnie rozpatrując całą miejscowość powiedział: »at! głupstwo, po co tam batalion?« i zdjął znaczek. Zaproszono Paskiewicza, by już wszedł do pokoju. Ale Gorczaków ciągle z boku spoglądając z niepokojem na ów punkt wskazany, zatrzymuje feldmarszałka w progu, przepraszając i prosząc o chwilę cierpliwości, gdyż ma zrobić jeszcze jedno poruszenie. Paskiewicz uśmiechając się, wrócił za drzwi, a Gorczaków postawił pospiesznie znak batalionowy w oznaczonym punkcie, i oświadczywszy feldmarszałkowi, że już gotów, miał się sam ku wychodowi. Widocznie wszakże coś go niepokoiło i szedł mrużąc pod nosem, naraz po raz drugi wstrzymuje Paskiewicza, podchodzi do stołu, zdejmując znaczek, mówiąc: »co za głupstwo, po co tu wojsko, kto pójdzie tą drogą?«

Paskiewicz wróciwszy do gabinetu, chciał już zakląć jakimś słówkiem, nie nadającem się do druku, lecz obecność obcego człowieka, francuza, sprawiła, że tylko przygryzł usta. Z tego szczegółu można osądzić, co za nieszczęśliwy był książę Gorczaków w rzeczywistym boju, wtedy, gdy czuł na sobie cały ciężar odpowiedzialności, i gdy nie można było nikogo poprosić na ustęp, dla poprawienia jakiegoś nieudalnego poruszenia.

Jeneral hrabia Berg, w czasie tej gry ogromnie kręcił, zmniejszał odległości, podbierał znaki, byle ułatwić feldmarszałkowi wygraną, a przytem wciąż pokpiwał z Gorczakowa, tak, że się ten w końcu obraził i gry musiano zaniechać. Nieporozumienie między Gorczakowem a Bergiem trwało do roku 1843, w którym się pogodzili przy jednoczesnym awansie na jenerałów broni.

W ten sposób książę Gorczaków został szefem sztabu czynnej armii przy feldmarszałku. Ta ciężka, 21-letnia służba, wycisnęła piętno jeszcze większej nicości, zahukania i drobiazgowości na marnym i nieudolnym człowieku. Paskiewicz złamał w nim wszystko, co jeszcze na dnie duszy tliło własnego, żywotnego; zagasił w nim ostatnie iskry ducha. Inni, nie Gorczakowy, nie dopuściliby tego, drudzy zawczasu uciekli, lecz Gorczaków z natury skłonny do ustępowania, dozwolił, ani się spostrzegając, że go przerabiano, wywracano na nice. — Zwolna, stopniowo, stał się innym człowiekiem, pozbawionym wszelkich właściwości człowieczeństwa. On nie dostrzegł, że od czasu zbliżenia się swego z Paskiewiczem, z tym *Torquemada* najnowszych czasów, poddającym codziennie w oczach swego szefa sztabu różne osoby moralnym torturom i przyzwyczajającym go do widoku ciągłego poniewierania ludzkiej godności, jako do najzwyczajniejszych przejawów życia, nie odczuł, że do tej strasznej chwili przecież był jakimś innym człowiekiem, że wartością swoją wewnętrzną przedstawiał, bądź co bądź, jakąś dodatnią cyfrę, mającą sama przez się jakieś określone znaczenie. Lecz potem, po tej dwudziestoletniej tresurze, stał się najzupełniuszem zerem, które bez postawionej obok siebie jakiejś innej jednostki, absolutnie nie nie znaczyło.

Hrabia P. E. Kotzebue nieraz powtarzał autorowi, że książę Gorczaków, przed i po tresurze paskiewiczowskiej, były to dwie, zupełnie różne osobistości. Paskiewicz miał się podobno chwalić, »że złamał Gorczakowa.« Gdy się dowiedział, że w 1845 roku car Mikołaj, spotkawszy Gorczakowa w Palermo, gdzie podówczas bawiła cesarzowa, powiedział mu »że go zrobi pomocnikiem feldmarszałka«, zaczął żywo chodzić po gabinecie, mówiąc: »co mi to za pomocnik, to pionek, to zero! Ot co!« i pokazał figę. »Jak wszyscy sztabowcy i on chciał się nabredyczyć, alem go złamał, i każdego złamię, i was złamię«, zakończył, zwracając się do Kotzebuego, który był podówczas generał-kwatermistrzem czynnej armii. — Gorczaków nie otrzymał tej nominacji.

Nawet charakter pisma jego się zmienił i stał się tak nieczytelny, że tylko czterech ludzi w Warszawie umiało dokładnie odcyfrowywać te istne hieroglify.

Tymczasem nadeszła starość i wszystko to skrzepło i skostniało na wieki. — Zdawałoby się, że takiego człowieka jużby należało pozostawić w spokoju i złożyć do archiwum; lecz nie, przeznaczenie kazało temu cieniowi człowieka, przez dłuższy czas jeszcze błąkać się po rosyjskich armiach i gmatwać rosyjskie sprawy. W Rosyi wystarcza dojść do wyższego stanowiska, zachowywać się spokojnie i mieć jaką taką protekcję, a wtedy, czy kto zdatny, czy do niczego, pussuwają go i posuwają, nadają majoraty i dzierżawy, a w końcu pochowają przy odgłosie trąb i głośnym płaczu gazeciarskim. Ba, nawet zrobią, jeśli nie zupełnym bohaterem, to przynajmniej bardzo walecznym jeneralem, nawet jeneral-feldmarszałkiem swoich czasów, ozdobią galeryę ermitażu portretem bohatera, malowanym przez jakiego Dov'a. W Rosyi upadają tylko ludzie z talentem i charakterem, nie pozwalający na poniewieranie sobą wszelkiemu plugawstwu, znajdującemu się u góry, i czujący, że zachowanie swej ludzkiej godności droższe jest nad wszelkie ordery i możliwą służbową karyerę.

Paskiewicz umiał wynagradzać służących sobie, jak mówi przysłowie: »wiarą i prawdą.« Wytyrany przez niego, albo (literalnie) przyciśnięty kolanem do ściany pierwszy lepszy jeneral-major, wiedział doskonale, że po każdej silniejszej burzy, tem piękniejsza następuje pogoda i cisza w powietrzu. Na szlifach jeneral-majora mogła także zabłysnąć druga gwiazdeczka. On dobrze pojmował, że przedstawienie Paskiewicza, to nie zwykle przedstawienie innych naczelników, po których w Petersburgu wcale bez ceremonii przechadza się złowrogi olówek i często bardzo je kreśli. Olówka, odważającego się zmienić przedstawienie »ojca komendanta«, w Petersburgu nie było, i gdy jeneral-major posłyszał, że go feldmarszałek przedstawił do awansu, to już śmiało jechał do magazynu zamówić sobie jeneral-porucznikowskie szlify.

Poczucie prawdy nakazuje dodać, że nagrody otrzymywane przez Gorczakowa przy Paskiewiczzu, nigdy nie były spowodowane wyżej przytoczonymi burzami, które tak często wybuchały nad głowami innych generałów. Paskiewicz nie pozwalał sobie wobec Gorczakowa na nic podobnego, co spotykało Wikińskiego, Storozhenkę, Abramowicza lub Tichonowskiego.

Generał-porucznik Wikiński był w epoce opisywanej dyżurnym generałem czynnej armii. — Generał-porucznik Andrzej Jakowlewicz Storozhenko, był oberpolicmajstrem miasta Warszawy, potem głównym dyrektorem w komisji spraw wewnętrznych. Jakiś czas przewodniczył śledczej komisji. W roku 1849 wpadł w niełaskę i wówczas jego miejsce w komisji spraw wewnętrznych zajął Wikiński¹⁾.

Ignacy Abramowicz z początku był adjutantem przy Paskiewiczzu, potem dówódcą warszawskich żandarmów, oberpolicmajstrem miasta Warszawy, w końcu dyrektorem teatrów i zawiadowcą cesarskich pałaców. Na tem stanowisku, w stopniu generała-porucznika, zastały go rządy ks. Gorczakowa.

Generał-major Mykita Mikołajewicz Tichonowski, przed i w czasie kampanii węgierskiej pełnił obowiązki generała-intendentów czynnej armii. W 1854 roku uwolniony, został zaliczony do sztabu.

Paskiewiczowi wystarczały poddanie się i pokora księcia Gorczakowa. Zresztą straszny i nieugięty despota nigdy nie zapominał się do tego stopnia, by nie rozróżnić kogo można i należy, od czasu do czasu przycisnąć do ściany, z kim zaś to jest zbyteczne a nawet niezupełnie bezpieczne. Gorczaków przez cały czas swej służby przy *Świetlejszym*, zaliczał się do tych ostatnich. Raz tylko, w czasie wojny węgierskiej, w obozie pod Debreczynem, gdy w namiocie feldmarszałka zaczęto mówić o powodzeniach Radeckiego w wojnie włoskiej

¹⁾ O Wikińskim różne szczegóły podaje Giller — tom III. str. 213, 241 i 242).

1847 i 1848 roku, niezręczny Gorczaków zdobył się na uwagę, że »Radecki miał znakomitego szefa sztabu.« Powiedzenie to wobec człowieka, który przez całe swe życie uważał szefa sztabu za organ zupełnie zbyteczny, rozgniewało Paskiewicza, to też jak tygrys raniony, podbiegł do Gorczakowa i uderzając go kilkakrotnie palcem po nosie, powtarzał: »szef sztabu, zero! szef sztabu, zero!«¹⁾.

Nie podobnego już więcej Gorczakowa nie spotkało. Zresztą... i to wystarczało... Paskiewicz wiedział doskonale, że i bez przyciskania do ściany człowiek ten ma dosyć za swoje, dlatego też stale przemyślał nad wynagrodzeniem go w sposób odpowiedni. Te lub owe ordery, gwiazdki na szlifach, i tym podobne rzeczy, mogły zaspokoić takich Abramowiczów lub Wikińskich, ale nie wystarczały dla Gorczakowa za wszystko, czego musiał wysłuchać i na co się napatrzeć w ciągu tych dwóch, nieskończenie długich dziesięcioleci swej służby przy feldmarszałku.

Nie miały go nagrody, jakie nań przypadaly z kolei, lecz w myślach Paskiewicza przygotowywało się dla niego wyższe, wyjątkowe wyszczególnienie, które nie każdego zasłużonego spotykało generała. W 1843 roku Gorczaków awansował na generała artylerji, następnie zamianowany szefem (właścicielem) brańskiego pułku strzelców; otrzymał ordery austriackie: św. Leopolda i św. Szczepana; sycylijski św. Janaurego; pruskie: czerwonego i czarnego orła i *pour le m^erite*; bawarski korony i t. d.

Przy rozpoczęciu wojny z Turcyą w 1853 roku, na przedstawienie Paskiewicza, księciu Gorczakowowi poruczono dowództwo armii, mającej zająć księstwa naddunajskie. Jednak cesarz Mikołaj bardzo był niezadowolony z jego działań, i gdy w lutym 1854 roku Paskiewicz objął naczelne dowództwo, ce-

¹⁾ Z opowiadania naocznego świadka, generała-porucznika Wasyla Piotrowicza Kondratiewa, który w 1870 roku był pomocnikiem naczelnika artylerji w Warszawie, następnie zaś został naczelnikiem artylerji w kijowskim wojennym okręgu.

sarz zamierzał go zupełnie odwołać z czynnej armii, jedynie w tym celu, aby przeszkodzić Paskiewiczowi zrobienie go ponownie swoim szefem sztabu. Widać to z listu do Gorczakowa, który umierający już Paskiewicz poddyktował S. T. Paniuty-nowi dnia 16. września 1855 ¹⁾ roku. Autentyczność tego listu stwierdza fakt, że syn Paskiewicza list ten, odnaleziony w papierach swego ojca, odczytał w Homlu sąsiadowi swojemu, M. M. Gerardowi, który następnie został starszym prezesem warszawskiej izby sądowej, i o czem ten opowiadał autorowi. »Z przytoczonej powyżej rozmowy ze ś. p. cesarzem, możesz książę osądzić, że los wasz był w mojem ręku. Wystarczało bym mileżał, aby się przeznaczenie wasze spełniło.« Paskiewicz powstrzymał tę decyzję cesarza, a gdy jakoby został zraniony pod Sylistryą, dnia 28. maja 1854 roku i opuścił armię, Gorczaków ponownie objął dowództwo nad Dunajem.

Podczas rekonesansu Paskiewicz oświadczył, że się czuje kontuzjonowany od kuli działowej, która się koło niego przetoczyła. Są niektóre poszlaki, że myśl tę mu poddano... on zaś powiedział »tak, jestem kontuzjonowany.« Wyjechał do Petersburga, a następnie wrócił do Warszawy, gdzie umarł.

Niepomyślne działania księcia Menszykowa w Krymie i pod Sebastopolem w końcu 1854 roku wymagały zmiany dowództwa. Właściwie zaś mówiąc, trzymający bank w faraona, gdy mu nie szło, zażądał nowej talii kart. Na nieszczęście podana talia nie była ani nowa, ani lepsza. Znowu za poradą Paskiewicza, zastąpił Menszykowa ten, tak często zwyciężany i poniewierany książę Michał Gorczaków.

Gorczakowa z początku naznaczono na naczelnego wodza armii południowej z główną kwaterą w Kiszyniewie. Gorczaków tak się ucieszył tą nominacją, że skakał z radości jak dziecko, a kuryerowi, który przywiózł tę szczęśliwą depeszę, dał sto pólimperyalów. Autorowi, służącemu wówczas także

¹⁾ Patrz *Ruską Starinę* z 1872 roku, tom VI, strona 427—435 i 604—605.

w armii południowej opowiadali to zaraz, adjutanci księcia. Następnie w lutym 1855 roku, gdy książe Menszyków zażądał uwolnienia, polecono mu udać się bezzwłocznie do Sebastopola i objąć naczelne dowództwo lądowych i morskich sił, działających w Krymie.

Stało się to przed samą prawie śmiercią Mikołaja. Nowy cesarz potwierdził nominację i książe Gorczaków z całym swym ogromnym sztabem i mnogimi adjutantami przeniósł się do Krymu. Co to za uganianie nastąpiło podówczas między Kiszyniewem a Sebastopolem i ile to pocztowych koni zapędzono na śmierć!

Tak hojnie wynagrodził długoletnią cierpliwość i podanie się swego szefa sztabu wszechmocny feldmarszałek! — Wszakże potem żałował tego, jak to dowodzi następujący ustęp z owego wyżej powołanego listu: »wyznaję, że zawiniłem wobec ojczyzny, pomagając do wyniesienia was, książe, na stanowisko, które obecnie zajmujecie.« (str. 432).

W Sebastopolu bardzo prędko zaczęto mówić: »mimo to zawsze jesteście bez wodza.«

Rzeczywiście, noszący to głośnie brzmiące miano, zgrzybiały, roztargniony, płaczący się w słowach i w myślach starzec, nie wyglądał na naczelnego wodza. Wzrok jego do tego stopnia już wówczas był osłabiony, że trzeciej, obok siedzącej przy stole osoby, nie mógł rozpoznać. Sluch, a raczej cały organizm, tak już był przytępiony, że jeszcze w Kiszyniewie nie słyszał muzyki wojskowej, gdy o kilkanaście kroków przegrywała przed główną kwaterą. Cóż dopiero w Sebastopolu. Przechadzki jego nigdy nie miały jakiegoś wyraźnie zamierzonego celu, lecz jak dziecko, laził po obozie bez myśli i planu.

Najczęściej zachodził do namiotu swego szefa sztabu, małego Kotzebuego, gdyż tam potrafił dostać się sam, bez przewodnika. Namiot ten był oddalony o jakie piętnaście kroków od lepianki, w której się mieścił wódz naczelny. Kotzebue opowiadał, że Gorczaków przychodził do niego często w nocy, siadał na łóżku i zaczynał mówić bez przerwy. Najczęściej

przedstawiał smutną przyszłość. Kotzebuemu z trudnością udawało się go uspokoić. Gorczaków wracał wówczas do swej lepianki ¹⁾. Musimy zrobić uwagę, że podówczas właśnie Kotzebue był to jednostką, obok której zero Gorczaków przedstawiał jakąś określoną cyfrę.

Wszelkie inne dalsze wyprawy, czy to do dyżurnego generała, czy do naczelnika artylerji lub inżynieryi, czy też do atamana kozaków, książę odbywał w towarzystwie przewodnika, kozaka. Zdawa można było spostrzedz oryginalną, cienką postać, w narzuconym na plecy szarym, wojskowym paltocie, w czapce z półłokciowym daszkiem, sterzącym jak dziób, kroczącego szerokimi krokami bociana.

Zdarzało się, że kozak nie dosłyszał dobrze, dokąd mu nakazał prowadzić się mrużący jak zwykle pod nosem generał. Nie śmiejąc zapytać się, szedł na los szczęścia i nie rzadko przyprowadzał go nie tam, gdzie miał polecione. Wypadaly stąd pocieszne nieporozumienia. Gorczaków nikogo nie mógł rozpoznać, więc mając coś do powiedzenia generałowi dyżurnemu, wypowiadał to naczelnikowi artylerji lub na odwrót.

W podobny sposób zwiedzał i baterye, wysunięte na linii bojowej. Bóg wie poco; kogo on tam mógł natchnąć męstwem i zapalem, on, niepopularny, prawie nieznan y żołnierzom i majtkom. Czy widział co, czego nie dostrzegł? Odjeżdżając zwykł był nócić pod nosem jakąś francuską piosenczkę, najczęściej: *je suis soldat français* ²⁾...

Przedewszystkiem dziwny a nawet wprost nieprzyzwoity bywał książę Gorczaków na wszystkich wojskowych nabożeństwach. Zachowywał się jak dziecko, gwałtem przyprowadzone na mszę, które się nudzi nie do wytrzymania. Co chwila się odwracał, nieraz stając zupełnie tyłem do ołtarza i wzięwszy się obydwoma rękami pod boki, przypatrywał się żołnierzom i oficerom, ma się rozumieć, nie nie widząc w dodatku. W ta-

¹⁾ „Sebastopolski album“. Moskwa 1858, str. 12.

²⁾ Opowiadania adjutantów.

kiej postawie nieraz się zapomniał i przestał prawie przez cały czas nabożeństwa. Gdy wypadło przykłęknąć, to go męczyło, podsuwał się do którego z jenerałów i rozmową, pół szeptem, pół głośno prowadzoną, starał się skrócić nudę chwil takich. W tych właśnie okolicznościach wyjawiał się człowiek nie tylko pozbawiony taktu, roztargniony i zapominający, lecz nadto nie posiadający nawet tego pierwiastkowego religijnego wychowania, któreby wskazywało, jak się należy zachować wobec obrzędów i zwyczajów religijnych. I pod tym względem był to więcej francuz niż rosyjanin.

Różne anegdoty i opowiadania, przechodząc z ust sztabowców, rozszerzały się w kołach wojskowych. Czyż mogła armia zachować należną cześć dla takiego wodza, który co chwila bywał przedmiotem ogólnych drwin i dowcipów? Znana to maksyma znakomitych wodzów, w starożytności i najnowszych czasach; maksyma Napoleona I.: »jeśli chcesz, by cię słuchano, nie możesz być nigdy śmiesznym dla swych podwładnych.«

O kierownictwie Gorczakowa sprawami wojskowymi nie się nie da powiedzieć; szły one, jak niemi pokierował szef sztabu, mały Kotzebue, który miał szczególniejszy talent uchylania się od jakiegokolwiek odpowiedzialności. W takich chwilach jedyńka zwykle się odłączała gdzieś od zera, które pozostawione samemu sobie, nieporadne i biedne, wszystko gmatwało, zapominało, znów przypominało, by za chwilę zapomnieć na nowo... ostatecznie zawsze znaleźli się polegli, na których można było zwalić błędy, jak np. w bitwie nad Czarną rzeczką z dnia 4. sierpnia 1855¹⁾ roku.

Okrutna francuska karykatura, wydana po tym dniu fatalnym, nadzwyczaj trafnie scharateryzowała ówczesnego naczelnego wodza krymskiej armii. Przedstawia ona Gorcza-

¹⁾ O tej bitwie wyraża się Paskiewicz w wyżej powołanym liście: „Bitwa pod Czarną pozostanie wieczną hańbą w naszej wojennej historii.“

kowa, trzymającego w jednym ręku *ordre*, w drugim *contre-ordre*, na czole zaś ma napisane: *desordre*. Sprawiedliwy to portret księcia, nie tylko w owe dni nieszczęsne, lecz z całego jego życia.

A mimo to trzymano go na tem stanowisku, i pozostawionoby nadal tak długo, jak długo istniałaby krymska armia, gdyby nie zaszła śmierć Paskiewicza.

Widzieliśmy, w jakich warunkach zamianowanym został miękki i słaby, a w dodatku co tylko sromotnie pobity przez Turków i Francuzów księżę Gorczaków, na miejsce nieżyjącego feldmarszałka. Widzieliśmy, co myślał wtedy rząd o Polsce; teraz zaś możemy dodać i to jeszcze, że w chwili nadzwyczajnych zmian i reform, od których rozpoczęło się panowanie Aleksandra II., gdy po niezmiernych przestrzeniach Rosyi, powiało ciepłem, krymskiem powietrzem, gdy wszystkie rosyjskie oblicza były uśmiechnięte i pełne jakiejś błogiej nadziei, dziwnemby było, gdyby na miejsce zmarłego namiestnika osadzono kogoś podobnego, jakiegoś Paskiewicza drugiego.

Wszyscy byli przekonani, że bezpowrotnie wybiła ostatnia godzina dla wszelkiego rodzaju Paskiewiczów, i że oni nie są już potrzebni ani w głębokiej Rosyi, ani na jej pograniczach; niepotrzebni i niemożliwi; natomiast wszędzie potrzeba ludzi cywilizowanych, europejskich w całym tego słowa znaczeniu. A przytem Polacy w Królestwie przez cały czas wojny zachowywali się zupełnie spokojnie.

Gdy Gorczaków przybył do kraju, powierzonego jego rządowi, nie znalazł w nim żadnych zmian, rzucających się w oczy. Jemu się zdawało, że on wcale nie wyjeżdżał, lecz wciąż przebywał na zamku królewskim, pisząc referaty dla feldmarszałka. Opowiadają, że raz tak się zatopił we własnych wspomnieniach, że zapominając o śmierci Paskiewicza, gdy mu podano do podpisu ekspedycję, powiedział: »Dobrze... lecz pokażcie pierwej feldmarszałkowi.»

Warszawa wyglądała wesoło i była ożywiona jak i przy Paskiewiczu. Na scenie teatru różnaitości bawił wszystkich

niezrównany komik Żółkowski; w wielkim teatrze tańczono te same mazury.

Rozpatrując się w planie miasta Warszawy, zdawałoby się, że ona jest rozległą. Patrząc wszakże ze stanowiska klasy zamożniejszej i bardziej oświeconej, granice, w których obraca się wszystko, co żyje życiem więcej ruchliwym i europejskiem, gdzie się rozstrzygają wszystkie żywotne interesa miasta, zamknąćby można w pięcioboku, leżącym między Nowym światem, Krakowskiem przedmieściem i Marszałkowską ulicą z jednej, a Jerozolimskimi alejami i ulicami Miodową, Długą i Rymską z drugiej strony. W tym pięcioboku wszystko się mieści: i wykwintniejsze mieszkania i bogate magazyny, hotele, teatr, banki i przeszliczny ogród publiczny, z drzewami, dożywającymi już drugiego stulecia. Tutaj bezwiednie podążają wszyscy mieszkańcy, nawet z najdalszych dzielnic, aby chociaż pogapić się na to lub owo, odetchnąć innem, wielkoświatowem, europejskiem powietrzem, brzemieniem w różne żywotne i zaciekawiające sprawy, pełnem ciekawych wieści, plotek i wniosków. Tutaj spędza dnie całe nawet znaczna część mieszkańców Pragi... Z tych też powodów bywają chwile takiej ciżby na ulicach, że panuje na nich ruch, tłok i przepychanie, prawie jak na bulwarach paryskich.

Jak w domach bywają mieszkania, a w tych pokoje wygodniejsze i lepiej urządzone, w których przyjemniej przebywać, czytać lub rozmawiać, tak też i powyżej opisana część Warszawy, zajmowała takie uprzywilejowane stanowisko względem reszty miasta, nie mówiąc już o innych miastach prowincjonalnych. Wszystko to razem składało się i składa, że Warszawa jest przedewszystkiem miłym miastem, gdzie się żyje przyjemnie i wygodnie, gdzie się ma wszystko pod ręką, a wszystko wcale przyzwoite i znośne, mogące zaspokoić materialne i duchowe potrzeby każdego przeciętnego Europejczyka.

Pomimo wszelakich ograniczeń i szykan cenzuralnych, w Warszawie zawsze panował ożywiony ruch literacki; w czasach, które opisujemy, ruch się ten wzmógł w dwójnasób.

Sceny teatrów: Wielkiego i Rozmaitości, mogły rywalizować pod względem dramatycznych i komicznych talentów z najlepszymi teatrami Europy. Na scenach tych od czasu do czasu zjawiały się i pierwszorzędne znakomitości europejskie, które bądź umyślnie zjeżdżały do Warszawy, bądź też zatrzymywały się w przejeździe do Petersburga i Moskwy.

Blasku i ożywienia dodawały jeszcze polskiej stolicy, stale przebywające tam rodziny polskiej arystokracji i bogatszej szlachty; tacy książęta Lubomirscy, hrabiowie: Potoccy, Zamoyscy, Krasińscy, Branicy, Rzewuscy, Kossakowscy, Lubieńscy, Uruscy, Jezierscy i Ostrowscy, których nazwiska budzą w każdym Polaku dumne wspomnienia. Było komu za wszystko dobrze płacić, wspierać tem handel, przemysł i sztuki. Włościanin dostarczał jeszcze daremnej pracy, wszystko więc służyło panom. Osamotnione obecnie i pogrążone w mroku, poważne wiekiem pałace, gorzały jarzącem światłem oświeconych salonów i brzmiały weselem i muzyką. Ulice, na których obecnie prawie wyłącznie krążą monotonne zaprzęgi dorożkarskie z woźnicami w płaszczach piaskowego koloru na koźle, wówczas roily się różnorodnymi powozami, nieraz zaprzężonymi w konie po polsku; dawały się słyszeć trąbki pocztalionów i trzaskanie długich, polskich batów. Paskiewicz wcale nie bronil tych niewinnych objawów dawnej polskiej fantazyi, byleby nie myślano o czemkolwiek innem.

Powierzchnownie i teraz nic się nie zmieniło. Warszawa w 1856 r. wyglądała tak samo, jak w 1854 za czasów »świetlejszego.« Uważniejszy wszakże i głębiej wnikający dostrzegacz już wówczas mógł zauważyć wiele zmian ważnych. Nie wiele dni ubiegło od czasu, gdy na zмку królewskim przestał kopać nogami, krzyczeć i wymyślać straszny wojenny dyktator, a ponieważ wiele wody upłynęło, i w umysłach polskich dokonał się zwrot niemały. I wyższe i niższe warstwy społeczeństwa zaczęły myśleć i sądzić inaczej. W kawiarniach, bawaryach i po ogródkach, dokąd się schodził ludek pospolity na wytchnienie po ciężkiej pracy, na hulankę, w miarę swych

skromnych zasobów, na jeden i drugi kufelek piwa, zaczęły pokazywać się postacie, od których Warszawa już była odwykła, a które w zwykłych czasach gdzieś się chowają, bledną i nikną, jak cienie magicznej latarni. Wśród zwykłych gawędek zatłuszczonych bluz i surdutów, zaczynały odzywać się jakieś gorące, podniecające mowy i napomknienia znaczące, tak, że niejeden spokojny obywatel czem prędzej dopijał zaczętego kuffla i nie oglądając się po za siebie, wynosił się do domu. »Hydra Mickiewiczowska« ocknęła się i żyć zaczynała...

Gdy rozeszła się wiadomość o zapowiedzianem przybyciu do Warszawy nowego cesarza, Bóg wie z jakich powodów i dlaczego, myśli wszystkich Polaków skierowały się ku czasom Aleksandra I., ku liberalnej konstytucyi i wojsku polskiemu. Cesarza Aleksandra II. uważano za powtórzenie pierwszego. Wszyscy dość dokładnie znali niedawną jego przeszłość, wiedzieli, jak będąc następcą tronu, zbierał anegdoty o dzikich i bezmyślnych wybrykach cenzury i czytywał *Kołokola*. Wszyscy wiedzieli, że w Rosyi inny już wiatr powiał, że się przygotowują nadzwyczaj doniosłe reformy na najszerszą skalę, że w całym państwie walą się w gruzy dawne porządki.

Wiedzino, że za Polską i za zmianą dotychczasowego względem niej przyjętego systemu rządowego podniosły się doniosłe, sympatyczne głosy wśród rosyjskiej inteligencji, że nawet stary Pogodin, w swem historycznym zaciśnięciu na »dziewiczym polu« (plac w Moskwie) napisał obszerną rozprawę w kwestyi polskiej, w duchu niezmiernie dla Polaków przyjaznym, i posłał albo też zamierzał ją przesłać monarsze. Wiadomo też było, jak redakcye głównych dzienników w Petersburgu i Moskwie, chętnie przyjmowały Polaków, i że ci w codziennych stosunkach wcale nie kolidowali z Rosyanami, owszem żyli jak bracia i przyjaciele.

I tak różne rzeczy opowiadano sobie po ogródkach — a nawet i nie po ogródkach...

Pod wpływem takich pogłosek, wiadomości, opowiadań, wniosków i nadziei, mieszkańcy warszawscy przygotowywali

się na przyjęcie nowego monarchy. Przybył on dnia 22. maja 1856 roku o kwadrans przed jedenastą w nocy. Ogluszające okrzyki zagrzmiały na całej ogromnej przestrzeni, od rogatki petersburskiej aż do Belwederu. Lud zalegał wszystkie ulice, któremi miał cesarz przejeżdżać, nie zważając na tak spóźnioną porę; zdawało się, że to do swej stolicy wjeżdżał jakiś zmar-twychwskrzeszony Piast lub Jagiellończyk.

W orszaku cesarza zaczęto mówić, że takie entuzyastyczne przyjęcie jest demenstracją, po za którą ukrywają się pewne cele, i doradzano cesarzowi, by przy przyjęciu deputacyi nie robił zbyt wielu obietnic, gdyż Polacy uniesieni znaną fantazją, wnet wleczą gdzieś po nad obłoki, gdy przeciwnie powinni siedzieć cicho i oczekiwać możliwych ustępstw i reform, któreby nie były sprzeczne z interesami Rosyi. Rady te pochodziły głównie od siostry cesarza, księżny Olgi Wirtemberskiej, surowej córki surowego ojca, i od kanclerza, księcia A. M. Górczakowa.

Orszak cesarza składali: jeneral-adjutant hrabia Adelberg I., minister dworu; jeneral-adjutant hrabia Adelberg II.; książę Górczaków, minister spraw zewnętrznych; jeneral-adjutant hrabia Lambert; jeneral-adjutant baron Lieven; pułkownik Czebyszew, adjutant skrzydłowy; dr. Enochin, przybo-czny lekarz. Z gości zagranicznych przybyli: szwagier cesarza, następca tronu wirtemberskiego, książę Karol z żoną; panujący książę sasko-wejmarski; nadzwyczajny poseł i pełnomocny minister króla pruskiego, baron von Werther; poseł szwedzko-norwesk, jeneral Nordeen; adjutant cesarza Napoleona, jeneral Ney; austriacka deputacya: marszałek-porucznik książę Lichtenstein, dowódzca korpusu; pułkownik von Leukann i rotmistrz hrabia Hunyady; pruska deputacya: jeneral kawaleryi hrabia von Gröben, dowódzca korpusu gwardyi i jeneral-adjutant króla i pułkownik Leszczyński, szef sztabu tegoż korpusu ¹⁾.

¹⁾ Gazeta urzędowa Królestwa Polsk. 1856 r., Nr 112 i nast.

Przy przyjęciu nazajutrz, dnia 23. maja deputacyi, złożonej z senatorów, szlachty i duchowieństwa, cesarz spotkał ją przemową we francuskim języku:

»Przybyłem do was, niepomny przeszłości, pełen dla was najlepszych zamiarów, do spełnienia których dopomóżd mi musicie. Ale przedewszystkiem czuję się w obowiązku jasno określić nasze wzajemne stanowisko.

Wyście równie blizy sereu memu, jak Finlandczycy i inni rosyjscy moi poddani, żądam wszakże, aby przez ojca mojego ustalony porządek w niczem nie został naruszony. Dlatego też panowie, zaniechajcie marzeń (*point de rêveries!*) potrafię bowiem poskromić wszelkie marzenia, i potrafię zarządzić, by one nie przeszły po za granicę wyobraźni samych marzycieli. Pomyślność Polski polega na zupełnem zjednoczeniu się z innymi narodami mojego państwa. Wszystko, co zrobił mój ojciec, dobrze zrobił, i ja to utrzymam.

W ostatniej wojnie wschodniej, synowie wasi bili się na równi z innymi. Przytomny tu książę Gorczaków, jako naoczny świadek, zupełną im sprawiedliwość oddaje, że i oni równie mężnie i ofiarnie krew swoją w obronie ojczyzny przelali. Finlandya i Polska, jak i inne krainy państwa mojego, są równie mi drogie, ale dla dobra samychże was, Polaków, wiedźcie, że Polska na zawsze musi być zespoloną z wielką rosyjską rodziną. Wierźcie mi, że pełen jestem dla was najlepszych chęci. Wam należy tylko dopomagać mi do rozwiązania tego zadania, i dlatego raz jeszcze powtarzam, zaniechajcie wszelkich marzeń. Co do was, panowie senatorowie, postępujcie ściśle wedle wskazówek, jakich udzielać wam będzie przytomny tu mój namiestnik, książę Gorczaków.

Wy zaś arcybiskupie, nie spuszczaćcie z uwagi, że podstawą wszelkiej moralności jest wiara. Waszym obowiązkiem wpajać nieprzerwanie w serca Polaków to przekonanie, że ich pomyślność zawisła jedynie od zespolenia się w jedno ciało z Rosyą¹⁾.

¹⁾ Recueil des traités, conventions et actes diplomatiques concernant la Pologne 1862—1863, par le comte d'Angeberg (Leonard

Znanem jest wrażenie, wywołane tą mową. Wszyscy Polacy i bardzo wielu Rosyan zaczęło powtarzać *point de révérences!* Słowa te obleciały świat cały i powtarzano je wszędzie przez lat kilka. Warszawa wszakże nie długo się zastanawiała nad niemi, jakby były nie dość jasne i zrozumiałe, i nie zmieniła wcale swego uroczystego i świątecznego nastoju. Tłumy ludu towarzyszyły wszędzie cesarzowi, darząc go pełnymi zapalą okrzykami. Szlachta najspokojniej przygotowywała na dzień 26. maja, bal w pałacu namiestnikowskim.

Za przybyciem cesarza, damy wyższego towarzystwa przeważnie młode i ładne, ustawiły się dwoma szeregami po obu stronach schodów, i wchodzącego monarchę obsypywały kwiatami i girlandami. To usposobiło dobrze wysokiego gościa. Lecz za powrotem do Belwederu, jakby się przeląkł swej weselości i swobody, i do przemowy, którą nazajutrz spotkał witającą go szlachtę, dodał wiele takiego, co jeszcze bardziej ponury cień rzuciło na mowę z dnia 23. maja.

Nazajutrz, więc dnia 27. maja, cesarz w ten sposób przemówił do zebranych u niego przedstawicieli szlachty:

»Bardzo mi miło, oświadczyć wam panowie, że dnię wśród was spędzone, istotną przyniosły mi przyjemność. Wczorajszy bal wypadł bardzo pięknie; pozostanie on w mej pamięci i dziękuję wam za takowy.

»Zapewne doszły was słowa, które przed pięciu dniami wypowiedziałem, przyjmując deputacyę waszą. Składając jedną z cesarstwem całość, trzymajcie się rzeczywistości i porzućcie wszelkie marzenia o niepodległości, gdyż te spełnić się nie mogą.

»Powtarzam wam ponownie: przekonany jestem, że szczęście, że ocalenie nawet Polski polega na stałym i nierozzerwalnym jej związku z pełną sławy dynastją rosyjskich cesarzy

Chodźko). Paris et Leipzig 1862, str. 1117. W skróceniu i z odmianami w *Annuaire des Deux-Mondes*, VI. 1885—1886, *la Russie* str. 669 i 670, i w *Journal de St. Petersbourg* z dnia 23. stycznia 1874 r.

tak, aby się stała nieodłączną częścią wielkiej rodziny wszechrosyjskiego cesarstwa. Pozostawiając Polsce prawa i instytucje nadane jej przez ojca mego, niezmiennie dbać będę o jej dobro i szczęście. Gotów jestem zapewnić jej to wszystko, co tylko rzeczywiście pożyteczne być może, co mój ojciec przyobijał jej nadać, i to, co rzeczywiście nadał. W tym względzie żadnych odmian nie uczynię. Wszystko, co zdziałał mój ojciec, dobrze zdziałał. Moje panowanie będzie dalszym ciągiem jego rządów. Od was zależy uczynić mi łatwiejszem to zadanie. Powinniście mi dopomóc w tej pracy. Na was jedynie spadnie odpowiedzialność za wszelkie marzenia i przeszkody, któreby mi stanęły na drodze w urzeczywistnieniu mych przyrzeczeń.

»Aby wam dać dowód, że pragnę przynieść ulgę w losie nawet winnych, oznajmiam, że w tej chwili podpisałem amnestję. Pozwalam wszystkim emigrantom, którzy tego żądają, powrócić do kraju. Mogą być pewni, że nikt ich spokojności nie naruszy i za przeszłość do odpowiedzialności nie pociągnie; odzyskają utracone cywilne prawa. Zrobiłem jeden tylko wyjątek, wyłączając z pod amnestyi ludzi, zakamieniałych w swych przestępstwach, i takich, którzy w ostatnich jeszcze latach nie przestali spiskować i przeciw nam walczyć.

»Ci, którzy wrócą, po trzechletniem spokojnem i nienagannem zachowaniu się, będą mogli stać się użytecznymi krajowi, wstępując do służby publicznej. Przedewszystkiem wszakże dołóżcie starań, by moje błogie względem was zamiary, mogły się urzeczywistnić, bym nie został zmuszonym do powściągnięcia i karania; a gdyby to niestety stało się koniecznem, wierzajcie, że znajdę w sobie dość siły i woli, by być stanowczym. Pomnijcie więc, abyście mnie nigdy do tej ostateczności nie przywiedli.«

Następnie widząc, że jeden z deputatów, Jan hrabia Jeziński chciał coś przemówić ¹⁾ — przerwał mu mówiąc dalej:

¹⁾ Jeziński miał od dawna przygotowaną mowę i zamierzał wypowiedzieć ją przy przejeździe cesarza przez Mińsk (miasteczko

»Spodziewam się, żeście mnie zrozumieli. O wiele milej mi będzie nagradzać niż karać. Przyjemnie mi, jak to i obecnie czynię, oświadczyć wam moje zadowolenie, dawać wam nadzieję i wdzięczność waszą wzbudzać. Lecz wiedźcie i pamiętajcie o tem ciągle, że w danym razie potrafię stłumić i ukarać, a nawet srogo ukarać.«

»Żegnam was panowie!«¹⁾.

Bardzo naturalnie, że po tej mowie niemile wrażenie jeszcze bardziej musiało się zwiększyć. Wszyscy zadawali sobie pytanie, po co ten ciągły nacisk na wyrzeczenie się wszelkich marzeń, gdy nikt o tych marzeniach nie wspomina? Na co to: ja potrafię stłumić i ukarać — gdy nic nie popełniono takiego, co by na najmniejszą naganę zasługiwało? Miasto tylko się cieszy i krzyczy wiwaty!²⁾.

Lecz wśród ogólnego uroczystego nastroju i te niemile wrażenia, na razie zastały przygluszone. Warszawa imieniem całej ludności dawała cesarzowi bal w ratuszu.

Wskutek obecności na balu wszystkich stanów społeczeństwa, w dosyć ciasnych jeszcze podówczas lokalnościach ratusza, bal ten przybrał jeszcze bardziej przyjazny i serde-

pod Warszawą, należące do Jezierskich), lecz Gorczaków nie zgodził się na to. (*Pamiętniki hr. Skarbka* str. 281 i 282). (Lisicki, tom II, str. 11) przytacza główne punkty memoriału, który Jezierski zamierzał podać cesarzowi. Należy dodać, że Jezierski w 1830 roku towarzyszył księciu Lubeckiemu do Petersburga i od tego czasu zachował szczególniejsze względy cesarza Mikołaja. Starszy syn jego, służył w wojsku i umarł z ran, otrzymanych pod Sebastopolem.

¹⁾ Cenzura nie pozwoliła na ogłoszenie mów cesarza w żadnej polskiej, ani ruskiej gazecie, i te dopiero w 1872 roku zostały wydane po raz pierwszy w *Ruskim Archiwie*. Cały świat przeczytał je we wszystkich organach zagranicznej prasy, a w Rosyi, gdzie je monarcha wypowiedział głośno i uroczystie, dopiero w piętnaście lat zezwolono na ich ogłoszenie. Ciekawy obrazek stosunków cenzuralnych.

²⁾ W *Gazecie Narodowej* z 1881 roku, Nr 67, str. 2, kol. 4, w artykule zatytułowanym „Zaslugi Aleksandra II.“, powiedziano, że słowa: *point de réveries, je sévirais et je saurais sévir*, zostały wypowiedziane na żądanie kancelarza Gorczakowa.

czny charakter. W ratuszu poprostu Polacy hulali ze swoim królem!...

Opowiadają, że w czasie balu, siwy jak gołąb staruszek, zbliżył się do cesarza z kielichem szampana, czy węgierskiego i w zbytku uczucia przemówił: »kochajmy się cesarz!« co miało znaczyć: »zapomnijmy, najjaśniejszy panie, wszystko przeszłe, co było między nami; po co nam kłótnie i spory, zbliżają się inne czasy, kochajmy się nawzajem!« i lzy, droższe na wszelkie perły tej ziemi, popłynęły strumieniem z oczu starego.

Cesarz zapytał stojącego obok namiestnika, co to ma znaczyć? Górczaków podług zwyczaju nie dosłyszał i nie dopatrzył dobrze, co zaszło i odpowiedział cesarzowi coś, ni to niowo. Cesarz, zdawało się, że się zadowolnił tem wyjaśnieniem, lecz odrazu stracił humor; jemu nie podobała się poufałość, z jaką zwrócił się do niego wcale nieznanemu człowiekowi, nawet może... nie z towarzystwa. Bal stracił dla niego cały urok i opuszczał go w zupełnie innym usposobieniu.

Po wyjeździe cesarza z Warszawy (dnia 28. maja), gdy wszyscy się uspokoiłi i miasto wróciło do normalnego, codziennego stanu, odżyły w głowach i zaczęły się w nich rozpieierać różne zgryźliwe myśli i rozumowania, które dotychczas tłumiono w sobie.

Komentowano i rozbierano bez ogródek i bardzo surowo oba przemówienia cesarza. »A więc nie powinniśmy się spodziewać niczego; jak było, tak ma i nadal pozostać! Wszystko co jego ojciec zrobił, dobrze zrobiono, i on to zachowa i utrzyma!«... Widocznie na innych drogach wypadnie szukać sprawiedliwości i ustępstw.

Po ogródkach i bawaryach jeszcze bardziej się wzmogły gawędy i wnioski, które tak przedtem przerażały spokojnych obywateli. Już nawet i po prowincjonalnych miastach zbierały się kółka, zawzięcie politykujące. Wszystkie te wszakże gawędy i nieporozumienia były tylko zaczynem kwasu, dopóki prawdziwego fermentu nie przynieśli, przybyli w połowie 1856 roku amnestyonowani sybiracy i tłumy emigrantów z zagranicy.

Żywiły te przyniosły z sobą do weale dotychczas spokojnego Królestwa, zupełnie inne usposobienie¹⁾.

Naraz wszystko zaruszało się i przemawiać zaczęło inaczej. Chaotyczne dotychczas kółka warszawskich i prowincjonalnych polityków, otrzymawszy doświadczonego przywódcę i doradcę, zaczęły się organizować w pewien ład i porządek. Na razie potworzyła się ich moc niezliczona: co ulica, to kółko. Grobla tamująca prysła i mętne strumienie popłynęły w różnych kierunkach, zanim się nie połączyły w dwa lub trzy potoki, szersze i widoczniejsze.

Najpierw się zorganizowało kółko akademików, złożone z wszelkiej starszej szkolnej młodzieży: z uczniów szkół realnych i gimnazyów, szkoły sztuk pięknych, instytutu rolniczego w Marymoncie, do których się przyłączyli następnie studenci medyczno-chirurgicznej akademii, otwartej w październiku 1857²⁾ roku.

Na wzór studentów Polaków na rosyjskich uniwersytetach, akademicy warszawscy zawiązali »towarzystwo bratniej pomocy« z własnym statutem, kasą i biblioteką. Do biblioteki sprowadzano głównie różne emigracyjne pisma polskie, ruskie i francuskie, zabronione przez cenzurę. Wszystko to dochodziło wówczas do Warszawy bez wielkich trudności. Pojęcia i wyznania tego kółka kształtowały się mniej więcej na zasadach, wypowiedzianych w 1836 roku w manifestie towarzystwa de-

¹⁾ Moller w *Situation de la Pologne*, str. 208 podaje, że po amnestyi 1856 roku wróciło do Polski i Litwy około 10.000 zesłańców i wychodźców. N. A. Milutin potwierdził autorowi autentyczność tej cyfry, gdyż on tych dat Mollerowi dostarczył.

²⁾ Marymont (Marie-Mont), wzgórze na północ Warszawy, tuż pod miastem, na którym wznosił się letni pałacyk królowej Marysienki, oddany w 1835 roku na pomieszczenie instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa. Instytut ten przeniesiono w 1861 roku do Puław. — Gimnazjum realne i medyko-chirurgiczną akademię zwinęto w 1862 roku, przy utworzeniu szkoły głównej. — Szkoła sztuk pięknych istnieje do chwili obecnej, zajmując oddzielny lokal w gmachu uniwersyteckim.

mokratycznego, z różnymi późniejszymi dodatkami. Wogóle kółko to było jaskrawo-czerwone i wrzało nieubłaganym wstrętem do rządów rosyjskich, z którym odpychało jakiekolwiek, by najmniejsze zbliżenie.

Za tem zjawilo się parę innych kólek z zawiązkami czerwonej, rewolucyjnej organizacyi. Wszystkie one utrzymywały stałe stosunki z akademikami i z nieco później zawiązanym w Petersburgu kółkiem oficerów Polaków, założonym w 1858 r. przez Jarosława Dąbrowskiego, kapitana jeneralnego sztabu pod niewinnym mianem »wieczorków literackich.« Był to najpoważniejszy związek z pomiędzy wszystkich rewolucyjnych polskich kólek w Rosyi. Z początku do niego mieli dostęp sami tylko wojskowi, następnie wszakże zaczęto przyjmować i cywilnych. Policya nic nie wiedziała o tych zebraniach, które się odbywały w mieszkaniu Dąbrowskiego, przy ulicy oficerskiej. W owych niezwykłych czasach, była to w swoim rodzaju szczególna, dobroduszna policya, drzemiąca spokojnie i przyjemnie w promieniach krymskiego słońca, wszystkich jednak o tak mile ogrzewającego. Czego to wówczas nie mogli pozwolić sobie oficerowie, a szczególnie oficerowie gwardyi!

W tym samym domu przy oficerskiej ulicy, obok Dąbrowskiego, mieszkali i inni oficerowie polscy, a mianowicie: Ferdynand Warawski, podporucznik ладоńskiego pułku piechoty; Emanuel Jundził, podporucznik saperów; Heidenreich de Henig, podporucznik ukraińskiego pułku dragonów; Bazyli Narbut, porucznik artyleryi; Hieronim Staniewicz, porucznik saperów; Andrzej Cytowicz, porucznik kijowskiego pułku grenadyerów: wszyscy oni uczęszczali do wojennej akademii. — Z cywilnych: Witalis Opocki, urzędnik w ministeryum dóbr państwa; Konstanty Dąbrowski i Stefan Chodorowicz.

Oprócz tych osób, stałych jakby mieszkańców, bywali na zebraniach oficerowie jeneralnego sztabu: Zygmunt Sierakowski, Tytus O'Byrn, Szalewicz, Jeziorański, Podbielski, Pogorzelski, Obiezierski, Rydzewski; Władysław Koczowski, porucznik konnej artyleryi gwardyi; Turr, podporucznik artyleryi;

oficerowie akademii inżynierów: Mikołaj i Piotr Chojnowscy, Wszeźniowski, Miniewski, Zaleski, Wyleżyński, Niłowski; Mikołaj Waśkowski, porucznik saperów; Kapliński, Masymilian Czeniak, Zieliński; Jan Staniewicz, dymisyonowany kapitan jeneralnego sztabu; oficerowie z akademii artylerzyskiej: Wierzbicki i Laskowski; junkrowie akademii inżynierów: Downar, Baranowski i Zapolski; urzędnicy różnych dykasteryj: Wiktor Kalinowski, Bołtuć; studenci i uczniowie różnych wyższych zakładów naukowych: Teodor Opocki, Ignacy, Bojomir i Maryan Staniewiczowie, Adam Kruszewski; Bucki, Franciszek Dalewski, dwaj bracia Kiersnowscy, obywatele ziemscy, wreszcie Jozafat Ohryzko.

Wszystkie te jednak gorące a niemądre kółka, małoby co potrafiły dokazać, gdyby nie znalazły jednocześnie oddźwięku w stronnictwie białych. Gdyby to ostatnie wytrzymało do końca na zajętem stanowisku, przychylnem rządowi, gdyby namiestnik, gdy był czas po temu, umiał w niem sobie wpływ pozyskać, wszystkie inne roboty nie wieleby skutku odniosły. Czerwoni, schodziliby się na hałaśliwe narady, urządzili parę dziecinnych manifestacyj i na tem by się wszystko skończyło. Lecz na nieszczęście, naraz się odwróciła od rządu znaczna liczba białych, ludzi wpływowych i bogatych; stanęli na ubożu, bez żadnych dalszych zamiarów, jedynie pod wpływem chwilowego rozdrażnienia i niezadowolenia, które zapanowało w całym kraju, po wyjeździe cesarza, i bardzo być może, że w znacznej części było także wynikiem czyichś tajemnych i systematycznych podburzań.

Biali na razie nie stawiali przed sobą żadnego celu, a co najmniej myśleli o jakimś powstaniu lub rewolucyi. Broń Boże!... ale był to już obóz przeciwrządowy, z którego, dzięki sprzyjającym okolicznościom, mogło się wytworzyć to, o czem się jeszcze wówczas nikomu, ani białym, ani czerwonym, nawet we śnie nie zamarzyło. Każdy przezorny i rozumny rządca powinien był nadzwyczaj pilnie i uważnie śledzić te objawy i natychmiast wykryć istnienie ich w społeczeń-

stwie, lecz Gorczaków i większość otaczających go dygnitarzy nie nie spostrzegli i niczego nie widzieli. Oni głównie zajęci byli przypominaniem sobie drobnych szczegółów z pobytu cesarza w Warszawie, to był główny temat ich myśli, ich dziennych i wieczornych rozmów. Oni się ani nie domyślali, że wskutek napływu amnestyonowanych z Syberyi i z zagranicy, stosunki w kraju niepomyślnie się zmieniły, że zaczynały się zbierać chmury, któreby należało w pierwszym zawiązku rozprószyć. Taka praca, umiejętne obserwowanie wszelkich objawów życia społecznego i zręczna walka z nieprzyjawnymi prądami, to rzecz niezwykła i mało dostępna dla władz rosyjskich, nie nadają się one do tego, szczególnie zaś nie nadawał się do niej zgrzybiały, były naczelny wódz armii krymskiej.

Jednocześnie z emigrantami i sybirakami otrzymało możliwość pobytu w Warszawie wiele takich osobistości, które z mocy szczególnych zarządzeń władz administracyjnych, były dotychczas internowane w ściśle oznaczonych miejscowościach Królestwa i krajów zabranych.

Jednym z najznakomitszych wygnańców tej kategorii był Andrzej hrabia Zamoyski.

Od lat trzystu nazwisko Zamoyskich głośnie w Polsce. Historyczny protoplasta tej rodziny, Floryan Szary, albo Saryusz, w XIV. wieku za Władysława Łokietka ciężko ranny w pewnej bitwie z Krzyżakami ¹⁾ został obdarzony przez króla szczególniejszemi łaskami. Podanie zachowało ówczesną odpowiedź Floryana, przyjętą później jako dewiza rodowego herbu Zamoyskich: »Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli« ²⁾.

Za Stefana Batorego, potomek Saryusza, Jan Zamoyski, zostaje kanclerzem i hetmanem wielkim koronnym (1576 do

¹⁾ Pod Płowcami. — ²⁾ Pomieszane widocznie z odezwaniem się Stefana Czarnieckiego.

1605 r.). Ożeniony z siostrzenicą króla, Gryzeldą Batorówną, za ogromny posąg żony kupuje olbrzymie dobra około Zamościa, silnie przezeń ufortyfikowanego.

Podczas panowania Zygmunta III., fortuna ta jeszcze się bardziej zwiększyła, i w 1589 roku utworzono z niej majorat zwany: »Ordynacją Zamoyskich«¹⁾.

¹⁾ Najstarsze polskie ordynacye są następujące: Tarnowskich z 1470 roku; Lubrańskich z 1520 roku; Zamoyskich na Zamościu i Szczebrzeszynie z 1589 roku; Radziwiłłów na Nieświeżu i Olyce z tegoż roku; Myszkowskich na Pińczowie z 1601 r.; książąt Ostrogskich z 1609 roku; Sułkowskich na Rydzynie z 1775 roku i Krasieńskich na Opinogórze z 1844 roku. Obecnie w Królestwie istnieją tylko trzy polskie ordynacye: Zamoyskich, Myszkowskich - Wielopolskich i Krasieńskich.

Słowo *Ordinatio* znaczy rozrządzenie, i od tego słowa rozpoczyna się testament Jana Zamoyskiego: *Ordinatio bonorum hereditariariorum Domui Zamoscianaee, comitiis Generalibus Regni, binisque Constitutio nibus, ab universis ordinibus concessa et approbata, per Illustrissimum et Excellentissimum D. Joannem in Zamoście Zamoyski, supremum Regni Cancellarium et exercituum Generalem, Ducem etc. coram actis tribunalitiis Regni facta, in perpetuum serviens.*

Rosyjskich majoratów w Królestwie jest 265; pierwsza partya 131 rozdana w 1836 roku, z dóbr rządowych i skonfiskowanych po 1831 rok; druga partya 73, rozdana w 1866 roku z dóbr rządowych i skonfiskowanych w 1831 i 1863 roku; trzecia partya 61 rozdana w latach 1869 i 1870 z dóbr rządowych Królestwa. Nadto w czasie od 1835 do 1879 roku rozdano 13 rządowych dóbr, na prawach nieograniczonej własności, następującym osobom: 1. Synowi feldmarszałka Paskiewicza; 2. generałowi Kierbedziowi; 3. synowi zabitego w 1830 roku generała brygady Siemiątkowskiego; 4. synowi zabitego w 1830 roku generała wojsk polskich, generał-majorowi świty j. c. mości, Jankowskiemu; 5. wdowie po generał-adjutancie, baronie Korfie 3-cim; 6. podpułkownikowi Stachowiczowi; 7. generał-majorowi Fiedorowi Tuchołce; 8. generał-porucznikowi Tropowowi; 9. generał-porucznikowi Witkowskiemu; 10. spadkobiercom izeczywisego radcy stanu Schmidta; 11. ministrowi finansów Greigh'owi (las w gubernii piotrkwskiej, oszacowany na 4.500 r. sr. rocznego dochodu, sprzedany zaś hrabiemu Hänkel von Donnersmark za 960.000 rubli sr.);

Do tej ogromnej ordynacyi początkowo należały prawie całe dzisiejsze powiaty: zamojski i hrubieszowski, na przestrzeni 70 mil kwadratowych, 400 wsi i miasteczek.

Z potomków Jana Zamoyskiego najbardziej byli wybitni: syn jego Tomasz, także wielki kanclerz koronny 1594—1638 i Andrzej Zamoyski, wielki kanclerz koronny 1716—1792 roku. Syn ostatniego, Stanisław hr. Zamoyski, (tytuł hrabiów rzymskiego cesarstwa otrzymali Zamoyscy w 1780 roku), ożeniony z księżniczką Zofią Czartoryską, do 1830 roku prezes senatu Królestwa polskiego, pozostawił siedmiu synów: Konstantego, Władysława, Zdzisława, Andrzeja, Jana, Augusta i Stanisława, którzy początkowo wychowywali się w Krakowie przy matce, wśród polityczno-literackiego otoczenia spólczesnej epoki, następnie poumieszczani zostali po najlepszych zagranicznych pensyonatach.

Hrabia Andrzej, urodzony w 1800 roku w Wiedniu, czas jakiś zostawa w paryskim pensyonacie Murenne'a, następnie w Genewie, ukończył zaś nauki na uniwersytecie w Edynburgu. Po odbyciu trzyletniej podróży naukowej, w 1824 roku ożenił się z Różą Potocką. W 1825 roku przybył do Warszawy i wstąpił do służby publicznej w komisji spraw wewnętrznych, gdzie wkrótce otrzymał stopień referendarza i został zamianowany szambelanem dworu. Od 1828 do 1830 roku prowadził w komisji dział spraw przemysłowych.

Rewolucya 1830 roku przerwała spokojną działalność hrabiego Andrzeja. Starszy jego brat, ordynat Konstanty, wystawił własnym swym kosztem całkowity pułk piechoty, przy którym się zaciągnął na prostego żołnierza. Andrzej zo-

12. pomocnikowi tegoż ministra T. R. Szamszynowi las w gubernii siedleckiej (oszacowany na 3.000 r. sr. rocznego dochodu, sprzedany Hordliczce za 375.000 r. sr.); i 13. hrabiemu P. E. Kotzebuemu, las w gubernii łomżyńskiej, oszacowany na 4.500 r. sr. rocznego dochodu, z którego w 1880 roku hrabia Kotzebue sprzedał 10.000 sztuk sosien po 9 rubli 25 kopijek za sztukę.

stał adjutantem dyktatora Chłopickiego i brał udział w bitwie pod Grochowem ¹⁾).

Wkrótce po tej bitwie rząd rewolucyjny wysłał hr. Andrzeja do Wiednia dla zbadania usposobienia gabinetu austriackiego, a zarazem proszenia o uznanie polskiego narodowego powstania, za stronę wojującą. Do Krakowa dostał się za paszportem gubernera francuza, ztamtąd pojechał do Bobrku, majątku hrabiego Potulickiego, gdzie go wszyscy pożyczali za francuza.

Wtajemniczony gospodarz ułatwił mu spotkanie się z hrabią Laryszem z Osieka i ten zobowiązał się uwiadomić księcia Metternicha o misji hrabiego Andrzeja i otrzymał dlań paszport. Przy pierwszym zaraz widzeniu się z hrabią Zamoyskim w Wiedniu, kanclerz oświadczył, że gotów jest pośredniczyć między rządem narodowym a carem, lecz doradzał, aby działania ograniczono do samej Kongresówki i przyjęto warunki, które car za wstawieniem się Austrii podyktuje. Poczem książę Metternich zaprosił hrabiego na obiad i sprowadził go razem z posłem rosyjskim, hrabią Tatiszczewem. Tatiszczewowi Zamoyski wydał się podejrzany, więc postarał się z nim zbliżyć i zaprosił do siebie. Po paru wizytach Zamoyski zaczął spotykać tam jakąś bardzo piękną Polkę. Dla zabicia czasu, nie podejrzewając, zawiązał z nią romansik i nie spostrzegłszy się, jak i kiedy, rozpowiedział jej, z czem do Wiednia przyjechał i poco tu bawi. Piękna Polka była po prostu szpiegiem w usługach rosyjskiego poselstwa.

Autorowi opowiadał to hrabia Berg, który miał czytać raporta Tatiszczewa do ministra spraw zagranicznych. Książę Metternich, który także o wszystkim się dowiedział od Tatiszczewa, ochłódl odtąd dla hrabiego Zamoyskiego i dalsze ich spotkania nie miały żadnej doniosłości. Kanclerz szeroko

¹⁾ Spasowicz powiada, że za rządu tymczasowego, hrabia Andrzej przez jakiś czas pełnił obowiązki ministra spraw wewnętrznych. *Wiestnik Europy*, listopad 1880.

się rozwodził o austriackich sympatyach dla Polski, o strasznym błędzie, popełnionym w 1772 roku, i na tem się wszystko kończyło. Hrabia Andrzej dowodził z młodzieńczym zapalem, że jeśli Austria obecnie tego błędu nie naprawi, to go pierwsza odpokutuje. Metternich tylko się uśmiechał, w końcu zaś oświadczył, że stan spraw politycznych w Europie zmusza go do ścisłego przestrzegania traktatów z 1815 roku, gdyż na nich się opiera cała jego polityka ¹⁾.

Z tem hr. Andrzej powrócił do Warszawy, lecz w krótkim czasie został ponownie wysłany do Wiednia. Druga ta podróż odbyła się w znacznie trudniejszych warunkach; w Galicyi ostro śledzono za wszystkimi przejeżdżającymi; znajomi odmówili hrabiemu pomocy i on przebywszy Wisłę w bród pod Szczucinem, przenocował u przemytnika i potem nocami przez jasielskie dostał się na Węgry, za cudzym paszportem; stamtąd już łatwiej przedostał się do Wiednia.

Książę Metternich wnet się dowiedział o powtórnem przybyciu Zamoyskiego, a chcąc się z nim spotkać, kazał mu przygotować mieszkanie na jakiejś ubocznej i oddalonej ulicy i kazał się mu tam przenieść i oczekiwać, jak najmniej się

¹⁾ Znany pisarz niemiecki i profesor historii na wszechnicy w Zurychu, Joannes Scheer, wykładając dzieje XIX. wieku, twierdził że hrabia Andrzej Zamoyski, w czasie tej swojej bytności w Wiedniu, otrzymał tajne posłuchanie u cesarza Franciszka I., na którym imieniem rządu narodowego prosił go o udzielenie czynnej pomocy walczącej Polsce i o przeznaczenie którego z arcyksiążąt na przyszłego króla. Cesarz miał tę propozycję przyjąć wcale przychylnie, a nawet wskazał, że młodszy syn jego, arcyksiążę Franciszek Karol, ojciec obecnego cesarza Franciszka Józefa, mógłby być tym wybranym. Na to hrabia Zamoyski miał jakoby odpowiedzieć, że dla Polaków potrzeba kogoś, koniecznie opromienionego sławą wojenną, naprzykład arcyksięcia Karola, co miało zrazić cesarza, który wysłańca pożegnał sucho i więcej już go nie wzywał do siebie. Profesor Scheer kładł nacisk na tę polityczną niezręczność hrabiego Andrzeja. — Było to w 1865 roku. *(Przypisek tłumacza).*

pokazując, póki go nie zawezwie ¹⁾. Nie było rady, hrabia Zamoyski przeniósł się na czwarte piętro i dosyć długo tam przemieszkał. Księżę Metternich przywołał go, gdy w Wiedniu wiedziano już o otoczeniu Warszawy przez wojska rosyjskie pod wodzą Paskiewicza i widziano, że rozwiązanie tragedyi lada chwila nastąpi. Kanclerz przyjął hrabiego nader uprzejmie i oświadczył, że gotów pośredniczyć w kapitulacyi, która jest niuniknioną. Żadnej innej pomocy Polakom pod rosyjskim zaborem okazać nie może, radził więc, by Zamoyski bezzwłocznie wracał do Warszawy. Hrabia Andrzej usłuchał i z dodatkowym mu urzędnikiem austriackim, zaopatrzonego w list otwarty, wizowany w rosyjskiem poselstwie, pospieszył do Warszawy. Jadąc wszakże przez Prusy, przybył do Warszawy już po opuszczeniu tejże przez rząd narodowy. Nazajutrz po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie, hrabia Zamoyski stanął przed Paskiewiczem.

— Co pan tu robisz? — zapytał barzo groźnie Paskiewicz, uwiadomiony przez Tatiszczewa o jego wiedeńskich wyprawach.

— Przyjechałem z Wiednia, z listem księcia Metternicha, jako wysłaniec rządu narodowego — odpowiedział zapytany.

— Wysłaniec rządu narodowego! — krzyknął Paskiewicz — a gdzież ten rząd? Ja cię, mój panie każę rozstrzelać, to się wdedy dowiesz, jaki tam u mnie rząd narodowy!

Była to wszakże tylko czeza pogróżka, wyrzeczona na wiatr, bez dalszych następstw. Paskiewicz już kombinował na czem i na kim będą się musiały z konieczności oprzeć przyszłe jego rządy w Polsce, daleki więc od zrażania arystokracji, nakazał hrabiemu natychmiast wyjechać do siebie na weś i tam oczekiwać dalszych rozporządzeń.

Hrabia Zamoyski zamieszkał w Klemensowie. Urządził tam wzorowo dwa folwarki i żył, można powiedzieć jak mały

¹⁾ Z opowiadania hrabiny Michałowej Potockiej, matki hrabiego Tomasza, której sam hrabia Andrzej miał to opowiadać.

królik, wśród wygodnego i zbyt kownego urzędzenia, przez cały czas panowania cesarza Mikołaja.

Do Klemensowa zjeżdżali się sąsiedzi i goście z drugich gubernij Królestwa i zabranych prowincyj, obejrzeć wzorowe gospodarstwo, pomówić o różnych sprawach z wykształconym, szanownym przedstawicielem rodu Zamoyskich, który tyle wiedział i widział, od którego tyle nauczyć się i skorzystać można było. Przytem można było i zapolować i zabawić się w uprzejmem i wykwiintnem towarzystwie.

Od czasu tych zjazdów klemensowskich datuje się popularność hrabiego Andrzeja. Pierwsze zjazdy rozpoczęły się jakoś wkrótce po 1840 roku, kiedy Królestwo i Galicya w zupełnym śnie pogrążone były¹⁾. Imię jego nabierało rozgłosu, jako pożytecznego i pod wszelkimi względami odznaczającego się człowieka, obywatela i patrioty.

Ku końcowi piątego dziesięciolecia, zjazdy te przybrały wcale szerokie rozmiary. Bywało po dwieście osób różnych stanów, odznaczających się jedynie wychowaniem i wiedzą. Można powiedzieć, że zbierał się tam wybór inteligencji całego kraju²⁾.

W tym także czasie odbywały się zjazdy obywatelstwa w Piotrowicach, u kasztelana Kajetana Koźmiana.

Ponieważ pod względem politycznym zachowanie się Zamoyskiego było bez zarzutu, Paskiewicz tolerował te szlacheckie zebrania³⁾. Odbywały się one spokojnie, jakby za sankcją groźnego feldmarszałka. Wszakże Lisicki powiada, że koło 1850 roku zostały zabronione (I. str. 50—51).

W przestankach, między różnemi rozrywkami, w słotę, gdy wiatr ponuro szumiał po starych drzewach klemensow-

¹⁾ *Czas* z 1879 roku Nr 223, str. 1, kolumna 3.

²⁾ *Czas* z 1874 roku Nr 250—252; *Gazeta Narodowa* Nr 249; *Encyklopedia powszechna* Orgelbranda, tom XXVIII, str. 256—278.

³⁾ Autor piszący o Zamoyskim w *Czasie* z 1879 roku przypisuje wpływowi zjazdów klemensowskich, że katastrofa galicyjska 1846—1848 roku tak nieznacznie oddziaływała na Kongresówkę.

skiego parku, wykształcone i świetne towarzystwo, goszczące u hrabiego Andrzeja, zbierało się u płonących ogni na staroświeckich kominach, na rozmowy o stanie gospodarstwa krajowego, które miejscami było bardzo zaniedbane, gdyż opieszała i niedbała szlachta raczej myślała o hulankach, włóczeniu się po jarmarkach lub bezmyślnych podróżyach za granicę (do czego nawet, szczególnie po 1846 roku, sam rząd niejako zachęcał), niż o poważnej pracy na zagonie ojczystym. Zastanawiano się więc naturalnie nad sposobami, jakby temu zapobiedz, opamiętać szalonych, podnieść ich moralnie, zwrócić hulaszczycych próżniaków ku pożytecznej pracy, a przez to stopniowo podnosić w kraju rolnictwo i przemysł, choć w części zrównać je z zagranicznym i powoli zamienić całe Królestwo na ogromny folwark klemensowski. Choć i bez tego, pod względem rolniczym, Polska stała bez porównania wyżej od Rosyi.

W ostatecznym wyniku, przed oczami wszystkich patriotów, zbierających się u Zamoyskich, przyświecała jak jasne marzenie: oczyszczona z grzechów, moralnie potężna, jednomyślna, bogata, rozumna i oświecona Polska, posiadająca, zamiast ciemnego bydła, lud roztropny, pracowity i zdolny do coraz większego postępu...

Takem silny, takem dumny,
Siostró moja! Mnie się zdaje,
Że w tej chwili, ze snu trumny
Nasza Święta zmartwychwstaje!

Klemensowcy przyszli bardzo prędko do przekonania, że najłatwiej dałoby się społeczeństwo poprowadzić w danym kierunku i niejako wychować zapomocą towarzystwa rolniczego; ono jedynie mogło być tą szkołą zbawienną dla rolników, a przez nich dla całego społeczeństwa — w warunkach, w jakich się znajdowała podówczas Polska.

Lecz za Paskiewicza samo słowo »towarzystwo« miało tak dziwne, straszne i nietolerowane brzmienie, że tylko bardzo cicho, ostrożnie i prawie tajemniczo wymawiano je, nawet w ustronnych kniejach lasów klemensowskich.

Powiedziano jednak, i to przed wiekami, że myśl, zrodzona chociażby nie na czasie, nie mająca żadnych warunków natychmiastowego urzeczywistnienia, jest już krokiem naprzód. Takim krokiem stała się i myśl, zrodzona w Klemensowie o zawiązaniu towarzystwa rolniczego. Poruszając od czasu do czasu myśl tę, żywo ich wszystkich zajmującą, goście pana Andrzeja ani spostrzegli, jak doszli do zgodnego rozstrzygnięcia wielu trudnych kwestyj w stosunkach rolniczych swej ojczyzny, i jak prawie wykończyli w projektach gmach, o którym marzyli. Sprawa przyszłego, patryotyczno - rolniczego towarzystwa, skryształowała się w umysłach prędzej, niż się można było spodziewać. Przyszli jego członkowie, w początkach prawie sobie nieznanymi, po kilku peryodycznych zetknięciach się w tem samym miejscu, w jednakich warunkach, pod wpływem wysoce wykształconego, rozumnego i gościnnego gospodarza, pana z panów, a mimo to tak łatwego w obejściu, powoli zbliżyli się nawzajem, stali się ludźmi jednej wiary, jednych przekonań, usposobień i pojęć; utworzyli nieznacznie: ścisłe i, można powiedzieć, polityczne kółko; ścisłe, chociaż bez zapowiedzianego programu, mające już swego przedstawiciela i wodza, którego wcale nie wybierano, lecz który sam się niejako narzucił, zupełnie naturalnie, a lepiej, niż wszelki wybrany prezes, odpowiadał upodobaniom i duchowi wszystkich członków koła. Kółko to, oryginalnie i wypadkowo wytworzone, również wypadkiem w 1842 roku przyszło do swego organu. Tym organem niewidzialnego i nieistniejącego prawie towarzystwa rolniczego, stały się »Roczniki gospodarstwa krajowego«, redagowane przez pewnego pana I. Koniewicza ¹⁾. W tym też czasie pan Andrzej uzyskał pozwolenie pobytu w Warszawie, i około 1850 roku, w zbiegu Krakowskiego przedmieścia z Nowym światem, wybudował piękny pałac, w którym zwykle zimy przepędzał.

¹⁾ Hrabia Andrzej dużo pisywał do tych roczników.

Naturalnie, że w Warszawie towarzystwo klemensowskie jeszcze łatwiej mogło się skupić koło hrabiego, który odrazu zajął bardzo wybitne stanowisko w towarzystwie warszawskiem, raz jako człowiek, który służył sprawie i cierpiał za nią, a powtóre jako osobistość, sama przez się nadzwyczaj sympatyczna. W jednej chwili stał się on ulubieńcem wszystkich. Polacy, Rosyanie i Żydzi; wyższe sfery i niższe; umiarkowani i niczem się nie zadawalniający korsykianie, trybunowie różnych zaulkowych kawiarni i bawaryi — wszyscy go jednako poważali i lubili. Hrabia Andrzej, bez ubiegania się o to, stanął jako rozjemca wśród żywiołów, na oko nieprzejednanych. Najbardziej uparci i zapaleni uspokajali się i ustępowali, gdy tylko odwołano się na ulubionego pana Andrzeja, gdy tylko on zwrócił ku nim swe łagodne, spokojne i głębokie spojrzenie.

W owej porze hrabia nie był już młody; dobiegał sześćdziesiątki; wyglądał wszakże na swój wiek doskonale, chodził prosto i elastycznie jak młodzieniec; idąc po schodach, brał zawsze po dwa stopnie naraz; jego piękna, szlachetna postać, miała w sobie coś niewymownie pociągającego. Z jakiejby strony oglądany, z blizka czy z daleka, dokładnie czy tylko powierzchownie — w najmniejszym swym ruchu, w każdym, chociażby niedbale i bez namysłu wypowiedzianem słowie, przedstawiał on zawsze typ wykwintnego, dobrze wychowanego, najczystszej krwi arystokraty. W Warszawie, a wkrótce i w całym kraju nie nazywano go inaczej jak tylko: »pan Andrzej«, nazwisko rzadko kiedy dodawano, jakby w całej Polsce jeden był tylko dany od Boga hr. Andrzej. Rosyanie nazywali go »Andrucha«, czem chcieli wyrazić dobroduszość jego, połączoną z prostotą.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie na wszystkich, a szczególnie na samym namiestniku, sprawiło zjawienie się na zamku wykwintnego hrabiego, z jego pańskim, swobodnem obejściem i jego klasyczną francuzczyzną. Paskiewicz, plebejusz

z rodu, z politycznego wyrachowania schlebiał polskiej arystokracji, naśladować w tem zresztą i Petersburg, lecz jednocześnie pozostawał wobec nich niezmiennie tą wyższą osobistością, okrytym laurami bohaterem licznych wypraw wojennych, namiestnikiem i przyjacielem cara, jakimś małym carem Mikołajem.

Lecz Gorczaków, sam arystokrata, czuł jakiś szczególniejszy pociąg do arystokracji w ogóle, bez względu na kraj i narodowość. Nie darmo od dzieciństwa nasłuchiwał się od rodziców, od wszystkich cioć i wujaszków, dziadziów i babuń, że arystokraci to inni ludzie, białej kości i krwi błękitnej, urobieni z lepszego, szlachetniejszego materiału; że plebs... to prawie nie ludzie, coś pośredniego między prawdziwym człowiekiem a szympansem.

Gorczaków »padał do nóg« wszystkiemu, co nosiło na sobie arystokratyczne piętno w Polsce. On i jego żona przyjmowali u siebie polską arystokrację tak, jak ona nigdy przedtem nie była przyjmowaną na zamku. Ileż to ubliżeń znieść przytem musieli Rosyanie!... Tylko Rosyan w ten sposób można traktować i obrażać.

Hrabiostwo Andrzejowie Zamoyscy wprędce w domu księstwa znaczyli więcej, niż sami gospodarstwo. Raz (a może i nieraz) zdarzyło się, że w czasie wizyty u namiestnikowej pani Łazarewój-Staniszczewój, której mąż zajmował wysokie dosyć urzędowe stanowisko, i także należał do rosyjskiej arystokracji, weszła do salonu hrabina Andrzejowa. Księżna Gorczaków do tego stopnia się zapomniała, że, nie zważając na wszelkie względy przyzwoitości, powiedziała do siedzącej na kanapie pani Łazarew: *veuillez bien Madame, céder votre place à madame la comtesse!* Dama była przytomna, niez mieszana, więc, wstając, odrzekła: *Je puis Madame, si vous le désirez, vous céder même le salon!* i z temi słowy opuściła pokoje. Radca tajny Czestilin, ówczesny dyrektor kancelaryi namiestnika, był świadkiem tej sceny i opowiadał to autorowi.

Stronnictwo klemensowskie, do którego należało dużo ludzi bogatych i arystokratycznego pochodzenia, widywanych

bardzo mile na zamku, poczuło swe siły i to, że się czasy zmieniły; że tak leżąca im na sercach sprawa Towarzystwa rolniczego może być poruszona, że przynajmniej spróbować nie zawadzi. Lecz do jakiego stopnia nie byli jeszcze pewni położenia, dowodzi to, że postanowili, by hr. Andrzej w odpowiedniej chwili, sposobem próby, wspomniał Gorczakowowi o potrzebie zawiązania jakiegokolwiek towarzystwa, chociażby naprzykład Towarzystwa żeglugi parowej na Wiśle, na które już przed dziesięciu laty, w 1846 roku, Francuz Guibert uzyskał był koncesyę z pozwoleniem budowania parostatków i zaprowadzenia stałej żeglugi nie tylko na Wiśle, lecz i na innych splawnych rzekach Królestwa. Chodziło więc teraz tylko o wznowienie koncesyi, w swoim czasie nie wprowadzonej w życie, jedynie w skutek wybuchłych zaburzeń. Zresztą we wrześniu 1846 roku zjawily się parostatki Guiberta na Wiśle, lecz bardzo prędko kursować przestały. Jeśli to pierwsze towarzystwo zatwierdzenie uzyska, można będzie rozpocząć starania o uzyskanie zezwolenia na zawiązanie Towarzystwa rolniczego.

Gorczaków nie powiedział żadnego — ale — gdy hrabia Andrzej wszczął rozmowę o wznowieniu koncesyi Guiberta. Zażądał tylko, by hrabia rozmówił się z głównym dyrektorem komisji spraw wewnętrznych Muchanowym, bez którego podówczas namiestnik nie decydował żadnej ważniejszej sprawy. Hrabia Zamoyski zawczasu wiedział, że bez Muchanowa rzecz się nie załatwi, i zanim zaczął mówić z księciem, miał już przyrzeczenie Muchanowa.

Paweł Aleksandrowicz Muchanów, urodzony w 1798 roku, po ukończeniu nauk w moskiewskim uniwersytecie, wstąpił do wojska, do kwaterymistrzostwa, co odpowiada teraźniejszemu jeneralnemu sztabowi. W 1816 roku awansował na oficera i odrazu został adjutantem przy hrabiu Tołstoju, dowódcy piątego korpusu armii. W 1829 roku, w czasie wojny tureckiej był w sztabie marszałka Dybicza, i brał czynny udział w kilku wycieczkach pod Silistryą, następnie w różnych spotkaniach przy osaczeniu Szumli, oraz w bitwie pod Kuleweżą. Następnie

razem z Dybiczem przeszedł do armii, działającej w Polsce, i za odznaczenie się w bitwie pod Ostrołęką otrzymał stopień pułkownika, z naznaczeniem na urzędnika do szczególnych poruczeń przy naczelnym wodzu. Od 1832 do 1834 roku widzimy go prezesem komisji kwaterunkowej w Warszawie, z której, dla nieznanych nam przyczyn, ustąpił i powrócił do Rosji. Przez następne dwa lata bawił się w Moskwie literaturą, jako członek Wolno-ekonomicznego towarzystwa i Moskiewskiego towarzystwa badaczy przyrody. Należał także do Towarzystwa rolniczego i historyczno-literacko-archeologicznego.

Gdy w Królestwie urządzano Okręg naukowy warszawski, na wzór istniejących w cesarstwie, Muchanów, słynący zawsze z dzielnego pióra i rozległej wiedzy, przy pomocy niezbędnej protekcji, został pomocnikiem kuratora, generała Okuniewa. Tak kurator, jak i Paskiewicz nie lubili Muchanowa, a gdy Okuniew w 1850. roku dla zdrowia musiał wyjechać na Madagę, Paskiewicz długo się wahał i bardzo niechętnie zezwolił, aby Muchanów zastępczo pełnił tegoż obowiązki. Złe języki mówią, że Muchanów rozmaitymi sposobami starał się o pozyskanie łask feldmarszałka, raz nawet za pośrednictwem jakiejś pięknej praczki, lecz wszystko to nie odniosło pożądanego skutku, i Paskiewicz do końca życia był dlań, jeśli nie nielaskaw, to zupełnie obojętny.

Za Górczakowa rzeczy zupełnie inną przybrały postać. Przewidując, że prędzej czy później książe Górczaków zostanie następcą feldmarszałka, Muchanów zawczasu, gdy ten był jeszcze generał-gubernatorem, starał się pozyskać jego względy. Zaś w 1853. roku, gdy tenże wyjechał do czynnej armii, ów zajął się zarządaniem jego majątków, i przez czas swej administracji znacznie je uporządkował.

Usługa osobista jakoś zawsze lepiej się wraża w pamięć, niż wszelkie inne, nawet i u tak roztargnionych ludzi jak Górczaków. W karierze urzędowej nie ten wygrywa, kto służy, lecz ten, który się zasługuje. Uwaga to jeszcze Grybojedowa — niestety i dzisiaj zupełnie na czasie. Zostawszy namiestnikiem

w Warszawie, książe nie wiedział, jak dostatecznie wywdzieńczyć się swemu »rządcy«, i niespełna w miesiąc po swoim przybyciu, dnia 8. maja 1856 roku zrobił go głównym dyrektorem w komisji spraw wewnętrznych, w miejsce Wikińskiego. Z tym obowiązkiem połączył jeszcze zarząd warszawskiego okręgu naukowego oraz spraw duchownych. Odtąd Muchanów zupełnie opanował słabego Gorczakowa i stał się drugim *alter ego*.

Zważając na wykształcenie, rozum i obszerną wiedzę, Muchanów najniezawodniej może być uważanym za najlepszego ministra spraw wewnętrznych i najlepszego kuratora, jacy byli z ramienia rządu od roku 1830. Z początku pilnie przestrzegał rosyjskiego wpływu i rosyjskich interesów, lecz jako człowiek w najwyższym stopniu niesympatyczny i nawet z powierzchowności niemiły, nigdy nie potrafił skupić koło siebie poważniejszego stronnictwa i zawsze stał odosobniony. Dlatego wszelkie jego usiłowania, dążące do wytworzenia jakiejś podstawy dla rosyjskich interesów w tym kraju, po większej części nie osiągały zamierzanego skutku.

Ku końcowi szóstego dziesiątka lat i Muchanów poddał się ogólnemu nastrojowi rządowemu, panującemu w Rosyi. Zachowywał się na równi z innymi dygnitarzami, otaczającymi namiestnika; albo mu we wszystkim potakiwał, albo też milczał; czyli stał się drugim Gorczakowem: chwiejnym, ustępującym, bez charakteru i zdania, a nawet często jakby onieśmiałym, chociaż naprawdę, wstydzić się nie było czego.

Osoby bliżej znające Muchanowa tak się o nim wyrażały:

Senator Kruzenstern. Był to genialny intrygant, fałszywy i lichy człowiek, oglądający się na dwie strony i szukający miru u rządu i u Polaków.

Radca tajny Kazaczkowski. Był to najnieprzyjemniejszy i najmniej sympatyczny człowiek, jakiego w życiu swym znałem.

Fryderyk hr. Skarbek: tak go opisuje: Człowiek atletycznej postawy, z wzrokiem, w którym się malowały duma, surowość i fałsz. Posiadał światową oglądę, lecz z niższymi od

siebie zachowywał się pogardliwie i grubiańsko. Powierzchność już jego malowała wewnętrzną złość i porywczosć, a ta ostatnia dochodziła do tego stopnia, że raz uderzeniem laski zabił stróża, który mu nie dość prędko w nocy bramę otworzył. Popędliwość tę starannie ukrywał, umiał nawet przypochlebiać się tym, których zamierzał zadrasnąć lub ukąsić. Chciwym na pieniądze nie był, lecz tem żądniejszy władzy i znaczenia. — (Pamiętniki str. 291).

Jan Papłoński, były profesor szkoły głównej i cenzor, zapewniał autora, że Muchanów, jako kurator, ścieśniał oświatę, nie chcąc, by ona w Polsce wyżej stała niż w Rosyi. Na czyjąś uwagę, że należałoby w Warszawie utworzyć uniwersytet, Muchanów miał odpowiedzieć »tak, ale jednocześnie potrzebaby wybudować drugą cytadelę!« (To samo powtarza i Lisicki. I. str. 101). Za to, jako główny dyrektor komisji spraw wewnętrznych nie miał sobie równego i bardzo się przyczynił do podniesienia rolnictwa i przemysłu w kraju.

Kraszewski w rozmowie z autorem tak się odezwał o Muchanowie: Dosyć dobry, lecz niemily i bez taktu człowiek, istny rosyjski Wielopolski! I to się zdaje być najdosadniejszym określeniem Muchanowa: »Rosyjski Wielopolski.«

Hrabia Andrzej z łatwością zjednal sobie tego *alter-ego* Gorczakowa. Sekretarz stanu, Tymowski, przeprowadził sprawę żeglugi parowej w komitecie dla spraw Królestwa polskiego w Petersburgu, i koncesya Guiberta dostała się Zamoyskiemu. On zaraz z dwoma synami wyruszył parostatkem dla badania Wisły; mierzył głębokość tej kapryśnej rzeki, badał stosunki i naradzał się z różnymi specjalistami nad dalszym rozwojem przedsięwzięcia.

Cała ta podróż hrabiego Andrzeja była jednym ciągiem królewskich prawie przyjęć i owacyj we wszystkich miejscowościach, gdzie się tylko parostatek zatrzymał. Obiady, toasty, okrzyki, podług staro-nowo-polskiego zwyczaju, jak to się mówi po prostu, że aż się w niebie robiło gorąco. W dodatku do całej tej polsko-politycznej sprawy wciągnięto bardzo zrę-

cznie kilku Rosyan wybitnych, między innymi hrabiego Bobryńskiego. Akcyje Towarzystwa wyśrubowano sztucznie do 300 rubli sr. za 120, wszakże bardzo prędko kurs ich spadł niżej pari.

Przedsiębiorstwo weszło w życie. Dyrektorem Towarzystwa został Leon Królikowski, człowiek skrajnie czerwonych zasad i naczelnik kółka nieprzejednanych. Jakim sposobem się stało, że taki biały, legalny i umiarkowany podówczas hrabia Zamoyski, wybrał sobie na pomocnika takiego zapaleńca i rewolucjonistę, trudno zrozumieć; ale tak się stało. Mogli mu go narzucić różni przyjaciele, niezdecydowanych usposobień, których mnóstwo pod ten czas kręciło się koło hrabiego. Oni może liczyli na to, że Towarzystwo żeglugi parowej odegra w bardzo niedalekiej przyszłości taką rolę, jaką miało odegrać Towarzystwo Guiberta, gdyby zamierzone powstanie 1846 roku tak się rozwinęło, jak się spodziewali spiskowcy.

Dnia 20. lipca 1857 r., w gmachu Towarzystwa na Soleu, nastąpiło otwarcie żeglugi parowej; poczem zaproszeni goście i akcyonaryusze zasiedli do uczyty, zakończonej toastami prozą i wierszem. Znany improwizator, redaktor popularnego *Kuryera Warszawskiego*, Kucz, pełen werwy i nadzwyczaj dowcipny człowiek, wygłosił wierszowany toast, zakończony strofą:

Lecz wśród głosów tysięcy
Jedno śpiewam z kolei:
Daj nam Boże! a więcej
Takich jak ten, Andrzej!

Po raz utartej ścieżce, nie trudno już było hrabiemu Andrzejowi uzyskać zezwolenie na zawiązanie Towarzystwa rolniczego. Wprawdzie Muchanów, dla zachowania pozorów, robił trudności i podnosił zarzuty, lecz ostatecznie się zgodził. Do uzyskania tego zezwolenia przyczyniły się w znacznym stopniu nieporozumienia, istniejące między Muchanowem a Kotzebue'm. Kotzebue proponował, zamiast jednego Towarzystwa na całe Królestwo, utworzyć powiatowe zjazdy obywateli ziemskich,

któreby wybierały przedstawicieli na zjazdy gubernialne. Na czele zaś stanąłby centralny komitet rolniczy z Warszawy, wybierany przez zjazdy gubernialne. Projekt ten znalazł wielu zwolenników, lecz Muchanów, na przekór swemu antagoniście, przeprowadził jedno ogólne w Warszawie zebranie wszystkich członków Towarzystwa z komitetem na czele.

Hrabia Uruski miał podobno powiedzieć w kółku swych zaufanych: »Ależ takie towarzystwo nieodmiennie przybierze charakter polityczny.« To się rozeszło po mieście, i na jakiś czas musiał wyjechać za granicę, by się usunąć przed ogólną niechęcią. (Dziennik pułkownika Krywonosowa).

Autor broszury *Sprawa polska w 1861 r. List z kraju* (Paryż 1862 r.) powiada, że Zamoyski, zawiązując Towarzystwo rolnicze, wprost naśladował Cavour'a, który od podobnego kroku rozpoczął dzieło wyswobodzenia Włoch. W kraju, gdzie wszelka polityczna działalność wzbroniona i niemożliwa, konieczne potrzeba każdą sprawę zamieniać na polityczną.

Bolesławita w powieści *Dziecię starego miasta* wyraża się: »Towarzystwo to, doskonały przykład z włoskiego Cavour'a.«

Hrabia Skarbek w *Dziejach Polski*, III. str. 224, zapewnia, że: »Rząd wiedział, że Towarzystwo rolnicze podszyte jest polityką.«

Tymowski ponownie przeforsował sprawę w Petersburgu, przy pomocy pewnego rosyjskiego wpływowego kółka, (o którym później będzie mowa, a bez której to pomocy oba projekta nie przeszłyby tak gładko przez komitet dla spraw Królestwa polskiego i przez Radę państwa), i Towarzystwo zostało otwarte uroczyście w sali posiedzeń kuratorji okręgu naukowego, dnia 16. stycznia 1858 roku przemową Muchanowa, poczem mówili: ksiądz arcybiskup Fijałkowski i hrabia Zamoyski¹⁾. Poczem ten ostatni, jako główny redaktor *Ro-*

¹⁾ Patrz XXXII tom *Roczników gospodarstwa krajowego* z roku 1858. Mowa Muchanowa str. 149; arcybiskupa str. 166; hrabiego Andrzeja str. 163.

exników gospodarstwa krajowego, wezwał obecnych innych członków redakcyi i zaproszonych dwadzieścia osób wybitniejszych z kraju do zawiązania się i ukonstytuowania w Towarzystwo, jak tego wymagał zatwierdzony statut. Zebrani wybrali prezesem hrabiego Andrzeja, wice-prezesem Aleksandra hr. Ostrowskiego, oraz szesnastu członków komitetu. Nazwiska wybranych podaje *Kuryer warszawski*, 1858 r., nr 15, str. 68. Starał się tam dostać i Aleksander hr. Wielopolski, mało podówczas znany w Warszawie, lecz nie został wybrany. Zwykle powiadają, że nawet przy wyborze na członka towarzystwa został przekreślony, lecz na pewne nikt tego udowodnić nie może. Po śmierci margrabiego, *Czas* twierdził, że Wielopolski był członkiem towarzystwa, *Gazeta narodowa* temu zaprzeczała. — (U Lisickiego o tem. I, str. 106).

Nazajutrz członkowie założyciele dawali dla swego prezesa obiad w hotelu Angielskim, na który był także zaproszony i Muchanów. Było osób 60, były i nieuniknione mowy. Opis obiadu, a następnie rautu w Resursie kupieckiej zamieszczają wszystkie ówczesne dzienniki. (Patrz *Kuryer warszawski* Nr 16, str. 74, 1858 rok).

Towarzystwo nie potrzebowało troszczyć się o własny organ, gdyż takowy istniał już *à priori* od lat piętnastu, obecne tylko *Roczniki gospodarstwa krajowego* przeszły z rąk jakiejś tajemniczej i bezimiennej spółki w zawiadywanie Towarzystwa i były rozsyłane *ex offo* wszystkim członkom towarzystwa¹⁾.

Jawnym redaktorem *Roczników* został W. Garbiński, sekretarz hrabiego Andrzeja, rzeczywistym wszakże kierownikiem pisma był Aleksander Krajewski, który tylko co powrócił z Syberyi, ongi członek Związku polskiego ludu.

Jakim sposobem dostał się do najbliższego otoczenia hrabiego Zamoyskiego ten drugi zapaleniec, czerwieńszy jeszcze

¹⁾ Podaje o tem XXXII tom *Roczników* ze stycznia 1858 roku, który stanowi zarazem tom pierwszy tychże *Roczników*, jako organu Towarzystwa.

od Królikowskiego, także niewiadomo. Wprawdzie w pierwszych chwilach powrotu z wygnania udawał człowieka uspokojonego i ostyglęgo, lecz w głębi duszy burzył się i wrzał po dawnemu. Próżne to mniemanie, że Sybir, wygnanie lub więzienie uspokaja zapalone umysły; ani trochę. Wracają one stamtąd jeszcze gorętsze, bardziej rozdrażnione, a zarazem zahartowane w cierpieniach i odosobnieniu. Jeżeli emigracya może być nazwaną rodzajem gimnazyów dla tych panów, to Sybir z wszelką słusnością może być poczytywany za uniwersytet.

Po zatwierdzeniu tych dwóch najważniejszych instytucyi, inne ustępstwa następowały niejako same z siebie. Zezwolono więc na zakładanie w Warszawie i po kraju szkółek niedzielnych (których powstało do 2000), szkółek rzemieślniczych i ochronek, pozostawiając im wszelką swobodę działania. Aweyde przyznaje, że szkoły te najbardziej się przyczyniły do rozwoju osobnego działu literatury ludowej i wraz z nią zasad polskiego katechizmu.

Agaton Giller, literat, sybirak, który powrócił wskutek amnestyi 1856 roku, został redaktorem bardzo taniego tygodniowego pisemka *Czytelnia niedzielna*, które kosztowało 12 złp. rocznie, a założone było przez panią Petrow, córkę byłego jenerał-intendanta armii Pogodina, urodzoną w Polsce, Polkę z wychowania, przekonaną i języka.

Warszawski księgarz Merzbach otrzymał pozwolenie na wydanie poetycznych dzieł Mickiewicza, tego samego Mickiewicza, którego imię tylko z trwogą odważano się w Rosyi wymówić. Najniewinniejszy wiersz Puszkina do niego, w wydaniu Annenkowa, tom III, str. 41, nosił tytuł: »Do M***.«

Księgarz Orgelbrand rozpoczął wydawnictwo swej wielkiej *Encyklopedyi*, będącej obecnie rzadkością bibliograficzną.

A nawet w budownictwie obudziło się nowe życie. Wzniesiono gmach Towarzystwa kredytowego ziemskiego, na wzór weneckich prokuratoryi; do tego gmachu przeniosły się wkrótce biura Towarzystwa rolniczego, z początku umieszczone przy ulicy Świętokrzyskiej, w domu Malcza. Powstał hotel Euro-

pejski na rogu Czystej i Krakowskiego przedmieścia, i w jednej chwili stał się modnym, zmóglszy wszystkich współzawodników na tem polu.

Na obu scenach: Wielkiego i Małego teatru, panowały taki ruch i ożywienie, publiczność tak się niemi interesowała, że dzisiejsi Warszawiacy, tak ospale odwiedzający teatru, nie potrafiały wyrobić sobie dokładnego o ówczesnych stosunkach wyobrażenia. Wszystko żyło, wrzało i ruszało się, co najmniej życiem zdwojonym.

Jednocześnie i petersbursey Polacy uzyskiwali swojego rodzaju nabytki. Wyjednano u rządu zezwolenie na wydawnictwo w Petersburgu pisma peryodycznego, politycznego, w języku polskim (w podaniu powołano się na istnienie od 1829 do 1853 roku *Tygodnika petersburskiego* pod redakcją Przewłaskiewicza), i założenie własnej drukarni na wielką skalę. Redakcję tego dziennika pod tytułem *Słowo*, objął urzędnik z ministerjum Udziałów, Jozafat Ohryzko, jak widzieliśmy, jeden z tych, którzy odwiedzali kółko rewolucyjne przy ulicy Oficerskiej. On również objął zarząd drukarni polskiej, i wkrótce wydał wspaniały przedruk zbioru polskich praw *Volumina legum* w dziesięciu tomach.

Takie ożywienie sprawy polskiej w kraju, i powodzenie, stopniowo uzyskiwane, pobudziły do działania i za granicą. Towarzystwo Demokratyczne i inne, bardziej wpływowe kółka emigracyjne, zaczęły bacznie śledzić ruch ten w kraju, i zachęcać rodaków do dalszych postępów na tej drodze. Nie uszło to naturalnie uwagi i sąsiednich państw zagranicznych, zawistnem okiem spoglądających na wszelkie objawy poprawy wewnętrznego stanu Rosyi i jej stosunku do Polaków. W tym zgodnym ruchu Rosyi i Polski do reform, w tem nawoływaniu rosyjskiej inteligencji do ustępstw na rzecz Polaków, w tej skrytej pomocy, okazywanej przez wyższe sfery rządowe polskim narodowym interesom, nakoniec w tej szczerzej chęci cesarza Aleksandra II. doprowadzenia do zgodnego pożycia z Polakami, do tego »Kochajmy się cesarzu« staruszka z ratusza —

w tem wszystkim państwa ościenne widziały coś podejrzanego i upatrywały niebezpieczeństwo.

Politycy europejscy uznali, że potrzeba wdać się w tę sprawę i, poddając Polakom różne, nie dające się urzeczywistnić nadzieje, poróżnić ich z Rosyą. Wywołanie najdalej idących nadziei nigdy nie było trudne, a cóż dopiero w owej epoce podnieconej fantazy i rozgorączkowanych uczuć.

Kogo z europejskich najserdeczniejszych przyjaciół Rosyi można uznać za inicjatora w tej sprawie, dziś jeszcze orzec niepodobna. Najjaskrawiej i najzacępniej występowała Francya, tak niedawno formująca polskie legiony nad Bosforem. Czy sama się ona poruszyła, czy też ktoś ją do tego podjudził? Mam silne podejrzenie, że nie obeszło się tu bez pruskich wpływów i podżegań... Napoleon i jego ministrowie od czasu do czasu wypowiadali słowa, dające się najrozmaiciej tłómaczyć, szczególnie przy nieco podnieconym nastroju umysłów. Książę Napoleon, czy z upoważnienia cesarza, czy też przez kokieteryę dla opozycyi, zbliżył się do polskich emigracyjnych kółek czerwonych, szczególnie zaś Mierosławskiego, i zaczął wypowiadać różne mgliste przyrzeczenia na wypadek, gdyby coś zaszło! A potem we wrześniu 1858 roku, w czasie zjazdu cesarza z księciem regentem pruskim, przybył bezczelnie do Warszawy i występował prawie otwarcie, jako rewolucyjny agitator. Mówiono później, że książę Karol bawarski, gdy się dowiedział o przyjeździe księcia Napoleona do Warszawy, zaraz wyjechał i, aby się nie spotkać z »przyjacielem«, przez kilka dni przesiedział w Skierniewicach, zanim ten nie odjechał. Księcia Napoleona umieszczono w pałacu Łazienkowskim, skąd jawnie znosił się i naradzał z wybitniejszymi osobami różnych stronnictw.

W otoczeniu cesarza, oraz miejscowe wyższe władze cywilne i wojskowe, domyślały się doskonale, w jakim charakterze przybył ten gość niepożądany do Warszawy, to też zachowywali się względem niego zupełnie inaczej, niż wobec innych wysokich gości swego monarchy. Na przeglądach wojskowych

dostawały się mu najgorsze konie wierzchowe, wskazywano mu fałszywie miejsca, tak, że raz wcale nie mógł odszukać cesarza. Wszystko to książę strawił na pozór spokojnie i obojętnie, nie okazując nawet, że tego dostrzegł, lecz po powrocie nad brzegi Sekwany tem silniejszą rozwinął agitację anti-rosyjską.

Były to stare, znane, tylokrotnie powtarzane sztuczki, lecz dla Polaków niestety one nigdy się nie przestarzeją, zawsze będą *immer neu*. I niech tylko Bonaparte znowu zasiądzie na tronie francuskim, Europa gotowa zobaczyć ponowne powtórzenie znanych jej przygód!...

Ku końcowi 1858 roku przybyło jeszcze więcej życia i wrzenia we wszystkich polskich kółkach w Warszawie. Kto z niej wyjechał, po paromiesięcznem oddaleniu się nie poznawał za powrotem miasta. Wszystko coraz bardziej czerwieniało i wypowiadało coraz głośniej dziwne jakieś nadzieje. W dziennikach pojawiały się artykuły z jakimiś tajemniczymi półsłówkami i niedopowiedzianiami, doskonale zrozumiałemi dla tych, co się oddawna wyuczili czytać między wierszami. Towarzystwo rolnicze urządzało wystawy i rozdawało nagrody i medale, nie pytając nawet o pozwolenie naczelnej władzy w kraju. Ładu wszakże i harmonii między różnorodnemi kołami społeczeństwa nie było. »Jeden do lasa, a drugi do Sasa«, zapanowało w całym tego słowa znaczeniu. Ludność żydowska po dawnemu stanowiła coś odrębnego w kraju. Obyczajem i dążnościami była narodem w narodzie. O jakimkolwiek zbliżeniu między Polakami a Żydami nie było jeszcze żadnej wzmianki.

Na dowód, jak obcą była jeszcze podówczas myśl wszelkiego zbliżenia się, może posłużyć następujący szczegół: W styczniu 1859 roku, w sprawozdaniu o koncercie sióstr Neruda, redaktor König w *Gazecie warszawskiej* napisał, że koncert ten nie powiódł się dlatego, że artystki »nie posiadają orlich nosów, smagłej twarzy i kruczych włosów, że wymawiają dobitnie literę *r*, i że ich nazwisko nie ma zakończenia na *blatt*, *kranz* lub *stern*; słowem, że nie posiadają tych koniecznych przymiotów dodatkowych, któreby im mogły zapewnić opiekę

i poparcie koteryi, która całą Europę, szczególnie zaś Polskę trzyma w swym uścisku, a działając wszędzie i zawsze z dziwną zgodą i jednomyślnością, stara się każdego ze swoich wypchnąć na pierwsze plany, czy to bankiera, czy skrzypka, tenora, czy też najzwyczajszego spekulanta... (*Gazeta warszawska* z roku 1859, Nr 4, str. 4).

Artykuł ten wywołał straszliwe krzyki oburzenia między całą żydowską inteligencją Warszawy. Żydzi, gdyby mogli, utopiliby *Gazetę warszawską* z całą jej redakcją. Kilkunastu młodych przedstawicieli wyższego żydowskiego towarzystwa, wystosowało do naczelnego redaktora *Gazety* list obelżywy, grożący mu wprost obiciem. Lesznowski zażądał opieki sądowej, autorowie listu musieli odpokutować swój wojowniczy animusz kilkodniowym aresztem, a w dodatku przeprosić Lesznowskiego¹⁾. Wzburzyło to jeszcze bardziej Żydów. Wyszukano cięte pióra, które stanęły w obronie Żydów, wszczęły gwałtowną polemikę, wykazując ich zasługi i przedstawiając, że miękka i leniwa słowiańska ludność Polski stanowczo nie mogłaby się obyć bez Żydów. Przytaczano: że gdy w szabas Żydzi pozamykają swe sklepy, chrześcijanie pozostają bezradni; że Polska duchowy swój rozwój zawdzięcza przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, Żydom; że najlepsze drukarnie prowadzą Żydzi, najznakomitsze patryotyczne wydania wychodzą nakładem Żydów, że redaktorzy licznych dzienników są żydowskiego pochodzenia, że nawet Pismo święte, starego i nowego zakonu, wydane we wszystkich językach świata, sprzedaje się wyłącznie tylko w żydowskiej księgarni; że nakoniec Żydzi w Królestwie są tak dobrzy Polacy, jak i inni jego mieszkańcy, że zawsze w ciężkich chwilach byli gotowi i nieśli wraz z innymi wszelkie ofiary na rzecz wspólnej ojczyzny, na co mogą przytoczyć mnogie historyczne dowody.

¹⁾ Patrz artykuł Przeclawskiego w *Ruskim Archiwie*. Maj 1872 str. 1037 „Józafat Ohryzko i jego gazeta *Słowo*.”

Nietylko pozyskana część prasy warszawskiej, lecz i organa zagranicznej prasy stanęły zgodnie w obronie żydów. Brukselski *Nord* wystąpił z polemiką przeciw *Gaxecie warszawskiej*, a nawet Herzen w *Kołokole* wypowiedział słów kilka w ich obronie. (Nr 39, str. 322).

W Warszawie w pierwszej linii występowali bracia Natansonowie, których przeważano rodziną Machabeuszów.

Odpowiadano im, że nikt nie zaprzecza zasług, położonych dla kraju przez żydowską inteligencję, lecz że obok tej, istnieje jeszcze druga, daleko znaczniejsza część żydowskiego społeczeństwa, ciemna, brudna, licha; zdolna do wszelkiego rodzaju podłych, niekzemnych i obrzydliwych czynów; na wszelkie oszustwa, szpiegostwo, przemytnictwo, fałszerstwo dokumentów i pieniędzy, wysyskująca społeczeństwo najniesprawiedliwymi i najbardziej godnymi potępienia środkami. Część ta żydostwa zaciężyła na dobrobycie wszystkich stanów, lecz najbardziej przygniotła i zatręła ekonomiczny byt warstw niższych, tych podwalin każdego społeczeństwa. Musi się więc każdemu nasuwać pytanie, co robić? Czy żyć obok narodu w narodzie i dać się mu wyzyskiwać, czyli też dążyć do jak najprędzszego oswobodzenia się od tej zarazy?

Żydzi wnet się spostrzegli, że polemika, sprowadzona na te tory, wytręca im oręż z ręki. Dalej prowadzić walkę, szczególnie obcami, płatnami piórami, było rzeczą prawie niepodobną. Organa, które im dotychczas stały do dyspozycyi, mogły w każdej chwili odmówić swych usług. Dla dalszego działania, czy to w obecnej chwili, czy, co ważniejsza, w przyszłości, potrzebowali koniecznie zdobyć się na własny organ, swój moralnie i materialnie, swój dziennik. Ówczesny wódz i kierownik całego ruchu żydowskiego w kraju, bogaty bankier Leopold Kronenberg, postanowił założyć taki dziennik w Warszawie. Przedewszystkiem wszakże chodziło mu o zmuszenie do milczenia swych wrogów, chociażby na ten krótki przeciąg czasu, nim nie załatwi swej sprawy i nie uzyska koncesyi na wydawnictwo dziennika. W tym celu użył ostatecznego

środku: broni słabszych. Zaskarżył niespokojnych przeciwników przed Enochem, starszym prokuratorem jednego z departamentów warszawskiego rządzącego senatu, który, jak już samo nazwisko wskazuje, posiadał orli nos i krucze włosy, a właśnie w owym czasie zaczynał zdobywać ogromny wpływ u ks. Gorczakowa. Ten już we wszelkich ważnych i nieważnych sprawach, zasięgał rady nie Muchanowa lecz Enocha, co zaraz dało powód Warszawianom do dowcipnej uwagi, że w Warszawie tak dalece nikt nie potrafi obejść się bez fatora, że nawet namiestnik musiał się postarać o tego, w osobie Enocha!

Enoch przyrzekł Kronenbergowi, że postara się rzecz tę jakoś załatwić; w najbliższym więc czasie, Kronenberg w jednej z poufnych rozmów z namiestnikiem, zwrócił jego uwagę na nieprzyzwoitość i zgorzenie, wypływające z tej waśni, prowadzonej w pismach publicznych między Żydami i Polakami. Waśń ta, nietylko że paraliżuje żywotne interesy kraju, lecz nadto przeszkadza normalnemu rozwojowi obu, równie niezbędnych i nawzajem się uzupełniających składników społeczeństwa.

Namiestnik ze swej strony zwrócił na to uwagę cenzury, czyli Muchanowa i... polemika ucichła. Kronenberg mógł spokojnie jechać do Petersburga i tam czynić starania o uzyskanie tyle pożądaney koncesyi.

Redakcja *Gazety warszawskiej*, pozbawiona przez cenzurę możności prowadzenia dalszej walki na miejscu, nie dała wszelako za wygranę, lecz wysłała zjadliwy antyżydowski artykuł do petersburskiego *Słowa*, które artykuł ten ogłosiło. Żydzi się wściekali; powiadają, że Kronenberg aż płakał ze złości, czytając ten artykuł *Słowa*. Znów się udano pod opiekę wszechmożnego Enocha, który właśnie przybył do Petersburga w towarzystwie Gorczakowa. Enoch zaraz opowiedział namiestnikowi o zachowaniu się *Słowa*, i dodał zjadliwą uwagę, że »wszelki rząd w Królestwie stanie się niemożliwy, jeżeli zarządzenia namiestnika będą mogły być bezkarnie krytykowane przez lada pierwszego kolegialnego asesora w Petersburgu« (alluzya do ówczesnej rangi, czyli czynu Ohryzki).

Namiestnik nie omieszkiał przedstawić tej rzeczy w należytem oświetleniu cesarzowi. *Słowo*, które na parę dni przedtem otrzymało ostrzeżenie za umieszczenie zupełnie niewinnego listu Lelewela do Czajkowskiego i prośby do Lelewela, by tenże, jako wychowawca całych pokoleń polskiej młodzieży, pobłogosławił początkom nowego dzieła, zostało zamknięte, Ohryzkę zaś osadzono w petro-pawłowskiej cytadeli.

Czajkowski bardzo poważnie zajmował się kwestyą żydowską wogóle i nawet ogłaszał wcale dla żydów sympatyczne prace w tym przedmiocie. Otóż pewnego dnia zjawił się u niego Kronenberg z propozycyą, by na jego koszt wyjechał za granicę, dla zbadania w różnych krajach Europy stanu kwestyi żydowskiej, i aby potem napisał w tej sprawie poważną rozprawę, którą wyda Kronenberg własnym kosztem w kilku europejskich językach, pozostawiając mu cały dochód z rozsprzedaży. »Ja pana nie przekupuję, gdyż i bez tego podzielasz nasze przekonania. Pisz, jakieś dotychczas pisał o żydach, niczego więcej nie żądamy.« Czajkowski chętnie przyjął zrobioną mu propozycyę; zwiedził Anglię, Francję, Hiszpanię, Włochy i Austryę, wszędzie najsumienniej badając położenie i sprawy żydów, i zbierając argumenta na udowodnienie konieczności zupełnego równouprawnienia żydów. Rezultatem tych badań było, że im bardziej rozpoznawał badacz stan sprawy i wpływ wyzwołonego żydostwa na społeczeństwo, tem bardziej tracił wiarę w żydostwo i swe dotychczasowe ideały. Przekonał się, że niema ani Francuzów, ani Anglików moźeszowego wyznania, lecz są tylko wszędzie żydzi, popierający swe wyłączne, odrębne interesy. Że stając w obronie żydów, nie służy się ani ojczyźnie, ani Europie, lecz wyłącznie straszному celowi, zapanowania żydostwa nad całym światem. Przerwał więc Czajkowski swą pracę i, przeprosiwszy Kronenberga, powrócił do Petersburga.

Poglądy profesora Czajkowskiego, w zasadzie, mogą być zupełnie sprawiedliwe, lecz jak niema prawidła bez wyjątków, tak też autor, zwracając przez lat dwadzieścia baczną uwagę

na zachowanie się żydów w Polsce, przyszedł do tego przekonania, że między nimi są prawdziwi Polacy żydzi, pracujący dla sprawy ojczystej i gotowi dla niej wszystko poświęcić. Za Kronenberga autor zupełnie nie ręczy, lecz przypuszczając nawet, że miał jakieś odrębne, specyficzne żydowskie wyrachowania i cele, to zawsze trzeba mu przyznać, że robił on i zrobił bardzo wiele dla Polski, jako wierny i najbardziej oddany syn kraju, i pozostawił po sobie jak najlepszą pamięć i żal powszechny.

Któż z współczesnych Rosyan nie pamięta, jakie to wywołało oburzenie w Moskwie, Petersburgu i innych większych centrach cesarstwa. Wszyscy mówili: »Poco to rozprawiać o jakichś nadzwyczajnych zmianach i reformach, gdy naraz, na pierwsze słowo jakiegoś na wpół zidyociałego generała, chwytają niewinnych ludzi i bez sądu i śledztwa pakują ich do kazamat! Wszak i za niezapomnianego cara Mikołaja — nie się gorszego nie działo!«

Znany Turgeniew i poeta Zemczużników wystosowali listy do cesarza, w obronie Ohryzki. W najwyższych sferach, a nawet w samym Zimowym pałacu zjawili się jeszcze potężniejsi obrońcy, i w rezultacie... Ohryzkę uwolniono, a Gorczakowowi, niewinnemu winowajcy całego tego zajścia, polecono usprawiedliwić się przed ministrem oświaty, Kowalewskim. Oświecony minister oświaty był na tyle grzeczny, że, dla okazania swego lekceważenia, przyjął, jak powiadają, namiestnika Królestwa polskiego — w szlafroku.

Taki był ogólny nastrój umysłów. Książę Gorczaków nie wiedział, jak uniknąć ironicznych spojrzeń, uśmiechów i sarkastycznych przymówek. Dobrze przynajmniej, że, będąc na wpół głuchy i ślepy, zaledwie część jakąś tego wszystkiego dostrzegł i dosłyszał. Jednak na jednym z posiedzeń komitetu ministrów, zdobył się na te znaczące i prorocze słowa: »jeżeli panowie tutaj tak postępować będziecie, to mi wkrótce wypadnie strzelać kartaczami na ulicach Warszawy!«

Powiadają, że grzmot nie zawsze towarzyszy uderzeniom pioruna i że Bóg czasem zsyła mądrość i na niewidzących; to też biedny, umysłowo i fizycznie zniedołężniały Gorczaków widział lepiej i dalej następstwa danej chwili, niż rozumni i przewidujący doradcy cesarza, którzy podówczas tak kpili i wyśmiewali się z niego...

Gdy namiestnik przed wyjazdem do Warszawy przyszedł z pożegnaniem do cesarzowej, powiedziała mu ona: »Nigdy panu nie przebaczę, żeś spowodował cesarza do popełnienia pierwszej niesprawiedliwości.« Słowa podobne na każdym zrobiłyby wrażenie, a cóż dopiero dzieć się musiało z Gorczakowem, truchlejącym całe życie przed każdym, choć cokolwiek wyższe zajmującym od niego stanowisko. Słowa te, z ust cesarzowej, jak grom spadły na niego i spowodowały, że jeszcze bardziej stał się głuchym i ślepym na wszystko, co się koło niego działo. Słowa te później prześladowały go w Warszawie, jak istne *mane, takel, fares* Baltazarowe. Przy każdym zarządzeniu i postanowieniu truchlał, by nie popełnić jeszcze coś takiego, błędu jakiego lub nieostrożności, czemby mógł zasłużyć na nową cesarską wymówkę.

Gdy w połowie 1859 roku mała garstka Rosyan, przebywających w Warszawie, z inicjatywy generała Siemeki, myśliła zawiązać rosyjski klub, Gorczaków i tego się przeląkł. Prośby wprawdzie nie odrzucił, lecz zażądał, ażeby projektowany klub nie nosił miana »rosyjskiego«, lecz został nazwany »Warszawskiem powszechnem zebraniem¹⁾. Późniejsi członkowie tego klubu, spotykając na bieliźnie, naczyniu i starszych sprzętach tajemnicze litery W. O. S. (*Warszawskoje obszczestwiennoje sobranie*), nie domyślają się nawet, że zestraszony Gorczaków taką wymyślił nazwę dla miejsca towarzyskich zebrań rosyjskiego towarzystwa w Warszawie. Jeszcze za czasów Paskiewicza starano się o uzyskanie zezwolenia na zawią-

¹⁾ Został otwarty pod tem mianem w początkach 1860 roku przy ulicy Senatorskiej, w domu Młokosiewicza.

zanie rosyjskiego klubu w Warszawie, lecz ten stale odmawiał, motywując to w ten sposób: »Na co wam klub? czy na to, aby się zbierać i przesądzać o tem, co do was nie należy? Nigdy nie pozwolę!«

I tak, nie nieznaczący spór żydowsko-polski, jakiś artykuł Königa, wpłynął na zmianę stosunków na ogromnych przestrzeniach krajów, podległych Rosyi. Sprawa polska, już i bez tego mająca za sobą opinię ludzi inteligentnych, olbrzymim krokiem postąpiła naprzód, stała się głośną w całej Rosyi i pozyskała sympatye w jeszcze szerszych kołach. W Polsce zaś samej zyskała na tem swoboda działania; różnolite żywioły zaczęły się porozumiewać i zbliżać.

Z zawieszeniem *Słowa*, w którym jeszcze możliwa była walka Machabeuszów z epigonami Jana Sobieskiego, ciężka zasłona milczenia zakryła dalsze kształtowanie się wzajemnych stosunków. Samo przeznaczenie przeszkodziło dalszym swarom. Wszyscy uznali, że droga ta nie prowadziła do zamierzonego celu, czuli potrzebę pokoju i odetchnienia. W każdym razie walka nie pozostała bez pewnych rezultatów. Kronenberg przywiózł z Petersburga konsens na wydawnictwo codziennego politycznego dziennika. Nie zważając na pewną zmianę stosunków, nie mógł i nie chciał zaniechać raz powziętego zamiaru. Przyszłość w żadnym razie nie mogła być bezwzględnie pewną, zawsze więc korzystnym było dla żydów mieć własny organ w kraju.

Kronenberg wszakże, człowiek praktyczny i obyty w interesach, postanowił jeszcze w Petersburgu, dla zyskania na czasie, nie zakładać nowego pisma, co jest zawsze rzeczą kłopotliwą i żmudną, lecz zamierzył kupić jakakolwiek już istniejącą gazetę. Za powrotem więc do Warszawy, zaproponował przez swych agentów, Aleksandrowi Niewiarowskiemu, właścicielowi *Gazety codziennej*, nabycie tego pisma, zupełnie już upadającego, i ofiarował mu za nie wcale przyzwoitą sumkę i tymczasowe stanowisko redaktora. Niewiarowski zażądał kilku dni do namysłu.

Tymczasem rzecz się rozniosła po Warszawie. Pewnego dnia przychodzi do Niewiarowskiego obywatel ziemski, bawiący się w literata, Sarnecki, z ostremi wymówkami, że zdradza sprawę i zaprzeda się żydom. »Potrzebujesz pieniędzy, my damy tyle, ile daje Kronenberg.« Jednakże czy to, że nie zdołał zebrać tej sumy, czy też że żydzi postąpili w cenie, *Gazeta codzienna* przeszła na własność Kronenberga, jak mówią, za 12.000 rubli sr., które Niewiarowski potrafił bardzo prędko przetrwonić do wspólni z Bakalowiczową.

Najpierw należało pomyśleć o redaktorze. Ponieważ rzecz była założona na szerokie rozmiary i nie żalowano pieniędzy (Kraszewski powiada, że w 1860 roku Kronenberg wydał na gazetę 250.000 złp. Książka jubileuszowa str. XCVII), więc i na redaktora nie można było wziąć pierwszego lepszego literata z brzegu, lecz kogoś z głośnem, już ustalonym imieniem.

Czyjeż nazwisko mogło być głośniejsze nad Kraszewskiego, który podówczas mieszkał z rodziną w Żytomierzu, w zupełnie uregulowanych stosunkach materyalnych. Żeby go poruszyć stamtąd, należało użyć silnych wpływów i ofiarować ponętne warunki pieniężne. O tych ostatnich mówią rozmaicie. Franciszek Sobieszczański, były przy Wielopolskim redaktor *Dziennika powszechnego* a zarazem cenzor *Gazety codziennej*, przewanej następnie *Polską*, mówił autorowi, że Kraszewski pobierał 3.000 rubli sr. stałej płacy i po 10 kopiejek od wiersza druku za swe artykuły, czy to w *Gazecie*, czy w odcinku umieszczane.

Naprawdę, warunki takie nie mogły skusić Kraszewskiego do rzucenia Żytomierza i do związania się z żydami w Warszawie, co, bądź co bądź, narażało go w opinii zwolenników i ogółu. Inne wpływy działały na Kraszewskiego, i on nie zdawał sobie sprawy, jak i kiedy uległ burzliwemu prądowi czasu, poczynającemu już wstrząsać Polską. I on zaczynał marzyć, porówno z innymi dziećmi wszelkiego wieku i stanu...

Kraszewskiego tworzyła, ale zarazem i pociągała kwestya żydowska, zaczynająca odgrywać pewną rolę w tym ruchu.

Od dawna dążył do zbliżenia żydów ze społeczeństwem w kraju, w którym żydzi tak ważny czynnik ekonomiczny stanowili. Jeszcze jako współpracownik *Gazety warszawskiej* staczał niejedną walkę z Leszniowskim i Königiem, ujmując się za żydami. Obecnie, gdy Polską była w oczekiwaniu koniecznych reform, gdy była w przededniu walki, może nawet rozpaczliwej o ich otrzymanie, należało się starać nadewszystko, aby społeczeństwo całe było silnie zespolone i ożywione jednym duchem. Każdy więc, cokolwiek przewidujący patriota, winien był dołożyć możliwych starań, by żywioli dotychczas niejednolite, zespolily się i zlały ze sobą, »choćby duszę przyszło oddać za to.«

Takie były przekonania Kraszewskiego. Nadto, jako poeta i człowiek wrażliwy, rad się był wyrwać z zaściankowych stosunków, gdzie go nie pojmowano, a nawet niejedną rzecz, wyszłą z pod jego pióra, wrogo przyjmowano (patrz *Książkę jubileuszową* str. LXXVI., LXXXV.—LXXXVI.); rad był zbliżyć się do Europy, przenieść się na szerszą widownię, w sam środek rozpoczynającego się ruchu, i to nie na prostego widza, lecz na jednego z ważniejszych działaczy, przeznaczanego do wzięcia czynnego udziału w rozpoczynającej się akcji. Z tego punktu widzenia, rzecz w istocie była ponętą.

Nie prozaiczne więc wyrachowanie, lecz wyższa, poetyczna i polityczna idea, skłoniła Kraszewskiego do opuszczenia swego wołyńskiego *tusculum*. Wprawdzie i proza nie została zapomniana, gdyż o tej Kraszewski nigdy nie zapomniał i umiał siebie cenić.

Dla bliższego przypatrzenia się i ocenienia sytuacji, Kraszewski zaraz po otrzymaniu propozycji Kronenberga w połowie czerwca 1859 roku przyjechał do Warszawy. Dnia 10. sierpnia został ze strony rządu zatwierdzony, jako naczelny redaktor *Gazety codziennej*, wszakże nie zaraz zasiadł do redakcyjnego stołu¹⁾. Niejedno przedtem musiał zorganizować

¹⁾ Nr 214 *Gazety codziennej* z dnia 16. sierpnia 1859 roku podaje na wstępie ogłoszenie podpisane przez I. J. Kraszewskiego, do-

w redakcyi, a potem widział i czuł, że namiętności jeszcze się nie uspokoiły, że jeszcze możliwa walka wśród żywołów, mających się zespolić do jednego mianownika, że nawet od czasu do czasu walka ta wybuchała. W październiku 1859 roku żydowska koterya, nie skora do zapominania i przebaczenia uraz, nasadziła na Königa Floryana Niewiarowskiego, brata byłego redaktora *Gazety codziennej*. Nastąpił pojedynek; dnia 20. października strzelano się w Młocinach za Bielanami, i dopiero za czwartym strzałem König otrzymał ranę powyżej kolana.

Kraszewski nadewszystko się obawiał, żeby go nie poczytano za jurgeltnika żydowskiego w walce ze swoimi, tem bardziej, że nim jeszcze coś napisał, już otrzymał kilka obelżywych anonimów, zowiących go »zdrajcą i zaprzańcem«, że »wziął się nie za swoje«, że »zdradził jeśli nie Chrystusa, to co najmniej boga muz i poezyi Apolla.«

Czy skutek tych pism i gawęd, czy też skutek redakcyjnych kłopotów, niemilego zawsze usuwania dawnych stosunków i porządków, dosyć że zachorował i musiał się położyć do łóżka. Przyszedł do siebie zaledwie w połowie listopada i zaraz wyjechał do Żytomierza, skąd przez czas jakiś przypatrywał się bacznie rozwijającym się wypadkom w Warszawie.

Wreszcie w miesiącu lutym 1860 roku Kraszewski zdecydował się przesiedlić na dobre do Warszawy, pozostawił jednak rodzinę w Żytomierzu, gdzie go wcale obojętnie pożegnano. Zaraz wziął się silnie do pracy i wiele zdziałał dla podniesienia *Gazety*. — Ze swych prac literackich umieścił w odcinku: *Dziś i temu lat trzysta*, *Silwa rerum* i *Listy z tamtego świata*. — Imię jego, dobór artykułów, nie trudny do uzyskania wobec dobrych honoraryów, płaconych przez Kronenberga współpracownikom, wzmogły odrazu prenumeratę z dwóch na pięć i pół tysięcy egzemplarzy, jednocześnie zaś *Gazecie warszawskiej* spadła liczba prenumeratorów z siedmiu

noszące o objęciu redakcyi przez niego i zasadach, któremi się pismo to kierować będzie.

na dwa tysiące. Redaktor tejże, Lesznowski, oryginalna i całej Warszawie znana postać, objętości słonia, który miał specjalnego fiakra, którym jeździł, stolki, na których siadał, miejsce podwójne w teatrze, obok orkiestry; spożywający na jedno śniadanie tyle, że dla pięciu wystarczyłoby na obiad, z ciągłej irytacji zachorował i umarł. Mówią, że przed śmiercią powiedział Kraszewskiemu: »Zabiłeś mnie!«

Kraszewskiemu wszakże ani w myśli było współzawodnictwo, a tem mniej uśmiercanie kogoś. On tylko rzetelnie pracował, jak to mówią »zawinawszy rękawy«; pracował w kierunku i duchu, jakiego wymagały okoliczności, które się już zbijały w ciężkie, groźne burzą i zniszczeniem chmury. On wnet spostrzegł, że poróżnione żywioły i bez jego współudziału, pchane rozwojem wypadków, same się jednoczą, potrzeba zaś czego innego, oto śmiałego wystąpienia do walki z warchołami, ze skrajnemi przekonaniem; potrzeba zapobiedz bezmyślnemu wybuchowi, korzystając jednocześnie z każdej przyjaźnej okoliczności, dla uzyskania możliwych ustępstw dla kraju.

Obserwujące się nawzajem stronnictwa nie przestawały znosić się ze swymi przyjaciółmi za granicą. Stamtąd odpowiadano zachęcająco, że według wszelkich kombinacji i politycznych danych, właśnie nadchodzi czas działania, wywołania jakiejś ogólnej manifestacji, któraby pozwoliła osądzić, czy rzeczywiście ludność jest już dostatecznie przygotowaną do podjęcia walki z rządem, czy też potrzeba będzie walkę tę jeszcze na czas dalszy odłożyć.

Wówczas policya warszawska, pod kierunkiem tegoż oberpolicmajstra Trepowa, chociaż w ogóle nieliczna, była jednak wcale dobra i jeszcze nie zdeorganizowana przez spisek. Od 1856 do 1861 roku warszawska policya dzieliła się na dzienną i nocną. W dziennej było: feldfebel 1, podoficerów 5, stójkowych 112; w nocnej zaś: feldfebli 5, podoficerów 16

i stójkowych 263. Zarząd się składał: z naczelnika, jego pomocnika, 3 oficerów, 12 komisarzy i 120 rewirowych — razem 540 osób.

Ówczesny ober-policmajster, później tyle wsławiony T. Trepów, był podobno naturalnym synem generała Stengera, i znaleziony w 1809 roku jako podrzutek na schodach jego mieszkania, stąd z niemiecka nazwany Trepow (od *Treppe*, schody). Wychowany w domu generała, gdy wyszedł z dzieciństwa, oddano go do szkoły konduktorów, istniejącej przy głównej szkole inżynierów. Stamtąd po roku uwolniony dla słabego zdrowia. W 1828 roku wstąpił jako dyurnista do biur ministerium dóbr państwa, 14. stycznia 1831 roku uwolnił się i zaraz zaciągnął się na ochotnika do nowgorodzkiego pułku kirasyerów. Za odznaczenie się w boju, w czerwcu tegoż roku został oficerem.

Przechodząc następnie zwykle stopnie służbowe, w marcu 1854 roku otrzymał w Kijowie dowództwo pułku żandarmów, i wkrótce potem ożenił się z miejscową obywatelką, Łukasze-wiczową. Po zwinięciu pułku, otrzymał w nagrodę koszary, wraz z placem musztry i całym urządzeniem na własność. Zaliczony do armii, w listopadzie 1860 roku został mianowany warszawskim ober-policmajstrem.

Otóż policya się dowiedziała, że studenci medycznej akademii urządzają jakieś nabożeństwo żałobne podejrzanego znaczenia, i zawiadomiła o tem kuratora. Muchanów polecił rektorowi Cycurynowi, wywiedzieć się sekretnie, co to za nabożeństwo i jacy studenci najbardziej niem się zajmują.

Cycuryrn zdał raport, że urządza się nabożeństwo za dusze: Adama, Juliusza i Zygmunta, a głównymi kierownikami są studenci: Jan Kurzyna, Pelszewski i Władysław Jaśniewski; że rozrzucono po Warszawie mnóstwo kartek o tem nabożeństwie, a nawet ogłoszono je przez dzienniki. Jan Kurzyna, syn podoficera warszawskiej policyi, był do roku 1857 w nowicyacie księży Pijarów w Opolu; uchodził za emisaryusza i agenta Towarzystwa Demokratycznego.

Jaśniewski pochodził z miasteczka Bodzanowa, w płockiej gubernii.

Muchanów udał się do ober-policmajstra z żądaniem wzbronienia nabożeństwa, lecz już było za późne; publiczność w oznaczonym dniu i wskazanej godzinie zaczęła napływać do katedry św. Jana, wiedząc doskonale za jakich to: Adama, Juliusza i Zygmunta, będą się modlić. Demonstracya przyszła do skutku i dowiodła aranżerom, że jest współczucie dla każdego patryotycznego objawu, że zatem można czegoś więcej popробować.

Zarząd akademii, chcąc zapobiedz powtórzeniu się podobnej swawoli, postanowił przyspieszyć pierwsze egzamina z 1859 roku, z zamiarem utrudnienia ich dla niektórych. Kurzyna i inni wybitniejsi kierownicy »Kółka Akademików« domyślili się odrazu, o co chodzi. Skłonili więc kolegów do podania protestu przeciw temu zarządzeniu. Wszyscy z wyjątkiem czterech, którym obiecano za to szubienicę, protest wnieśli.

Cycuryn zarządził śledztwo, celem wykrycia winnych tego nowego spiskowania. Ponownie udowodniono kierownictwo Kurzynie i Jaśniewskiemu. Z polecenia namiestnika wydano ich obydwóch z akademii i internowano Kurzynę w Lublinie, Jaśniewskiego w Płocku, oddając ich pod nadzór miejscowej policji.

Nadzór ten jednak był tego rodzaju, że obaj potrafili umknąć za granicę. Jaśniewski wprost z Płocka, Kurzyna zaś, nie mogąc wystarać się o paszport zagraniczny w Lublinie, przyjechał najspokojniej do Warszawy, i tu przy pomocy Nareyza Jankowskiego, dymisyonowanego oficera, uzyskał paszport, za którym przybył do Paryża. W Paryżu zaraz się poznał z Ludwikiem Mierosławskim, i stał się wiernym jego adherentem i współpracownikiem aż do końca życia.

Wyjeżdżając z Warszawy, Kurzyna przelał swą władzę na Karola Majewskiego, który właśnie tylko co wstąpił do akademii. Był to chłopak zdolny i energiczny, lecz nadzwyczaj

zarozumiały i żadny znaczenia. On zaprowadził w kółku pewną organizację; podział na piątki i dziesiątki, już w kilku innych organizacjach zatosowane, np. w komitecie Dąbrowskiego w Petersburgu; w uniwersytecie kijowskim. Następnie pomnożył bibliotekę kółka, sprowadzając same utwory emigracyjne i zakazane przez cenzurę¹⁾.

W tym samym czasie powstało poważniejsze kółko rewolucyjne, zawiązane przez wspomnianego już Narcyza Jankowskiego. Do tego kółka należało mieszczaństwo różnych stanów, kupcy, literaci, technicy, drobniejsi urzędnicy i księża.

Obydwa te kółka: akademików i Jankowskiego, wiedziały o sobie; od czasu do czasu schodzili się nawet na wspólne narady; układali plany wspólnych, przyszłych wystąpień. Była nawet mowa o zlaniu się w jedną wspólną organizację, lecz do tego nie przyszło.

Patrząc na te schadzki i rozprawy bez żadnych dodatków rezultatów i jasno wytkniętego celu, Edward Jurgens, urzędnik w Komisji spraw wewnętrznych, postanowił zawiązać własne kółko, nie czerwone ani białe, gdyż był przekonany, że ani zapal i skrajna gorączka Jankowskiego, ani wyrachowanie i spokój, oraz pańskie kunktatorstwo stronnictwa białych, skupionych przy hr. Zamoyskim, nie doprowadzą do żadnych pozytywnych rezultatów, i są zarówno bezskuteczne; wierzył, że dla działania ze skutkiem i powodzeniem potrzeba połączyć spokój i rozwagę umiarkowanych z energią, dobrą wiarą i zapalem skrajnych. Takich właśnie ludzi postanowił wyszukiwać i kupić koło siebie w jedno stronnictwo.

Jurgens był synem zamożnego cieśli z Płocka; w krwi jego była przymieszka krwi semickiej, czyli że łączył słowiańską odwagę i zuchwałość (szczególniej właściwą polskiemu

¹⁾ Zeznania Majewskiego i Awejdy. System dziesiątek przy spisach pierwszy wprowadził w życie Filip Buonaroti (1761—1837) potomek Michała Anioła. Należał on do różnych działań spiskowych i napisał kilka utworów rewolucyjnych.

szczepowi) z przebiegłością, wytrwałością i skupieniem semi-ckiego plemienia. Nadzwyczaj był bystry i przenikliwy. Dla fizyognomisty od razu wpadł w oczy dziwnie wydatny skład jego czoła, bardziej jednak zastanawiały błyszczące, przenikliwe oczy. Zdawało się, że on wszystko wie i wszystko widzi; zaczynając z kimkolwiek rozmowę, po chwili jakby przenikał i czytał najtajniejsze myśli człowieka. To też niebawem robiło się jakoś nieswojsko, trwożliwie pod tym badawczym wzrokiem, chociaż obdarzony nim ani myślał o wywołaniu jakiegoś szczególniejszego wrażenia. Wzrok ten działał sam przez się, jakby obdarzony nim naiwnie i prosto patrzył, jak nieraz spozierają jasne oczy dzieci, nie myślących o niczem i nie wiedzących nawet, że istnieją na świecie: efekt, wychowanie, kokieteria, myśl skryta i utajona.

Po ukończeniu gimnazjum w Płocku Jurgens odbył kurs nauk uniwersyteckich w Dorpacie.

Już na ławie szkolnej objawiał niepodległego, rewolucyjnego ducha. Lubiał rozprawiać o wszelkich ruchach narodowych, śledzić pilnie postępy każdego rewolucyjnego wybuchu w Europie. Czytał z zapalem wszystko, comu wpadło pod rękę z pism rewolucyjnych i zakazanych, uwielbiał bohaterów, którzy swe zamiary życiem lub wolnością przyplacili. Sądy jego o wszelkich zarządzeniach władzy, o pierwszym lepszym wypadku politycznym, były nacechowane taką skrajną stanowczością, że to przerażało nawet jego przyjaciół.

Jakiś czas w 1841 roku próbował w gimnazjum płockiem rewolucyjnej propagandy; później w 1847 roku należał do sprawy Henryka Krajewskiego, lecz był jednym z tych nielicznych wybrańców losu, którzy uniknęli więzienia i zsyłki.

W epoce, którą opisujemy, Jurgens mógł służyć za typ skończonego i wyrobionego rewolucjonisty, z ustalonymi idealami; zdolnego do kierowania drugimi. Miał swoich zwolenników nie tylko w kraju, lecz i w innych częściach Polski na emigracyi. Znał się osobiście ze wszystkimi głównymi przywódcami emigracyi: z Mierosławskim, Wysockim i niejednym

z wybitniejszych członków Towarzystwa demokratycznego, jak również z księciem Czartoryskim i otoczeniem hotelu Lambert. Najbardziej wszakże Ignął do generała Wysockiego. Podobno nawet, wskutek narady z Wysockim i Elżanowskim¹⁾, Jurgens zaczął skupiać koło siebie w Warszawie wyżej już wymienione stronnictwo pośrednie.

Zasady tego kółka Aweyde tak określa :

»Polska nie zginęła i każdy Polak obowiązany jest dążyć do jej wskrzeszenia drogą rewolucyi. Rewolucya ta wszakże może być tylko uwieńczeniem długotrwałych i usilnych prac i trudów, prowadzonych rozumnie i ogłędnie.

Rewolucya, bądź co bądź, bez należytego przygotowania i wywołana nie w porę, jest wprost występkiem... wskazana zaś patriotycznej działalności spiskowców jest jedynie droga stopniowego uzyskania u rządu ulg i ustępstw, droga wyzyskiwania w porze właściwej każdej nadarzającej się przyjaźnej okoliczności; w końcu należy się starać, jeżeli już nie o pomoc, to chociażby o poparcie innych rządów europejskich. Bynajmniej zaś nie należy stawać wobec władzy w bezwzględnej opozycyi i rządzić się uczuciem ślepej nienawiści. Owszem, wypada starać się o możliwe porozumienie z rządem, uważać go jako potęgę, z którą otwarta walka albo wcale jest niepodobna, albo co najmniej bardzo i bardzo trudna, lecz którą zawsze, nawet przy niewielkich usiłowaniach da się wyzyskać na korzyść związanego z nią narodu... Ofiarowanych stanowisk urzędowych, nietylko nie należy odpychać (czem zwykle grzeszyli biali), lecz owszem starać się o nie we wszelkich gałęziach służby publicznej. Nie wstrzymywać i nie ubezwładniać wprowadzanych reform, lecz, o ile się da, przyspieszać i ułatwiać ich ostateczny rozwój. Postępując jednak w ten sposób, nigdy nie zapominać ostatecznego celu wszystkich usiłowań,

¹⁾ Elżanowski zmarł w Paryżu w 1874 roku; jego biografię zamieściły *Roczniki Towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu w roku 1874, tom II, str. 264—277.

to jest powstania, które ma być zakończeniem, ostatnim aktem dramatu..., do którego to celu należy usilnie gromadzić zasoby materyalne, w miarę możliwości i środków każdego.

Były to, z bardzo małymi wyjątkami, zasady, wyznawane przez białych; różnica polegała tylko w gotowości zajmowania służby rządowej, od której biali stale stronili, oraz w tem, że Jurgens i jego zwolennicy głośno nazywali siebie stronnictwem, i wobec zaufanych wcale nie ukrywali ostatecznych celów, do których zmierzają, ani też tego, na kim w kraju i za granicą głównie się opierają. Biali o tem wszystkim zachowywali głuche milczenie, najbardziej zaś, tak wtedy jak później, unikali nazwy stronnictwa, nie zważając, że ono w istocie od dawna już istniało i oddawało rzetelne usługi krajowi wówczas, gdy inne zabierały się dopiero do pracy. Zresztą, może to unikanie nazwy stronnictwa pochodziło z głębszych politycznych pobudek i tego wyrachowania, że przez nich stawiane żądania nie są wyrazami jakiejś części, lecz żądaniami całego społeczeństwa.

Jankowski pierwszy spostrzegł, że dotychczasowe działanie czerwonych do niczego nie prowadzi i jest tylko próżną stratą czasu. On był przekonany, że każdej z zarysowujących się partii: jego, Majewskiego i Jurgensa, nie wiele braknie do przeistoczenia się w prawdziwie rewolucyjne stronnictwo. Gdyby zwolennicy jego albo Jurgensa mogli nabrać zapалу akademików, albo gdyby ci ostatni, zamiast rzucania się jak wściekli i pocztywania za święte i nienaruszone tego wszystkiego, co im bają czerwienicy emigracyjni, otarli się o Jurgensistów albo chociażby i jego zwolenników, mogłoby się utworzyć dzielne i poważne stronnictwo, zdolne do pracy skutecznej dla kraju. Stronnictwa białych, a właściwie Zamoyskiego, Jankowski zupełnie nie uznawał i odmawiał mu wszelkich zasług, mimo że te, szczególnie w ostatnich czasach, dla każdego nieuprzedzonego były tak widoczne. Widział w nich przeszkodę do każdego energiczniejszego działania; niedostępnych arystokratów, trzymających się zdala od wszystkiego, co

żywsze i ruchliwsze w kraju; obawiających się najmniejszego zbliżenia z każdym, choć cokolwiek źle widzianym u rządu. Z tych przyczyn Jankowski ani myślał o zbliżeniu się do tych ludzi. On próbował, czy nie uda mu się połączyć w jedno tych trzech, powyżej wymienionych, niejako powinowatych z sobą kółek, i w tym celu przedewszystkiem zbliżył się do Jurgensistów. Przy bliższem atoli zetknięciu, znalazł ich na tyle niewyraźnymi, do takiego stopnia pozbawionymi gruntu i *mille-ainerami*, to jest, według wyrażenia Mierosławskiego, na tysiące lat rozkładającymi rewolucyjne działania, że po pewnych rokowaniach, zerwał z nimi stanowczo i zawiązał stosunki z kółkiem Majewskiego ¹⁾.

Po wspólnych obradach nad połączeniem się dla wspólnej pracy, obie partie, Jankowskiego i akademików, postanowiły wybrać delegatów dla dalszych pertraktacyi, które się miały prowadzić w mieszkaniu Majewskiego przy ulicy Chmielnej. Akademicy, którzy już i z poza ścian szkolnych pozyskiwali zwolenników, wysłali jako swych przedstawicieli: Stanisława, Jana i Leona, trzech braci Frankowskich z akademii; Karola Nowakowskiego ze szkoły sztuk pięknych; zaś z miasta: Rafała Krajewskiego budowniczego, Jana Banzemera i Lewenhardtą literatów, a zarazem przedstawicieli młodzieży z uniwersytetów berlińskiego i krakowskiego. Z Jankowskim przyszli Bolesław Denel, współpracownik *Gazety codziennej*, i młodzi obywatele ziemscy: Stanisław Krzemiński i Julian Wereszczyński.

Po dosyć nieporządnym, ale za to głośnym obradach i sporach, delegaci przyszli jednak do zgody, i celem jednoli-

¹⁾ Aweyde powiada, że w Warszawie nazywano Jurgensa i jego stronników „partią filozofów, coś niby jak naukowych waryatów, nie wiedzących dokąd dążą i jaki cel ich roboty mają.“ Kraszewski zaś Majewskiego nie brał na seryo: „był to spiskowiec, nie wiedzący dokąd idzie“; Jurgensa stawiał znacznie wyżej, lecz także zarzucał mu, że nie umiał sobie zdawać jasno sprawy z celów, do których dążył. Spasowicz, znający osobiście Jurgensa, zalicza go do najwybitniejszych osobistości powstania 1863 roku.

tego działania wybrali wspólny komitet rewolucyjny. Wybrani: Jankowski, Denel, Krzemiński, Wereszczyński i Majewski, który został kasyerem komitetu.

Komitet ten był proajcem znanego »Komitetu centralnego.« Zbierał się w mieszkaniu Jankowskiego przy ulicy Marszałkowskiej. Dzień zawiązania się oznaczyć trudno, było to zawsze w końcu 1859 roku.

Członkowie komitetu podzielili się czynnością w ten sposób: Denel, jako współtowarzysz Mierosławskiego z roku 1848, wziął na siebie stosunki z Mierosławskim i Kurzyną; Wereszczyński, jako były student kijowskiego uniwersytetu, podjął się komunikacji z Rusią; Löwenhardt z Krakowem i Galicyą. Krzemiński został bibliotekarzem ¹⁾.

Wkrótce potem przybył do Warszawy student uniwersytetu wrocławskiego, Adam Protazy Asnyk, i został przyjęty do połączonego grona kółek Majewskiego i Jankowskiego, (które się wszakże nigdy zupełnie z sobą nie złąły), i zawiązał stosunki z wielkiem Księstwem Poznańskim ²⁾.

Na czem polegały te stosunki zawiązanego komitetu z Europą i Rosyą, niewiadomo... Zdaje się, że były nie nieznaczące, jak w ogóle cała działalność komitetu. Na prawdę czynne było tylko stronnictwo Zamoyskiego. Jego spokojna, nieznaną, ale też nikogo nietrwożąca praca (założenie dwóch towarzystw, otwarcie mnóstwa szkół ludowych, wpływ na złagodzenie cenzury, na cały ruch literacki, na scenę, można po-

¹⁾ W spisie głównych uczestników powstania 1848 roku, wydanym przez pruską policję, nazwiska Denela nie znajdujemy. Patrz tom XXIX *Biblioteki pisarzy polskich*, str. 278—287.

²⁾ Zeznania Majewskiego. — O Asnyku mówiono później, że przybył do Warszawy w celu założenia Towarzystwa Czarnych braci, mającego za zadanie budzenie ducha, podnoszenie zapału i posłuszeństwa dla przywódców. Majewski i Aweyde zaprzeczają temu, przyznają jednak, że Asnyk znosił się bezpośrednio z komitetem i urządzał niektóre drobne manifestacje na własną rękę. Zdzisław Janczewski, który nieco później wstąpił do czerwonej organizacji, podaje, że Apollo Korzeniowski był twórcą projektu założenia Towarzystwa Czarnych braci.

wiedzieć, że na wszystkie objawy życia narodowego i społecznego) miała wyraźny, jasno określony charakter, i była dla wszystkich widoczną i zrozumiałą.

Jurgens ze swymi przyjaciółmi, przypatrując się wszystkiemu, co się na około niego działo, chciał także wyjść z bezczynności, coś projektował, szukał sposobności działania, lecz śladów tej pracy dopatrzeć nie możemy.

Wojna francusko-włosko-austriacka wzbudziła nowe nadzieje, nie tylko u czerwonych Polaków wszystkich trzech zaborów. Zdawało się, że pożar ogarnie całą Europę. Rok 1860 tych nadziei nie osłabił. Poznańscy toczyli walkę z rządem i niemieckim żywiołem, jak w roku 1848. Krakowska młodzież zażądała polskich wykładów na uniwersytecie Jagiellońskim. W Austrii wydane zostały tak zwane patenty październikowe o zwołaniu reprezentacji krajowych, i w ogóle cała wewnętrzna polityka austriacka przybrała inny charakter. Smolka w wiedeńskiej Radzie państwa wygłaszał płomienne mowy, Niegolewski w Berlinie stawiał policję poznańską pod przegierz uczciwej opinii w Europie. Nawet dotychczas spokojni i na pozór zadowoleni Ślązacy, slali deputację ze skargami na ucisk i gnębienie narodowości. W Galicyi zaczęły się walki między demokratami a arystokracją, między Rusinami a Polakami, między krajem a niemiecko-czeską biurokracją. Na południu Europy inny ruch zapanował. Dokonywało się połączenie Włoch nowych. Marsalski tysiąc zdobywa Neapol. »Anioł rewolucyi«, zostawszy dyktatorem, zamyślał o formowaniu jakiegoś międzynarodowego legionu, nad którym dowództwo miał objąć Mierosławski.

Wszystko to, mgliste i niejasne, ubarwione dodatkami, dochodziło różnemi drogami do Warszawy — powtarzane wszędzie na najrozmaitsze tony. Komitet połączonych kółek zaczął częściej się zbierać na posiedzenia, w których zaczynały już przyjmować udział i inne gorętsze żywioły z miasta. Tymczasem rząd nakazał rozciągnąć nadzór ściślejszy nad Czerwo-

nymi; kilku z nich uwięziono. Jankowski uznał za bezpieczniejsze usunąć się za granicę.

Na tę ucieczkę Jankowskiego towarzysze jego różnie się zapatrywali. Jedni zarzucali mu wprost tchórzostwo; drudzy, a w ich liczbie i Aweyde twierdzili, że »wódz czerwonych« wyjechał w celu porozumienia się z Mierosławskim co do międzynarodowego legionu i szczegółów, jakby ten projekt można było zastosować i spżytkować dla robót rewolucyjnych w kraju.

Bądź co bądź, z wyjazdem Jankowskiego kółko straciło wszelki hamulec. Jankowski umiał powściągać i miarkować porwy nazbyt gorących, i sprzeciwiał się urządzaniu drobnych, bezcelowych manifestacyjek, śpiewaniu hymnów, rozszerzaniu podburzających odezw z portretami Kościuszki i Kilińskiego, do czego Mierosławski i Kurzyna ciągle parli i zachęcali. Jankowski nawet nie dopuszczał nikogo ze skrajnych na posiedzenia komitetu od czasu, gdy ludzie z poza jego grona, wbrew wszelkim regulom, zaczęli tam przybywać w rodzaju dawnych sejmowych arbitrów. Z wyjazdem Jankowskiego drzwi komitetu rozwarły się na oścież, i obok członków zasiadali w nim regularnie panowie: Frankowscy, Nowakowski, Cielecki, Śniegocki i im podobni narwańcy, u których w myśli i na języku nic innego nie powstało, jak tylko manifestacya; wykazanie Moskwie ciągłego, niewykorzenionego, wrodzonego wstrętu i nienawiści. Oni to nazywali ruchem, postępem; wszelkie zaś wyczekiwanie, zaprzestanie manifestacyi — ospałością i samobójstwem.

Napróżno umiarkowańsi, jak Banzemer, Majewski i inni, przedstawiali, już nie komitetowi, lecz prawie całej Akademii, pomieszanej z różnymi ulicznymi żywiołami, że manifestacye jedynie mogą zaszkodzić poważnej pracy wszystkich wogóle kółek, a nawet i działaniom Białych, których nikt nie może nazwać szkodliwymi dla kraju. Tacy kawalerowie, w rodzaju Frankowskich i Nowakowskich, ani słyszeć o tem nie chcieli i postanowili skorzystać z pierwszej nadarzonej sposobności,

aby na złość Moskałom, oraz dla zbadania nastroju umysłów w mieście, urządzić jakąkolwiek większą manifestację.

Nadeszła więc chwila panowania szaleńców i dzieci, gdzie kierownictwo objęli »smarkacze«, jak ich nazywano w poważniejszych kołach; »politycy serca«, jak ich tytułuje zbliżony do nich Aweyde. Spełniła się straszna biblijna przypowieść »a rozum was opuści, a niedorośli rząd nad wami trzymać będą.«

Dnia 10. czerwca 1860 roku umarła wdowa po znanym jenerale polskim z 1831. roku, Sowińskim, który przy szturmie Warszawy, w dniach 6. i 7. września 1831 roku bronił wolskiej rogatki i zginął z bronią w rękę na stopniach ołtarza w kościółku, do dziś dnia istniejącym na prawosławnym cmentarzu za wolskimi rogatkami.

Na dzień 13. czerwca wyznaczono pogrzeb. Akademicy i uczniowie szkoły sztuk pięknych zwołali przed mieszkanie zmarłej ogromne tłumy ludu¹⁾. Studenci ponieśli trumnę na cmentarz protestancki, gdyż tego wyznania była zmarła, a gdy pastor Pleszewski w mowie pogrzebowej nazwał ją pułkownikową, tłum mu przerwał krzykami »jeneralowa«²⁾. Przed spuszczeniem trumny do grobu, kierownicy całej tej manifestacji obcięli tren od sukni zmarłej, i tnąc go na kawalki, rozdawali obecnym na pamiątkę; gdy tego nie wystarczyło, oberwano obicie trumny i galony, zaczęto oblamywać gałązki z obok stojących krzewów i te rozdawano. (Opowiadania naocznych świadków).

¹⁾ Giller powiada, że pierwszy pomysł do tej demonstracji wyszedł od Mateusza Gralewskiego, oficera z wojsk kaukazkich, który oddany do wojska za jakieś przewinienie w szkołach, wrócił na mocy amnestyi 1856 roku do kraju. Był to syn zagonowego szlachcica z Mazewa w Łęczycy. (Tom I, str. 151).

²⁾ Sowiński oficjalnie był tylko pułkownikiem, gdyż na jenerała awansował po wybuchu powstania. Pleszewski, należący do tak zwanego spisku z 1850 roku, był zesłany do Iszymu w gubernii tobołskiej. Powróciwszy na mocy amnestyi z 1856 roku, czuł nad sobą oko policyi, i dlatego chciał być ściśle oficjalnym w swem przemówieniu. — (Giller tom IV, str. 253—259).

Pogrzeb ten zwykle bywa uważany za pierwszą manifestację w ruchu 1863 roku. Policya, przeprowadzając następnie dochodzenie o tem zajściu, wykryła, że przed pogrzebem Sowińskiej akademicy rozpowszechniali po mieście »wezwanie Mierosławskiego«, drukowane na cienkim, welinowym papierze, podpisane przez Mierosławskiego i Kurzynę. Niektórzy płacili po rublu srebrnym za to wezwanie. Policya doszła także nazwisk głównych aranżerów manifestacji, lecz namiestnik, nie chcąc niepokoić Petersburga, kazał sprawę zatuszować, jako wybryk, nie zasługujący na uwagę. Żadnych więc aresztowań, a tem mniej kar nie było. To zachęciło i ośmieliło Czerwonych do dalszych prób w tym rodzaju.

Gdy rozeszła się wiadomość o mającym nastąpić w Warszawie zjeździe trzech sprzymierzonych monarchów, ciż sami aranżerowie rozrzucili po mieście odezwę tej treści:

»Warszawa wkrótce ujrzy w swych murach sępów, którzy naszą ojczyznę rozszarpali. Bracia! ważna to będzie chwila w dziejach nieszczęść naszych. Zjazd ich, prawdopodobnie nie pozostanie bez wpływu na przyszłe nasze losy, i być może, że ujrzymy nowy program działania, dążący, pod pozorem zbawiennych reform, do zupełnej zagłady naszej narodowości. Nadto, zjazd ten ma inne cele. Tyrani sprzysięgli się na zniszczenie wszystkiego, co sprawiedliwe. Polacy! czy pojmujecie nieprzyjazne zamiary wrogów naszych? Nadeszła chwila, w której dawna stolica wielkiej Rzeczypospolitej powinna jawnie okazać wzdargę i nienawiść, jakimi pała serce każdego prawego Polaka ku tym świętokradcom, którzy, wbrew wszelkim przykazaniom Boskim, targnęli się na wolność i niepodległość naszej ojczyzny. Polacy! nie zapominajcie tej chwili; niech gród nasz w czasie pobytu naszych ciemiężców przybierze na się postać grobu, okrytego kirem; niech on na każdym kroku przypomina im zbrodnię na nas popełnioną; niech wszelką radość całun śmiertelny przykryje. Polacy! na was woła duch przeszłej wiekości naszej, do was odzywają się głosy tysięcy braci, poległych w obronie ojczyzny!«

W czasie samego zjazdu dopuszczono się kilku najnieprzyzwoitszych wybryków. Naprzykład, w czasie uroczystości założenia kamienia węgielnego pod most żelazny na Wiśle, na której był obecny cesarz, lobuzy obrzynali paniom suknie, lub oblewali je kwasem siarczanym. Wieczorem, przed przybyciem monarchów do teatru, oblano łożę cesarską czemś cuchnącem, tak, że zaledwie zdołano odmienić meble i zmienić franki i obicie. Podczas samego zaś przedstawienia ¹⁾ spuszczano z galerii pęcherzyki napelnione czemś nieznośnie cuchnącem. W czasie przejazdu monarchów do teatru, eskortę składało sześciu żandarmów, oficer i pięciu żołnierzy. Ci u wejścia do teatru, od drzwiczek powozu do drzwi wchodowych, sformowali już pieszo szpaler, między którym przeszli wszyscy goście ²⁾.

W czasie iluminacyj, urządzanych przez miasto, lobuzerya gasiła światła; przechadzających się oblewano kwasem siarczanym i t. p. Policya, już po części dotknięta tą zarazą spisku, patrzyła na te wybryki przez palce, z rzadka tylko kogoś arestując. Śledztwo, wytoczone z powodu rozlanych cuchnących płynów w teatrze, nie wykryło. Gdy w Petersburgu dowiedziano się o tych wszystkich zajściach warszawskich, cesarzowa matka z przerażenia zachorowała, obawiając się o życie syna. Cesarza telegraficznie zawiadomiono o chorobie matki, który też, nie czekając na wyjazd gości, pospieszył do Petersburga. Tegoż dnia wieczorem opuścił Warszawę cesarz austriacki, nazajutrz zaś rano książe regent pruski.

Upodobanie do manifestacyi zaczęło się objawiać i między białymi. W teatrach amatorskich, urządzanych częstokroć

¹⁾ Dawano balet „*Modniarki*“, czyli „*Karnawał paryski*“.

²⁾ Dziennik pułkownika Krywonosowa podaje w swym pogłędzie krytycznym na wypadki 1861—1863 roku, że wówczas, w czasie przejazdu cesarza austriackiego, z wagonu cesarskiego skradziono tekę z papierami. Z początku sądzono, że to zwyła kradzież, gdyż wraz z teką zginęły i jakieś pieniądze. Te ostatnie wkrótce zwrócono za pośrednictwem któregoś z księży Kapucynów, teka zaś znikła bez śladu. (*Gazeta narodowa* z 1879 roku, nr. 251, str. 2, szp. 2 i 3).

i w wyższych sferach towarzyskich, z lubością dodawano różne uwagi okolicznościowe w przedstawianych rolach, najczęściej wytykające błędy i niedostatki istniejących warunków rządowych. (Aweyde II, 3). Na pewnej maskaradzie, w salach reutowych, obywatel ziemski Załuskowski ukazał się przebrany za niewolnika, skuty kajdanami, za co zaraz został przez policję zaaresztowany. Uwięziono następnie jeszcze kilka osób. Dzieciuchy się zlekły. Komitet, a właściwie gromadka aranżerów podzieliła się na dwie grupy, białych i czerwonych. Biali domagali się zupełnego zaniechania manifestacyi, czerwoni protestowali, dowodząc, »że raz poprzerywane nici, nie dadzą się potem nawiązać; że masy stanęły widocznie po stronie ruchu i zaczynają pomagać spiskowi; że zaniechanie manifestacyi znów je osadzi na miejscu, z którego trudno będzie poruszyć je na nowo.«

Skończyło się na tem, że biali z Majewskim na czele przystąpili do partyi Jurgensa, Krzemiński zaś i Wereszczyński usunęli się z Warszawy, pierwszy do Heidelberga, gdzie się podówczas skupiała polska i inna rewolucyjna młodzież, drugi do Kijowa. — Denel zawiadomił o tym wypadku Mierosławskiego, który natychmiast przysłał do Warszawy, jako swojego agenta, Franciszka Godlewskiego, człowieka rzutnego i roztropnego, dając mu polecenie »przywrócenia porządku w czerwonym obozie«, w którym czuł się już gospodarzem i naczelnikiem, którego władza i znaczenie z dniem każdym, niemal z każdą godziną wzrastały.

Gutry powiada, że w 1860 roku Mierosławski sam się narzucił na przewodcę ruchu rewolucyjnego w Polsce. Wysyłanie agentów nazywa »samowolą, która wywołała anarchię.« W tem ma zupełną słuszość. Niecierpliwi warszawscy agitatorzy radzi byli stanąć pod sztandarem naczelnika z ustaloną rewolucyjną przeszłością i sławą, nad którym już był zawisł topór kata. Wszystko, co było brzydkiego, niewyjaśnionego w jego przeszłości; wszystko, co wykazywało brak charakteru, zapomniano lub tłómaczono na dobre.

W umówionym kluczu dla tajnej korespondencyi, Mierosławski nazywał się Magdaleną; wybuch — ślubem; spisek — gospodarstwem; Miłkowski — energią; wojsko — zbożem; broń — narzędziami rolniczemi; demonstracya — festynem; donos — prośbą; szpieg — psem; powstańcy — rublami; emisaryusz — ekonomem, Warszawa — Kiejdanami; Wilno — Szawlami; Prusy — sąsiadem; Rosya — opiekunem; proch — herbata; Galicya — podstawą. — (*Pan Ludwik Mierosławski* str. 5—12).

Godlewski przy pomocy Denela i Jana Frankowskiego zawiązał nowy komitet pod nazwą »Komitet Jankowskiego«, którego spodziewano się powitać wkrótce z powrotem w murach Warszawy. Jakoż w istocie w grudniu 1860 roku wybrał się do kraju, lecz przychwycony w Krakowie, po niejakiem czasie został wydany władzom rosyjskim ¹⁾.

Rozważniejsza częśćka czerwonych, która się już przedtem odłączyła wraz z Jurgensem i jego stronnikami, patrząc na panujący wśród spiskowych rozgardyasz, istną »Sodomę i Gomorę« jak mówili, obawiając się, by z tego nie wyklulo się coś zgubnego dla całej sprawy, postanowili na nowo zbliżyć się z Denelem i Godlewskim. Nawzajem i u tych spotkali równe chęci; i ci pragnęli połączenia się z dawnymi towarzyszami, szczególnie, że przez to odzyskiwali Majewskiego, a z nim szeroko rozgałęzione wpływy i stosunki w mieście. Przedstawiono więc sobie wzajemne warunki pojednania. Umiarkowani i Jurgensiści żądali, ażeby komitet Jankowskiego, bez względu na swą nienawiść ku szlachcie, szedł na rękę z Towarzystwem rolniczem i popierał jego zbawienne dla kraju działania.

Denel zaś i jego czerwoni towarzysze domagali się dalszego prowadzenia manifestacyi, jako jedynej drogi, na której do jakichś donioślejszych ustępstw ze strony rządu dojść było można.

¹⁾ Umarł w cytadeli. — (*Przypisek tłumacza*).

Warunki zobopólnie przyjęto i strony zwaśnione się pogodziły. Właściwie zaś nigdy się one nie rozchodziły; krzykliwe ich zgromadzenia miały nieraz charakter podobnego pojednania i następnie rozterek. Stąd też pochodzą owe różnice w opisach naocznych świadków; jedni widzieli pojednanie i zgodę tam, gdzie drudzy mówią o burzliwych obradach i rozterkach.

Nie wiadomo, w jaki sposób komitet Jankowskiego, złożony z Denela, Godlewskiego, Majewskiego, Banzemera i Löwenhardta, i czy kiedy pomagał Towarzystwu rolniczemu, lecz działania manifestacyjne bardzo jasno się zarysowały. Na skienienie akademików uliczna łobuzerya tłukła okna wskazanych pomieszkań, gdzie się odbywały jakiegokolwiek oficjalne przyjęcia. W tej zabawce głównie przewodzili uczniowie gimnazjalni: Kozubski, Jaczewski i Świegocki. Policya już wtedy tak się rozluźniła, że ani jeden z tych dowódców nie dostał się w jej ręce. Aresztowania rozpoczęły się dopiero w 1863 roku za hrabiego Berga, gdy więziono bez wyboru, masami.

Wśród białego dnia zrywano szyldy z rosyjskimi napisami, a gdy właściciel wzywał opieki i pomocy policji, ściągali na siebie tem większe uliczne prześladowanie. Osoby, nie poddające się rozkazom czerwonych, próbowano terroryzować przez nasyłanie pism obelżywych lub groźących, ma się rozumieć bezimiennych.

W pamiętny dzień rocznicy listopadowego powstania, 29. listopada 1860 roku akademicy umyślili urządzać małą manifestację, jakby dla wypróbowania, jak się rząd wobec tego zachowa? Wybrano na ten cel już na ustroniu położony, kościół księży Karmelitów na Lesznie, gdzie i dozór policji nie tak baczny i u końca ulicy niema prawie stójkowych.

O dwunastej w południe zebrało się w kościele mnóstwo publiczności, w której wszakże przeważali akademicy i rzemieślnicy, zaczynający lubować się w patryotycznych mowach i śpiewach. W czasie nabożeństwa rozdawano wizerunki Kosciuszki i Kilińskiego. Mowy żadnej nie było, chociaż urzą-

dzający nabożeństwo usilnie starali się skłonić ku temu księży; zresztą nabożeństwo odbyło się w porządku i wszystko poszło jak z płatka. Mimo to, aranżerowie z niepokojem cały dzień wyglądali, co powie na to władza! czy wie co i z czyjej inicjatywy działo się u księży Karmelitów na Lesznie?

Władza o niczem nie wiedziała! — Jak tylko czerwoni przyszedli do tego przeświadczenia, postanowiono powtórzyć manifestację jeszcze tego samego dnia wieczorem, lecz już na większe rozmiary i jawnie, wcale nie oglądając się na to, co powie policya. Najbardziej nastawał na to nieprzejednany fanatyk, Karol Nowakowski, gotów zawsze do największych wybryków i szaleństw.

Gdy zaczął dowodzić o nadzwyczajnej doniosłości projektowanych manifestacji, już go nikt nie mógł przekonać i uspokoić; bardzo też być może, że nikt podówczas tego trudu zadawać sobie nie myślał. Większość czerwonych, a nawet i ci czerwono-biali, którzy jeszcze wczoraj odwodzili od podobnych, drażniących władzę wystąpień, pod wrażeniem porannej manifestacji, nie zdając sobie nawet sprawy z ogarniającego ich uczucia, podążali na wieczorne powtórzenie tego samego widowiska. Udały wybryk był podniętą do dalszych podobnych wystąpień. Nowakowski zajął się urządzeniem manifestacji z całym zapalem, jako praktyczny gospodarz, świadomy swego zadania. Pod jego kierownictwem, między szóstą a siódmą godziną wieczorem, przed figurą Matki Boskiej na Lesznie zebrał się ogromny tłum ludu, przyniesiono stół, zapalono lampy, i gdy modlący się padli na kolana, Nowakowski, chlup duży i obdarzony tubalnym głosem, zaintonował hymn *»Boże coś Polskę«*, starą, zapomnianą pieśń, napisaną przez Alojzego Felińskiego, w drugim czy trzecim dziesiątku bieżącego stulecia, w zupełnie innym celu i warunkach. Wywołało to niesłychane wrażenie; obecni z rozrzewnienia płakali...

Był to pierwszy śpiew hymnu, tej Marsylianki 1863 roku. Potem prześpiewano: *»Z dymem pożarów«, »Boże Ojese! Twoje dzieci, żebrzą płaczą Twej litości!«,* a na zakończenie

»*Jeszcze Polska nie zginęła*»; przyczem znów rozdano mnóstwo portretów Kościuszki i Kilińskiego, oraz ~~zeczytów~~ z drukowanymi hymnami i innymi patryotycznymi śpiewami¹⁾.

I ta manifestacya udała się, jak nie można szczęśliwiej. Policya patrzyła na wszystko obojętnie²⁾. Manifestanci, widząc, że się im udaje, postanowili posunąć się ku środkowi miasta²⁾.

Mniej więcej w tydzień potem, gromadka uczniów z niższych klas gimnazyum realnego, zebrała się w kościele księży Bernardynów na Krakowskiem przedmieściu, gdzie się odprawiało nabożeństwo żałobne za poległych w walkach 1831 roku. Na zakończenie odśpiewano kilka pieśni narodowych; nie aresztowano nikogo. Lecz gdy taką samą manifestacyę powtórzyli uczniowie klas wyższych już łącznie z publicznością, kierowaną przez Asnyka w kościele św. Krzyża, policya zaczęła aresztować uczestników. Asnyk z wielu innymi dostali się do cytadeli. (Asnyk wkrótce uwolniony, wyjechał za granicę).

Całe miasto zaczęło mówić o manifestacyach. Stronnictwo białych udalo się do przewodców znanych nam kólek czerwonych z przedstawieniami i żądaniem, aby zaprzestano dalszych nieporządków, gdyż te krzyżują i stają na zawadzie

¹⁾ Drukowaniem tych rzeczy zajmowali się szczególnie bracia Frankowscy. Wówczas też wydano „*Adwent Polski*“, oraz odezwy o oddaniu naczelnego dowództwa w zbliżającym się powstaniu generałom: Wysockiemu i Mierosławskiemu.

²⁾ Aweyde tom II, str. 4. Szczegóły manifestacyi wyjęte także z jego zeznań. Dalsze opisy z Aweydy i Majewskiego uzupełnione opowiadaniem różnych naocznych świadków.

Wielu mniema, że policya, zachowując się biernie wobec tych nieporządków, działała z pewnem wyrachowaniem, że rząd miał w tem swe widoki i działał ze złą wiarą. Wobec powtarzających się dziś jeszcze zarzutów tego rodzaju, możemy najbardziej stanowczo zapewnić, że w tem nie było żadnego ukrytego podstępu; po prostu Gorczaków obawiał się jakich nowych nieprzyjemności, nie chciał narazić się na niezadowolenie i wymówki w Petersburgu. Była to najwyższa niedołność rządu miastem i krajem i nie więcej.

rozpoczętym poważnym działaniami w kraju, a nawet mogą je zupełnie zwichnąć. Czerwonym niezmiernie to pochlebiało, że dotychczas ignorujący ich zupełnie panowie, zostali zmuszeni do odezwania się do nich, jako przedstawiających pewną siłę w kraju; odpowiedzieli więc z pewną dumą, że »natychmiast zaprzestaną manifestacyi, jeżeli tylko Towarzystwo rolnicze zdecyduje się na podanie adresu do cesarza, nie żądając na to upoważnienia namiestnika. W adresie zaś ma być wypowiedziana jeśli nie skarga na złe i bezprogramowe rządy w Polsce — to przynajmniej zaznaczona konieczność zaprowadzenia odpowiednich duchowi czasu reform, szczególnie w obliczu tych nadzwyczajnych przeobrażeń, jakie dla cesarstwa są projektowane. Jeśli biali tego nie zrobią, to przywódcy czerwonych wcale nie myślą powstrzymywać młodzieży, i manifestacje będą jedne po drugich następować, bez względu na mogące stąd wynikać następstwa. Lecz komuż przypisać winę? Czy Fabiuszom kunktatorom z obozu białych, ceniącym wyżej swe dobre u Moskwy zachowanie nad zbawienie ojczyzny, czy tej pełnej zapału i poświęcenia młodzieży, niosącej krajowi w ofierze przyszłość swą, wolność osobistą, a nawet życie... niech to przyszłe dzieje rozstrzygną; przewódcy kółek zawczasu nie biorą żadnej za następstwa odpowiedzialności.

Goretsza część białych była zdania, że siła manifestujących była li tylko negatywną, polegającą na niewytłumaczonej słabości rządu w Warszawie; że niech tylko rząd ten otrząśnie się z otrętwienia, siła ta czerwonych w jednej chwili jak mgła się rozwieje; to też ta część białych była gotową zgodzić się na postawione żądania i napisać coś ostrego do Petersburga; zażądać naprzykład wprowadzenia w życie statutu organicznego z 14. lutego 1832 roku, (który wskutek spisku Zaliwskiego nie wszedł w wykonanie, i dopiero w 1862 roku został¹⁾ zastosowany przez Wielopolskiego dla rozwiązania kilku zasadniczych kwestyi). Druga jednak, rozważniejsza część bia-

¹⁾ Miał być po części zastosowany. — (Przyp. tłumacza).

łych, nie obalamucona jeszcze biegiem wypadków, wręcz odmówiła temu żądaniu czerwonych i oświadczyła, że gdyby ci wystąpili wrogo i nieprzyjaźnie wobec prowadzonych poważnych robót, — oni nie zawahają się przed wydaniem ich rządowi z imienia i nazwiska ¹⁾).

Tak w pierwszych chwilach zadecydowała większość w obozie białych; lecz gdy rozpatrzyli rzecz całą dokładniej, gdy rozważyli, co to za istota siedzi w Warszawie na stole namiestnikowskim, jak to coś dla każdego stronnictwa małą gwarancją przedstawiało, że potrafi utrzymać spokój i porządek w kraju — biali oświadczyli ostatecznie stronie przeciwnej, że komitet Towarzystwa przedłożył postawione kwestye do rozpatrzenia i postanowienia na najbliższem ogólnem zebraniu Towarzystwa rolniczego, które się ma odbyć w styczniu 1861 r.

Lecz i to, według mniemania czerwonych, odwleką sprawę na czas nieoznaczony, gdy tymczasem sprawa ta nie cierpiała najmniejszej zwłoki. Postanowili więc postępować dalej raz obroną drogą i nie zaprzestawać manifestacyi, bez względu na wyniknąć mogące stąd skutki.

Należy dodać, że w owym czasie do partyi Godlewskiego i Jurgensa przystąpiło kilku ludzi, o których zasadach i przekonaniach do niedawna nie podobna było coś stanowczego powiedzieć. Była to najruchliwsza część warszawskiej burżuazyi; ludzie dosyć daleko posunięci w swych zapatrywaniach socyalnych, lecz, dzięki swemu stanowisku w społeczeństwie, unikający występowań obok młokosów. Oni długo się rozpatrywali, do kogo się mają przyłączyć, gdyż wobec powszechnej gorączki, żaden Polak nie mógł pozostać obojętnym i trzymać się zdala od wszelkiego działania. Stronnictwo Komitetu rolniczego stanowczo nie zaspakajało tych panów, oni znajdowali, że prace białych były stanowczo za powolne i za ostrożne, szczególnie, gdy się uwzględniało ówczesny stan polityczny Europy i Rosyi, a zresztą i samo usposobienie, panujące w ro-

¹⁾ To fałszywe. — (Przyp. tłumacza).

syjskich sferach rządowych. Burżuazya znajdowała, że z panami z komitetu można było doskonale spożyć od czasu do czasu wykwintną kolacyjkę, przy której wybornie umieli rozprawiać w panującym duchu, lecz co do przekonań ich i zasad — te odbiegały gdzieś daleko, w przeciwnym kierunku... Na stronnictwo zaś przeciwne spoglądali jak na coś bardzo niedojrzałego, zapalnego i popędliwego, postępującego zupełnie przeciwnie, nie tak, jakby w takich chwilach postępować i działać powinni prawdziwi radykali.

Czas wszakże upływał i to szybciej niż kiedykolwiek. Burżuazya spostrzegła, że się naraz znalazła wśród objawów już wcale nie dziecinnych, z poza których wyglądała już walka wcale nie na żarty, walka z rządem, do której zmierzali i którą starali się wywołać ci czerwoni urwisze! Nadeszła chwila, że nie można było dłużej zwlekać, wyczekiwać, lecz należało działać, zdecydować się tak lub owak, przyłączyć się tam lub tu...

Namyślali się dosyć długo i... bardzo być może, że z ciężkiem sercem, lecz stanęli po stronie... młokosów!

W pierwszych wszakże chwilach ci nowi zwolennicy partii ruchu byli w niej żywołem obcym, oziębającym; doradzali wszystkim cokolwiek starszym i rozważniejszym, by o ile można powstrzymywali niecierpliwą i zapalną młodzież od wszelkich nierozważnych wybryków; jednocześnie zaś starali się poruszyć białych, skłonić ich do wstąpienia na drogę wskazywaną już nie tylko przez czerwonych, lecz przez opinię prawie całego kraju, to jest namawiali do podania adresu do cesarza z wyrazem wszystkich krzywd i żalob naszych. Lecz jakież były środki do osiągnięcia tego celu? Ktoś w kółku powiedział, że gdyby cała warszawska inteligencya: wpływowi kupcy i przemysłowcy, kapitaliści, urzędnicy, literaci, adwokaci wraz z jednomyślną częścią szlachty, szczerze i stanowczo zażądali podania adresu, to ultra-biali z komitetu nie byłiby wstanie temu się sprzeciwić. Zaraz się jednak rodziło pytanie, jakim sposobem poruszyć tę żywszą część poważnej, umiarko-

wanej ludności, posiadającej w swym gronie także swego rodzaju panów i półpanków, którzy chociaż nie spią do tego stopnia, jak ultra-biała szlachta, lecz także na arenę publicznego działania występują nader niechętnie, zwolna i ostrożnie.

Po pewnych naradach, przedstawiciele kółka, a w ich liczbie i Jurgens wymyślili taki środek. Postanowiono wysłać do wszystkich rosyjskich uniwersytetów agentów, którzyby skłonili polską uniwersytecką młodzież do wysłania do Warszawy deputacyi z adresem, wystosowanym do różnych stanów społeczeństwa polskiego, i żądającym przeniesienia katedr prawa polskiego z Petersburga do Warszawy, i nadania im przywilejów uniwersyteckich¹⁾. Jeśli się to uda i kraj zdecyduje się poprzeć żądania młodzieży, to musi być podany adres do cesarza, a w nim da się umieścić i jedno i drugie, ultra-czer-

¹⁾ Od 1841 do 1859 roku istniały dwie katedry polskiego prawa: w Petersburgu i Moskwie. W 1859 roku zniesiono je i zaprowadzono w Petersburgu cztery katedry polskie:

1. Historję prawa polskiego i prawa kryminalnego, obowiązującego w Królestwie, wykładał profesor Czajkowski.
2. Kodeks cywilny i prawo hipoteczne — prof. Budzyński.
3. Poces cywilny — profesor Hube — i
4. Prawo administracyjne — profesor Łaguna.

Spasowicz rzecz tę przedstawia obszerniej: Za Paskiewicza były kursa prawne w Warszawie, na których wykładano: Kodeks Napoleona. W 1840 roku kursa te zniesiono, natomiast w Petersburgu i Moskwie otworzono po dwie katedry prawa polskiego. W Moskwie wykładali: prof. Korowicki — prawo i procedurę cywilną; Pawłowski — prawo kryminalne. W Petersburgu zaś: Romuald Hube wykładał historję prawa polskiego, prawo kryminalne i sądownictwo; Cypryan Zaborowski — kodeks Napoleona, czyli prawo i procedurę cywilną.

Po uwolnieniu Hubego, jego miejsce zajął w 1847 roku Antoni Czajkowski z Warszawy, zaś w miejsce Zaborowskiego w 1850 roku przybył prof. Krzyżanowski. Nadto przy Czajkowskim adjutantem został Stogław Łaguna, przy Krzyżanowskim Włodzimierz Spasowicz, który po wyjeździe w 1857 roku Krzyżanowskiego za granicę, objął tegoż katedrę. Później Spasowicz przeszedł na katedrę ruskiego prawa, miejsce zaś jego zajął Stanisław Budzyński. Wszystkie te katedry zwinęto przy wprowadzeniu reformy naukowej Wielopolskiego.

woni będą zmuszeni przycichnąć, a jeśli tego nie zrobią, to kraj potrafi zmusić ich do milczenia.

Ktoś zauważył, że to może myśl praktyczna, ale niewłaściwa i niebezpieczna. Nie należy powoływać młodzieży, jako odrębnego stanu, i to do spraw dla niej niewłaściwych; drudzy dodawali, że projekt cały zanadto subtelny; lecz Jurgens zakonkludował, że »subtelny czy nie subtelny, lecz innego wyjścia niema. Pomysł jest dowcipny i prawdopodobnie pomyślny odniesie skutek.«

Ponieważ wszystko to się odbywało koło Bożego Narodzenia 1860 roku, w czasie zimowych uniwersyteckich feryi, więc w Warszawie znalazło się kilkunastu studentów Polaków z różnych uniwersytetów rosyjskich. Jurgens wybrał z pomiędzy nich najspokojniejszych i najrozważniejszych, i zaproponował im przejechać się po uniwersytetach w wiadomej misyi, ofiarując im zwrot kosztów podróży. Młodzi ludzie z ochotą przyjęli zrobioną im propozycję, i natychmiast wyruszyli w różnych kierunkach. Cała rzecz nader szybko została przeprowadzoną; uniwersytety: petersburski, moskiewski i dorpacki wybrały po dwóch delegatów; kijowski przysłał ich trzech, którzy też swoją zagorzałością psuli nieco ogólną harmonię.

Za przybyciem do Warszawy wysłańcy uniwersyteccy naprzód się zeszli z Jurgensem w mieszkaniu Adolfa Pieńkowskiego, nauczyciela gimnazjalnego. Umówiono się zwołać ogólne zebranie dla rozważenia kwestyi, w jakim duchu ma być spisany adres pełnomocników młodzieży do obywateli miasta Warszawy. Na zebraniu tem, na które, oprócz wysłanników z cesarstwa, przybyli przedstawiciele warszawskiej medycznej akademii, instytutu rolniczego w Marymoncie, szkoły sztuk pięknych i gimnazjum realnego; jeden z kijowskich studentów podjął się ułożenia adresu zaraz, na poczekaniu. Rzecz wszakże wypadła tak dziecinnie górnolotna i gorączkowa, że zebranie, wysłuchawszy w milczeniu ten elaborat, nie wypowiedziało żadnego zdania, a milczenie to było wymowną odpowiedzią. Wówczas Jurgens wezwał jednego

z delegatów do odczytania zawczasu już przygotowanego projektu. Wszyscy od razu spostrzegli szaloną różnicę tej obmyślanej pracy w porównaniu z frazesami swego współkolegi. Adres Jurgensa jednomyślnie przyjęto i zebrani zaraz go przepisali w kilkudziesięciu egzemplarzach. Poczem delegaci podzielili się na trzy partye, z których każda, nie tracąc czasu, miała obejść wyznaczone sobie znakomitsze osobistości w Warszawie: Andrzeja hr. Zamoyskiego, Tomasza hr. Potockiego, Ludwika Górskiego, generała byłego wojska polskiego: Józefa Lewińskiego, Leopolda Kronenberga, Matiasa Rosena, Ksawerego Szlenkera, I. J. Kraszewskiego, winiarza Fukiera, szewca Hiszpańskiego i jeszcze kilkunastu innych. — (Było to w końcu stycznia 1861 roku).

Andrzej hr. Zamoyski deputacyi nie przyjął. (Przez swych agentów, których miał wszędzie, był uprzedzony, co to za deputacya i z czem przychodzi). Tomasz hr. Potocki, chociaż niechętnie zgodził się na przyjęcie deputacyi, lecz członków jej powitał grzecznie i oświadczył, że »podziela w zupełności zdania, wyrażone w adresie, a nawet sądzi, że w danej chwili rzecz byłaby możliwą do przeprowadzenia, byle tylko nie zbaczać z drogi legalnej. Osobiście będzie wszelkimi siłami popierał myśl podania adresu do cesarza, i głośno to oświadczy gdzie potrzeba — zobowiązań wszakże żadnych naprzód nie przyjmuje.

Jeneral Lewiński ¹⁾ powiedział deputacyi, że nie rozumie dobrze celu, w jakim do niego przychodzą, gdyż on obecnie jest już tylko ruiną, przypuścimy nawet że poważną, ale zawsze tylko ruiną — bez wpływów i znaczenia. Zresztą podziela opinie, wypowiedziane w adresie młodzieży, pochwała je i rad jest bardzo z obranego kierunku.

¹⁾ Józef Lewiński, pułkownik wojsk polskich za czasów wielkiego księcia Konstantego, po wybuchu powstania 1830 roku został jenerałem i pełnił obowiązki szefa sztabu przy Małachowskim. *Ruskij archiw* z 1879 roku ks. XII, str. 459, mówiąc o jenerale Krukowieckim, podaje i o Lewińskim kilka szczegółów.

Ludwikowi Górskiemu przyście młodzieży widocznie było nie na rękę i długo nie umiał znaleźć stosownej odpowiedzi. Lecz, gdy się nieco uspokoił i rozmowa na dobre się ożywiła, zapytał: »A teraz, powiedzcie mi panowie otwarcie, czyście już wszystkie wasze żądania wypowiedzieli w tym adresie? czy na tem poprzestaniecie, czy też raz to otrzymawszy, posuniecie się dalej?«

Przewodniczący tej cząstkowej deputacji oświadczył, że »w tem się zawierają wszystkie ich żądania i oni na tem poprzestaną«, lecz przerwał mu jakiś marymontczyk, podobno nawet nie delegowany, który na własną rękę poszedł z deputacją — a może jako wysłannik kółka czerwonych — i dodał z pewnem uniesieniem: »Poprzestaniemy, ale tylko do czasu, gdyż Polacy nie mogą ostatecznie zadowolnić się takimi drobnostkami! Nie byłbyś pan Polakiem, gdybyś nie czuł, co u każdego z nas leży na dnie duszy. Polska w granicach 1772 roku jest kresem naszych usiłowań, jeśli mamy mówić szczerze i otwarcie!«

— O tem właśnie chciałem wiedzieć moi panowie — odparł na to Górski. — Uzyskać polski uniwersytet w Warszawie, nie sędzę, żeby było rzeczą bardzo trudną, wobec usposobienia panującego w Rosyi, gdy rząd sam przez się skłania się do licznych ustępstw. Lecz chcąc iść dalej, odbierać Polskę od morza do morza, na to potrzeba przedewszystkiem licznej armii i ogromnych pieniędzy, na czem nam najzupełniej zbywa. Nie równa to walka — karła z olbrzymem. Powiedzieliście, że jestem Polakiem i to jest najzupełniejszą prawdą; myśli i dążenia nasze nie w jednym są wspólne; nie mniej od was pragnę dla Polski szczęścia i pomyślności, lecz dla odzyskania bytu politycznego nie pójdę drogami, które, według mego najgłębszego przeświadczenia, nietylko że są nadzwyczaj ryzykowne i w skutkach swych problematyczne, lecz wprost prowadzą do zguby ojczyzny. I ja wam szczerze i otwarcie powiem: dla sprawy, którą przedsięwierzecie, palcem nawet nie ruszę!« — I tem ich pożegnał.

Kronenberg — przyjął wysłaną młodzież w swem pysznem biurze przy ulicy Marszałkowskiej, jak to mówią, z otwartemi rękami i rozpromienionem obliczem. Dla człowieka, jak on ambitnego i chorującego na popularność, nadzwyczaj było pochlebne, że został zaliczony do rzędu znakomitości warszawskich. W tym uprzejmym bankierze, który w tej chwili przyjmował deputację młodzieży polskiej, niktby nie poznał tego niedawnego, zaciętego, zgrzytającego zębami i płaczącego ze złości przewodcę żydowstwa, któregośmy przed paru laty spotykali w Warszawie i Petersburgu. W tej chwili był to zapalony polski patriota, myślący tylko o Polsce i gotowy na wszelkie dla niej ofiary; nagadał deputacyi móstwo najprzesadniejszych uprzejmości i przyobiecał ze swej strony uczynić wszystko dla poparcia ich zamiarów.

Szlenker również uprzejmie przyjął deputację, oświadczając, że dzieli ich zasady i popierać będzie ich zamiary wśród tych kół kupieckich, w których pewien wpływ posiada.

Za to bankier Rosen — przyjął wysłanników jak najgorzej, nawet nie uznał za potrzebne przywdziać do nich surdut, spotkał ich, jak był, w szlafroku, i nie poprosił usiąść. — »Co za adres? co zamysławacie panowie? — przemówił szybko. — Wiem, czem to pachnie. Idźcie do innych i śpiewajcie im piosnki o adresach; ja do takich ryzykownych i niebezpiecznych rzeczy się nie mieszam!«

Powiadają, że Kronenberg, dowiedziawszy się o tak nieprzyzwoitem przyjęciu młodzieży przez Rosena, pojechał do niego i usposobił inaczej...

Fukier przyjął młodzież, jak rodzonych braci... Najbardziej mu się podobał ustęp adresu, w którym wypowiedziano, że rozszerzenie przez polski uniwersytet oświaty w kraju, przyczyni się do zrównania stanów: szlachty z kupcami, mieszczan z rzemieślnikami... »Wiecie co, panowie! wy wprowadzacie przewrót warunków naszego społecznego ustroju! wy stworzycie epokę! Ale czy macie przyobiecane poparcie od kogokolwiek z wpływowych osobistości z naszego kupieckiego świata?«

Gdy mu odpowiedziano, że Szlenker, Kronenberg i inni przyobiecali deputacyi wszelką pomoc — zawołał:

»No, kiedy ci obiecali, to nie troszczcie się o innych. Ja, panowie, jestem człowieczek mały, bez znaczenia i wpływu — ale mam coś, czego inni nie mają. Proszę was do mojej piwniczki, którą zaszczycaли odwiedzinami bardzo i bardzo wysokie figury; należy się nam parę buteleczek na powodzenie waszych zamiarów«¹⁾. Nie potrzeba zapewniać, że żaden z deputatów nie odmówił zaproszeniu!

Bytność u Kraszewskiego delegaci odkładali na sam koniec, niby na ukoronowanie swych zachodów. Każdy dobijał się o zaszczyt przedstawienia się ówczesnemu największemu luminarzowi na polu piśmiennictwa polskiego. Do cichego i ustronnego domku przy ulicy Mokotowskiej zebrało się bez porównania więcej delegatów, niż u któregoś z potentatów, gdyż w zebraniu tem delegaci stanowili bardzo mały procent, większość zaś składała się z różnorodnej młodzieży. Kraszewski przyjął ich przyjaźnie, szczerze i serdecznie; oświadczył największe swe współczucie dla podjętej myśli i dodał: »wierzę w powodzenie obecnych zachodów, gdyż... żydzi w to wierzą, a oni na pewno coś przewąchali! Oni wszystko wiedzą, wszystko przeczują!«²⁾.

Wspomnieliśmy, że deputacye miały odwiedzić wiele innych, jeszcze wybitniejszych osobistości. Prawie wszędzie spotkane zostały słowami współczucia i obietnicami poparcia. Lecz na tem wszystko się skończyło i słowa nigdzie się w czyn nie zamieniły.

¹⁾ Sławna winiarnia Fukiera na Starem mieście, jeszcze do dziś posiada kilkaset butelek bardzo starych i kosztownych win węgierskich. Niektóre pochodzą jeszcze z XVI wieku, z piwnicy jakiegoś Potockiego. Cesarz Franciszek Józef na swoje wesele kazał sprowadzić kilka butelek tego wina, za które zapłacono po 100 zlr. za butelkę. W 1880 roku miało być jeszcze coś około pięćdziesiąt butelek tego wina. — ²⁾ Dosłownie słyszane z ust jednego z deputatów, którzy byli u Kraszewskiego.

Partya czerwona, widząc i wiedząc wszystko, kąpała z deputatów, i nikt z prawdziwie czerwonych nie brał na seryo tej uniwersyteckiej ekspedycyi, nikt się nie powstrzymał w swych działaniach manifestacyjnych. Owszem, jeszcze bardziej utwierdzili się w przekonaniu, że tylko zapomocą nieustających manifestacyi można się będzie dobić jakiegoś skutku. Nawet Jurgens i ci z jego zwolenników, którzy się najbardziej przyczynili do wywołania tego uniwersyteckiego poselstwa, teraz się przekonali, że przy panującym rozbięciu stronnictw, oraz wobec ospałości i zupełnej apatyi najwyższych warstw społeczeństwa, niema co marzyć nawet o urzeczywistnieniu myśli adresu do cesarza, podać się mającego w imieniu całego kraju. Widocznie dziarska młodzież intuicyjnie nie myli się i w swej nienawiści do arystokratów i w swych porywach, dążących do wywołania ogólnego wstrząśnienia, któreby rozbudziło i otrzeźwiło wszystkich bez wyjątku... Odtąd Jurgens, rozmyślając nad wyborem dalszego sposobu postępowania, z coraz większem rozrzewnieniem, z jakąś nieokreśloną lubością przypatrywał się robotom Nowakowskich, Cieleckich, Frankowskich... ci zaś na wyścigi szyli chorągwie, przygotowywali rozmaite manifestacyjne emblematy, obrazy, portrety bohaterów dawnej Polski; drukowali patryotyczne pieśni i wiersze...

Drobne manifestacje, w których przeważnie brała udział niedorośła młodzież, nie ustawały. W wigilię nowego roku wybito okna w mieszkaniu marszałka szlachty, hrabiego Uruskiego, za wydanie balu; za toż samo wybito okna u marszałkowej Kuczyńskiej. Głośno zaś powtarzano, że za parę tygodni odbędzie się manifestacja w wielkim stylu.

W tym czasie jeden z deputatów spotkał na ulicy młodego chłopaka, swego znajomego z Petersburga, należącego do ultra-czerwonych, i wstąpili dla rozmówienia się do winiarni.

— Słyszałem, że jesteś członkiem deputacyi — zaczął młodzieniaszek — nie macie co lepszego robić...

— Pobądź no z nami jeszcze z parę tygodni, a zobaczysz co będzie! Przejdziemy całą Warszawę z chorągwiami!

Wszystko już przygotowane, jak się należy! Urządzimy niebywałe widowisko.

Ten, do którego to mówiono, chciał pozostać dla przypatrzenia się tej niebywałej rzeczy; lecz jeszcze tego samego dnia został uwięziony wraz z innymi deputatami i wydalony za granice Królestwa, gdzie ich wszystkich z polecenia namiestnika uwolniono, zalecając, by każdy wracał skąd przybył, nie chwając się ze swej warszawskiej wyprawy. Nikt nie został pociągnięty do dalszej odpowiedzialności.

Na parę dni przed uwięzieniem i wywiezieniem deputatów z Warszawy, zaprosił ich pewien bogaty obywatel ziemski na ucztę w hotelu Saskim. Ludzi zebrało się ogrom, pod koniec wszyscy byli w nieco podnieconych humorach i, jak w takich wypadkach zwykle bywa, stali się bardziej szczerymi i otwartymi. Wypowiadano niezliczone kombinacye i wnioski co do rozpoczynających się manifestacyi i ruchu rewolucyjnego. Większość szermierzyła językiem na nótę patryotycznych, lecz nieziszczalnych mrzonek. Jeden tylko stary szlachcic siedział mileżąc w fotelu, popijał zwolna węgryzna i mrucał pod nosem, ale tak, aby go inni mogli słyszeć: »Ej! ej, panowie, nasza pora minęła i nie wróci. Jam nie gorszy patriota od was, zarówno niecierpię Moskali i życzę, żeby ich dyabli wzięli — lecz niestety — oni nas pobijają! Pamiętajcie moje słowa, pobijają. Musimy ustąpić im miejsca na widowni politycznej. Niech oni działają, my zaś pozostaniemy widzami. Myśmy już swoją rolę skończyli dawno, a skończyliśmy dlatego, żeśmy się pozbyli zasobów wiary, która u Moskali żywa jest i pełna. Do nich niestety należy przyszłość, gdyż, wiercie mnie staremu, wiara nie rozum zwycięża!« Niektórzy, słysząc to, pozwieszali smutnie głowy, lecz poważna większość mówiła: »At, podpił stary i plecie od rzeczy!«

I w rzeczy samej, skrajnie-czerwone stronnictwo wszystko przygotowało dla wywołania tłumnej manifestacyi; umiarkowańszy zaś odcień, podrażniony lekceważącym zachowaniem się białych i biernem odrzuceniem projektu, jaki obmyślili właśnie

dla uspokojenia gorętszych wśród siebie żywiółów; napastowany ciągle wymówkami o obojętność dla sprawy narodowej; nie wiedząc ostatecznie co począć, połączył się z manifestantami, wychodząc z tej błędnej zasady, że lepiej, chociażby na próżno, zginąć za sprawę ogólną, niż nosić na sobie podejrzenie odstępstwa, braku uczuć patryotycznych i tchórzostwa; niż być potępionym przez wszystko, co nie spi i jeszcze żyje w kraju. Jurgens, jak było do przewidzenia, znalazł się także w ich liczbie i wspólnie z wczorajszymi przeciwnikami, zaczął obmyślać i przygotowywać wszelkie szczegóły niebezpiecznego przedsięwzięcia, i z wolna wyszedł na głównego wodza całej awantury. On rozliczał, że przy pomocy swych stronników potrafi zebrać na danym punkcie miasta do dwóch tysięcy osób; inne kółka obiecywały przyprowadzić co najmniej drugie parę tysięcy; miasto zaś samo, choćby przez ciekawość, coś dorzuci, tak, że zbierze się tłum, który cały zaaresztować nie da się. To nie Asnyk z malcami u św. Krzyża. Gdyby zaś zaszło jakie starcie z wojskiem, tem lepiej; wówczas bez żadnych adresów Petersburg się dowie, jak rzeczy właściwie stoją. (Motywa podane przez Aweyde).

Gdy już rzecz cała była przygotowana, umiarkowańsi zaproponowali, ażeby raz jeszcze popróbować układów z białymi. Wysłano więc ponownie deputację do komitetu Towarzystwa rolniczego, z szczegółowem wyjaśnieniem stanu rzeczy i z prośbą, ażeby dla zapobieżenia łatwo wyniknąć mogącej katastrofie zdecydowano się na wysłanie do cesarza adresu z wyrażeniem ogólnych żądań kraju, a mianowicie: polskiego uniwersytetu w Warszawie, lepszego sądownictwa i chociażby już tylko wprowadzenia statutu organicznego.

Komitet Towarzystwa rolniczego oświadczył, jak przedtem, że wszystkie te postulaty przedłoży na zebrać się mającem ogólnem zgromadzeniu Towarzystwa i doloży ze swej strony wszelkich usiłowań, ażeby uczynić zadosyć wyrażonym tu żądanom.

Po otrzymaniu takich zapewnień, przewódcy partii czerwonych zdecydowali się oczekiwać w spokoju na zwołane już ogólne zebranie członków Towarzystwa.

Wtem dnia 8. lutego uwięziono Majewskiego, a w kilka dni potem Denela. Wzburzyło to i zaalarmowało czerwonych. Skrajni wylamali się z karności i krzyczeli, że gdyby biała zaraza nie przeniknęła do ich grona, gdyby nie zmarnowano Bóg wie na czem, tyle drogiego czasu, i manifestacya projektowana, ów niewidziany koncert nad koncertami, jużby się odbyła, rząd musiałby zrobić ustępstwa, a Majewski i Denel byłiby wśród swoich! Gdyby zaś nawet przyszło do otwartego starcia i rząd zwyciężył, to wówczas Polacy wiedzieliby przynajmniej, czego się trzymać i jaką drogą nadal mają postępować. Tak zaś, jak jest obecnie, we wszystkim panuje niepewność, wahanie, bezmyślna cisza i spokój bezcelowy. Trudno nawet wystawić sobie głupszego położenia.

Wśród takiego rozdrażnienia czerwonych i młodzieży zwołane zostało przyobiecane ogólne zebranie członków Towarzystwa na dzień 21. lutego 1861¹⁾ roku. Towarzystwo, rozpatrzywszy się w sytuacji, nie uznało za stosowne podawanie już teraz adresu do cesarza, owszem sądziło, że krok taki mógłby raczej powstrzymać rozwijające się wypadki. Reformy i bez adresu przygotowują się i zostaną wprowadzone; do tego popycha rząd siła zbiegu różnych okoliczności, sympatya dla Polaków samego cara i rosyjskiej inteligencji. Fał, poruszających umysły w całej Rosyi, powstrzymać się nie da, ale też nikt o to się nie kusi... Daleko więc roztropniej zachować się spokojnie, oczekiwać biegu naturalnego wypadków i nie drażnić ani cesarza, ani opinii w Rosyi.

Mogliby byli Zamoyski i komitet odezwać się inaczej gdzieś prywatnie, w domu u którego z zaufanych, lecz nie na publicznych zebraniach, w pałacu Namiestnikowskim, pod

¹⁾ Podług Spasowicza miało się zjechać do 1500 członków.

okiem komisarza rządowego, nieodstępnie obecnego na wszystkich posiedzeniach Towarzystwa rolniczego.

Muchanow, główny sprawca, że zezwolono na zawiązanie Towarzystwa rolniczego, czuł się moralnie wobec rządu za nie odpowiedzialnym i tem baczniej śledził za wszystkim, co się w łonie jego dzieje, szczególnie od czasu, gdy się rozpoczęły manifestacye. Wiedział on i widział doskonale, kto się narzuca na doradcę i kierownika jego ulubionego dziecięcia. (*Giller* otwarcie powiada, że czerwoni starali się wciągnąć Towarzystwo rolnicze do swoich *miarów*, skłonić je do założenia protestu przeciw wszelkim obostrzeniom ze strony rządu, i w końcu doprowadzić do podania adresu do cesarza).

Odpowiedziano więc czerwonym, że Towarzystwo nie może narażać swego istnienia i do pewnego stopnia powierzonych sobie interesów kraju. Ono zajmuje się przeważnie sprawami ekonomicznymi i rolniczymi, a wszelkie inne sprawy nie wchodzą w zakres działania Towarzystwa.

Odpowiedź ta, a szczególniej ton, w którym była dana, wywołała oburzenie czerwonych, natychmiast więc postanowiono przekonać szlachtę, że oni «czerwoni» nie są żywiółem tak nieznaczącym w kraju, jak sądzą ci «urodzeni wodzowie i kierownicy społeczeństwa, którym jakoby powierzone zostały jego interesy!» że oni, chociaż młodzi i niedoświadczeni, jednak przedstawiają siłę, z którą koniecznie liczyć się potrzebują nie tylko «zmartwiałe mięty, osad i pleśń narodu», lecz nawet i rząd, dzierzący w ręku władzę.

Uchwalono więc zerwanie stosunków z białymi wszelkich odcieni i wywołanie wielkiej jakiej manifestacyi. Omówiono jej plan ostateczny i gorączkowo przystąpiono do jego wykonania.

Stan średni, burżuazya warszawska, wiedząc o zamysłach młodzieży i widząc całe ich niebezpieczeństwo i cel chybiony, głośno się odzywali, że obowiązkiem jest starszych zapobiedz i niedopuszczyć do wykonania tego, co uważają za szkodliwe dla kraju. Należy więc przedewszystkiem uspokoić zapalonych, a to się nie da skutecznie inaczej, jak tylko przez wystoso-

wanie adresu do cesarza; a więc napisać adres i wysłać go do Petersburga bez względu, co powiedzą na to hr. Zamojski, Towarzystwo rolnicze, oraz ich satelici, zebrani w Warszawie.

Gdy jednak przyszło do zredagowania adresu, nie umiano dać sobie rady; zbierano się bez przerwy, rozprawiano i radzono hałaśliwie, jednak do żadnego praktycznego rezultatu nie doprowadzono. Wybrano komitet, lecz i ten adresu nie zredagował.

Wśród tych daremnych usiłowań różnych kół, a po części i Towarzystwa rolniczego, pewnego dnia przybył do Kraszewskiego Zygmunt hr. Wielopolski, najstarszy syn margrabiego, z oświadczeniem, »że po mieście obiega pogłoska, jakoby jakieś grono osób układało adres do cesarza, i nie może się zgodzić na jego ostateczną decyzję. Tymczasem, każda chwila jest drogą, czerwoni wszystko mogą sparaliżować przez manifestację, z którą zamierzają wystąpić w dniu 25. lutego; na wypracowanie tak ważnego aktu niema dosyć czasu i spokoju, taka rzecz nie da się napisać na kolanie. Otóż on w imieniu ojca oświadcza, że adres taki jest, od dawna spokojnie obmyślany i napisany, że gdyby ten adres zyskał uznanie i został przyjęty, margrabia gotów z nim jechać do Petersburga i ręczyć wszystkim za pomyślny skutek.«

Kraszewski przyrzekł zwołać w tym celu swoich znajomych.

Jak to urządził, czy zaraz, czy nazajutrz, dokładnie nie wiadomo; w każdym razie nie zwłóczył, gdyż czasu nie było do stracenia.

Adres Margrabiego, była to obszerna praca, w której wiersz każdy, niemal frazes i słowo każde, było obmyślane i rozważone. Praca nie dnia jednego ani miesiąca, ale praca lat całych, rozpoczęta jeszcze w 1856 roku, a ukończona w dopiero co opisane chwile burzliwe. Adres zaczynał się od wyrażenia monarsze głębokiej wdzięczności za wszystko, nadane Polakom od czasu jego pierwszej bytności w kraju. Następnie upraszał o puszczenie w niepamięć przeszłości, o zaufanie szcze-

rzym intencyom ludności, a tylko z daleka i delikatnie wspominał, że miejscowe władze Królestwa nie w zupełności zastosowały się do wspaniałomyślnych obietnic, wypowiedzianych przez cesarza dnia 27. maja 1856 roku w Łazienkach, i dlatego dotychczas kraj nie posiada właściwego organu, za pośrednictwem którego mógłby przedstawić monarsze swe żywotne potrzeby, i który mógłby być tych potrzeb orędownikiem u tronu. — (*Lisicki* tom II, str. 24—37).

Zebrani u Kraszewskiego zauważyli, że mimo wielu znakomych zalet, w adresie margrabiego jest potępienie 1830 roku, jakkolwiek, nie bardzo surowe ale stanowcze; zawsze potępienie, na które Polakowi trudno się zgodzić i to jeszcze w jakiej chwili? gdy w kraju gotują się do powstania stokroć nieogłędniejszego i nieroztropniejszego, a jednak znajdują szerokie i gorące poparcie... tak, że należy się spodziewać, że powstanie prędzej do skutku przyjdzie, jak nie... Chyba, żeby to jakoś zmienić, złagodzić, albo najlepiej zupełnie opuścić te wszystkie niedogodne ustępy?...

— Ani zmienić, ani wyrzucić nie się nie da, gdyż cała praca stanowi organiczną całość, którą w całości przyjąć, albo też odrzucić można — oświadczył obecny na zebraniu syn margrabiego.

— A więc próżna dalsza dyskusya, gdyż to nie doprowadzi do żadnego rezultatu — odezwał się ktoś z obecnych.

Hr. Zygmunt odebrał adres i wrócił do domu. Wszakże dumny i uparty margrabia, przyzwyczajony od dawna iść na przebój w życiu, nie opuścił rąk po tem pierwszym niepowodzeniu i spróbował szczęścia u białych. Łączyły go dosyć ściśle stosunki z Tomaszem hr. Potockim, więc poprosił go o toż samo, o co prosił Kraszewskiego, to jest, by zebrał kółko swych poważniejszych znajomych i odczytał im przygotowany adres. Potocki zaprosił, kogo uznał za stosowne, i posłał do margrabiego po adres, lecz ten osobiście przybył do hr. Tomasza. Gospodarz nie wprowadził go jednak na zebranie, lecz sam przedstawił tę pracę zgromadzonym. Rozpoczęła się dy-

skusya; uwagi przeważnie były niechętne; gdy jednak projekt znalazł także zwolenników, gorące rozprawy trwały do 4-tej rano. Ostatecznie większość oświadczyła się przeciw adresowi.

Margrabia oczekiwał wyniku w gabinecie gospodarza.

— Robilem, co mogłem, bracie! i wszystko napróżno! — rzekł gospodarz, wchodząc o piątej rano do dobrowolnego więźnia. Na twarzy Wielopolskiego nie drgnął żaden mięsień, nie przemknął nawet cień jakiegoś niezadowolenia lub wzruszenia. Milcząc, włożył papier do kieszeni i, uściśnawszy rękę gospodarza, odjechał¹⁾. W myśli atoli dodał: »Stało się; w domu, między swoimi wszystkich dróg próbowałem, napróżno; teraz nie pozostaje nic innego, jak pomówić z Moskałami.«

Tymczasem generał Jolszyn, naczelnik trzeciego okręgu żandarmskiego, uwiadomiony przez żonę swą Polkę o wielu rzeczach, które się działy lub które się przygotowywały w mieście, ostrzegł namiestnika, że na 25. lutego przygotowuje się jakaś demonstracya na polach Grochowa, jakiś obchód żałobny na ogromną skalę, i doradzał, by zawczasu obmyśleć kroki w celu niedopuszczenia do tej demonstracyi.

¹⁾ W *Więstniku Europy* za luty 1881 r. i dziele swem o Wielopolskim, Spasowicz na podstawie opowiadań Jurgensa podaje: że u Tomasza Potockiego na długo przedtem zbierali się mężowie zaufania w liczbie 16, wybrani z Towarzystwa rolniczego, dla rozpatrywania i decydowania wszystkiego, co się odnosiło do działalności partyi czerwonych w kraju. Ciż sami mężowie zaufania rozpatrywali i adres Wielopolskiego, wszakże na zebraniu tem było kilka innych, wybitniejszych osób, zaproszonych przez Potockiego. — *Lisicki*, „Le marquis Wielopolski“, tom II, str. 129—140 i *Jeziorski*, „Pamiętniki“, tom I, str. 42—44, mówią, że Potocki przedstawił i bronił projektu adresu w mieszkaniu hrabiego Andrzeja dnia 27. lutego 1861 roku. *Jeziorski* dalej przytacza, że Wielopolski, gdy mu powiedziano, że projekt jego nie został przyjęty, miał się odezwać: „postąpili głupio i niepraktycznie. Adres, jakiego się im zachciewa, obrazi cesarza... w żaden sposób nie chcą zrozumieć, że panowanie ich chwilowe, a zwycięstwo ich to tylko pozorna wygrana i nic więcej!“ *Lisicki* dodaje, że Wielopolski przytem powiedział: „Towarzystwa rolniczego nie ocala i kraj zgubią!“

Gorzaków zaraz posłał po szefa tajnej policyi, i zapytał go co do tylko co otrzymanej, wiadomości. Jeneral Paulucci, od pewnego czasu zachowujący się nader dwuznacznie, niewiadomo, czy wiedział co, lub czy też zupełnie nie wiedział o tem, co się przygotowywało, upewnił wszakże Gorzakovą, »że wszystko jest spokojne, a strachy są wytworem bujnej imaginacyi Jolszyna«¹⁾.

Na takie zaręczenie Paulucciego, Gorzaków oświadczył Jolszynowi, że obowiązkiem żandarmeryi jest zapobieganie rzeźwistemu, a bynajmniej nie wymyślanie płonnych strachów.

Po wysłuchaniu takiej wymówki, Jolszyn podał się do dymysyi i został uwolniony dnia 20. lutego 1861 roku z po-

¹⁾ Margrabia Amilkar Paulucci, rodem z Włoch i katolik, po ukończeniu nauk na uniwersytecie w Modenie i następnie w tamtejszej wojennej akademii, zaciągnął się do wojska Modeńskiego, z którego przeszedł do służby rosyjskiej, wszakże poddaństwa rosyjskiego nie przyjął. Zamianowany oficerem w 21-szym roku życia, brał udział w wojnie polskiej, i za odznaczenie się w boju został przeniesiony do gwardyi. We wrześniu 1832 roku zostaje adjutantem jeneral-adjutanta hr. Kreutzta, dowódcy drugiego korpusu armii, z przeniesieniem do linii. W 1836 roku, za wyszczególnienie się w służbie, ponownie zaliczony do gwardyi, z pozostawieniem na tem samym stanowisku, na którym w 1844 roku dosłużył się stopnia kapitana gwardyi.

W tym czasie zawakowała posada szefa tajnej policyi w Warszawie. Paskiewicz, wiedząc już z doświadczenia, jak dobre usługi na takich stanowiskach oddają cudzoziemcy, zaproponował Paulucciemu objęcie tej posady. Paulucci oświadczył, że najchętniej przyjąłby ten obowiązek, lecz względ na żyjącą jeszcze we Włoszech staruszkę matkę, zmusza go na razie do nieprzyjęcia propozycyi. — Przecież wicznie żyć nie będzie — powiedział feldmarszałek i nie obsadzał opróżnionej posady. Gdy w 1845 r. sztab drugiego korpusu opuszczał Warszawę, Paskiewicz przeniósł Paulucciego do głównego sztabu czynnej armii. W miesiąc potem Paulucci zameldował namiestnikowi, że właśnie otrzymał wiadomość o śmierci matki, i że od tej chwili jest na rozkazy księcia feldmarszałka; wskutek czego tegoż samego dnia został zamianowany urzędnikiem do szczególnych poruceń przy głównodowodzącym (5. czerwca 1845 r.). W tym charakterze odbył przy boku Paskiewicza kampanię węgierską, i następnie wrócił do War-

zostawieniem w polowym audytoryacie. (*Gazeta rządowa Królestwa polskiego* 1861 rok, nr 61, str. 378) ¹⁾.

Jednakże Kotzebuemu, Muchanowowi i ober-poliemajstrowi miasta Warszawy udało się przekonać księcia Gorczakowa, że w mieście przygotowuje się żałobna manifestacya na dzień 25. lutego. Gorczaków zapytał Petersburg, jak się ma zachować w razie, gdyby projektowane na polach Grochowa nabobożeństwo miało przyjść do skutku? — Podobno odpowiedź miała brzmieć: »Niech się modlą za swoich, a wy odprawcie nabożeństwo za naszych poległych.«

szawy, spełniając wszelkie dawane mu poruczenia gorliwie, pomysłowo i ogłędnie, za co, oprócz stopnia pułkownika, otrzymywał liczne ordery od wszystkich trzech dworów rozbiorowych.

Gdy ks. Gorczaków został namiestnikiem i naczelnym wodzem pierwszej armii (w marcu 1856 roku), Paulucci pozostał na dawnym stanowisku, lecz znacznie osłabił w gorliwości. Mimo to miał zaufanie swego nowego przełożonego, w sierpniu 1856 r. awansował na generała.

Po pierwszych manifestacyach 1859 roku zaczął okazywać szczególniejszą opieszałość a nawet wprost kokietowanie z Polakami, gdy jednocześnie jego właściwa ojczyzna, nowe Włochy, podawały rękę wszelkim rewolucyonistom świata, a zatem i polskim.

Raz w rozmowie z generałem Sawinem odezwał się: „A co? jacy Polacy! ciekawym, co teraz z nimi zrobicie?“ — Dlaczego nie powiadasz „zrobimy“ — zauważył Sawin. — Bo jestem Włochem, złożyłem waszą służbową przysięgę, lecz nie przyjąłem waszego poddaństwa!

W końcu Paulucci tak się stał opieszalszym w służbie, że rząd był zmuszony dodać mu pomocnika w osobie pewnego Podwysockiego, który w 1853 i 1854 służył w armii południowej, lecz wskutek podejrzeń wydalony z wojska, dostał się do komisji wyznań i oświaty w Warszawie, gdzie rozkazem namiestnika z dnia 24. maja 1861 roku powołany został na to nowe stanowisko.

¹⁾ Następnie generał Jolszyn został komendantem Dynaburga, lecz i tam mu się nie wiodło. W kwietniu 1863 roku wysłał z nieliczną eskortą transport broni i amunicyi, który pod wsią Krzesławką został zabrany przez powstańców. Murawiew nieogłędnego komendanta oddał pod sąd wojenny, czem Jolszyn tak się zirytował, że ze wzruszenia śmiertelnie zachorował i już z tej choroby nie wyszedł.

O odpowiedzi tej, prawdziwej czy zmyślonej, wnet wieść rozbiegła się po mieście. Rosyanie zastanawiali się, w jaki to sposób uda się w jednym miejscu urządzić jednocześnie nabożeństwa dwóch różnych wyznań i w imieniu dwóch różnych narodowości? Rozprawiano o tem i w rosyjskim klubie. Lecz sama przyroda przysłała w pomoc rozwiązaniu tego trudnego zadania. Wskutek silnej odwilży, lód na Wiśle w wielu miejscach ruszył, z czego korzystając policya nakazała sprowadzenie mostu łyżwowego. W istocie 23. lutego Wisła ruszyła i komunikacya między Warszawą a Pragą została przerwana. Wówczas to Jurgens przeniósł pole działania na Stare miasto, owo tradycyjne »serce Warszawy«, jak się wyraża Aweyde.

Jest jakaś powaga w tem Starem mieście miasta Warszawy. Tutaj początki dawnej, starożytnej Warszawy, stolicy książąt mazowieckich. Lubownik starożytności przepędzić tam może niejedną godzinę na rozglądaniu się po tych oryginalnych, wysokich a wązkich domach, po tych szczególnych przyczółkach, bogatych w różne starożytne ozdoby i postacie świętych. Domy te ścieśniają się w cztery ściany równoległoboku, na którym skupiały się przed laty — główne życie i ruch stolicy. Wejścia do tych domów o dwóch, a nawet o jednym oknie, przypominają raczej furtki forteczne niż drzwi nowoczesne, tak są zamczysto a zarazem sztucznie i ozdobnie okute. Nad każdym wejściem umieszczone jakieś godło: okręt, lew, krzyż... wszystko to niegdyś bywało świadkiem lepszej, świetniejszej przeszłości, niepowrotnych sławnych czasów Polski. Nic więc dziwnego, że każdy Polak, biały czy czerwony, pogodzony lub oporny Rosyi, jeśli w piersi nosi serce a nie kawał drzewa, gdy się znajdzie na runku Starego miasta, doznaje dziwnego uczucia; z martwych powstaje przeszłość jego, w oczach się roją, Bóg wie, jakie widziadła i marzenia, a łza wilży powieki.

Rosyanie zaś mogą przypomnieć, że na tym placu rozległo się właśnie sławne »słyszę« Tarasa Bulby. (Z powieści małoruskiej M. Gogola).

Obecnie Stare miasto jest sobie zwykłym rynkiem, zapełnionym osobliwzszymi sklepikami i straganami przekupek i tan-deciarzy. Gwar i krzyki przekupniów i drobnych handlarzy wszystko zagłuszają. Ruch tam wre ciągly od rana do nocy. Na środku placu wznosi się statua Syreny z szablą w ręku, herb miasta Warszawy, godło, zdobiące wszelkie miejskie studnie i fontanny. I tu Syrena chroni wodotrysku.

Warszawianie prawdziwie kochają się w swem Starem mieście; mieszkańcy tej części miasta, tak już przywykli do swych mieszkań, że prawie się z nimi nie rozstają. Gdy o św. Janie, lub św. Michale, zwykłych terminach wynajmowania mieszkań, ulice Warszawy roją się od wozów, przewożących meble i ruchomości — Stare miasto wcale nie odczuwa tej gorączki, w niem niezamącony spokój panuje.

Zrozumiemy więc dlaczego, gdy wyprawa na pola Grochowa napotkała na niezwalzone przeszkody, Jurgens się zwrócił do Starego miasta.

Gdy wreszcie do grona przywódców przyłączył się wypuszczony dnia 20. lutego z cytadeli Karol Majewski, cały ruch jeszcze się bardziej ożywił. W całej Warszawie mówiono o przygotowującej się manifestacji, jakby o jakim balu publicznym. Z rąk do rąk przechodziło następujące drukowane wezwanie:

»Wzywamy was bracia, do jak najliczniejszego zebrania się dnia 25. lutego, w poniedziałek o godzinie pół do szóstej wieczorem na rynku Starego miasta, w celu uroczystego obchodu trzydziestoletniej rocznicy zwycięstwa Polaków na polach Grochowa!«

Odezwę tę nietylko rozdawano przechodniom, lecz i rozlepiano po rogach ulic tak jawnie, że policya przyłapała na gorącym uczynku ucznia szkoły sztuk pięknych, z pędzlem, kłajstrem i odezwami.

Zdawałoby się więc, że rząd z wszelką łatwością mógł przeszkodzić manifestacji. Wszak najdokładniej było wiadomem, gdzie, kiedy i co ma nastąpić.

Lecz książe Gorczaków dla jakichś wyższych względów nie kazał zaczepiać nikogo, ani dochodzić źródła odezw, oczekując biernie rozwoju dalszych wydarzeń¹⁾.

Policya już i bez tego silnie zdemoralizowana, widząc takie folgowanie rządowi, opuściła zupełnie ręce i dozwoliła wysłańcom Jurgensa i Majewskiego uprzatnąć z rynku wszystkie żydowskie budki, jatki i stragany, wszystkie stoły, ławy i koszyki. Ober-policmajster, nauczony świeżym przykładem generała Jolszyna, machnął na wszystko ręką i ani troszczył się o to, co się działo na Starem mieście.

Ku wieczorowi tłumy ludu ze wszech stron popłynęły na rynek, i gdy wkrótce w natłoku ruszyć się prawie nie można było, wówczas wystąpiła policya, wzywając przybyłych do rozejścia się. Ma się rozumieć, że nikt nie myślał o usłuchaniu wezwania. Łobuzy wdawali się z policyantami w dysputy. Gdy zapytywał którego: »Czego tu stoisz?« odbierał odpowiedź — »A sam czego stoisz?« — »Ruszaj, nie wolno się zatrzymywać.« — »Cóż to? nie wolno stać na ulicy! a gdzież to napisano?«

Podobne przekomarzenia toczyły się na różnych punktach, często wśród żartów i poufalej rozmowy samychże policyantów z publicznością, którzy także byli radzi, że się coś »na złość Moskałom« urządzi, jak wtedy powszechnie mówiono.

Zresztą należy dodać, że w tych warunkach, nawet przy najlepszych chęciach, policya była za słabą, by coś poradzić mogła. Na kilkotysięczne, ciągle 'wzrastające tłumy, cóż znaczyła setka policyantów; oni formalnie zniknęli w tem zbiegowisku²⁾.

¹⁾ Hrabia Kotzebue mówił autorowi, że na to postanowienie namiestnika głównie wpływały wskazówki jego stryjecznego brata, księcia kanclerza, który prawie w każdym swym liście powtarzał: *ne faites pas de ces petits desordres une question politique et diplomatique*.

²⁾ W początkach 1861 r. skład policyi wynosił: stójkowych 500; podoficerów 27; wachmistrzów 6; naczelnik, oficer sztabowy 1; rewirów 120; komisarzy 11 — razem 665 ludzi. (Ze źródeł urzędowych).

Podczas tego na Zamku naradzano się: »co robić?«

Oberpolicmajster radził wysłać stojące na placu zamkowym wojsko i rozpedzić zbiegowisko siłą. (Od ulicy Świętojańskiej do Zjazdu stał batalion piechoty, sotnia kozaków i dwa plutony żandarmów). Książę Gorczaków polecił wszakże oberpolicmajstrowi, by przedewszystkiem osobiście sprawdził, co się dzieje na Starem mieście, i czy koniecznie potrzeba będzie uciec się do tak energicznych zarządzeń.

Pułkownik Trepow pojechał powozem, lecz znalazłszy się wśród zbiegowiska, wysiadł i śmiało wszedł w tłum. Powiadają, że spotkała go tam niemiła przygoda... czy naprawdę, na pewne twierdzić trudno — lecz zaraz po mieście przyspiewywano, że:

Na Starem mieście, przy wodotrysku,
Pan policmajster dostał po pysku.

Ma się rozumieć, że pułkownik wrócił pospiesznie na Zamek i doniósł namiestnikowi, że bez użycia siły porządek nie da się przywrócić.

Wówczas dopiero książę Gorczaków upoważnił go do rozpedzenia tłumów przy pomocy żandarmów.

W tym samym czasie kierownicy manifestacyi: bracia Frankowscy, Szachowski, Nowakowski, Wasilewski (naczelnicy przywódcy, jak Jurgens, Majewski, Godlewski nie pokazywali się wśród tłumów), w otoczeniu co najrezolutniejszych i roztropniejszych rzemieślników i czeladzi, wyruszyli procesyą z kościola księży Paulinów (róg Freta i Długiej) ku rynkowi, poprzedzani chorągwią narodową (którą niósł szewc Poradowski) i drugą z wyobrażeniem Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz innemi chorągwiami o barwach narodowych. Śpiew patriotyczny i po raz pierwszy rozwinięty sztandar z białym orłem, wywołały entuzjazm nie do opisania. Wszystko rzuciło się ku chorągwi. Policyjanci, którzy w tej chwili poczuli się takimiż Polakami, jak zebrane tłumy, dali pokój ulicznikom i zespolili się uczuciami, a nawet okrzykami z ludem, który

zwolna, poprzedzany sztandarem, ruszył w kierunku ulicy Świętojańskiej ku Zamkowi. U Zapiecka, na początku ulicy Świętojańskiej, tłum spotkał się z żandarmami Trepowa. Nastąpiło krwawe starcie. Chorągiew, wyrwaną Poradowskiemu, podjął student Przesmycki, od którego ją ostatecznie odebrano. W końcu tłum ustąpił, pozostawiając na placu, jako trofea, polamane chorągwie i niedopalone pochodnie. U ośmiu uwięzionych, między którymi nie było nikogo z wybitniejszych osobistości, znaleziono proklamacye Mierosławskiego i portrety Kilińskiego, szewca i pułkownika Kościuszkowskiego, ofiarowane »braciom rzemieślnikom i braciom chłopkom na pamiątkę uroczystego obchodu zwycięstwa, odniesionego przed 30-stu laty nad Rosyanami, przez ojców ich na polach Grochowa.«

Niepomyślny rezultat wystąpienia nie zniechęcił wcale manifestantów. Postanowili powtórzyć widowisko dnia 27-go lutego, urządzając procesyę z Leszna przez Stare miasto, ulicę Świętojańską ku Zamkowi, dalsze działanie pozostawiając okolicznościom.

Nie drukowano ani też nie rozlepiano żadnych wezwań, tylko ustnie wydano hasła, gdzie należało. Tymczasem zaś z oburzeniem powtarzano o barbarzyństwie Rosyan, napadających i mordujących bezbronnych ludzi. Na wzór Węgrów z 1848 roku, nastrzępiono cylindry na znak żaloby.

Policya dowiedziała się jednak, że się coś przygotowuje u Karmelitów na Lesznie. Postawiono tam strażę, a gdy lud zaczął się gromadzić, oberpolicmajster udał się osobiście na Zamek i zażądał od namiestnika rozkazów.

Polecono mu, by z plutonem piechoty i z oddziałem policji stanął przy kościele Karmelitów na Lesznie. Jeśli się tam będzie odprawiać tylko żałobne nabożeństwo, chociażby z towarzyszeniem hymnów patryotycznych, to nie przeszkadzać i nikogo nie zaczepiać. W razie wyruszenia procesji, postępować za nią spokojnie.

Gdy się to działo na mieście, Towarzystwo rolnicze odbywało swe obrady w pałacu Namiestnikowskim. Prezes To-

warzystwa, uważając, że położenie nie jest zupełnie bezpieczne, a przytem chcąc okazać, że się Towarzystwo nie łączy z ulicznymi zajściami, zażądał¹⁾ od namiestnika ochrony wojskowej, na wypadek najścia Towarzystwa z ulicy, czego się obawiano. Namiestnik polecił oberpolicmajstrowi uczynić zadosyć temu żądaniu.

Trepow wysłał do pałacu Namiestnikowskiego batalion piechoty i kilku żandarmów z ordonanshausu, sam zaś udał się na Leszno, jak miał polecenie.

Gdy przybył na miejsce, kościół był już natłoczony publicznością: studenci, akademicy, uczniowie różnych szkół, rzemieślnicy i młodzież cywilna w żalobie. Odprawiało się nabożeństwo za poległych w 1831 roku. Nie zaszło nic podburzającego. Jedyne zaczęto śpiewać bez księży suplikacje, potem jakąś antyfonę do Matki Boskiej. Po skończonem nabożeństwie, kilknaście głosów krzyknęło: »Obywatele miejscy i wiejscy, wiwat! Dziękujemy wam!« Zaraz jednak ktoś stłumił okrzyki uwagą, że to kościół. Hymnów zupełnie nie śpiewano.

Po nabożeństwie, koło godziny jedenastej, lud wyruszył z kościoła w procesyi z kościelnymi chorągwiami, kierując się przez Przejazd na ulicę Długą. Kierownicy (także nie główni) wolali na przechodniów: »Panowie! prosimy na środek!« Spotykanych w powozach proszono, by wysiedli i szli za procesją; wielu zastosowywało się do żądania. W ten sposób tłum postępujący wciąż wzrastał. Na Lesznie nie było więcej jak tysiąc osób; gdy się zbliżali do Długiej, już się zebrało do trzech tysięcy, w końcu obliczano tłum na sześć tysięcy ludzi.

Za procesją, podług polecenia namiestnika, postępował pluton piechoty.

Z ulicy Długiej procesya skręciła na Gołębią i tu, uszykowawszy się przed kościołem księży Paulinów, zaintonowała *Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny!* Wszyscy obecni odkryli głowy. Toż samo zrobili żołnierze eskor-

¹⁾ Fałsz. — *Przypisek tłumacza.*

tujący procesyę ¹⁾. Ze śpiewem tym ruszono na Stare miasto, gdzie z któregoś okna podano duży obraz Matki Boskiej. W ulicy Świętojańskiej rozdawano z okien krzyżyki i obrazki świętych; młodzież zawieszała je na laskach i niosła potem na ramieniu.

W zamku wiedziano o zbliżającej się procesyi i nakazano na placu zamkowym ustawić się wojsku, w sile batalionu piechoty i sotni kozaków, którymi dowodził Asaul Zawarów ²⁾.

Gdy procesya znalazła się u wylotu ulicy św. Jana, zagroził jej drogę Asaul Zawarów z pół sotnią kozaków i wezwał lud do rozejścia się. Zawarów przemawiał po polsku jak umiał, lecz nie chciano go słuchać i pchano się naprzód. Manifestacya zmieniła charakter; procesya znikła bez śladu, pozostał lud, tłoczący się ku kolumnie Zygmunta i Krakowskiemu Przedmieściu, gdzie chciano zapytać obradujące w pałacu Namiestnikowskim Towarzystwo rolnicze, czy to prawda, że zażądało ono ochrony wojskowej w obawie napaści własnych swych współrodaków?

Widząc Zawarów, że upomnienia skutku nie odnoszą, wydał rozkaz przypuścić na lud atak nahajkami (*udaryt' w nahajki*). Tłum jednak tak był w ulicy stłoczony, że nahajki nie poradzić nie mogły. Lud nieco się cofnął i stał nieruchomy. Na przodzie stało trzech jegomościów z obrazami, między któ-

¹⁾ Zeznanie Boguckiego, adjunkta z drugiego cyrkułu, złożone w sprawie „o zajściach z dnia 27. lutego 1861 roku w Warszawie.“ Dalszy opis przeważnie zaczerpnięty jest z tychże aktów, zawierających zeznania i sprawozdania różnych osób.

²⁾ Pułkownik Krywonosów zapisuje w swym dzienniku, że Gorczaków nie otrzymał z Petersburga ścisłych instrukcyi, jak ma postąpić w razie ponownych zbiegowisk. Podobno na depeszę, donoszącą o zajściach z 25. lutego, otrzymał odpowiedź: „Dobrze. Wydaj zarządzenia, jakie uznasz za konieczne. Oczekuję dalszych wiadomości.“ Trudno wszakże powstrzymać się od uwagi i zapytania: Po co te instrukcyje na każdym kroku? Paskiewicz nikogo nie pytał o takie drobności, ale, i tylko w razie zajść ważniejszych, donosił cesarzowi, jak i dlaczego co zarządził.

rymi i ów obraz Matki Boskiej ze Starego miasta. Zawarów nakazał kozakom odebrać te obrazy. Przy starciu, jakie nastąpiło, jeden ołtarzyk upadł i rozbił się na kawałki, dwa drugie gdzieś zniknęły, i znów wobec kozaków stał tłum ludu ścianą nieruchomą.

Może po kwadransie oddzieliła się z tłumu gromadka młodych ludzi, z powierzchowności wyglądających na wiejskich obywateli, i zbliżywszy się do Zawarowa, prosili o przepuszczenie ich na Krakowskie Przedmieście, gdyż podążają na posiedzenie Towarzystwa rolniczego, jako tegoż członkowie. Zawarów ich puścił, za nimi przeskoczyło kilkunastu innych, nie żądając już pozwolenia, i podażyło do tłumów, zebranych po drugiej stronie placu Zamkowego, przed kościołem księży Bernardynów, i śpiewających *Boże coś Polskę!*

Dla rozpedzenia tego drugiego zbiegowiska, Zawarów posłał drugą półsotnię swych kozaków z uradnikiem Czernobrowym.

Zaraz za kościołem OO. Bernardynów wznoszono wówczas gmach Resursy obywatelskiej. Na ulicy leżały stosy cegły i kamieni, przygotowane do budowy. Kozaków przywitał tłum tymi materiałami przy głośnym okrzyku »hura!« Czernobrow nadto zdał raport, że ktoś na kozaków rzucił butelką, podaną sobie z kościoła.

Po siedmiokrotnem uderzeniu na tłumy, kozacy przyszedli do przekonania, że są za słabi, nie tylko do rozpedzenia coraz to liczniej napływającego ludu, ale nawet do utrzymania go na wodzy.

Tego dnia w kościele OO. Bernardynów odbywał się pogrzeb urzędnika Łempickiego. Przed głównem wejściem do kościoła stał przygotowany karawan. Gdy wyniesiono trumnę z ciałem nieboszczyka i ustawiono na marach, wysunął się przed karawan dziadek kościelny z krzyżem i ksiądz, prowadzący kondukt. Kierownicy zaburzeń skorzystali z tego i przyłączyli się do pogrzebu, który ruszył przy śpiewie hymnów, przez kościół przepisanych.

Lecz kozacy Czernobrowa i przysłani im w pomoc w pół sotni Reutowa mieli wyraźny rozkaz nie przepuszczania żadnej procesyi. Zbiegli więc drogę konduktowi, przyczem i ksiądz i dziadek z krzyżem oberwali po plecach. Artyści manifestacyjni natychmiast skorzystali z tego i wnet rozległy się krzyki, pełne zgrozy i oburzenia: »Krzyże nam łamią, bezczeszczą świętość!« Słowa te w jednej chwili przebiegły ulicę i rozeszły się dalej, a krzyż złamany figuruje jako godło na medalach, broszurach i chorągwiach powstańczych.

W istocie zaś w tym dniu nie połamano nigdzie krzyża. Na dowód cytujemy z powyżej już przytoczonych aktów zeznania tych, którzy nieśli krzyże. Prawda i szczerość malują się w każdym ich słowie. I tak: dziadek kościelny, dymisyonowany żołnierz byłych wojsk polskich, 70-letni Franciszek Rosiński zeznaje: »Skropił mnie (kozak) parę zazy przez plecy nahajką, w krzyż atoli nie uderzył i nic z niego nie utracił.« Braciszek kapucyn, Roger Zawistowski, oświadcza: »Na krzyżu, który ja nosłem, odbito dwa ciernie z korony Pana Jezusa i palec wielki u prawej ręki Pana Jezusa, czego wprzód nigdy nie dostrzegłem.« Na dowód, że tak się stało, jak mówił, okazał komisyi krzyż z świeżo ulamanemi częściami.

Obaj zeznający towarzyszyli pogrzebowi na Powązki, niosąc w rękę krzyże też same, z którymi wyszli z kościoła, a które wrzekomo miały być połamane.

Dano znać namiestnikowi o położeniu kozaków przed kościołem OO. Bernardynów. Ten kazał wysłać jeszcze jeden pluton kozaków z sztabs-kapitanem Dolhijewem, a gdy to nie pomogło, polecił dowódcy muromskiego pułku, pułkownikowi Hartoungowi, by z dwoma kompaniami piechoty oczyścił ulicę. Była godzina druga po południu.

Hartoung poprowadził wojsko obydwooma chodnikami, lecz zaledwie zrównało się ono z kościołem OO. Bernardynów, kolumna, idąca lewym chodnikiem, została osypana kamieniami i błotem z za sztachet żelaznych, otaczających dzwonię, i z samej dzwoniicy — w końcu zaś od tłumu, skupio-

nego przed głównym odwachem. Mimo to piechota oczyściła ulicę aż do miejsca, gdzie się ulica zwęzłała, a gdzie obecnie znajduje się skwer, w miejsce zburzonych domów Malcza i innych. Wówczas pogrzeb mógł się ruszyć i, postępując tuż za wojskiem, doszedł do figury Matki Boskiej.

O jakie dwadzieścia kroków dalej wznosił się, występując na ulicę, trzypiętrowy dom Orgelbranda, znany powszechnie pod imieniem domu Malcza, za którym aż do kościola księży Karmelitów ciągnął się szereg domów, formujący z domami po drugiej stronie, gdzie się mieściły: apteka Hakebeila, hotel Saski i cukiernia Clotin'a, owo sławne wązkie Krakowskie przedmieście, miejsce zgonu jeszcze sławniejszych pięciu ofiar.

Tu atoli musimy na chwilę przerwać ciąg opowiadania i sprawdzić, co się jednocześnie działo w Towarzystwie rolniczem, które od kilku dni było zebrane na walne ogólne zgromadzenie.

Jako pierwszy przedmiot obrad, narzucało się z samej natury rzeczy, naprężone położenie miasta, wynikłe wskutek dziwnej i niewytłumaczonej pobłażliwości władzy wobec czerwonego warcholstwa. Należało jak najprędzej zdecydować się »co robić?« jakie stanowisko w obec manifestacyi zająć? Gorętsza część zgromadzonych odzywała się, »że jeśli i teraz, według zwyczaju, zaczną rozprawiać bez końca i nie powezmą jakich stanowczych postanowień i to natychmiast, na tem jeszcze posiedzeniu, to rzeczy mogą wziąć zły obrót. Rząd widocznie unika wszelkiego energicznego wystąpienia; igrą z ogniem; lud, z trudem dziś rozpedzony przez kozaków, zbierze się jutro, zbierze się po jutrze jeszcze w większych tłumach, i w końcu doprowadzi do starcia z wojskiem. Warszawa, a za nią kraj cały stanie wrogo wobec rządu; łagodnego i podatnego Górczakowa zastąpi jaki inny, energiczniejszy generał, i wówczas wszystko dotychczas uzyskane, napowrót zostanie stracone, reformy powstrzymane i mogą wrócić czasy Mikołaja i Paskiewicza. Po przegranej kampanii biali albo będą musieli

na długo wyrzec się wszelkiego dodatniego działania dla kraju, albo też zmienić barwę i zbliżyć się do czerwonych i wraz z Szachowskimi¹⁾, Nowakowskimi i Frankowskimi zejść na ulicę i po kościołach spiewać *Boże coś Polskę!*, złączyć się z tymi, przeciw którym na parę godzin przed tem zażądano²⁾ od namiestnika wojskowej ochrony.

Bądź co bądź, należy temu zapobiedz; chociażby wysłać na zamek deputacyę z przedstawieniem, czego mianowicie domagają się ci czerwoni. W żądaniach tych zresztą niemasz nic strasznego, a sama próba poparcia tych żądań może najzabawniejszą wpływ wyrzec na wszystkie, więcej umiarkowane żywioły w ich stronnictwie, na wielu z ich przewódców, którzy do niedawna byli prawie biali, a zwrócili się ku czerwonym jedynie dlatego, że widzieli brak zgody i harmonii w narodzie, wskutek lekceważenia przez białych usposobienia kraju.

Prezes, hr. Andrzej, zaczął oponować, wychodząc głównie z tej zasady, że »siła czerwonych tak długo jest siłą, dopóki rząd się nie ocknie; niepodobna zaś przypuszczać, by takie odretwienie trwać miało wiecznie. Przypuszczając nawet, że Gorczaków się nie zmieni, to pozostaje jeszcze Petersburg; stamtąd gdy nadejdą stanowcze rozkazy, w jednej chwili w całym kraju wszystko przybierze inną postać; znikną gdzieś te orły i chorągwie, te portrety Kilińskiego i Kościuszki, i odezwie Mierosławskiego.«

— Ładnie się to wszystko mówi — odparł któryś z gołętszych — ale czyż nie widoczne, że Petersburg tak samo postępuje jak Gorczaków³⁾...

Wtem drzwi się otwierają i na salę wprowadzają członka Towarzystwa, Józefa Narzymskiego, znanego w Warszawie obywatela ziemskiego, hulakę, a dla swych zdolności i skrajnych przekonań mającego mir i wpływy w mieście. Narzym-

¹⁾ Obecnie profesor lwowskiego Uniwersytetu. (*Przyp. tłum.*.)

²⁾ Nieprawda. — (*Przypisek tłumacza.*)

³⁾ Spisane z opowiadań pewnego Polaka, który brał udział osobiście w tem właśnie posiedzeniu Towarzystwa rolniczego.

ski brał czynny udział we wszystkich manifestacjach, znalazł się więc i wśród ostatniej, i pod kolumną Zygmuntofską oberwał od kogoś kozaka. Przyjaciele »artyści« wsadzili go do dorożki i przywieźli wprost na posiedzenie Towarzystwa. Tu go, zbroczonego krwią i jęczącego, posadzono na fotelu, i zaczęły się opowiadania o zajściach, które w czasie tym działy się na ulicach.

Dosyć było spojrzeć na całą tę scenę, by spostrzedz, co się poza nią ukrywa. Dostrzegł też tego wykwintny i dobrze wychowany hrabia Andrzej, i gdy opowiedziano z wszelkimi szczegółami odysseę skrwawionego hohatera, smętnym głosem zapytał: »Czegoż chcecie panowie?»

— Żądamy, odpowiedzieli otaczający ofiarę, wysłania deputacyi do Zamku, któraby przedstawiła namiestnikowi w należytem świetle stan naszej sprawy; napad wojsk na lud bezbronny; znieważenie świętości; poranienie licznych, niewinnych i spokojnych przechodniów, i zażądała ochrony od podobnych napaści.

Na to hrabia odpowiedział tymże smutnym, przytłumionym głosem: że Towarzystwo rolnicze nie ma prawa mieszać się do zarządu miasta; że dla podobnych spraw ustanowione są inne instytucye, np. Ratusz, dokąd właściwie należałoby zawieźć rannego a nie tutaj, do Towarzystwa rolniczego¹⁾.

— Przecież to obywatel ziemski i członek Towarzystwa — zakrzyzczały liczne głosy z opozycyi — to nasz brat, czyż nie mamy ująć się za nim?

— Jeśli to nasz członek, to powinien był tu być z nami, a nie leżć wraz z młokosami w awanturę z wojskiem. Gdyby tu był, nieby mu się nie stało²⁾.

Słowo »młokosy«, wypowiedziane do tego w rozdrażnieniu, dotknęło do żywego agitatorów, którzy wraz z Narzym-

¹⁾ W Warszawie nazywają zwykle ratuszem zarząd ober-policmajstra, umieszczony w gmachu ratuszowym. Stąd: »Odstawić na ratusz«; »wzięli do ratusza«, znaczy to samo, co gdzieindziej do »policyi.«

²⁾ Niedokładne. — (*Przypisek tłumacza*).

skim dostali się na salę. Odpowiedzieli też hrabiemu bardzo ostro, do nich przylączyły się dosyć liczne głosy czerwonych członków Towarzystwa. Hrabia usłyszał wyraźne przytyki: że przyjaźń i stosunki z Rosyanami muszą dla każdego porządnego Polaka mieć pewne, ściśle określone granice, i że są pewne obowiązki, które winne być wyższe nad obawę skompromitowania się wobec kogokolwiek; że są czasy, wymagające od każdego, który się czuje Polakiem, ofiar, bez względu na obóz, do którego należy!...

Hrabia, pozwoiliwszy się wygadać wszystkim »patryotom« Towarzystwa, oświadczył zgromadzonym spokojnie ale stanowczo: że nie obawa przed kompromitacją wobec władz rosyjskich, lecz wprost poczucie przyzwoitości zmusza go do odmówienia żądaniu tych panów, jakiegokolwiek wdania się w ich sprawy. Gotów jest każdej chwili udać się do namiestnika, gdy tego będą wymagać okoliczności, lecz deputacyi za nic nie wyszle, gdyż nie widzi dostatecznych ku temu powodów. Co zaś do jego patryotyzmu, to sądzi, że o nim nie wątpią ci, co go znają.

Powiadają (?), że wówczas miały się mu wyrwać słowa: »chcecie, żebym przewodniczył burdzie? Nigdy!«

Na to powstał hałas większy niż przedtem. Jedni popierali hrabiego, inni dowodzili, że potrzeba koniecznie wysłać do Zamku deputację; że bez tego rzeczy muszą się koniecznie skończyć katastrofą, po której wszelkie deputacje będą już nie na czasie, a nawet dziwne.

Hrabia chciał coś jeszcze przemówić i wzywał dzwonkiem do porządku, lecz widząc, że nie może uspokoić krzykaczy, zamknął obrady i z częścią obecnych opuścił pałac Namiestnikowski, udając się z bramy na lewo, ku swojemu domowi. Inni zwrócili na prawo — zobaczyć, co się też rzeczywiście dzieje przed Bernardynami. Między tymi, główną osobą, koło której grupowały się czerwieniejsze żywioły Towarzystwa, był Marcełi Karczewski, obywatel, dochodzący siedmdziesiątki, lecz gwałtowniejszy i burzliwszy od niejednego mło-

dzika. Garstka ta poszła, bardzo być może, bez najmniejszego zamiaru brania czynnego udziału w zajściu. Lecz niezwykle ruch na ulicy, widok kozaków i żołnierzy ucierających się z ludem, posłyszane głosy o znieważeniu świątyni, podziały podniecająco na gorączkowo usposobionych: Karczewskiego i jego towarzyszy. Zaczęli pomagać manifestantom — czem kto mógł. Karczewski zaś mianowicie miał urządzić z dorożek barykadę naprzeciw gmachu poczty.

Gdy to się działo w Towarzystwie rolniczym i na ulicach, wyszedł z Zamku człowiek, który miał się stać historyczną postacią dnia tego; był to dyżurny jenerał głównego sztabu pierwszej armii, jenerał Zabołockij. Wyszedł pomieszany i wzburzony. Panujący na Zamku rozgardyas, to niezrozumiałe pomieszenie namiestnika i całego jego otoczenia, te ustawiczne *ordre'y* i *contre-ordre'y* — tak nań wpłynęły, że zupełnie nie pojmował, co się wokoło niego dzieje i co właściwie należałoby robić. To, co spostrzegł na mieście: Plac zamkowy i Krakowskie Przedmieście zapelnione wzburzonym ludem; zatrwożone oblicza oficerów, uganiających kozaków, wogóle zamieszanie, jakie bywa tylko przed wkroczeniem nieprzyjaciela do miasta — wszystko to jeszcze bardziej zawróciło głowę jenerałowi: stracił wszelkie poczucie — zapomniał kim jest i gdzie się znajduje; zapomniał, że w głównym sztabie leżą zapieczętowne rozkazy z najdokładniejszą i stanowczą dla każdego naczelnika instrukcją, co ma robić na wypadek alarmu. — Wprawdzie alarmu jeszcze nie było, lecz można się było każdej chwili go spodziewać, tem bardziej, że słyszał, jak na Zamku rozprawiano, że najskuteczniejby było zaalarmować miasto i załogę, lecz namiestnik na to się nie zgodził... Jenerałowi zdało się — niewiedzieć skąd i dlaczego — że on potrzebny głównie tu, na ulicy, dla wydania zarządzeń, objęcia dowództwa; że dla przywrócenia porządku za mało jest wojska; że wahanie się z jego strony i opuszczenie stosownej do działania chwili,

sprowadzi jeszcze większe zaburzenia i nieporządki. Pod wpływem takich rozumowań, generał bezwiednie znalazł się w maneużu palacu Prymasowskiego, gdzie na wszelki wypadek była skonsygnowana kompania piechoty. Zabołockij, zabrawszy tę kompanię, ruszył z nią Kozią ulicą na Krakowskie Przedmieście. Tam uszykował ją na placu przed starą pocztą, (gdzie obecnie wznosi się dom Szajblera), lecz wnet spostrzegł, że w tym punkcie niema nic do czynienia. Na ulicy gdzieniegdzie stały kupki ludu, kozacy snuli się tam i na powrót, niebezpieczeństwo nikomu nie zagrażało. Wyprowadziwszy wszakże raz wojsko, należało mu znaleźć jakieś zajęcie. Na Zamku jeszcze generał słyszał, że manifestanci starają się dostać do Towarzystwa rolniczego, i że to zażądało od namiestnika ochrony wojskowej; gdy spostrzegł w stronie Namiestnikowskiego palacu jakieś poruszenie na ulicy, przypomniał to sobie, poprowadził więc tam swoją kompanię wojska, lecz i tu spostrzegł, że jest niepotrzebny: na dziedzińcu za kratami stał uszykowany cały batalion piechoty i o napa-daniu nań nikt nie myślał.

Generał zawrócił napowrót i dla zorientowania zatrzymał się na rogu ulicy Czystej, gdzie przestał blisko pół godziny. Tutaj podeszli do niego jacyś oficerowie i opowiedzieli mu o starciu ludu z kozakami przy głównej strażnicy. Generał machinalnie poprowadził swą kompanię w tę stronę. Naprzeciw ulicy Bednarskiej stał w poprzek ulicy wóz bez koni, naładowany cegłą, oraz kilka zestawionych dorożek, coś w rodzaju barykady, o której potem mówiono, że ją urządził Karczewski. Nie mogąc postępować środkiem ulicy, generał skierował swych żołnierzy na chodnik, koło cukierni Clotin'a i dalej. Gdy wyszli na szerokie Krakowskie Przedmieście, Zabołockij spostrzegł przed sobą kolumnę wojska a za nią postępujący karawan. Był to już powyżej opisany pogrzeb Łempickiego. Iść dalej nie było poco; generał więc uszykował swą kompanię wzdłuż chodnika od apteki Hakebeila do przejścia na uliczkę Kozią, dziś już nieistniejącego. Przez cały czas, gdy żołnierze

Zabołockiego postępowali gęsiego chodnikiem, z przeciwnej strony ulicy sypał się na nich grad kamieni, a jeszcze więcej, gdy żołnierze się uszykowali. Głównie sypały się kamienie z pośród tłumu ludu, skupionego przy domu Malcza. Kilka kamieni rzucono z drugiego piętra tegoż domu.

Tymczasem kolumna Hartounga i Fenchav'a, wraz z postępującym za nią karawanem, dotarła do wąskiego Krakowskiego przedmieścia. Dla oczyszczenia jej drogi, jenerał posłał dwóch kozaków, by rozpędzili dorożki, tworzące barykadę. Kozacy wszakże nie mogli poradzić, gdyż tłum niedopuszczał ich do dorożek. Jeden kozak został ciężko raniony kamieniem i sam Zabołockij dostał kamieniem w plecy. To go wzburzyło, nakazał żołnierzom oczyścić ulicę bagnietami, a gdy lud nie ustępował i z każdą chwilą stawał się śmielszy i groźniejszy, jenerał ostrzegł, że każe strzelać. Odpowiedziano mu śmiechem i drwinami, krzyczano: »Niemasz prawa! Napoleon nie pozwolił!«

Na to Zabołockij zakomenderował, by broń nabito, lecz nie pozwolił nakładać kapsli i ponownie oświadczył, »że każe strzelać«, jeśli nie oczyszczą ulicy. Posłyszano ponownie też samą odpowiedź i sypnięto kamieniami. Naraz któryś z żołnierzy zawołał: »strzelają, strzelają!«

Wystrzału tego na pewno, stanowczo, nikt nie słyszał i, jak się zdaje, wcale go nie było. Mimo to okrzyk »strzelają, strzelają« rozległ się wśród wojska i rozstrzygnął sprawę. Jenerał zakomenderował »ognia.« Kapsle jakoś same się znalazły na kominkach i strzały huknęły, skierowane częścią w dom Malcza, częścią zaś wzdłuż ulicy. Wojsko do tego stopnia było rozdrażnione, że kolumna Fenchav'a, gdy usłyszała strzały, bez rozkazu zaczęła broń nabijać.

Strzelał jeden pluton, postawiony naprzeciw domu Malcza. Strzały do domu poprostu były zemstą żołnierzy za rzucone stamtąd kamienie, nikt wszakże w domu tym nie zginął, a nawet na 23 strzały zaledwie pięć szyb rozbito. Lecz na ulicy, naprzeciw poczty i dalej padło pięciu ludzi i drugie tyle

było ramnych. Ulica w jednej chwili opustoszała; świadkowie tej sceny opowiadają, że to się stało jakby za dotknięciem laseczki czarnoksięskiej. Jedni kryli się do bramy i na dziedziniec, inni uciekali do otwartych sklepów i magazynów lub w boczne ulice Kozią i Trembacką. Dorożkarze zacięli konie — i barykada znikła. Wtedy kolumna Hartounga i Fenchav'a przeszły swobodnie i, dotarwszy do ulicy Czystej, wróciły do Zamku, gdyż nie miały już co robić na ulicach. Karawan z nieboszczykiem pędem skręcił na ulicę Trębacką, i dopiero na Bielańskiej połączył się z księżmi i procesyą pogrzebową.

Według źródeł oficjalnych — zamieszanie w tej chwili było tak wielkie, że na razie nie spostrzeżono, gdzie się podział karawan. To spowodowało późniejsze gawędy, że cały pogrzeb był udany i że manifestanci urządzali pogrzeb rosyjskiemu rządowi. Jeneral Ratez, wydrukował to nawet jako fakt stwierdzony. My wszakże zapewniamy czytelników, że to był najprawdziwszy pogrzeb urzędnika Józefa Łempickiego, o którym zawczasu było ogłoszenie w numerze 54. *Kuryera warszawskiego*, a w oktawę, w numerze 62. *Kuryera*, zaproszenie na nabożeństwo żałobne.

Na Zamku, gdy usłyszano wystrzały, namiestnik wyszedł do sali audyencyonalnej, zapelnionej od rana do późnej nocy tłumem wojskowych różnych stopni i broni, oczekujących na rozkazy księcia. — »Kto i gdzie strzela?« — Ktoś odpowiedział, że strzelają przy domu Malecza, na Krakowskim Przedmieściu. Namiestnik wysłał natychmiast generała Weselickiego, by się dowiedział szczegółowo o wszystkim, co zaszło, i zaraz go uwiadomił. Weselicki, przypędziwszy konno do domu Malecza i dowiedziawszy się o wszystkim, zaczął robić Zabołockiemu wyrzuty za takie samowolne postępowanie. Zabołockij na to ofuknął się gniewnie: »Nie panu będę zdawać sprawę!«

Weselickij uznał za stosowne przerwać dalsze wyjaśnienia.

Tymczasem na Zamku rozeszła się pogłoska, że buntownicy z domu Malecza strzelali do wojska, i wojsko tylko odpowiedziało. Gorczaków przywołał jeneral-kwatermistrz Sie-

mekę, kazał mu wziąć kompanię piechoty z dziedzińca zamkowego i jeżeli sprawdzi się wieść, że w istocie strzelano z domu Maleza, otoczyć ten dom i uwięzić wszystkich, których tam znajdzie. Siemeka natychmiast wyruszył z wojskiem, lecz nie doszedłszy do kościoła Bernardynów, spotkał Zabołockiego, prowadzącego z obnażoną szablą swą kompanię. Ten dowiedziawszy się, z czem Siemeka został wysłany, powiedział: »Uspokój się, to nie z domu Maleza, to ja strzelałem.« (Autorowi opowiadał o tem sam jenerał Siemeka). Poczem obaj wrócili do Zamku, kompanię zaś swoją Zabołockij odesłał do pałacu Prymasowskiego, gdzie zaraz obliczono wystrzelone ładunki. — Padło 55 strzałów.

Obadwaj jenerałowie weszli do salonu, położonego między salą audyencyonalną a gabinetem namiestnika, i tam spotkali księcia Gorczakowa. Siemeka pozostawił Zabołockiemu przedstawienie namiestnikowi przebiegu całej sprawy, w której tak czynny i przeważny wziął udział. Zabołockij opowiedział wszystko, co zaszło: krzyki i pogróżki manifestantów, drwiny i obelgi skierowane do wojska, wreszcie rzucanie kamieniami. »Spróbowawszy wszystkich środków persfazyi i uspokojenia, dodał jenerał, i przekonawszy się, że one żadnego skutku nie odnoszą, kazałem strzelać!«

— *Parfaitement fait!* — mruknął namiestnik i wrócił do swego gabinetu. (Z opowiadania jenerała Siemeki, który stał obok księcia Gorczakowa). Zabołockij zaś wrócił do sali audyencyonalnej, gdzie ponownie opowiedział zebranyemu całej zajście i uskarżał się na ból w krzyżach od uderzenia. Radzono mu, by wracał do domu i przywołał zaraz lekarza. On wyszedł zupełnie spokojny i pewny siebie, ani domyślając się, jakie znaczenie mogą mieć u księcia Gorczakowa, słowa: *parfaitement fait*.

Tymczasem lud znów się zaczął gromadzić koło poczty. Inni rzucili się podejmować zabitych i rannych. Na rogu ulicy Bernardyńskiej podniesiono Karczewskiego, dającego jeszcze oznaki życia. Wsadzono go do dorożki i powieziono do jego

mieszkania w hotelu Smoleńskim; tam go jednak nie chciano przyjąć, komuś więc przyszło na myśl zawieźć go do sióstr Kunke, mieszkających w domu Malcza, które utrzymywały tam magazyn mód i znane były z gorących swych uczuć patriotycznych. U nich też, mimo natychmiast danego ratunku z apteki Hakebeila, Karczewski wyzionął ducha.

Tam też przywieziono jeszcze dwa trupy: Rutkowskiego, obywatela ziemskiego, i Brendla, robotnika z jakiejś fabryki żelaza. Czwartego zabitego, Arcichiewicza, ucznia gimnazjum realnego, odwieziono do domu rodziców, mieszkających w pałacu hrabiego Andrzeja Zamoyskiego. Piątego trupa nie zdolano dnia tego rozpoznać, później sprawdzono, że to był Adamkiewicz, robotnik przy budującym się moście na Wiśle.

Tego ostatniego trupa zamierzano zawieźć do Zamku dla pokazania go namiestnikowi i zaniesienia zarazem skargi na oburzające postępowanie wojska, lecz kozacy zawrócili dorożkę z trupem przy kolumnie Zygmunta, nie dopuszczając do Zamku. Udano się i z tym trupem do sióstr Kunke, lecz te oświadczyły, że mają już dosyć trzech zabitych i więcej u siebie nie przyjmą. Wiozący więc trupa, w otoczeniu już znacznego zbiegowiska ludu, po krótkiej naradzie skierowali się do hotelu Europejskiego. Tłum wynosił już do tysiąca osób, wykrzykiwano do spotykanych: »Czapki z głowy, cześć ofiarom« — wszyscy szli z odkrytymi głowami. Zabłockiego głośno lajano i przeklinano. Później przezwano go duc d'Orgelbrand od domu Orgelbranda czyli Malcza, przy którym się wslawił.

Wówczas zarządzał hotelem Europejskim Niemiec Knoll. Ten na razie chciał się sprzeciwić złożeniu trupa, lecz nikt go nie usłuchał. Wniesiono ciało na korytarz i zażądano odpowiedniego lokalu. Jeden ze współwłaścicieli hotelu, Wambach, podówczas obecny na miejscu, rozkazał dać salon narożny na II. piętrze, oznaczony numerem 64 (obecnie 82) i przeznaczony dla koncertów i innych zebrań, a więc zwykle niezajęty. Tam tedy, około godziny czwartej po południu, złożono na materacu, przykrytym czystą bielizną, ciało Adamkiewicza czy Brendla.

...ano... i rozprawiano... każdy po swojemu i o tem, co się stało i o tem, co ma być jutro, pojutrze...

Czerwoni wysłali kuryerów do kraju dla rozgłoszenia odniesionych zwycięstw nad rządem, i z wezwaniem wszystkich stanów do jak najliczniejszego zjazdu na uroczysty pogrzeb pięciu ofiar. Na kuryerów zgłosili się dobrowolnie studenci medycznej akademii i innych naukowych zakładów, a między nimi i młodzi dwaj bracia Frankowscy: Jan i Leon. Ma się rozumieć, że tacyż kuryerzy zostali wysłani i do Europy.



KSIĘGA II.

Podanie adresu do cesarza. Sądowo-lekarskie oględziny zabitych z ramienia drugiego oddziału warszawskiego sądu policyjnego. Przeniesienie zwłok do kościoła św. Krzyża. Przygotowania do pogrzebu. Charakterystyka polskich kobiet. Pogrzeb pięciu ofiar. Wyjazd Karnickiego do Petersburga. Posiedzenia delegacji w resursie i w ratuszu. Oktawa. Śledztwo w sprawie strzałów Zabołockiego. Margrabia Wielopolski. Zatwierdzenie reform, zaprojektowanych przez niego. Manifestacja studentów w kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Następstwa. Zebranie studentów petersburskiego uniwersytetu u kolegi Nekludowa. Nowe wybryki czerwonych w Warszawie. Odpowiedź cesarza na adres. Rozkaz namiestnika z dnia 16. marca. Okólnik Muchanowa. Następstwa. Wyjazd Muchanowa. Demonstracje przed mieszkaniem Abramowicza i Enocha. Osadzenie przez wojsko Teatru Rozmaitości. Podział Warszawy na cztery okręgi wojenne. Rozwiązanie delegacji. Zamianowanie Wielopolskiego dyrektorem komisji wyznań i oświaty. Od 28. lutego po 22. marca 1861 roku.

Huczalo w resursie kupieckiej w dzień zabicia pięciu ofiar; nie mniej wszakże było zgiełku i nazajutrz dnia 28. lutego na ogólnem zebraniu członków Towarzystwa rolniczego, których się zebrało do 2.000 osób. Zebrani uznawali, że kraj przechodzi nadzwyczajną epokę, z której jeśli się tylko rozumnie skorzysta, da się wiele dla kraju uzyskać.

Rząd się przeląkł, stracił głowę i gotów jest do ustępstw. Potrzeba tylko nastrój ten przez jakiś czas podtrzymać oraz ostrożnie i z taktem przedstawić żądania kraju, nie przekraczając wszakże pewnych granic. Lecz kto to ma zrobić? Kto wskaże zupełnie obalającą i podobną do małych dzieci

publiczności te granice, po za które przekroczyć się nie da? Sfery, w których te sprawy dały się zasadniczo omówić i zdecydować, zapomniane i odsunięte od wszystkiego; o nich nikt nie chce ni słyszeć ni wiedzieć. Na scenie zjawił się jakiś dziwny, nieprawdopodobny senat narodowy, uznany ku ogólnemu zdumieniu przez najwyższą władzę w kraju. I on to, a nie nikt inny, ma rozwiązać mnóstwo palących kwestyi, któremi przepelniona atmosfera polityczna kraju; na niego zwrócone są oczy miasta i kraju. Tymczasem ten senat, mimo poważnych lat, łysiny i siwych włosów wielu swych członków, składa się z takich samych marzycieli i dzieci, jak pierwsze lepsze kółko akademików. Jeśli na prawdę, odda się im sprawę w ręce, wszystko zostanie spaczzone i sprawa w zarodzie przegrana. Usunąć ich i zająć ich miejsce, rzecz na razie niemożliwa; raz, że ci senatorowie stoją już niejako pod opieką prawa, a powtóre, i co najważniejsza, że mają poparcie całego miasta. Oni, bądź co bądź, przedstawiają poważną siłę, której biali przemódz nie potrafią. Nie pozostaje więc nic innego, jak połączyć się z tym senatem i innymi podobnymi żywiołami, i starać, o ile się da, opanować tę siłę i nadać jej możliwie najlepszy i najrozumniejszy kierunek. Rzecz była niezmiernie trudna do przeprowadzenia. Biali, czyli wyższe stany, nie cieszyli się nigdy sympatjami mas. Uważano ich zawsze jako ludzi podatnych i schlebiających rządowi, pragnących żyć z nim na dobrej stopie i przy jego pomocy odgrywać rolę w kraju; przewodzić nad niższemi klasami, a nawet poprostu je wyzyskiwać, by módz potem trwonić zebrane środki na swoje widzimisie i rozrywki. Czyż można było oczekiwać, by w chwili, której wyjątkową ważność niemal instynktownie pojmowało każde dziecko, kraj oddał układy z wrogiem w ręce jego stałych zwolenników i aliantów? w ręce tych niepoprawnych trutniów, niezdolnych do niczego samolubów i wyzyskiwaczy swej młodszej braci?

Wszystkie ujemne strony tak zwanych białych jeszcze jaskrawiej wystąpiły przed oczy rozgorączkowanych tłumów.

Niewielkie grono najlepszych przedstawicieli tego koła, kilku obywateli z najbliższego otoczenia hrabiego Andrzeja, mających wyrobioną w kraju opinię, jako dobrzy patryoci i gotowi zawsze do pracy dla kraju, nie miało wówczas dla nikogo wielkiego znaczenia, a nawet i na nich miasto patrzyło z pewnym podejrzeniem, gdyż i oni kokietowali z Zamkiem a może nawet więcej od innych.

»Chcąc zwrócić na siebie uwagę ulicy i być dopuszczonym do obrad nad rozwiązaniem narzucających się ogólnych zadań, Towarzystwo rolnicze z konieczności połączyć się musi z chwilowymi, czerwonymi przewodcami kraju, następnie zaś jakimś wspaniałem, wielkodusznym wystąpieniem wstrząsnąć wszystkich umysły i porwać z sobą. Naprzykład ogłosić natychmiastowe uwłaszczenie włościan. To by bezwątpienia wywołało dobroczynną i daleko sięgającą zmianę w usposobieniu umysłów i pozyskałoby serca bardzo wielu dla białych. Bez żadnych starań i zabiegów, z naturalnego porządku rzeczy, zostaliby dopuszczeni do ogólnych narad i tam zajęliby przewodnie stanowisko. W przeciwnym razie, kraj przejdzie nad nimi do porządku dziennego; wśród żywych odegrają rolę martwego trupa.«

Za takim wystąpieniem, zaproponowanym przez kilku członków, byli prawie wszyscy mniej zamożni obywatele, lecz nie w ich mocy leżało rozstrzygnięcie tego zadania; decydował komitet, a ten się składał z najbogatszych właścicieli ziemskich, którzy nie mogli tak łatwo zdobyć się na zrzeczenie się swych praw i uświęconych wiekami przywilejów; podnosić samobójczą rękę na siebie, na swe materialne interesy i siły. Jakkolwiek nadzwyczajną i niebezpieczną wydawała się chwila, obawa wszakże natychmiastowego pozbycia się ogromnej ilości rąk bezpłatnych, nieodzownie potrzebnych do prowadzenia prawidłowego gospodarstwa w kraju; zdecydowanie się w jednej chwili na opuszczenie dotychczasowego stanowiska królików wśród »bydła« — przemogło nad wszelkimi innymi względami. Z wyjątkiem kilku tylko członków, komitet towarzystwa

uznał, że »uwłaszczenie włościan musiałoby iść w parze z ich usamowolnieniem, do czego ci wszakże nie są jeszcze dostatecznie przygotowani, dlatego też zamiast usamowolnienia i uwłaszczenia, byłoby stosowniej wprowadzić system angielskich długoletnich dzierżaw«, co też większością głosów uchwalono.

Największym zwolennikiem długoletnich dzierżaw był sam Andrzej hrabia Zamoyski i on propagował te zasady od początku zjazdów klemensowskich. Chcąc zaś dotykalnie, na przykładach okazać następstwa tego systemu, sprowadził ze Szkocyi kilka rodzin i rozdzierżawił między nie niektóre swe folwarki. Sam zaś dzierżawił z dóbr ordynackich folwarki: Michałów i Deszkowice. (*Czas* z 1879 roku nr 222, str. 1 szp. 5). *Lisicki* (t. I, str. 61) powiada: »Wielu przeciwników uwłaszczenia, z Andrzejem hr. Zamoyskim na czele, przemawiało za wieczystą dzierżawą.«

Gdy miasto dowiedziało się o takiej uchwale komitetu Towarzystwa rolniczego, niechęć do białych jeszcze bardziej się wzmogła. Dotychczas albo wcale o nich nie mówiono, albo powiadano, że czas ich znaczenia już przeszedł, że zrobili już swoje i powinni ustąpić miejsca innym: ludziom nowym, żywszym i energiczniejszym; teraz wszakże, po powzięciu powyższej uchwały, poczęto ich potępiać, ogłaszać za zacofańców, martwych trupów, dzikich a nawet głównych wrogów ojczyzny¹⁾.

¹⁾ *Aweyde* tom II, str. 10. uwaga. Wiarygodność tego potwierdzają i artykuły o hr. Zamoyskim, zamieszczone w *Czasie* z 1879 roku patrz numer 222, oraz artykuł *Dwutygodnika polskiego* we Lwowie z 1878 roku o „Gospodarce rosyjskiej w Królestwie Polskiem“, gdzie w uwadze piszą: „Niczem nie można usprawiedliwić Towarzystwa rolniczego, że nie usamowolniło włościan. Srodze nas za to los ukarał; przyszło uwolnienie z urzędu, i ci, którzy w swoim czasie nie zdobyli się na stosukowo niewielkie ofiary, później musieli patrzeć na wstrząśnienie i rozbitcie swojej gospodarki.“ Przeciw tym twierdzeniom wystąpił wszakże jeden z dawnych członków komitetu Towarzystwa rolniczego. (*Czas* 1878 rok, nr 92, str. 1.) Korespondencya z Warszawy z dnia 16. kwietnia.

Komitet, spostrzegłszy takie usposobienie przeważnej większości opinii w kraju, stracił głowę i nie znalazł innego wyjścia, jak prawie gwałtem narzucić się resursie i przyjąć jej, przynajmniej w pierwszych chwilach, z rzetelną i energiczną pomocą we wszelkich jej pokuszeniach i zamiarach.

Resursa, otrzymawszy przyzwolenie namiestnika, zamysliła podać adres do cesarza. Biali poddali jej nie tylko swoje poglądy, lecz ofiarowali swą czynną pomoc w redakcyi, oraz odpowiedni lokal, w którym swobodnie i bezpiecznie, bez obawy przed niepowołanymi słuchaczami, mogliby omówić wszystkie tak ważne i drażliwe materye. Biali nie odmówili nawet swych podpisów na wspólnej pracy. Dla drugiej zaś strony, współudział i podpisy najpierwszych arystokratycznych imion, oraz innych wybitnych osobistości w kraju, były rzeczą wielkiego znaczenia, i dlatego czerwoni chętnie się połączyli ze swymi przeciwnikami w tych robotach, i w ten sposób w owej porze cała Warszawa stała się jakby jednym ciałem, ożywionem jedną myślą i duchem. Zabiegi białych okazały się o ile gorliwe, o tyle zřeczne. Oni owałdnęli całem polem działania i ułożyli adres jakby bez współudziału czerwonych ¹⁾.

Po rozpatrzeniu kilku projektów rżnych a nawet wręcz sprzecznych ze sobą, grono najpowaźniejszych ludzi z obu stronictw zgodziło się na adres, ułożony przez Edmunda Stawiskiego, rozumnego i wysoko wykształconego człowieka.

¹⁾ *Giller* twierdzi, że hrabia Andrzej osobiście nie podzielał myśli adresu, uważając się wszakże za naczelnika, niejako za przedstawiciela całego kraju, stanowczo żądającego podania adresu, wziął czynny udział w ułożeniu tego i następnie sam go wręczył namiestnikowi. — To samo mówi *Paweł Popiel* w broszurze: „Kilka słów z powodu odezwy księcia Adama Sapiehy.“ Lipsk, 1864 rok. „Pan Andrzej żadnego adresu nie chciał.“ — *Lisicki* t. I, str. 148. „Zamoyski pierwszy, acz niechętnie, podpisał adres i zaniósł go do namiestnika.“ — We francuskim wydaniu powiada nawet: „après un combat acharné?“ tom II, str. 141. — *Hrabia Skarbek* w „Dziejach Polski“, tom III, str. 199 przytacza: „Chciano podać drugi adres, lecz ksiązę Gorczaków stanowczo się temu sprzeciwił.“

Nadzwyczaj trudno zebrać dokładne dane, jak się mianowicie układał adres. W druku żadnych szczegółów nie ogłoszono. Aweyde, podówczas nieobecny w Warszawie, tylko ze słyszenia podaje następujące szczegóły: »Piszący podzielili się na dwa główne obozy. Jedni domagali się w adresie jasnego sformułowania i określenia żądań kraju co do przywrócenia konstytucyi 1815 roku ze stosownymi zmianami i z tą różnicą, że nie robiono wzmianki o własnem polskiem wojsku. Drudzy przedstawiali projekt adresu ogólnikowy, wyrażający niezadowolnienie z panujących stosunków i rządu, nie zastosowanego do potrzeb kraju, i żądali większej niż dotychczas prawnej opieki dla spraw kraju. Opowiadano, kończy Aweyde, że większość oświadczyła się za tym drugim, ogólnikowym adresem, ze względów, że nie znając usposobienia cesarza, obawiano się obrazić go ściśle sformułowanemi żądaniami a następnie samym sobie związać ręce na przyszłość, gdyby okoliczności dozwoliły na postawienie szerszych żądań, naprzykład wojska polskiego i przyłączenia do królestwa Litwy i Rusi.» W adresie ogólnikowym nie wypowiadamy, czem się ostatecznie gotowi jesteśmy zadowolnić — a milcząc, lecz zrozumiale dla wszystkich, dopuszczamy możliwość żądania — chociażby przywrócenia niepodległej Polski w granicach przedrozbiorowych; a więc możliwość rewolucyi.« — (Tom II, str. 16).

(*Stawiski* w znanem dziele »O stosunkach włościańskich w Polsce« twierdzi, iż niektóre ustępy adresu miały wyjść z pod pióra Kraszewskiego, jak np.: »Naród polski nie może inaczej podać głosu jak jękiem ofiar, dlatego też nie przestaje składania tych ofiar«).

Adres brzmiał jak następuje:

»Smutne wypadki, niedawno zaszły w Warszawie, rozdrażnienie, jakie je poprzedziło i głęboka boleść, jaka po nich nastąpiła i przejęła serca nasze, ośmielają nas zanieść do stóp W. C. Mości prośbę całego kraju, w nadziei, że szlachetne Twe N. Panie serce nie odrzuci głosu nieszczęśliwego narodu.

Wypadki te, których bolesnego obrazu przedstawiać nie chcemy, nie wynikły bynajmniej skutkiem burzliwych namiętności niektórych klas społeczeństwa, przeciwnie są one jednomyślnym i wymownym wyrazem odrażonych uczuć i potrzeb zapoznanych. Więcej niż półwiekowe cierpienia, znoszone przez cały naród, który przez długi przeciąg wieków rządził się liberalnemi prawami, i którego pozbawiono nawet drogi legalnej dla zanieśienia skargi Monarsze i przedstawieniu Mu społecznych swych potrzeb, doprowadziły go do takiego stanu i położenia, że głosu swego nie może inaczej dać słyszeć, jak tylko przez jęk swych ofiar i dlatego właśnie tych ofiar przynosić nie przestaje.

W głębi duszy każdego mieszkańca tego nieszczęśliwego kraju tkwi silne uczucie własnej narodowości, odrębnej od innych ludów Europy. Czas i wypadki uczucia tego zatrzeć nie potrafiły; niedola nie tylko je nie osłabiła, ale przeciwnie, jeszcze je bardziej spotęgowała. Cokolwiek to uczucie obraża lub nieogłędnie je dotyka, oburza umysły wszystkich. Ze smutkiem kraj widzi, że jeżeli potrzeby jego nie będą zaspokojone, to zaufanie, jakie powinno istnieć między rządzącymi a rządzonymi zniknie, a wskrzesić go nie zdołają ani przymusowe, ani gwałtowne nawet środki, które do niczego nie doprowadzą. Naród, niegdyś w oświacie stojący na równi z sąsiednimi ludami Europy, nie może się rozwijać ani moralnie, ani materialnie, dopóki jego wiara, jego prawodawstwo, wychowanie publiczne i ustrój społeczny będą pozbawione własnej narodowości i dziejowych tradycji.

Żądania naszego narodu są tem silniejsze, że on jeden wśród licznej rzeszy ludów europejskich pozbawionym jest obecnie tych niezbędnych warunków życia, bez których żadne społeczeństwo nie może dążyć drogą postępu do celów, wytkniętych mu przez Opatrzność.

Zanosząc do stóp tronu głos niedoli naszej i gorących naszych pragnień, ufni w wysoką sprawiedliwość i sąd Waszej

Cesarskiej Mości, ośmielamy się Najjaśniejszy Panie błagać Cię o wspaniałomyślność.

Waszej Cesarskiej Mości wierni poddani.

Warszawa, dnia 27. lutego 1861 roku.«

Adres ten, przetłómaczony na język francuzki przez Andrzeja hr. Zamoyskiego, podpisał najprzód ksiądz arcybiskup Fijałkowski, następnie 180 osób, należących do pierwszych rodzin w Królestwie Polskiem. Gotowy przedstawiono namiestnikowi, który go natychmiast wysłał do Petersburga.

Następnie podpisy zbierały się po całym mieście, w różny sposób i na różnych punktach. Naprzykład w cukierni Conti'ego, obecnie Lours'a, w hotelu Europejskim przyzywano przechodniów z ulicy, po 20—40 osób, odczytywano im głośno adres i podawano arkusze do podpisu.

Przez parę dni zebrano tym sposobem 18.000 podpisów, poczem namiestnik zakazał dalszego podpisywania.

W owym czasie w salonach Europejskiego hotelu zbierały się tłumy szlachty i urzędników niższych stopni, wśród których prowadzono też same rozprawy, jakie toczono w Rursurcie kupieckiej; mianowicie zaś podnoszono ważność danej chwili, ustępstwa rządu, jego trwałość; rozprawiano o adresie i o urządzającym się uroczystym pogrzebie pięciu poległych ofiar. Niejaki Leya, urzędnik drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej z obywatelem ziemskim Jakóbem Piotrowskim, przybrawszy kilku jeszcze pomocników, zbierali przez okna do kapeluszy składki na sprawę narodową, które tłumnie na placu zgromadzona publiczność bądź pieniędzmi, bądź w kosztownościach chętnie składała ¹⁾. W mieście każdy robił, co mu się żywnie podobało, i Warszawa przedstawiała podówczas wyjątkowy obraz wielkiego miasta bez policyi a nawet, można powiedzieć, bez rządu.

¹⁾ *Kuryer warszawski* w numerze 62 z 1861 roku podaje, że do dnia 5. marca złożono w kasie p. Jakóba Piotrowskiego 74.421 złp. i 17 gr. na opędzenie kosztów pogrzebu poległych w dniu 27. lutego.

Dnia 28. lutego o godzinie 11. przed południem wszedł na salę jeneral Paulucci i zapytał przytomnych, czy go chcą na głównego naczelnika policyi? Odpowiedziano okrzykami »wivat!« ktoś inny dodał: »Garibaldi Włoch i Paulucci Włoch, niech żyją Włosi, niech żyje Garibaldi! Paulucci niech żyje!«¹⁾. Zapytanie to powtórzył Paulucci do stojących we drzwiach i na placu. Odpowiedziano głośnymi okrzykami.

Poczem jeneral udał się do sali nr 64, gdzie się odbywały sądowo-lekarskie oględziny zabitych, dokonywane przez drugi oddział sądu warszawskiej policyi, który zjechał w komplecie, przez prawo przepisany, z rejentem i dwunastoma świadkami ze sfer obywatelskich. Do sali tej natłoczyło się nadto mnóstwo ciekawej różnolitej gawiedzi. Był także ze swym aparatem narodowy fotograf Bayer i zdyął wizerunki z zabitych w całej ich grozie i wspaniałości, z zięjącymi ranami. Kartki te w niezliczonych ilościach egzemplarzy rozleciały się po całej Polsce.

Komisya sądowa, z uwagi na wszystkie okoliczności towarzyszące tej sprawie, spisała na razie następujący protokół: »Zważywszy, że według zebranych wiadomości, nie może ulegać wątpliwości, że oglądane przez komisję sądowo-lekarską osobistości poniosły śmierć wskutek ran, zadanych bronią palną przez wojsko, za co winowajcy mogą być następnie pociągnięci do odpowiedzialności, więc według przepisów obowiązującego prawa, koniecznem jest zawezwanie do składu komisyi delegowanego od wojska.«

Zażądano więc wydelegowania takiego deputata, i w istocie o godzinie drugiej po południu przybył do numeru 64. hotelu Europejskiego w tym charakterze kapitan Medel, jeden z plac-adjutantów miasta Warszawy.

Wówczas dokonano sekeyi ciał i spisano nowy protokół, nazwany: »Śledztwem w sprawie wykrycia przyczyny

¹⁾ Z opowiadań naocznych świadków. — *Aweyde* tom II, str. 12 i 13, uwaga.

śmierci panów: Rutkowskiego, Karczewskiego, Adamkiewicza i Brändla.»

Sprawę o »Arychiewicz« spisała też sama komisya oddzielnie ze względu, że ciało było złożone w innem miejscu.

Obie te sprawy są nader ciekawe i doskonale malują okoliczności danej chwili i ówczesny nastrój umysłów w mieście. Nietylko najpoważniej opisano położenie każdego trupa na materacu w takim a takim numerze hotelu, dokąd je przywieziono po długich wędrówkach i gdzie je ułożono w najdogodniejszych dla zdjęcia z nich fotografii pozycjach, lecz nawet zapisano do protokołu »zanieczyszczenie u jednej ofiary pewnej części ciała, oraz niezupełnie przetrawione ziemniaki w żołądku drugiego trupa, albo szczegółowe opisanie kuli wydobytej z trzeciego.

Jednem słowem nie była to poważna sprawa, lecz raczej nieprzyzwoita zabawka dzieci, nieostrożnie wypuszczonych przez piastunkę z pasków. I tę swawolę, te ironiczne kpiny z władz i rządu, musiał podpisać delegowany deputat armii rosyjskiej!

Po odbytej komisji ciała złożono do trumien, obitych kirem z srebrnymi gwoździkami, i przeniesiono w nocy z 28. lutego na 1. marca do górnego Świętokrzyskiego kościoła¹⁾. Wokół trumien, ustawionych w piątkę, ustawiono mnóstwo kwiatów i zieleni, dostarczonych z najpierwszych ogrodów i cieplarni w mieście. Całą świątynię obito kirem, dostarczonym bezpłatnie z różnych fabryk. Umyślni konstable narodowi, ustanowieni wedle pomysłu Kronenberga z uczniów szkół i innej miejskiej młodzieży²⁾, każdy z białą przepaską na le-

¹⁾ Zwykle do wystawiania ciał służy kościół dolny u św. Krzyża, w którym odbywały się pogrzeby i takich osobistości jak: August hr. Potocki z Wilanowa, zmarły w 1867 roku; dziekan uniwersytetu, sławny orientalista i filolog O. Kowalewski zmarły 1879 roku; Apollinary Kątski, dyrektor konserwatorium muzycznego w 1879 roku; muzyk Henryk Wieniawski w 1880 roku.

²⁾ W liczbie około tysiąca — według *Gillera*.

wem ramieniu, utrzymywali porządek przy wejściu i wyjściu, wpuszczając lud przez kaplicę a wypuszczając głównem wejściem naprzeciw figury Zbawiciela. W kościele ścisł był niesłychany. Wszystko co żyło w mieście, począwszy od dziesięcioletnich dzieci aż do zgrzybiałych starców, cisnęło się u trumien, aby się pomodlić, wypłakać i wyzwać pioruny gniewu Bożego na głowy zuienawidzonych Rosyan. Wszyscy naturalnie byli w grubej żałobie.

Wśród tych czarnych, kirem okrytych fal ludu, tłoczącego się tam i napowrót u katafalku, najbardziej uderzały, lekkie, migotliwe i ożywione postacie istot, których w żadnej chwili nie brak w Warszawie, a których w obecnej, jakby w dwójnasób jeszcze przybyło. Powiewne te i pełne wdzięku istoty, odgrywają ważną rolę w życiu Polaków wogólności; w powstaniach zaś biorą udział z szczególnym zapalem, odwagą i prawdziwem poświęceniem.

Nie wiele jest krajów na świecie, w którychby żywiołów występował tak wybitnie i tyle miał znaczenia dla swego narodu, jak w Polsce. Między męską ludnością w Polsce zachodzą pewne różnice, zależne od politycznych przekonań każdego i od ludzi, będących u steru społeczeństwa. Ludność ta może się w danej chwili cofnąć, ustąpić lub inną przybrać barwę, może poprostu znużyć się walką i wpaść w odrętwienie, może nawet zaprzestać spiskować (choć Mochński twierdzi, że spiskowanie wieczne istnieje w społeczeństwie polskim); ludność jednak żeńska nigdy się nie zmienia i zawsze jedną i tę samą zachowuje barwę. Kobieta polska jest wiecznym, nieubłagany i niewyleczony spiskowcem... Polak może być białym, czerwonym, czarno-żółtym — słowem różnych odcieni i kolorów, Polka tylko czerwoną być może.

Polki wogólności są przystojne; wszystkie wrą i kipią, prawdziwe małe, ruchome wulkaniki! Zaledwie się ich dotknąć, wnet posypią się iskry! Ich niczem niepowstrzymana wyobraźnia rozwija się i ulatuje w niezmierzone przestworza. Kobieta polska jest całą wyobraźnią, promieniem, modlitwą! W pe-

wnych chwilach wprowadzie może na nią podzielać ksiądz, wskazujący jej krzyż Zbawiciela, nadzieję odpuszczenia grzechów, lub groźbę mąk wiecznych i potępienia, lecz innego nad sobą zwierzchnictwa nie uznaje. Przeciwnie, ona stale się stara wszystko w prześliczne swe rączki zagarnąć i prawie zawsze to się jej udaje. Pełna to charakteru i odwagi, ta polska kobieta. Jest w niej coś rycerskiego i męskiego, zaprzeczyć się nie da. Pilnie się przypatrując postaciom i charakterom polskich niewiast i dziewic, przychodzą na myśl Zaremy z Bachczysaraju, różne Wenecyanki lub Hiszpanki, w każdym razie, południe nie północ. Szujski w rozmowie swej z Kraszewskim dnia 5. października 1879 roku powiedział, że »naród polski wybucha jak dynamit.« Z czemże porównałby można ten najbardziej zapalny żywiol w polskim społeczeństwie, polską kobietę? Podobnie łatwo wybuchającej masy jeszcze nie wynaleziono... O! nie żartujcie z nią, z tą polską kobietą! Ona prawdziwie niebezpieczna.

Typowy herb Warszawy nie darmo przedstawia »Syrenę z szablą«, jest on niezaprzeczenie trafny i historycznie prawdziwy. Dla uzupełnienia wizerunku, w drugą rękę tej syrenie włożylibyśmy książkę do nabożeństwa »Złoty ołtarzyk«, którego nie opuszcza. Ona istotnie jest owym mnichem, rycerzem, który według słów Mickiewicza:

„Oczy utkwwszy w nieprzyjaciół szacie
Nabija strzelbę i liczy różaniec.“

Takim jest w ogólności charakter polskiej kobiety. Wyprowadzają one wszelkie ruchy burzliwe i wszystkie są ożywione jednym i tym samym duchem. Najwięcej wszakże współczuje i dopomaga wszelakim ruchom średnia klasa, a nawet nie średnia, ale owe córki »rządców domów«, »pryncypałów« różnych rzemieślniczych zakładów, niższych urzędników, oficyalistów bogatszych państwa, ów cały światek teatralny; zresztą Bóg jeden raczy wiedzieć, czyje córki, panny i nie panny, służące, nie służące, »gryzетки« i nie gryzетки, które ranne promienie

słońca, zwłaszcza w dni jasne i pogodne, wywołują z ich skromnych mieszkań, z tak zwanych facyatek, z trzeciego lub czwartego piętra na ożywione chodniki Warszawy. Biegają i rozpraszają się na wszystkie strony, podobne do tych jasnych i barwnych promieni; bystrem okiem gazeli strzelają na przechodniów, lub zagląдают do wszystkich magazynów.

Są one zawsze nader gustownie, niekiedy nawet bardzo wykwintnie ubrane. Nie sądźcie wszakże o reszcie z tej świetnej powierzchowności. Trudno przypuścić, po jakich schodach, obok jakich naczyń przebiegają te czarujące nóżki, obute w trzewiczki tak świeże, jakby dopiero uszyte; na jakich stolach i komodach składają się te błyszczące kółczyki i pierścionki, do jakich szaf zamykają owe pyszne burnusy i mantylki, nareszcie, jakie to zupy i potrawy pochłaniają te dzielne młode żołądki zgłodniałych syren.

Wieczorem wiele z nich bywa w teatrze, nie płacąc nigdy za miejsca. Skąd i jakimi drogami dostają bilety wstępu na wszelkie zabawy? odpowiedź zbytby daleko nas zawiodła... Syreny lubią namiętnie teatr, maskarady, taniec, najbardziej taniec. Dla jednej przedłużonej godzinki tańca, dla maskarady lub zabawy, niejedna taka syrena gotowa postawić na kartę nawet swe życie lub przyszłe zbawienie duszy i w tem objawia się istotną kobietą, słabem, bezsilnem stworzeniem. Powiedźcie jej w danej chwili, że jeśli raz jeszcze przetańczy walca lub ochoczego mazura, świat się skończy, gromy uderzą i ziemia pod jej stopami zapadnie — nie zwróci nawet na to uwagi i z takim zapalem puści się w wir tańca, o jakim my z tobą, poważny czytelniku, nawet wyobrażenia nie mamy.

Syreny te śmiało patrzą w oczy całemu światu, prosto i naiwnie, jak tylko chyba aniołowie mogą spoglądać, gdy schodzą na ziemię. Zdawałoby się, że to jeszcze nie tknięta pługiem dziewicza rola, kraina, w której nikt nie gościł. Lecz jak w czasie wędrówek narodów, nieznanne i napozór przez nikogo nie zajęte krainy, okazywały się zaludnionymi przez jakieś tubylcze ludy, tak samo i przy bliższem poznaniu sy-

reny, natrafiało się zwykle na dawnych tubylców, którzy gościli w tych, na oko niezamieszkałych rozlogach. Takimi tubylcami bywają zwykle studenci, z warszawska »akademikami« zwykle zwani. Doświadczeńsze wszakże syreny na takich akademików nie patrzą, mówiąc z lekceważeniem, że ich znosić nie mogą! One nawet nie nadają im całego nazwiska, lecz w swym syrenim żargonie zwą w skróceniu »miki.«

Lecz obecnie, gdy nastąpił taki nagły przewrót, gdy »miki« zajęli przodujące stanowisko i sam namiestnik uznał ich władzę i pozostawił ich panami w mieście, w tę niepojętą chwilę poddały im się i syreny, wogóle nie lubiące nikogo słuchać. One, literalnie patrzyły w oczy swym rozkazodawcom i najlepiej zrozumiały, jak i co należało wówczas robić każdemu patryocie i patryotce. Wszędzie się zjawiały tłumnie, roznosiły po mieście różne wiadomości, wciskały się nawet tam, dokąd zdawało się, dostęp był już weale niemożliwy.

Dnia 1. marca całe fale syren spłynęły do kościoła św. Krzyża, zajęły pierwsze miejsca koło katafalku; wszędzie ich było pełno; zmięte, z podeptanymi nóżkami, lecz rumiane, rozplamienione, z łzą w oku, brzęczały jak czarne muchy, wyraźnie chcąc pokazać że i one są członkami wielkiej, patryotycznej rodziny, wiernymi córami budzącej się ojczyzny i niemniej od każdego gotowemi do wszelkich dla niej ofiar. Jakoż istotnie, niejedna para ostatnich, drogich sercu kolezyków, wrzuconą została do czapki Leya, wystawionej z okna Europejskiego hotelu, lub też potajemnie złożoną została na ręce księdza lub kogo innego, zbierającego »składki« na sprawę ojczystą.

Po trzecich i czwartych piętrach zręczne rączki syren szyły żalobę dla ludzi ubogich, przygotowywały czarne zasłony z białymi szlakami i krzyżami dla okrywania balkonów we wspanialszych mieszkaniach. Któżby zdołał przygotować tyle żalobnych odznak dla całej Warszawy, gdyby nie ta masa zręcznych i gorliwych patryotycznych rączek.

Na drugiego marca wszystko było gotowe. Umysły znacznie się uspokoiły. Najtrudniej było przekonać Nowakow-

skiego i jego kolegów, którzy w resursie i wszędzie, gdzie tylko mogli się dać słyszeć, głośno nawoływali, że »nie może być dogodniejszej sposobności, jak w danej chwili do zdobycia szturmem cytadeli i zamku, przy pomocy ogromnej manifestacyi.

Wskutek tego rozeszła się wieść po mieście, że w czasie pogrzebu wybuchnie rewolucya, i że cała uroczystość ma jedynie na celu zgromadzenie jak największych tłumów ludu. Mówiono dalej, że rzeźnicy z Solca i wyrobnicza ludność z różnych innych zakątków miasta, mają przybyć na pogrzeb uzbrojeni w noże i topory. Książę Gorczaków tak dalece uwierzył wszystkim tym baśniom, tak się o swój zamek przeląkł i tak nie liczył na wojsko, że przywołał do siebie znanego z roz-wagi i uczciwości oficera, członka komisji śledczej, Korolkowa, i wręczył mu dwie szkatulki z rozkazem odwiezienia ich do komendanta fortecy i przechowania ich tam aż do dalszego rozporządzenia. Dowiedziawszy się o tem szef głównego sztabu, także powierzył mu jakąś szkatulkę, a generał-gubernator Paniutyn już przed tem dwa duże kufry odesłał do cytadeli. Uczyniło toż samo ze swojemi rzeczami ze dwudziestu innych wyższych dygnitarzy. Kazano nawet rozstawić wojsko na walach cytadeli i ponabijać armaty ¹⁾.

Taki nie do uwierzenia a nawet komiczny był przestrah w rządzie, do którego przecież należeli ludzie, którzy nie jedną bitwę i nie jeden szturm widzieli. Książę Gorczaków i generał Kotzebue wysłali swoje rodziny do Drezna ²⁾.

Delegaci wszakże zapewniali, że wszystko odbędzie się spokojnie i w porządku, i niema najmniejszego powodu do obaw. Lubiany i poważany przez wszystkich Dr Chalubiński

¹⁾ Szczegóły te udzielił autorowi sam Korolków, późniejszy pułkownik w Turkestanie i generał Gryszyn, naoczny świadek.

²⁾ Kotzebue opowiadał autorowi, że na propozycję jego, umieszczenia swych rodzin w cytadeli, gdzie będą zupełnie bezpieczne, książę Gorczaków odpowiedział: „jeszcze bezpieczniejsze będą w Dreźnie, *mon cher!*“

chodził, jak powiadają, osobiście uspokajać rzeźników, by zaniechali swych fantastycznych i nierozsądnych pomysłów, które mogłyby sprowadzić bardzo smutne następstwa i w niwecz obrócić wszystko, co do tej chwili osiągnięto. Rzeźnicy mieli mu przyrzec uroczyście, że się zachowają spokojnie. Mimo to, znając niewyleczalną lekkomyślność pewnej części ludności, delegaci uważali za potrzebne ogłosić we wszystkich dziennikach następujące dwie odezwy:

»W sobotę, dnia 2. marca o godzinie 10. rano, odbędzie się pogrzeb ofiar, zabitych dnia 27. lutego. W imię miłości ojczyzny, oraz najświętszych i najdroższych dla każdego z nas obowiązków, zaklinamy mieszkańców miasta, aby czci, oddawanej ofiarom w chwili złożenia ich do grobu, towarzyszyły największy porządek i spokój. Mieszkańcy Warszawy! usłuchajcie głosu braci waszej!« — (Następują podpisy delegatów: ksiądz Wyszyński, ksiądz I. Stecki, Ksawery Szlenker, Jakób Piotrowski, Józef Lewiński, Teofil Piotrowski, A. Trzetrzewiński, J. I. Kraszewski, Józef Kenig, Karol Bayer, S. Hiszpański, Dr Chałubiński, L. Kronenberg i Maciej Rosen).

Druga odezwa z dnia 1. marca brzmiała:

»My niżej podpisani delegaci miasta Warszawy czynimy wiadomem, że ktokolwiek z mieszkańców spostrzeżony zostanie w dniu jutrzejszym z orężem w ręku, będzie uważany jako zdrajca ojczyzny.«

Nadszedł dzień 2. marca. Z wczesnego rana Warszawa przyoblekła się w głęboką żalobę, po mieście zapanowała cisza i poważny nastrój; zdawałoby się, że kilku królów na raz mają chować.

W ulicach, któremi pogrzeb miał przechodzić, rozwieszono w oknach i z wielu balkonów czarne opony z białymi krzyżami. Wszędzie rozstawiono narodowych konstablów z odznaką na czapce i białą przepaską na ramieniu. Policji nawet cienia nigdzie nie było, a wojskowi, oficerowie i żołnierze otrzymali surowe, chociaż sekretne polecenie, by się nie pokazywali na ulicach. Mała tylko garstka żołnierzy przypatrywała

się z dachów ratusza i arsenału zabronionemu widowisku. Lud, śmiejąc się, palcami sobie ich pokazywał. Wojskowi wszakże głośno wypowiadali swe niezadowolenie z tych zarządzeń najwyższej władzy w kraju. Powtarzali: »że książę Gorczaków już w piętkę goni — zwaryował i oddał Warszawę Polakom!« — Krytyki tej nikt im nie mógł zabronić.

Wspaniała pogoda sprzyjała uroczystości.

O godzinie 10-tej, gdy uczniowie instytutu muzycznego pod dyrekcją Apolinarego Kątskiego wykonali *Requiem*, kompozycji I. Stefaniego, w którym sola odśpiewali najlepsi artyści opery polskiej, procesya wyruszyła z kościoła św. Krzyża przez Krakowskie Przedmieście na lewo.

Zamiast wojska, jechało naprzód kilku jeźdźców ulubionej w mieście straży ogniowej z brandmistrzem na czele.

Potem jechał konno generał Paulucci, w pełnej gali, jedyny wojskowy dopuszczony do orszaku pogrzebowego, jednak i temu, nie zważając na wyjątkową podówczas popularność, dodano dla bezpieczeństwa, znanego i wpływowego między czerwonymi sybiraka, Karola Ruprechta ¹⁾. Dalej szły sieroty i starcy z warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńców, uczniowie różnych zakładów naukowych, wszystkie cechy z chorągwiami, okrytymi krepą. Były też chorągwie z herbami Polski i Litwy.

Następnie postępowało duchowieństwo katolickie; dalej zwłoki zabitych, niesione przez obywateli znakomitych; duchowieństwo izraelskie z rabinem na czele w swym rytualnym stroju i z nakrytymi głowami, jak tego wymaga obrządek. Pochód zamykali druciarze w swych charakterystycznych guńkach z szerokimi kapeluszami w rękę.

Jednym słowem nie przepomniano nikogo w Warszawie.

Przy trumnach pierwsze miejsce zajmował komitet Towarzystwa rolniczego. Opowiadano, że Andrzej hr. Zamojski szedł pod rękę z jakimś włościaninem. Współczesna litografia,

¹⁾ *Gazeta Narodowa* 1875 rok, numer 133.

przedstawiająca pogrzeb ofiar i nosząca podpis: »Wspomnienie dnia 2. marca 1861 roku«, wyobraża hrabiego Zamoyskiego, postępującego obok wysłużonego żołnierza dawnych wojsk polskich, do którego jest zwrócony, jakby coś przemawiał. Żołnierz ma rękę na temblaku, a więc jest to jeden z rannych w spotkaniu z dnia 25. lub 27. lutego.

Wiele dam prosiło o pozwolenie niesienia na swych ramiach jednej trumny; nie zgodzono się na to, lecz w zamian dano im ogromny wieniec cierniowy, »godło zwycięstwa i niewinności«, jak się o tem wyraził jeden z dzienników¹⁾.

Tłumy ludu, towarzyszące pogrzebowi, dochodziły, wedle podania dzienników, liczby 100.000, inni obliczali na 160.000.

Doszedłszy do hotelu Europejskiego, pochód zwrócił na lewo przez Plac Saski, Wierzbową, Bielańską i Przejazd, na Powązki. Na Powązkach wszystkie pięć trumien spuszczone do jednego wspólnego grobu, ustawiono je jedna przy drugiej i nad każdą usypano oddzielną mogiłę. Wszystkie natychmiast pokryte zostały całą górą wieńców i kwiatów; nad każdą zaś wetknięto krzyżyk²⁾.

Po spuszczeniu ciał do grobu, wypowiedziano kilka mów patryotycznych przez księży, studenci zaś rozdawali obecnym fotografie zabitych, cząstki koron cierniowych, które były zło-

¹⁾ *Gazeta Codzienna* z 1861 roku, numer 60.

²⁾ W takim stanie grób ten pozostawał do roku 1867. Obecnie w głównej alei, niedaleko parkanu, przy słupie z numerem 179 widać płaszczyzną wyasfaltowaną, na niej usypana mogiła z ziemi i kamieni. Na mogile wznosi się niewielki krzyż drewniany. W 1878 roku, gdy autor grób ten oglądał, mógł odczytać na krzyżu niebieskim ołówkiem napisane: „pięciu poległych... póki my żyjemy... niech żyje Polska. *Vive la Pologne!*...”

Obok wznosi się pomnik z napisem: „Ś. p. Karol Rokicki, były oficer wojsk polskich, obywatel ziemski. Umarł dnia 6. maja 1875 r. w wieku lat 78. — Z drugiej strony do grobu pięciu ofiar przytyka pomnik Wandy Maternickiej, urodzonej dnia 13. stycznia 1849 roku, zmarłej 24. listopada 1862 roku. — O trzy pomniki dalej, stoi spiżowe działo na zielonej lawecie, pomnik Jędrzeja Węglowskiego.

żone na trumnach, i po pięć kawałeczków płótna, zmoczonych w krwi niewinnej. (Notatki pułkownika Dobrodziejowa).

Artyści opery, uczniowie Instytutu muzycznego i chór, złożony z kilkuset osób, odśpiewali marsz Nideckiego ¹⁾.

Gdy tłumy pogrzebowe wróciły do miasta, poździerano afisze teatralne, wystawione po ulicach. — Powtórzyło się to i dnia następnego.

W dzień pogrzebu przedstawień w teatrach nie było. Nazajutrz, dnia 3. marca dawano w Wielkim teatrze dwa akty z *Lunatycki* i dwa akty z baletu *Esmeralda*; w Małym teatrze *Klara i dziwadła* czyli *Odrodzony*. Na przedstawienia przyszli tylko sami Rosyanie.

Zaczynała się żałoba narodowa i wstrzymanie się od wszelkich zabaw. Po mieście krążył okólnik, jakoby wydany przez księdza arcybiskupa Fijałkowskiego, polecający wszystkim mieszkańcom »odwiecznej Polski« przywdzianie żaloby na czas nieograniczony. Kobietom dozwolono jedynie w dzień ślubu przywdziewać strój biały ²⁾.

Wszyscy się zastosowali do tego okólnika. Dorośli i dzieci — wszyscy ubrali się czarno... Ucenice różnych zakładów, nazajutrz po pogrzebie zasiadły w swych ławkach w grubej żalobie... Gdy dozorczyńni szkoły rządowej zapytała, co to ma znaczyć, odpowiedziały »że tak nakazano.« »Ojczyzna w rozpaczy!« Większość władz szkolnych patrzyła na tę żałobę pobłażliwie i sama ją przywdziała. Gdy w instytucie panien w Puławach nakazano zdjąć wychowankom żałobę, wiele dziewczątek porobiło sobie atramentem czarne pasy na szyi i rękę, nazywając to »żałobą nie do zrzucenia.« W Warszawie, gdy także nakazano zrzucić żałobę, uczennice oświadczyły, że pójdą za przykładem Puław. W wielu zakładach,

¹⁾ *Gazeta Warszawska* z 1861 roku, numer 60.

²⁾ Okólnik ten znajduje się w broszurze, wydanej w Lipsku w 1863 roku pod tytułem: „Wiadomości z kraju z lat 1860—1861. Tłumaczenie rosyjskie w „Bibliotece dla czytania“ z 1864 roku, styczeń, stronica 27.

przed przyjściem nauczycieli, uczennice śpiewały »Boże coś Polskę« i to nikomu się nie wzbraniało. Rosyjskie podręczniki zupełnie zarzucono. Jeśli która z uczennic chociażby jednym słowem odezwała się po rosyjsku, przezywano ją »moskiewskim duchem« i wystawioną bywała na rozmaite dokuczania koleżanek. Męskie zaś szkoły prawie zupełnie opustoszały ¹⁾.

Zdawałoby się, że po dokonanym pogrzebie zabitych dnia 27-go lutego, powinien był ustać ten anormalny stan miasta, i wszystko powinno było wrócić do zwykłego trybu. Zadośćuczynienie odbyło się, publiczność była zadowoloną a przedmiot podniecający i drażniący umysły już nie istniał i spokojnie spoczął w grobie.

Cóż więc stało na przeszkodzie, by wezbrane nurty do dawnego wróciły łożyska? Ludzie energiczniejsi w otoczeniu namiestnika, doradzali natychmiastowe ogłoszenie w Warszawie stanu wojennego, do czego już nawet było przygotowane zarządzenie, rozwiązanie delegacyi i Towarzystwa rolniczego z poleceniem, by wszyscy zamiejscowi członkowie tego towarzystwa natychmiast opuścili Warszawę. O konieczności zaprowadzenia stanu wojennego wnieśli do namiestnika przedstawienie, jenerałowie: Siemieka i Weselickij dnia 27. marca 1861 r. Jenerał Zabołocki, gdy je przeczytał, odezwał się: »Zanadto krótkie, a zresztą byleby tylko była zgoda!« na co, lubiący zawsze drwić pułkownik sztabu głównego, D. I. Czernickij, dodał: »Ależ my zawsze zgodni i bardzo nawet zgodni. Wszyscyśmy potracili głowy i robimy głupstwo za głupstwem ²⁾.

Proponowano następnie, by obsadzić wojskiem resursę kupiecką, po mieście rozesłać patrole, i dopiero po wyczekaniu, jakie wrażenie zarządzone środki zrobią, rozstrzygnąć py-

¹⁾ Z opowiadań ówczesnych wychowanków.

²⁾ Dziennik pułkownika Krywonosowa. Całe to zajście opowiadał także aut. r. T. R. Kazaczkowskij, ówczesny naczelnik kancelaryi namiestnika.

tanie, co dalej czynić? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że te zarządzenia doprowadziłyby do uspokojenia, umiarkowańsze zaś żywiły stanęłyby po stronie władzy raczej wtedy, gdy ta okazałaby siłę, aniżeli wówczas, gdy siłą być przedstawiała.

Nawet czerwoni spiskowcy i manifestanci, ochłonawszy z obłędu przyznawali, że »delegacya i wszystkie jej następstwa były wielkim błędem ze strony władzy.« *Aweyde* mniej więcej toż samo powiada w swych zeznaniach: »Było to obowiązkiem rządu, zaraz po pogrzebie pięciu ofiar, rozwiązać delegacyę, klub i delegacyjną policję. Gdy tego nie uczynił, musi się koniecznie podzielić z Polakami odpowiedzialnością za następstwa tego czterdziestodniowego bezkrólewia... Lud zbalamucony tym stanem rzeczy, przywykł do nieporządków i począł je uważać za zwykły i naturalny tryb życia.«

Dlaczego nie usłuchano rady ludzi praktycznych? Na to jeden tylko książę Gorczaków może dać odpowiedź! On, który nikogo wówczas nie chciał słuchać. Dozwolono więc, by zadzierzgnięty węzeł sam się rozwikływał, własnym ciężarem, jak Bóg da... Nie ogłoszono stanu wojennego; zaczęte budowy baraków dla wojska w różnych częściach miasta przerwano; narodowemu senatowi w kupieckiej resursie dozwolono spokojnie pracować nad rozwiązaniem zadań, które należały wyłącznie do rządu.

Senat ten i otaczający go tłum najbardziej wrzących i niepraktycznych ludzi w Warszawie, myślał jedynie o urządzaniu dalszych manifestacyi, które tak odurzająco i zastraszająco oddziaływały na rząd i władzę. Zastanawiał się nad zjednoczeniem wszystkich Polaków w swych uczuciach i dążeniach, by i nadal przedstawiali tę jednolitą, patriotyczną masę, która co tylko postępowała za trumnami pięciu ofiar; masę rozumiejącą, w czem właściwie polega rdzeń samej sprawy. Dlatego delegacya nazajutrz po pogrzebie wydała dalszą odezwę do narodu: »Wczoraj odbył się pogrzeb ofiar, zabitych we środę; wczoraj Naród dowiedział, że rozumie znaczenie swych obowiązków względem Ojczyzny. Wszyscy bez wyjątku,

zbratani jednym i tem samym uczuciem, żegnaliśmy zmarłych. Bracia! niech to poczucie obowiązków naszych, rządzi nami na przyszłość!« Nie potrzeba tu było nie podkreślać, ani też drukować rozstawionemi literami; czytelnicy wiedzieli doskonale, na czem położyć nacisk, doskonale rozumieli, co się mieści między wierszami. Słowa: »zbratani jednym i tem samym uczuciem«, stały się typowem wyrażeniem wielu podobnych odezów.

Aby nie dać się prześcignąć resursie, Towarzystwo rolnicze także wydało podobną odezwę, przeznaczoną głównie dla szkolnej młodzieży.

»Komitet Towarzystwa rolniczego, w imieniu wszystkich jego członków, składa Ci dzięki szlachetna młodzieży, wychowańcom szkół i akademii, za okazaną pomoc w zachowaniu porządku w chwili tak smutnego a zarazem tak uroczystego obrzędu pochowania ofiar, poległych dnia 27. lutego, w liczbie których znajdowało się dwóch członków Towarzystwa rolniczego.

»Przykładnem zachowaniem się waszem daliście dowód, że posiadacie wszystkie te zalety, które w przyszłości zrobią z was dostojnych i pożytecznych synów ojczyzny, przez nas, wraz z wami całym sercem ukochanej, a której służyć każdego z nas jest najświętszym obowiązkiem.«

Następnie, przedewszystkiem delegacya wybrała komitet, który się miał zająć wystawieniem pomnika na cześć poległych w dniu 27. lutego, niesieniem pomocy pozostałym po nich rodzinom, a także rannym w dniach 25. i 27. lutego. W skróceniu komitet zwał się »pomnikowym«, a posiedzenia odbywał w tejże Resursie kupieckiej. W skład komitetu weszli: ksiądz kanonik Wyszyński jako prezes, Karol Bayer, Karol Majewski, Wambach współwłaściciel hotelu Europejskiego, Karol Kucz i Józef Lewiński generał b. wojsk p., jako członkowie. Później, gdy przybyło zajęcia, przybrano akademika Szaniawskiego i Fochta. Zebrano do 260.000 złp. — (Z zeznań Majewskiego).

Nadto sformowała się jeszcze: »Dyrekcya straży bezpieczeństwa i publicznej spokojności«, pod prezydencją kupca Józefa Kwiatkowskiego. Członkami tej dyrekcji byli: Edward Jurgens, Karol Majewski, Karol Ruprecht, pastor Otto, emigrant Józef Grabowski i akademik Świetlicki.

Już sam wybór komitetu dla budowy pomnika dla ofiar, o których we wzajemnym interesie należałoby naprawdę jak najprędzej zapomnieć, przyczyniał się tylko do ciągłego drażnienia umysłów, gdy przez kilka tygodni z rządu we wszystkich warszawskich dziennikach ciągle o tem rozprawiano. Ten jeden fakt wystarcza, by osądzić, w jakim kierunku poprowadziła swe działania delegacya i jak wielka była doza zaślepienia i marzeń w umysłach nawet najspokojniejszych i najumiarkowańszych ludzi.

Gdy już coś zrobiono dla poległych i rannych, bystry i energiczny Kronenberg pospieszył z poruszeniem kwestyi, najbliższej mu na sereu leżącej, kwestyi żydowskiej. Potrafił on natchnąć swych współkolegów w delegacyi myślą, i to tak zręcznie, że początkowo wcale nie wychodziła od niego, lecz zjawiała się sama przez się, jakby natchnienie z nieba, jako rosa ożywcza: że w takiej nadzwyczajnej chwili, gdy spełniają się rzeczy trudne do uwierzenia, gdy niewiadomo, co jeszcze przyszłość przyniesie, zależy bardzo krajowi na upewnieniu się, na czyją stronę przechyła się żydzi ze swymi kapitałami, przedsiębiorczością, wytrwałością i cierpliwością; żydzi, których w samej Warszawie liczą około stu tysięcy; czyli, że nie należy i nie można dopuścić, by wskutek jakiegoś fałszywego lub nieopatrnego kroku, żydzi stanęli po stronie rządu.

W rzeczywistości nikt nie wątpił, że polski żyd, zwłaszcza wykształcony, prędzej zostanie Polakiem niż Rosyaninem, że on nie zamieni Polski na żaden inny kraj na ziemi, i na równi z Polakami uważa Rosyanów za barbarzyńców i tyranów. Jednakże, jakoś się to stało, że ci dwaj Polacy nie mogą z sobą przyjść do zgody; że patrzą na siebie podejrzliwie — omal że nie wrogo. Czyż to dawno, jak dla jakiejś blahej przy-

czyny wywiązało się między nimi starcie, jakby między najzaciętszymi wrogami... Potrzeba więc dolożyć możliwych starań, by to załagodzić, o wszystkim zapomnieć. Polakom, jako właściwym gospodarzom kraju, należy zrobić krok pierwszy. Przodkowie tych gospodarzy orzekli kiedyś, że żydom nie przysługują te same prawa co innym mieszkańcom kraju; do potomków więc należy uczynić teraz coś na korzyść żydów, coś takiego istotnego, coby w całym kraju wywołało wrażenie.

Myśli takie, rzucone zreżnie w wątek ówczesnych rozpraw w Resursie kupieckiej, wkrótce wydały pożądaną dla Kronenberga skutek. Przedewszystkiem podniesiono, że wedle dawnych praw kraju, warszawscy żydzi nie mogą należeć do Zgromadzenia kupieckiego i tworzą oddzielną korporację żydowskich kupców; że nie mogą być również wybierani na członków sądu handlowego ani też sprawować innych godności. Na wniosek Szlenkiera, prezesa kongregacji kupieckiej, kupey warszawscy przyjęli do swego grona kupców żydowskiego pochodzenia, a bankier Kronenberg został wybrany starszym zgromadzenia.

Następnie, poważany przez wszystkich, mimo swego żydowskiego pochodzenia, Jakób Piotrowski, został prezesem warszawskiej dyrekcji szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego ¹⁾.

¹⁾ Piotrowski był mechesem, jak zwykle przezywają w Polsce żydów, którzy jeszcze w połowie zeszłego stulecia, pod wpływem nauki moldawskiego żyda, Jakóba Leibowicza Franka, przyjęli chrystyanizm. Frank skłaniał swych współwyznawców, by dla osiągnięcia równouprawnienia, przyjmowali powierzchownie chrystyanizm i zmieniali swe nazwiska na krajowe, zachowując zawsze w głębi duszy i w domu obyczaj żydowski. Żydzi wszakże, którzy w ten sposób, pozornie na razie przyjęli chrześcijaństwo, w drugim już pokoleniu przerodzili się na prawdziwych Polaków i katolików. Mimo to, w kraju pamiętają zawsze o ich pochodzeniu i każdy chłopak potrafi ich rody wyliczyć na palcach, a podrażniony — nazwie ich żydami albo mechesami.

Szczegóły o życiu i nauce Jakóba Józefa Franka, ogłosił Skimborowicz w broszurze, wydanej w 1866 roku.

Rząd zatwierdził wybór Kronenberga i Piotrowskiego. Żydzi odwdzięczając się (bardzo być może, że z porady Kronenberga), wydali odezwę: »Okólnik Izraelitów miasta Warszawy do swych współwyznawców w kraju!« pełną przyjaznych uczuć dla Polaków i wzywający żydów Królestwa do niesienia wszelakiej pomocy chrześcijanom katolikom, wśród których porodzili się i żyją; przyczem obwiniano rząd o wszelkie kłeski i niedole żydowstwa, Muchanowa zaś nazywano »szatańskim wrogiem.« — (*Aweyde* tom II, str. 39).

Polacy posłali w darze dla synagogi wspaniałe świecznik. (*Gazeta codzienna* z 1861 r. nr 78). Mówiono, że odwzajemniając się, żydzi ofiarowali prześliczny krucyfiks ze słoniowej kości z podpisem: »Bracia braciom«¹⁾.

Nie wiemy nic więcej o działalności delegacyi między 1. a 6. marca.

Wtem Gorczaków się ocknął z dręczącej go zmyry i dał się przekonać, że ustanowienie delegacyi wcale nie odpowiada widokom rządu, że jest rzeczą niepraktyczną a nadewszystko szkodliwą dla interesów Rosyi w tym kraju. Delegaci ani trochę nie przyczynią się do wyjaśnienia zagmatwanej sprawy, owszem, jeszcze bardziej ją zawikłają. Dostyc przyjrzeć się ich działalności w resursie po pogrzebie pięciu ofiar, by nabrać przekonania, że oni tacy sami czerwieńcy, jak ci warcholi, którzy w lutym urządzali mniejsze i większe demonstracye; że oni wszyscy działają jednomyślnie i Bóg wie dokąd i do czego dążą. Należy więc ich jak najprędzej usunąć a przynajmniej ubezwładnić i sparaliżować ich działalność przez wydanie energicznych zarządzeń w duchu rosyjsko-rządowym.

Na energiczne zarządzenia książe Gorczaków zdobyć się nie umiał. Postanowiono jednak, by w sposób oględny i delikatny ubezwładnić delegacyę. Dnia 6. marca oświadczone tejże, że dla nadania jej oficjalnego, poważniejszego znaczenia — po-

¹⁾ Dziennik pułkownika Krywonosowa, który powiada, że to się miało stać w początkach marca 1861 roku.

siedzenia delegacyi będą się odbywać w ratuszu, pod przewodnictwem generała Paulucciego. Wice-prezesem został naznaczony generał Lewiński. Czynność delegacyi trwać miała do czasu nadejścia odpowiedzi od cesarza na podany adres.

Dla osłodzenia pigulki dozwolono delegatom przybrać do swego grona, jeśli uznają tego potrzebę, jeszcze dwunastu towarzyszy.

Nie było rady, delegaci przybrali jeszcze dwunastu członków i przenieśli swe posiedzenia do ratusza. Nie wszystkie wszakże sprawy tam się roztrząsały. Rozpoczęte narady w ratuszu, wobec rządowego rosyjskiego generała, kończono i uzupełniano na dobre w resursie przy swoim, polskim generale. Protokoły z tych poufnych resursowych posiedzeń odsyłano do Poznania na ręce Dra Władysława Niegolewskiego; narady zaś w ratuszu następnie odbijano litograficznie, w dosyć znacznej liczbie egzemplarzy, i półjawnie rozrzucano je po mieście i rozsyłano po kraju w formie sprawozdań wobec kraju i społeczeństwa z działalności delegacyi: co ona robi i jak staje w obronie narodowych interesów. Przytem, dla wywołania większego wrażenia, niejedno w druku inaczej się przedstawiało, niż było w rzeczywistości, tak, że Paulucci, czytając takie litografowane sprawozdanie, nieraz niemógł rozpoznać się w obradach, którym sam przewodniczył¹⁾.

Policya wiedziała o tem sekretnem wydawnictwie protokołów bez uprzedniej cenzury, lecz otrzymała polecenie, by patrzyła na to przez palce, również na żalobę, którą przywdziała cała ludność, jak i na tę niezliczoną ilość fotografii

¹⁾ Powiadają, że raz ksiązę Górczaków, lubiący, jak wiadomo, zmieniać i poprawiać bez końca swe pisma, zażądał zwrotu jakiejś odezwy, przesłanej delegacyi. Odpowiedziano mu, że akt ten zaginął; w rzeczywistości zaś odezwa ta wraz z protokołem odbytego posiedzenia została odesłaną do Poznania do Władysława Niegolewskiego.

Jeden z delegatów opowiadał autorowi, że hrabia Andrzej Zamojski wysyłał na zebrania w resursie hrabiego Henryka Potockiego, który zwykł był się zjawiać nietrzeźwy.

pięciu ofiar i ich pogrzebu, rozchodzących się po całym kraju z warszawskich fotograficznych zakładów.

Obok fotografii komitet czerwony kazał wybić i rozszerzał po kraju medale z Matką Boską po jednej, zaś ze złamanym krzyżem, liczbami 25—27 i napisem »Ratuj Ojczyznę!« po drugiej stronie.

Cyfry te wyrzynano na ławkach i drzewach, po ogrodach i skwerach, i zapewne do dzisiaj jeszcze niejedno drzewo istnieje ze śladami tych napisów.

W kraju, przy drogach wznoszono krzyże, często z surowego, nie obrobionego drzewa, z koroną cierniową i cyframi 25—27.

W wielu prowincjonalnych miastach pozawiały się samowolnie, bez żadnego upoważnienia, prowincjonalne delegacje, na wzór warszawskiej, ze strażą narodową i poborcami składek. Pod wpływem strachu, który owładnął przedstawiciela najwyższej władzy w kraju, oraz tego wszystkiego co zaszło na Zamku zaraz po 27. lutego, nikt z miejscowych naczelników nie próbował nawet opozycji i zarządzenia jakichkolwiek środków zapobiegawczych, celem zwinięcia tych samozwańczych delegacji lub usunięcia tego mnóstwa, demonstracyjnie stawianych krzyży. Nawet nie wszyscy naczelnicy zawiadomili przełożone władze o wszystkim co zaszło. Jednym słowem, w całym kraju od razu zapanował taki sam rozstrój, takąż bierność policji, wojska i rządowych władz rosyjskich, jaka zachodziła w Warszawie i w jej *forum* narodowym — w Rursie kupieckiej. Prowincja zapatrywała się na stolicę Królestwa i naśladowała ją, o ile się tylko dało.

Stolica zaś, pochowawszy uroczyście znakomitych pięciu, po tygodniu zamierzyła sprawić zwyczajowe nabożeństwo żałobne, czyli tak zwaną oktawę za dusze zabitych, i to z wspólnością, odpowiednią samemu pogrzebowi. Policja patrzyła na jawnie robione przygotowania, i zażądała rozkazów namiestnika. Ten polecił, by się do niczego nie mieszać i pozostawić miastu zupełną swobodę. Urządzono więc manifestację

i to nie jedną lecz kilka na raz. U św. Krzyża uczniowie instytutu muzycznego, dyrygowani przez swego dyrektora, odśpiewali *Requiem*. Damy z wyższych sfer towarzystwa kwestowały. Początek zrobiła księżna Lubomirska, z domu hrabianka Zamoyska. Wśród zebranych tłumów uzbierano oprócz pieniędzy mnóstwo kosztowności: kolczyków, broszek, bransolet i pierścionków. Na co? na jakie cele? nikt o to nie pytał. Wszyscy byli nadzwyczaj wzruszeni, kobiety na głos płakały.

W kościele OO. Reformatów przy ulicy Senatorskiej, chórem dyrygował Moniuszko. Na zakończenie pierwszy tenor opery polskiej, Dobrski, odśpiewał hymnu patryotyczny, na ten obchód ułożony.

Zapewne, nie da się absolutnie stwierdzić, żeby delegacya, a przynajmniej większa część jej członków, w tem wszystkim czynną brała inicjatywę, lecz nikt się nie starał zapobiedz temu. Uczucia ich były zgodne z nastrojem tłumów; nie chcieli, czy też nie umieli spostrzedz, że naród zaczyna grę niebezpieczną i dąży gdzieś po omacku, bez jasno wytkniętego celu.

Aweyde taki sąd wydaje o delegacyi: »Pomimo szanowny osobisty charakter wszystkich bez wyjątku członków delegacyi, ich oględność i życiowe doświadczenie, delegaci, pod względem wrażliwości uczuć, niczem się nie różnili od najmłodszych manifestantów. Oni zarówno z nami wszystkimi zachwycali się porywami tych religijno-patryotycznych uniesień i nie tylko nie starali się uspokajać wzburzone umysły, nie troszczyli się i nie zapobiegali nowym jakim demonstracyom, lecz owszem, to ciągle trwające wzburzenie im się podobało, oni je podtrzymywali... i potakiwali tym chaotycznym zebraniom różnego rodzaju domorosłych polityków w resursie. Oni na te zebrania przychodzili ze sprawozdaniami, kokiętowali z tłumami... Resursa była w tym czasie ostoją i punktem zbornym; warsztatem przygotowawczym przyszłych manifestacyi i spisków.«

»Nie przypuszczano, by w umysłach konserwatywnych członków delegacyi mógł powstać projekt sprzysiężenia; jestem przekonany, że wobec rządu działali oni z zupełnie dobrą wiarą i najlepszymi zamiarami, lecz jednocześnie nie gorzej, a bodaj nawet że lepiej, niż dobrze zorganizowani i świadomi swych celów spiskowcy.« (Tom II, str. 23—26).

W spełnieniu przyrzeczenia danego delegacyi, że sprawa strzałów będzie należycie zbadaną, namiestnik wyznaczył osobną *ad hoc* komisję, która się zebrała dnia 11. marca w pałacu Namiestnikowskim w następującym składzie: prezes, dowódca drugiego korpusu armii, jenerał piechoty Liprandi; członkowie: komendant miasta Warszawy, jenerał-major Mielników; prezes sądu kryminalnego Wieczorkowski; radca prawny komisji skarbu, obrońca przy IX. i X. departamentach rządzącego senatu, mecenas Kojśiewicz.

Wiadomo, że w Rosyi specjalne takie komisye są tylko wyrazem zapatrywań naczelnej władzy na badane fakta. Wyznaczona więc i ta komisya zapatrywała się na całe zajście oczami księcia Gorczakowa i niektórych dygnitarzy, podzielających te poglądy. Nadto członkowie komisji Polacy, rozumiejący doskonale istotę sprawy i jej doniosłość, jako prawnicy znali najdokładniej wszelkie przepisy i paragrafy praw dotyczących. Chociażby więc nawet wyższa władza dążyła do usprawiedliwienia i uniewinnienia jenerała Zabołockiego, na co w zbiorze ustaw znalazłby się niejeden paragraf, polskim członkom komisji chodziło o co innego. Miasto żądało ukarania Zabołockiego, dlatego też zawczasu można było przewidzieć ostateczny wynik tych dochodzeń.

Zaczęto od rozpatrzenia przedewszystkiem formalnej strony zajścia. Stwierdzono, że Zabołocki bez rozkazu wyprowadził wojsko z pałacu Prymasowskiego i na własną rękę wywołał całe zamieszanie, czemu Zabołocki wcale nie przeczył, owszem, w raporcie, złożonym dnia 26. lutego do liczby 18,

dowódcy drugiego korpusu, otwarcie i śmiało, jak przystało żołnierzowi, podaje: »do użycia siódmej kompanii Nizowskiego pułku piechoty nie miałem rozkazu.«

Komisya chciała widzieć tylko literę prawa, nie uwzględniając bynajmniej ukrytego w niem ducha. Żadne okoliczności łagodzące nie zostały uwzględnione, a jednak tyle ich było! Ani mowy nie było o jakiegokolwiek wyrozumiałości dla człowieka wzburzonego i wzruszonego, a do tego rannego, który w fatalnej chwili stracił głowę, jak tyłu wokoło je potraciło. Komisya nie uznawała nawet najzwyczajszych wyjaśnień jenerała i drugich osób, wmieszanych w tę sprawę. Gdy naprzykład Zabołockij i starsi adjutanci dyżurstwa pierwszej armii: podpułkownik Griszyn i kapitan Rottkirch stanowczo twierdzili, że przy poczcie podjechał do nich kozak kubański i powiedział to i to, komisya nie poprzestała na tem, lecz zapytała asała Zawarowa, czy to być mogło?

I — *sancta simplicitas* — odważny kozaczysko Zawarów, nastojaszczy i czystej krwi Rosyanin, usposobiony jak wszyscy (wszak sam namiestnik powiedział o Zabołockim i Trepowie *il faut les sacrifier*), odpowiedział, że »jeneral nie mógł spotkać żadnego kozaka przy poczcie, gdyż wszyscy byli przed kościołem Bernardynów i na placu Zamkowym.« Zabołockij i oficerowie z siódmej kompanii Nizowskiego pułku piechoty upierali się jednak przytem, że spotkali kozaka przy poczcie, że w tem niema nic dziwnego, wszak od kościoła Bernardynów do poczty zaledwie kilkadziesiąt kroków; że na ulicy panował zgiełk i zamieszanie, i że łatwo który z kozaków, uganiających za ludem, mógł się zapędzić i znaleźć obok poczty.

Wówczas komisya zavezwała Zawarowa, by z całym swym oddziałem przybył na plac Zamkowy, i zmusiła starego, osiwiałego w służbie jenerała do chodzenia między szeregami i rozpoznania kozaka, na którego się powoływał ¹⁾. Jeneral

¹⁾ Wyjęte z cytowanych już aktów „O zajściach w Warszawie dnia ¹⁵/₂₇ lutego 1861 roku, str. 82.

poddał się temu żądaniu i na swoje nieszczęście kozaka nie odszukał. Zawarow tryumfował, a członkowie komisji Rosyanie tylko mrugali oczami, nie spostrzegając, co za zgorszenie wywoływała ta cała scena wśród wojska i w mieście, jak była szkodliwą dla ruskich interesów i dla sprawy uspokojenia kraju.

Dalsze, równie dziwne i nieprawdopodobne rozporządzenie komisji, polegało na danem poleceniu wydziałowi weterynary przy Akademii, by opatrzone konie kozackie, poranione w starciu dnia 27. lutego ostre narzędziami. Spisano akt na kilku arkuszach, w dwa tygodnie po zajęciu mierzono rany na całe i linie! Opisanie jednej rany zajmuje pół arkusza! I na co to było potrzebne komisji, która miała zbadać i ocenić, o ile zawinił generał Zabołockij, wydając samowolnie rozkaz strzelania do bezbronnego ludu?

Gorliwa ta praca komisji przeciągała się blisko miesiąc, przypominając spisany protokołami owe sławne sądowo-lekarskie oględziny ciał zabitych, dokonane w 64. numerze hotelu Europejskiego. Następnie posiedzenia komisji przeniosły się z palacu Namiestnikowskiego do kwatery prezesa, gdzie się odbywały coraz bardziej niedbale. Może być, że się i na Zamku spostrzeżono, że w obu tych razach nie załatwiano poważnej sprawy, lecz dokazywano, jak rozswawolone dzieci. Ci zaś, którzy mieli sobie poruczone role opiekunów lub dozorczyń, nie nie rozumieli lub się nie chcieli niczego domyślić.

Mówiono wprawdzie, że wskutek otrzymanych wskazówek, komisja starała się usprawiedliwić Zabołockiego i skostatować, że padły strzały z domu Malcza, lecz żołnierze, którzy to z początku twierdzili, ostatecznie pod przysięgą zeznania swoje cofnęli ¹⁾.

Dnia 26. maja, na cztery dni przed zgonem księcia Górczakowa, niewiadomo z czyjego polecenia, komisja została rozwiązana i rzecz całą puszczono w niepamięć. Tymczasem zaś spisano 329 arkuszy protokołów.

¹⁾ O tem wspominają i wyżej cytowane akta.

Na dwa lub trzy tygodnie przed opisywanymi wypadkami, zebrani u namiestnika rozmawiali o odbywających się manifestacyach i rozprawiali, jakby uchronić kraj od wstrząśnień i nieporządków, i zapobiedz im na przyszłość, czyli, że radzono nad sposobami stanowczego uspokojenia kraju.

W owym czasie nie odstępował księcia Gorczakowa jego zręczny i przebiegły faktor Enoch, wijąc się jak ów wąż biblijny, który naszą prarodzicielkę wywiódł na pokuszenie. Enoch władał doskonale ulubionym przez księcia francuskim językiem, był zawsze wesół, umiał od czasu do czasu wcale dowcipnie zażartować i wywołać uśmiech na usta otaczających osób i to w chwilach, gdy nikomu śmiać się nie chciało. Księżę z tej przyczyny prawie go nie wypuszczał z zamku.

Raz zostali sami. Księżę w przystępie szczerości odezwał się do faktora:

— Bardzo źle, *mon cher*, im dalej tem gorzej. Robimy ustępstwa w nadziei, że się upamiętają i zadowolnią, że pobawiwszy się w manifestacye, zmęczą się i uspokoją. Ale nie z tego, oni jeszcze bardziej dokazują i do dzieci łączą się już wcale nie dzieci. Okropnie! nie wiem sam co robić! Jak sądzisz, co z tego wyniknie?

— Trudno to odpowiedzieć na razie... dużo i długo dałoby się o tem mówić. Wolę przeto rzecz tę wyłożyć na piśmie!

— Ależ doskonale! napisz, przeczytam to z największą uwagą i ciekawością!

Memoryał został ułożony nadzwyczaj prędko, przy pomocy, jak się niektórzy domyślają, Wielopolskiego, jeżeli nawet cały nie wyszedł wprost z pod pióra margrabiego. Dатовany dnia 2. marca 1861 roku, w dzień pogrzebu ofiar, jakby sam autor wskazywał, że należałoby jednocześnie pogrzebać i pochować wszelkie głupstwa, omyłki i beztakt, a zacząć zupełnie inne rządy — znalazł się niebawem w ręku zgrzybiałego księcia. Memoryał ten roztrząsał najprzód wypadki z dni 26. i 27. lutego, przyznawał zbieg różnych fatalnych okoliczności, następnie dowodził, że rząd aż nadto posiada sił i środków,

by przywrócić powierzchowny porządek i spokój. Wszakże wewnętrzna, utajona w głębi serc i ducha strona sprawy pozostanie zawsze niezmienną. Aby i w tym kierunku zapanował spokój, konieczne są pewne reformy w zarządzie i kraju i stosunku władzy do mieszkańców, reformy tak już szczęśliwie opromieniające początek panowania Aleksandra II.

Autor memoriału sądził, że przede wszystkim należy bacznie przejrzeć przepisy, normujące sprawy religijne i kościelne, niemniej odnoszące się do wychowania, prawodawstwa i sądownictwa. Znajdował, że potrzeba zreformować szkoły, powiększyć ich liczbę, wskrzesić uniwersytet, ażeby zapobiedz temu włączeniu się młodzieży po zagranicznych zakładach, gdzie przesiąka teoryjami różnych szaleńców o przebudowaniu całego społecznego ustroju. Radził znieść komisję kodyfikacyjną, która, mimo 30-letniego istnienia, nie przyniosła żadnej korzyści krajowi — wywołała zaś swemi zarządzeniami rozstrój i nieporządkę. W miejsce komisji kodyfikacyjnej i ogólnego zebrania departamentów senatu, radził utworzyć istniejącą już po części w Królestwie radę stanu; uznawał konieczność dopuszczenia pewnego stopnia samorządu przez utworzenie rad gubernialnych, powiatowych i miejskich, pochodzących z wyboru. Wszelkie zaś wysoki i porywy rewolucyjne radził poskramiać i karać najsurowiej. Następnie wskazywał, jako na największą niewłaściwość, że w kraju tak religijnym i katolickim na czele komisji wyznań stoi prawosławny dyrektor. Przedstawiał konieczność powierzenia tej godności katolikowi i Polakowi — i dodawał, że najwłaściwiej byłoby powierzyć tej samej osobie i sprawy oświaty i wychowania¹⁾.

Namiestnik, przeczytawszy ten dokument, który mu się nadzwyczaj podobał i uderzył swą treściwością, tak niepodobną do przyjętych rządowych form biurokratycznych, zrobił domniemanemu czy też właściwemu autorowi jedyną uwagę,

¹⁾ Oryginalny tekst francuski przytoczony w dziele *Lisickiego*, „Le marquis Wielopolski“, tom II, str 39—47.

że »nadzwyczaj będzie trudno znaleźć Polaka, mającego ustalone stanowisko i wpływy w społeczeństwie, a do tego posiadającego odpowiedni rozum i zdolności, któryby się zdecydował służyć szczerze rządowym widokom, szczególnie w tak niespokojnym czasie, gdy w kraju wszystko wyszło ze stanu normalnego, straciło miarę i nosi się Bóg wie z jakimi marzeniami, gdy najumiarkowańsi przestali być umiarkowanymi; któryby zechciał otwarcie wobec swoich i obcych przywdziać rosyjski mundur i walczyć — może na wzór Donkiszota — z wiatrakami tylko! — Gdzie wynaleźć takiego osobliwszego i nieprawdopodobnego Polaka?»

— Ja sądzę, że się znajdują, a nawet mam takich dwóch do wyboru — odparł Enoch.

— Któż są oni?

— Hrabia Tomasz Potocki i margrabia Wielopolski ¹⁾.

— Potockiego znam — zamruczał książę — w istocie człowiek to poważny i wykształcony, ale zdaje mi się bardzo chorowity ²⁾.

— Prawda, że bardzo wątłego zdrowia, nawet miał już atak apoplektyczny. Powiadają, że za młodu zanadto czcił Bachusa, kiedy to wszyscy pili, szczególnie wojskowi, a on służył w 1830 r. w wojsku polskim. — Drugi ze wszechmiar silniejszy. Jest to człowiek obszernej wiedzy, prawnik, mowca,

¹⁾ *Spasowicz*. „Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego,“ strona 137.

²⁾ W istocie był sparaliżowany i prawie bezwładny. Na posiedzenie Towarzystwa rolniczego dnia 27. lutego wniesiono go na fotelu. Enoch wspomniał o nim jedynie, aby wymienić kogoś drugiego, gdy naprawdę drugiego kandydata nie było. Potocki umarł w grudniu 1861 roku w wieku lat 52. Był to człowiek nadzwyczaj zdolny, uczciwy, szlachetny, patriota podniosłej duszy — jeden z nielicznych członków arystoracji, którzy otrzymali gruntowne i poważne wychowanie. Z pod jego pióra wyszły następujące dzieła:

1. „O organizacyi wojsk polskich.“ Paryż 1834 i 1843.
2. „Stosunek polityczno-religijny Rusi do Polski, oraz katolicyzmu do Rosyi i prawosławia.“ Kraków 1848.

dyplomata — wszystko, co kto chce, a przytem od dawna szczery zwolennik Rosyi. Syna oddał do wojska, i ten jako oficer ułanów odbył całą sławną krymską kampanię.

W dalszych rozmowach w tej samej materii, które się powtórzyły na drugi, czy trzeci dzień po pierwszej ¹⁾, Enoch już jasno określił warunki, w których musiałby być postawiony człowiek, jakiego Rosya potrzebowała, a którego, można powiedzieć, wynaleziono. »Margrabia nie jest popularny — nawet między swymi. Z racyi odziedziczonej po przodkach dumy i swych własnych przyzwyczajzeń nie umiał i nie mógł klaniać się nikomu. Między nim a głównym przywódcą białych od dawna tleją niechęć i antagonizm. Przedział ten zwiększył się jeszcze bardziej od czasu istnienia Towarzystwa rolniczego. Niema więc obawy, by mogło nastąpić między nimi porozumienie, niebezpieczne dla rządu. Umiarkowanie margrabiego od dawna znane. W bitwie się wyróżniał od gorących zapaleńców w 1831 roku. Zagranicą nigdy się nie zbliżył do czerwonych. Czasem spotykano go w hotelu Lambert, lecz nigdzie więcej. Usposobienie to nie dozwoli mu zbliżyć się z drugą partją w Królestwie, stojącą pod hasłem kupieckiej resursy. A zresztą i tak okrzyczana resursa, o której tyle mówią i której tak się boją — cóż w niej strasznego? To urojenie, *fata morgana*, nocna mara, która w nic się rozwieje przy pierwszych promieniach jasnego słońca. Rachować się potrzeba

3. „Głos Polski, pod panowaniem rosyjskiem zostającej, do sejmu frankfurckiego.“ Kraków 1848.
4. „Głos Polski z pod zaboru rosyjskiego do braci w Galicyi i Poznańskiem “ Kraków 1848.
5. „O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce.“ Poznań 1851 i 1859.
6. „Poranki Karlsbadzkie, czyli rozbiór zarzutów, uzupełnień i uwag nad pismem o urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce.“ Poznań 1858.

¹⁾ Wiadomo, że nazajutrz po pogrzebie, a więc 3. marca najbliższe otoczenie księcia Gorczakowa, zebrane na Zamku, rozpatrywało memoriał Enocha.

tylko z białymi. Z tej strony tylko spodziewać się należy pewnego oporu i walki. Tam trzeba szukać zwolenników i poparcia, a lepiej od Wielopolskiego nikt tego nie potrafi. Jeśli on tego nie dokaże, to wszelka praca, w tym kierunku podjęta, będzie marna.«

Książę Gorczaków wyraził życzenie bliższego poznania się z Wielopolskim, a gdy Enoch oświadczył, że go w tej chwili niema w Warszawie, ksiązę polecił natychmiast odnieść się do niego, a na wspomnienie o Chrobrzu przypomniał sobie, że córka jego, zamężna Pankratiewa, sąsiadująca z Wielopolskim z tytułu posiadanej donacyi, opowiadała mu przed swym wyjazdem do Drezna o nadzwyczaj rozumnym i znakomitym obywatelu, sąsiedzie swym z Chrobrza. (Opowiadał to senator Kruzensztern i potwierdziły inne osoby).

Zanim więc nadjedzie do Warszawy ów upragniony zbawca z Chrobrza, zajrzyjmy do jego rodowodu i przeszłości. Zrobimy to w zastępstwie tych, którzy powinni byli to uczynić we właściwym czasie... lecz tego nie zrobili. Wogóle rosyjscy wielkorządzący nie lubią tego rodzaju dochodzeń i badań, i mało zajmują się historją. Należy wszakże przyznać, że ksiązę Gorczaków posiadał ładną bibliotekę wojskową i czytywał dosyć.

W połowie XVI wieku biskupem plockim a następnie krakowskim był Piotr Myszkowski, znany w dziejach z głębokiej wiedzy i zamiłowania do nauk i sztuk pięknych. Umierając pozostawił swym synowcom, Zygmuntowi i Piotrowi Myszkowskiemu, ogromny spadek, wynoszący w samych kapitałach 8 milionów ówczesnych złotych, oprócz dóbr ziemskich: Chrobrza, Mirowa, Książa wielkiego i Pinczowa, w województwie krakowskim; Oryszowa i Szymanowa w województwie mazowieckim, oraz Wieprza na Śląsku.

W pięć lat po śmierci stryja, Zygmunt Myszkowski otrzymał od papieża Klemensa VIII-go tytuł margrabiego,

a książę mantuański, Wincenty Gonzaga, przybrał go do swego herbu i nazwiska.

Nowy margrabia wraz z bratem swoim Piotrem utworzył w 1601 roku ordynację imienia Gonzagów - Myszkowskich.

Ku końcowi XVII wieku ostatni ordynat z rodu Myszkowskich umierał bezdzietnie. Córka jego brata, Anastazyja, była wydaną za Jordana, wojewodzica braclawskiego. Założyciel ordynacji, Zygmunt, oprócz syna miał córkę Annę, wydaną za Mikołaja Komorowskiego. Syn z tego małżeństwa, Krzysztof, był ożeniony z Przytycką i pozostawił jedyną córkę Krystynę, zamężną z Janem hr. Wielopolskim¹⁾, stolnikiem a następnie wielkim kanclerzem koronnym (1678 roku).

Syn ich Franciszek hr. Wielopolski wszczął z Jordanami proces o ordynację Myszkowskich. Po wielu sporach w sądach i wielu zajazdach, ostatecznie Wielopolski wygrał. Trybunał Lubelski przyznał jego rodowi prawo na dziedziczenie ordynacji Myszkowskich i używania tytułu margrabiego.

Starszy syn Franciszka, a drugi ordynat z domu Wielopolskich, Karol hr. Wielopolski, margrabia Gonzaga - Myszkowski, koniuszcy a następnie wielki chorąży koronny, zajmował się z upodobaniem literaturą: pisywał polskie i francuskie wiersze i tłómaczył wiele rzeczy poważnych.

Trzeci ordynat Franciszek, syn Karola, żył już za czasów Stanisława Augusta. Prowadził dom nadzwyczaj wystawny i zabrnął w długi. Chciał uporządkować swe interesa, sprzedając część dóbr ordynackich, lecz mimo usilnych starań

¹⁾ Ród Wielopolskich pochodzi ze starej krakowskiej rodziny Bonarów, przez kilka pokoleń z ojca na syna żupników Wielickich. W końcu XIV wieku od posiadłości w Krakowie, zwanej Wielopole, Bonarów zwać zaczęli Wielopolskimi. Jan Bonar, syn Mikołaja, pierwszy już urzędownie przybrał to nazwisko w 1396 roku. Do połowy XVII wieku Wielopolscy bywali burgrabiami na zamku królewskim w Krakowie, sędziami i podkomorzymi krakowskimi. Jan Wielopolski, syn Kaspra, w 1636 roku otrzymał krzesło w senacie, a dnia 29. listopada 1656 roku otrzymał od cesarza Ferdynanda III tytuł hrabiego św. Państwa rzymskiego.

na sejmie czteroletnim, nie uzyskał na to zezwolenia. Po naszym następnie rozbiórce kraju, ordynacya myszkowska znalazła się w zaborze austriackim, gdzie prawa ordynackie nader ściśle były przestrzegane. W 1809 roku margrabia Franciszek umarł, a w tym samym czasie ta część kraju została przyłączoną do Księstwa Warszawskiego, w którym obowiązywał kodeks Napoleona, nie uznający substytucyi, a zatem majoratów i ordynacyi. Jednak prawo to nie posiadało wstecznego działania na majoraty już istniejące. Nie zważając na to, Józef Jan Nepomucen, syn Franciszka, a czwarty ordynat z rodu Wielopolskich, znalazł sposoby sprzedania części posiadłości ordynackich. Przeciw tej sprzedaży zaprotestował najbliższy następca bezdzietnego ordynata, Józef Stanisław hr. Wielopolski, stryjeczny stryj margrabiego. Wszczął się spór sądowy, który skończył się ugodą, zawartą dnia 7. kwietnia 1813 roku, mocą której Józef Stanisław otrzymał od ordynata wraz z tytułem margrabiowskim klucze: Chroberski, Książski i Kozubowski w zamian za zrzeczenie się w imieniu własnem i innych agnatów wszelkich praw i pretensyi do innych dziewięciu kluczy, składających ordynacyę.

Margrabia Józef Stanisław był ojcem Aleksandra Ignacego Jana Piotra czterech imion hr. Wielopolskiego, margrabiego na Mirowie, Gonzaga-Myszkowskiego, urodzonego dnia 13. marca 1803 roku w Sendziejowicach pod Pińczowem, którego dalsze koleje właśnie mamy opowiedzieć.

Rodzice nie szczędzili żadnych kosztów, by jedynakowi dać najstaranniejsze humanitarne wychowanie. W domu zaczął się uczyć języków starożytnych, historii, geografii, prawa — obok języków nowożytnych; następnie oddano go w Wiedniu do Theresianum, skąd przeszedł na uniwersytet warszawski. Dla uzupełnienia i wykończenia pobieranych nauk, słuchał jeszcze wykładów najznakomitszych profesorów w Getyndze i Paryżu, i w listopadzie 1824 roku otrzymał stopień doktora filozofii. Na nalegania matki oddawał się szczególnie prawu, studyował kodeks Napoleona, a to, aby z czasem objąwszy

zarząd majątku, mógł napowrót przywrócić i powołać do życia dawną ordynacyę Myszkowskich w rozmiarach i granicach, zakreślonych przez jej założyciela za czasów Zygmunta III.

Młody margrabia od dzieciństwa słyszał z ust matki ¹⁾ o świetności dawnej ordynacyi i marzył zawsze o odzyskaniu nieprawnie, jak był przekonany, oderwanych włości z wspaniałej fortuny swych przodków. Głośnie ich imiona, od dzieciństwa znane mu były tak dobrze, jak pacierz codzienny, szczególnie zaś postać Piotra na Mirowie Myszkowskiego, sławnego męża stanu i uczonego, żyjącego za szczęśliwych czasów Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III, którego sława nie tylko w Polsce, lecz i po ościennych krajach rozbrzmiewała, jak o tem wspomina w swych nieśmiertelnych pieśniach książę polskich poetów, Jan Kochanowski.

Zapamiętał on także i tę okoliczność, że miasteczko Pinchów, dawną stolicę ordynacyi, jeszcze za Oleśnickich nazywano polskimi Atenami. Temi wyobrażeniami od dzieciństwa przesiąknięty, nie dziwnego, że uważał ród swój za pierwszy w kraju. Te poglądy obok wspaniałego, magnackiego otoczenia, te uroczyste przyjęcia, służba, herby na każdym kroku, ta uniżoność drobnej a często i niedrobnej szlachty, ścielącej się co słowo do nóg, pieśczoły rodziców, literalnie ubóstwiających syna — i także ludzi dumnych i ambitnych — wszystko to wywarło stanowczy wpływ na naszego bohatera. Wyrósł on na zimnego, zamkniętego w sobie i nieprzystępnego magnata z zakusami, datującemi z epoki panującego feudalizmu. Zawsze miał myśl zwróconą na to, jakby się okazać wybitniej, wspaniałej, przodować innym i nad wszystkimi zapanować. Co do wykształcenia w istocie nie wielu miał równych sobie wśród

¹⁾ Matka margrabiego, Aleksandra Eleonora Dembińska, siostra generała Henryka Dembińskiego, widziała w swym synu wskrzesiciela zachwianej ordynacyi i ku temu skierowała całe jego wychowanie. Margrabia stracił ojca, mając lat dwanaście i młodość jego rozwijała się pod wyłącznym wpływem matki. — (Patrz *Spasowicz*, oraz *Dziennik poznański* z 1878 roku, numer 3, str. 1, szpalta 3.

hulaszczej i nader powierzchownie wychowanej młodzieży; lecz co do majątku niejednego miał współzawodnika. Przed innymi wszakże przodowali Zamoyscy ze swoją olbrzymią ordynacją, od kilku wieków nie uszczuplaną.

Współzawodnictwo tych dwóch rodów widoczne nie od dzisiaj. Już w XVII wieku Zamoyski i Zebrzydowski sprzeciwiają się mianowaniu Zygmunta Myszkowskiego marszałkiem koronnym (1601 roku), co przeszło z czasem w dziedziczną niechęć. Wyrażamy się najłagodniej, bo trudno słowami dokładnie określić, co wrzało i kotłowało w najskrytszych głębiach ducha jednych i drugich, przy wzajemnych spotkaniach. Żyjąc tylko dłuższy czas w Polsce i badając bliżej stosunki, można dopiero zrozumieć takie wzajemne rodowe usposobienia.

Zapewne, dostatki odgrywają wielką rolę w życiu każdego człowieka, lecz dla magnata, dziedziczącego po przodkach znakomite nazwisko, są one koniecznością. Arystokrata bez dostatków jest uboższym od najbiedniejszego żebraka; każda korona na herbowej tarczy zblednie, gdy brak złota dla podtrzymania jej blasku.

Majątek, jaki odziedziczył po rodzicach margrabia Aleksander, był wcale znaczny, ale on czego innego pragnął. Pod tym względem chciał stanąć w pierwszym rzędzie i dlatego, skoro się tylko poczuł na siłach, z całym zapalem wziął się do odzyskania utraconej ordynacyi. A sił czuł w sobie dosyć, sił młodych i niezwykłych. Nadmiar ten musiał użyć i spożytkować w jakimkolwiek kierunku — pod obawą moralnego przekrwienia. Innego pola działania nie widział przed sobą. Służyć brutalnemu despotyzmowi, kryjącemu się pod maską liberalnej konstytucyi, wysłuchiwać dzikich krzyków, często kroć z dodatkiem moskiewskich ulicznych wyzywań z ust W. Księcia (jako codziennie musieli słuchać na Saskim placu oficerowie i nieoficerowie, którzy z czasem przywykli do tych wybuchów, jak do wybuchów jakiej innej brutalnej, nieokiełzanej siły), margrabia nie mógł i nie chciał; wszak nie na darmo odebrał europejskie wychowanie.

Oddany swym własnym interesom, uznał naprzód za nieprawny układ swego ojca ze stryjecznym kuzynem Janem Nepomucenem z dnia 7. kwietnia 1813 roku. Lecz przez to samo odrzucając rozdział ordynacyi na dwie części, niejako na dwa oddzielne majoraty, któryto rozdział, wypływając z dobrowolnego, przez władzę zatwierdzonego układu, uzyskał już pewną sankcję prawną — cofał Margrabia całą sprawę dziedzictwa majątku do tego punktu, w którym ojcu jego groziła zupełna utrata spadku a nawet tytułu margrabiowskiego.

Strona przeciwna, złożona z kilku rodzin, które ponabywały od Jana Nepomucena dobra ordynackie, wybrała swym obrońcą i zastępcą zdolnego i doświadczonego adwokata, a przytem na wielką skalę spekulanta, Jana Bonawenturę Olrycha, najbardziej w tym procesie interesowanego, gdyż z ordynacyi nabył różne dobra, rzekomo za $5\frac{1}{2}$ milionów złp., w tej liczbie Pinszów i Szaniec, wyłożywszy na to tylko 350.000 złp. gotówki. (*Spasowicz* strona 17). Olrych z tytułu posiadania Szańca, zwany potem Szanieckim, natychmiast nadal procesowi charakter socyjalny. W obronach swych i pismach spornych przedstawiał margrabiego jako zacofanego i chciwego arystokratę, wojującego prawnymi wykrętami, złego patryotę, który w Wiedniu, Gettyndze i Paryżu nauczył się pomiatać i poniewierać i ojczystemi instytucjami i wszystkim co polskie. W kieleckim sądzie pierwszej instancyi, margrabia sprawę przegrał; ponieważ jednak nie należał do rzędu ludzi byle czem się zrażających, przeciwnie, napotkawszy na opór i przeszkody, nabierał nowej energii i sily, na podobieństwo jakby owej kuli działowej, która tracąc pęd, zwolna toczy się po ziemi, lecz gdy trafi na kamień, w nowym podskoku leci z hukiem dalej, burząc wszystko po drodze — przeniósł sprawę do sądu apalacyjnego w Warszawie i tam ją w 1829 roku wygrał.

Lecz i przeciwnicy byli również wytrwali i przenieśli całą sprawę do senatu. Ogólny wszakże stan spraw kraju przerwał dalsze zapasy. Nadeszła chwila, w której wszelkie prywatne spory i procesy musiały ustąpić przed większym i ważniejszym

procesem, prowadzonym przez kraj cały z obcym rządem. Ani margrabia, ani jego współzawodnik Olrych, a szczególnie ten ostatni, nigdy się od proceców tego rodzaju nie uchylali.

Nastał rok 1830. Wielopolski wybrany do sejmu, należał do umiarkowanych i zasiadł na prawicy. Olrych, także poseł sejmowy, zasiadał na lewicy i przesiadł do partii Lelewela.

Gdy w samym początku rewolucyi rząd narodowy wysyłał pełnomocników do państw zagranicznych¹⁾, Wielopolski otrzymał misję do Londynu, dokąd wyjechał za szwajcarskim paszportem, wystawionym na imię jakiegoś de Paquier, pedagoga. Po długich staraniach uzyskał posłuchanie u lorda Palmerstona dnia 10. stycznia 1831 roku w tegoż biurze przy Downing-Street. Palmerston przyjął margrabiego jako »podróżującego Polaka«, zaopatrzonego w listy polecające ks. Adama Czartoryskiego, i w rozmowie oświadczył: »że powstanie było wielkim błędem, a zamach na życie wielkiego księcia Konstantego czynem wprost nieszlachetnym; że Polacy nie mają żadnego prawa żądać prowincyi, od dawna w skład państwa rosyjskiego wchodzących, i dlatego Anglia nie może się podjąć pośrednictwa między carem i jego poddanymi, tem mniej przyjmować rolę sędziego w sporze bezprawnym. Przytem nie widzi w tem żadnej korzyści ani konieczności dla Anglii. (*Nous avons le droit d'intervenir en Pologne, mais nous n'en avons pas l'obligation*).« To samo powtórzył następnie raz jeszcze w parlamencie w 1863 roku).

Wielopolski w odpowiedzi wyraził możność, że Polacy doprowadzeni do ostateczności, przeniosą pożar walki do Galicji, w Poznańskie, do Turcji i Persyi, wskutek czego, wobec ogólnie panującego wzburzenia umysłów we Włoszech i w Niemczech, łatwo może niepokój ogarnąć szerokie przestrzenie; że

¹⁾ Widzieliśmy już, że do Wiednia był wysłany Andrzej hrabia Zamoyski. Do Paryża pojechali: Konstanty Wolicki, generał-intendant polskiej armii, i Teodor Morawski, historyk i później przez czas jakiś redaktor *Orła białego* w Paryżu. — Kto był wysłany do Berlina, nie wiemy.

wkońcu Anglia będzie musiała wyjść ze swej neutralności. Czy nie byłoby więc rozsądniej, zawczasu zapobiegając takiej ewentualności, od razu przyjść z pomocą Polakom?

Na to Palmerston, cofnąwszy się parę kroków, po małej przerwie powiedział ¹⁾: »Zapominasz Pan, że przyrzekłem Pańskiemu rodakowi, przyjąć Pana jako jego przyjaciela i podróżnika, nie więcej. Jeśli zaś Pan zaczynasz rozprawę w sposób i tonem osoby oficjalnej i chcesz usłyszeć moje zdanie jako ministra, to nie mogę dać Panu żadnej odpowiedzi.«

Poczem zapytał Wielopolskiego, czy długo jeszcze zamysła zabawić w Londynie? dając do zrozumienia, że jak najprędniejszy jego wyjazd byłby bardzo pożądany. Podana następnie nota — tyleż skutku odniosła co i osobista rozmowa ²⁾.

Gdy następnie przybył do Londynu drugi wysłannik rządu narodowego, Aleksander Walewski, z projektem ofiarowania korony polskiej jednemu z arcyksiażąt austriackich, Wielopolski uczuł się tem dotknięty i wrócił w czerwcu 1831 roku do Warszawy.

W owym czasie przebywał w Londynie, jako trzeci agent rządu narodowego, sędziwy Julian Ursyn Niemcewicz. Ten także robił jakieś zabiegi i starania... w końcu zniecierpliwiony swoją fałszywą pozycją — jako prawdziwy poeta zapytał kategorycznie lorda Grey'a: »Powiedz mi Pan otwarcie, czy zrobicie co dla Polski, czy nie?« Grey odpowiedział: »Nic nie zrobimy.« — (*Lisicki* tom I, str. 175).

¹⁾ Rozmawiali stojąc przy stoliku, na którym rozłożoną była mapa Polski. — (*Lisicki* tom IV, str. 346).

²⁾ Notę tę margrabia wydrukował po polsku i po francusku. *Mémoire présenté à lord Palmerston, secrétaire d'Etat de S. M. B. par le marquis Wielopolski, envoyé de Pologne.* Varsovie. 1831. — O tej nocie daje szczegółowe wyjaśnienie *Dziennik poznański* z 15. listopada 1862 r. — Instrukcye, jakie otrzymał Wielopolski od rządu narodowego, przytacza *Lisicki* tom II, str. 1—4. Rozmowę z Palmerstonem, tom I, str. 19 i następnie, oraz tom IV, str. 344—346. Sprawozdanie z tej misyi, złożone rządowi narodowemu, tom II, str. 1 - 16.

Po wzięciu Warszawy Wielopolski wyjechał za granicę na jednym wózku z Maurycem Mochnackim i przebywał następnie w Rydzninie, Krakowie i Dreźnie. Korzystając z amnestyi, w 1833 r. wrócił do kraju i osiadł w Książu wielkim, pracując dalej nad wykończeniem własnego wykształcenia. Mówią, że dokładał wszelkich starań dla zniszczenia śladów podanej przez siebie noty do rządu angielskiego, lecz Paskiewicz posiadał jeden egzemplarz tej noty i przejrzał doskonale, lepiej od swych późniejszych następców, czem mianowicie jest Wielopolski. Długo też nie zezwalał na jego powrót a nawet, jak zapewniają, chciał go zupełnie z amnestyi wyłączyć.

Sztywna duma i trzymanie się miejskich zwyczajów w wiejskiej rezydencji Wielopolskich¹⁾, lodowata atmosfera, otaczająca osobę gospodarza, nie zachęcały wcale sąsiadów do odwiedzin. W Książu życie upływało spokojnie, nikt mu nie przeszkadzał w pracy.

W liczbie wybranych, bez obawy przestępujących wysokie progi margrabiowskiej rezydencji, był bogaty obywatel z Ukrainy, człowiek rzadkiego rozumu i wykształcenia, Konstanty Świdziński, który życie swe poświęcił namiętnemu gromadzeniu ojczystych pamiątek i zabytków. Przebywał przeważnie na Ukrainie, lecz od czasu do czasu zazierał do Królestwa, gdzie posiadał piękne dobra, klucz Sulgostowski, w sąsiedztwie posiadłości margrabięgo i tu się spotykali. Znajomość zaś ich datowała się od sejmu rewolucyjnego z 1831 roku, na który obaj posłowali. Potem często się spotykali za granicą.

Świdziński odwiedził Sulgostów w 1835 roku. Przyjaciele z bolem serca przypatrywali się, jak wojenna dyktatura niweczyła i burzyła ostatnie liberalne urzędnictwo kraju. Upadek powstania, rozporządzającego doskonałą stutysięczną armią i znacznymi pieniężnymi środkami, będącego w posiadaniu

¹⁾ Margrabia w 1827 roku ożenił się z Teresą Potocką, a gdy w 1831 roku owdowiał, w rok potem wstąpił w związek z jej siostrą Pauliną.

wszystkich fortec w kraju, był nadzwyczaj pouczający dla tak rozumnych ludzi i dowodnie przekonywał o plonności wszelkich przyszłych zbrojnych pokuszeń powstańczych. Jeśli walka, podjęta w takich warunkach, została przegrana, cóż będzie z innemi, opartemi na biednych kosynierach! Spokojna rozważa narzucała dla każdego polskiego patrioty inne drogi w przyszłości, wymagała spisku, ale innego, w którymby stanowczo odrzucono wszelką myśl walki z potężnym wrogiem w otwartem polu, jako marzycielskiej, bezrozumnej i występnej. Do jakich wyników dochodzili oni w swych poufnych rozmowach, nie wiemy. Jedyne, co może historyk dostrzedz — to powzięte w umysłach przyjaciół postanowienie »złożenia w bezpiecznem miejscu wszystkiego, co sami i ich przodkowie potrafili zgromadzić z zabytków świetniejszej przeszłości, i zbiory te uczynić dostępnymi dla uczonych i wogóle żadnych nauki Polaków.« Podówczas żadne inne działanie nie było możliwe; groźna postać z gwiazdą św. Jerzego na piersi, przechadzała się i nad brzegami spokojnej Nidy i zaglądała we wszelkie zakątki.

Niewiadomo, jak obszerne miało znaczenie to określenie »bezpiecznego punktu dla zjazdów uczonych« — w umysłach dwóch przyjaciół, gdy czasami rozgrzani złotym i gęstym jak oliwa płynem, przypomnieli w głębi duszy odgłosy trąb legionistów... wiemy tylko, że Świdziński, posiadający większe i bogatsze zbiory, nosił się z myślą umieszczenia ich w Krakowie, wówczas jeszcze wolnej Rzeczypospolitej¹⁾.

Przyjaciele rozstali się wszakże bez doprowadzenia swych zamiarów do jakiegokolwiek pozytywnego wyniku. Świdziński wrócił na Ukrainę, Wielopolski zaś dalej czytał, pracował i marzył o przyszłych losach ojczyzny w swym Książu...

Naraz spokój jego wiejskich zajęć został przerwany. Przegrany w apelacji proces przeciwnicy przenieśli do senatu i zapozwali Wielopolskiego do Warszawy.

¹⁾ Biblioteka ordynacyi Myszkowskiej, rok 1859, str. 29. Dalej na str. 50 podany jest list Świdzińskiego, to samo stwierdzający.

to samo jeszcze większe wrażenie wywierające — wkroczenie wojsk rosyjskich do prastarej stolicy Jagiellonów, (gdym załoga austriacka, powodowana niczem niewytłumaczoną obawą, miasto to przed niedawnym czasem opuściła) — wszystko to stanowczo wpłynęło na zmianę usposobień, nadziei i planów przyszłości u wielu umiarkowanych Polaków. Wielopolski stanął w szeregu stanowczych zwolenników Rosyi i wydał broszurę pod tytułem: *Lettre d'un gentilhomme Polonais au prince de Metternich*. Paris 1846 ¹⁾, w której stanowczo bierze rozbrat z ideą jakiegoś sojuszu z Austryą, i stara się pod wpływem ogólnego podówczas rozdrażnienia do Niemców — pociągnąć swoich rodaków do szczerzego zszeregowania się pod sztandarem Rosyi. Stan umysłów w istocie był bardzo do tego przygotowany i wszystko wrzało nienawiścią do Austrii. Inteligencya i bez upominania panów Wielopolskich, starała się wtedy rozwiązać zadanie »w jaki sposób, godząc się na myśl zlania się z sobą tych dwóch tak sprzecznych żywiołów, jak Rosyanie i Polacy, rzecz samą tak poprowadzić, by ostatecznie, chociażby nie zaraz, Ojczyznę ocalić a przynajmniej zapewnić sobie zaszczytniejsze niż obecne stanowisko w tym związku.« — Wtedy to w innych umysłach zrodziła się myśl »słowiańskiej federacyi« z Rosyą na czele, której w pierwszej chwili przyznawano nawet rolę głównego gospodarza — z tą myślą, by z czasem, przez różne intryki i praktyki, tego gospodarza sprowadzić do roli gościa, jak to często daje się spostrzegać przy wspólnych ucztach i zabawach Polaków z Rosyanami ²⁾, tak, że wkońcu Rosya pełniłaby tylko obowiązki stróża rozległych granic przyszłego politycznego związku. Jej poruczonoby ciężką, fizyczną pracę, wszelkie zaś zajęcia szlachetniejsze: moralne kierownictwo sił federacyi przypadłoby w udziale starszej w cywilizacyi siostrzycy, wypróbowanej w cierpieniach, oczyszczonej i udosko-

¹⁾ *Liśicki* tom IV, str. 439—470 — wydanie francuskie tom I, strona 315—317.

²⁾ Opis jednej takiej zabawy podały *Moskowskije wiadomości* z 1865 roku.

nalonej tem srogiem i krwawem wychowaniem Polsce. Nadto cała Słowiańszczyzna, z natury rzeczy ulegając wpływowi tej wyższej cywilizacji, musiałaby z biegiem czasu spolszczyć.

Myś ta właściwie nie była oryginalnym wytworem białych; był to tylko odgłos pewnego kierunku doktryn Towarzystwa demokratycznego, któremu przyznać należy inicjatywę we wszystkim, co tylko znakomitego i wydatnego zdziałali Polacy po roku 1831.

Jeszcze przed 1840 rokiem demokraci wyznawali, że tak jak niegdyś zadaniem Słowian była obrona chrześcijańskiej cywilizacji od najazdu i poniżającego podboju azyatyckiego barbarzyństwa, tak też obecnie ciż sami Słowianie są powołani do zaszczerpienia zachodniej cywilizacji w tym barbarzyńskim Wschodzie, odplacając największem dobrem za niezliczone klęski przez się doświadczone; a jednocześnie siłą i żywotnością swego młodzieńczego ducha do odrodzenia starej, rozkładającej się, wyczerpanej wiekowymi wysiłkami Europy. Jednem słowem Słowiańszczyzna jest przeznaczoną do objęcia z kolei przodownictwa i kierunku przyszłymi losami ludzkości. Z natury rzeczy zaś w Słowiańszczyźnie przewodzą tego nowego, zbawczego świata, z ducha ubiegłych, obecnych i przyszłych przeznaczeń, ma być Polska — nikt inny tylko Polacy¹⁾.

Czy i o ile Wielopolski podzielał te poglądy i przekonania, nie wiemy. Wiemy jednak, że coś podobnego zawsze zawierało się w zasadach stronnictwa, do którego należał. »Polacy podbici przez Rosyę, mogą... stanąć nawet na czele młodzieńczej, pełnej sił i życia cywilizacji słowiańskiej, ze wspólnym Polski, Rosyi i całej Słowiańszczyzny pożytkiem«²⁾. Temi zasadami przejęty, przybył on w 1849 roku do obozu Rüdigergera i jak zapewniają, miał radzić, by Rosya powołała wszystkich Słowian do broni i zjednoczyła ich pod swym protekto-

¹⁾ *Aweyde*. „O zasadach nauki demokratów, oraz zasady manifestu Towarzystwa demokratycznego z 1836 roku.“ „Biblioteka pisarzy polskich“, tom XXXV, str. 3—13.

²⁾ *Lisicki* tom I, str. 71—72.

ratem. W maju zaś 1852 roku, gdy się już zanosiło na wojnę z Turcyą i na scenę znów występował protektorat rosyjski nad Słowianami, margrabia oddał swego starszego syna Zygmunta do wojska, do Smoleńskiego pułku ulanów, wprawdzie podówczas przeważnie zapelnionego przez Polaków. W czerwcu 1861 roku na sześć szwadronów, z których pułk się składał, pięcioma dowodzili Polacy. Dowódca pułku, jego adjutant i kasyer pułkowy byli Polacy, korpus zaś oficerów składało siedemnastu Polaków, siedmiu Niemców i Rosyan. Gdy zaczęto mówić o zbliżającym się powstaniu, ci ostatni umówili się między sobą, że gdyby Polacy okazali chociażby najmniejsze pokuszenie zdrady, to ich napadną i rozniosą na szablach, a nim naczelne władze coś postanowią, zastąpią ich roztropiejszymi podoficerami. — (Udzielone przez jednego z oficerów Rosyan, tego pułku).

Jako człowiek przede wszystkim praktyczny, margrabia wszakże mimo wiszącej wojennej burzy, nie spuszczał z oka i swych dawnych, pokojowych zamiarów, zajmujących go kiedyś wspólnie z jego przyjacielem Świdzińskim, a których z różnych powodów dotychczas nie mogli urzeczywistnić. Wiele wody od tego czasu upłynęło. Świdziński zestarzał się, osowił, zobojętniał na wszystko, nawet dla losów ojczyzny. Wielopolski postanowił przypomnieć mu przeszłość i polecił Zygmunтови, konsystującemu wówczas z pułkiem na Ukrainie, by odwiedził i przypomniał się dogorywającemu starcowi. Świdziński nadzwyczaj się ucieszył z tych odwiedzin, a mówiąc o ojcu i ostatniem swem z nim spotkaniu, rozruszał się i ożywił. Między starymi przyjaciółmi znów się zawiązała częsta korespondencya, wznowiły dawne układy co do urządzenia jakiegoś naukowego ogniska dla pracujących na polu umiejętności w Polsce. Naturalnie, że teraz, gdy Kraków zostawał pod zaborem austriackim, punkt ten nie nadawał się do roli, jaką mu w myśli swej nadawali przed dwudziestu laty przyjaciele. Nie znamy szczegółów prowadzonych układów, lecz stało się, że Świdziński postanowił przyłączyć bibliotekę i wszystkie

swe zbiory do ordynacji Myszkowskiej. Mogła na to wpłynąć i idea Wielopolskiego, że teraz stolicą Polaków są dwory wiejskie... »życie wiejskie ostatnią ostoją, wsie ich jedyną ojczyzną«¹⁾. Testamentem więc, sporządzonym w ostatniej prawie chwili życia, w 1855 roku, zapisał margrabiemu Aleksandrowi cały swój majątek, kapitały, bibliotekę, zbiory zabytków i starożytności wraz z Sulgostowem, gdzie te zbiory dotychczas były umieszczone, nadając Wielopolskiemu prawo przeniesienia tych, dokąd uzna za najodpowiedniejsze dla ułatwienia korzystania z nich współrodakom. Dla usunięcia wszelkich pod tym względem wątpliwości, przywodzimy w dosłownym odpisie dotyczący ustęp testamentu:

»§ 3. Wyżej wymienioną sumę 36.100 r. sr. jakoteż bibliotekę, gabinet numizmatyczny, obrazy, rysunki, rzeźby, stare dokumenta, rękopisma i inne bibliograficzne i archeologiczne rzadkości, nic z nich nie wykluczając, ocenione przezemnie na 30.000 r. sr., a także klucz Sulgostowski, dziś w mojem rzeczywistem władaniu pozostający i według sumienia na sumę 45.000 r. sr. oszacowany, zapisuję i wieczyście daruję Aleksandrowi synowi Józefa, margrabiemu Myszkowskiemu, hrabiemu Wielopolskiemu i jego potomkom, na pełną i nieograniczoną własność. Przytem żądaniem jest mojem, i legataryusza usilnie o to proszę, aby kupił lub wybudował odpowiedni dla pomieszczenia księgozbioru i połączonych z nim zbiorów dom, bądź w zapisanym mu przezemnie majątku Sulgostowie, bądź w Warszawie, lub gdzie to za dogodniejsze lub stosowniejsze dla spełnienia moich zamiarów uzna.«

Wielopolski z różnych względów zatrzymał bibliotekę i wszystkie zbiory na miejscu w Sulgostowie. Niechętna mu opinia natychmiast zarzuciła mu złamanie i niedotrzymanie warunków testamentu, którego *notabene* nikt z oskarżających dokładnie nie znał. Dowodzono, że Świdziński zapisał Wielopolskiemu swe zbiory z wyraźnem zastrzeżeniem umieszczenia

¹⁾ *Lettre d'un gentilhomme Polonais.*

ich w Warszawie. Nikt ani pomyślał o dopuszczeniu możliwości, że między przyjaciółmi oprócz testamentu, czyli dokumentu na piśmie, mogły być umówione warunki, im tylko dwom znane. Nawet w samym zapisie były słowa i wyrażenia, których ukryte znaczenie nie dla każdego mogło być zrozumiałe. Ktoż mógł wytłómaczyć, jakie Świdziński miał cele i zamiary? Rozumiał to jeden Wielopolski. Prawda, są pewne wskazówki, że Świdziński nosił się z myślą pomieszczenia tych zbiorów w Warszawie, lecz Wielopolski stale mu to odradzał, przytaczając różne smutne przeprawy, które spotykały zbiory polskich historycznych pamiątek. Wskazywał na zabór biblioteki Żałuskich i przewiezenie jej do Petersburga, jakby jakich wojennych trofeów po ostatecznym podziale Polski w 1795 roku; wskazywał na zabraną tamże bibliotekę i zbiory Towarzystwa przyjaciół nauk po 1831 roku, na zrabowaną bibliotekę Puławską książąt Czartoryskich, o ile nie udało się uwieźć co przedniejszych i rzadszych rzeczy za granicę. Portrety królów poskich z królewskiego zamku w Warszawie powędrowały do moskiewskiej orużejnej pałaty. Gobeliny z pałacu Krasieńskich znalazły się w Gieczynie. Wszystkiego, co uległo takiemu losowi, nie da się wyliczyć!

I dlatego Wielopolski, nim nie wyszukał dla nich odpowiedniego umieszczenia, nie ruszał zbiorów swego przyjaciela ze wsi. On kombinował i uwzględniał różne okoliczności... a tymczasem dnie i tygodnie upływały, i niechętni margrabiemu nie ustawali w zaczepkach. Historyk Julian Bartoszewicz w 1857 roku ogłosił drukiem, że istnieje jakoby list Świdzińskiego, w którym wyraźnie wkłada obowiązek na Wielopolskiego, by ten kupił lub wybudował w Warszawie odpowiedni gmach na pomieszczenie zbiorów¹⁾. — W drugim zaś miejscu powiada: »Konstanty Świdziński zrobił jeden z największych zapisów, które utwierdzą pamięć jego w sercach

¹⁾ „Biblioteka warszawska“. 1857. Tom III, str. 463. — *Spasowicz*, str. 78 i 83.

całego narodu. Świdziński żądał, ażeby zakład stanął w Warszawie, zapis biblioteki Wielopolskiemu jest tylko formą. Tytuł własności i nadzór nad zbiorami, jaki wypływa z tego tytułu, należą do Wielopolskich, zbiory zaś same są własnością publiczną ¹⁾.

Tak mówił i sądził historyk, który miał w ręku testament Świdzińskiego, cóż dziwnego, że ogół, nie znający wcale testamentu, też samo powtarzał.

Na domiar nieprzyjemności, wskutek amnestyi z 1856 r. zjawili się, jakby z drugiego świata, dwaj bracia nieboszczyka, emigranci, roszcząc sobie prawa do Sulgostowa. Powoływali się oni w swym pozwie na tak zwaną substytucyę testamentarną, na wyrażenie: »i jego potomkom«, które w myśl § 896 kodeksu Napoleona, pozbawiało testament mocy prawnej. Przy ogólnie wrogim usposobieniu opinii publicznej dla margrabiego, wyrok w Radomiu wypadł na niekorzyść Wielopolskiego, lecz w odwołaniu się apelacyjnem, wyrok ten w Warszawie z wszelką łatwością został zniesiony, gdyż sprawa margrabiego była jasna i słuszna.

Opowiadają, że gdy jeden z braci, Ludwik, major wojsk hiszpańskich, w końcu był zmuszony opuścić Sulgostów, w którym już się na dobre zaczął urządzać; siadając na wózek, z pistoletu strzelił w herb Świdzińskich, umieszczony na froncie palacu, chcąc strzaskać takowy ²⁾.

Gdy w 1858 i 1859 roku zaczęły się w Warszawie demonstracye, Wielopolski pilnie śledził za tym całym ruchem, czytał wszystko, co się tylko wówczas pisało w kraju i za granicą o stosunkach i sprawach polskich; od czasu do czasu zaglądał do Warszawy, układał jakieś plany... Myślał więc o wzięciu udziału w rozpoczynającym się ruchu, o ujęciu steru sprawy w swe potężne dłonie!... był przekonany, że rząd, prędeż lub później, zażąda jego pomocy;... ku końcowi 1860 r.

¹⁾ „Biblioteka warszawska“ z 1857 roku, tom II. str. 487.

²⁾ „Gazeta narodowa“ z 1878 roku, nr. 2, str. 1.

marzenia o nowych zajęciach i przyszłem swem zadaniu natchodziły go częściej i przybierały formy bardziej określone; nawet oswoił się z temi myślami, jakby już z czemś... rzeczywistem. W obawie, żeby nie pozostać osamotnionym i bez współpracowników, gdyby chwila działania niespodziewanie nadeszła, pojechał w październiku 1860 roku do Paryża dla nawiązania stosunków z niektórymi wybitniejszymi osobistościami polskiej emigracyi, wybadania tego lub owego, czyby w danym razie nie dał się użyć dla jego, już coraz bardziej w umyśle dojrzewających zamiarów?

Margrabia z początku szukał porozumienia z czerwonymi, lecz ci nie dopuścili do żadnego zbliżenia... należało więc nawrócić do białych, do hotelu Lambert. Tam wszakże, na nie szczęście, podówczas przewodnią rolę zajmował człowiek wręcz przeciwnych zasad, generał Władysław Zamojski, członek rodziny z dawna nieznoszącej Wielopolskich, a tem mniej skłonnej do przyznania któremu z nich przewodnictwa w sprawach krajowych. Zamojski wcale nie był rad ze zjawienia się Wielopolskiego w salonach księżąt Czartoryskich, lecz jako człowiek dobrego wychowania i tonu, był zawsze dlań bardzo grzeczny, a raz nawet zaprosił do siebie.

W gabinecie Jenerała zebrało się kilka osób; zaczęto żywo rozprawiać o rozpoczynającym się ruchu w Polsce, zastanawiano się, do czego on może doprowadzić, zwracano się wspomnieniami ku przeszłości, omawiano przypuszczalne zachowanie się Francyi.

Margrabia zrobił uwagę, że »kult ten Polaków dla Napoleona i wiara w obietnice Francyi, są dla sprawy szkodliwe.«

— Cóż mamy więc robić, jeśli nie będziemy szukać oparcia we Francyi, która podaje nam swą dłoń pomocną? — ktoś zapytał.

— Co robić? wyczekać skutków rozpoczynającego się ruchu w Rosyi — odpowiedział Wielopolski — niepodobna, aby przytem Polska została zapomniana. Najlepsze żywiły ce-

sarstwa, cała inteligentna część narodu rosyjskiego sympatyzuje z nami. Najlepszym tego dowodem sprawa z Ohryzką. Poczekajmy, aż się cokolwiek z tej strony położenie wyjaśni... dopiero gdyby tam nie się nie stało, wtedy przyjdzie czas do łamania sobie głowy.

— Lecz tam napewne ruch rozpoczynający się na niczem się skończy, a jeżeli coś zajdzie, to w bardzo dalekiej przyszłości! Będziemy tak wyczekiwać do dnia ostatecznego sądu! Wszak to zawsze taka przewrotna polityka rządu rosyjskiego, a raczej każdego despotycznego rządu, szczególnie, gdy jeszcze nie widzi przed sobą groźnego niebezpieczeństwa — czekać, zwlekać, pisać, obiecywać a w rezultacie nie nie dać ani swoim, ani obcym! Znamy to przecież, znają i Rosyanie!... Gdyby zaś niebezpieczeństwo naprawdę zagroziło — to dadzą dzieciom jakąś zabawkę!...

— Jak uważacie, ja swoje wypowiedziałem — zakończył margrabia.

Jednak rozmowa nawiązała się na nowo i rozprawa wszczęła się jeszcze gorętsza. Margrabia nie znalazł żadnego zwolennika, walczył sam i przyparty do muru, ścisłą loiką swych rozumowań, jak obosiecznym mieczem zwalczał jednego po drugim. Przeciwnicy coraz słabli, nie posiadali oni ani wymowy margrabiego, ani tak dokładnej i wszechstronnej znajomości spraw, ani też wprawy w staczaniu podobnych walk. Ktoś z pokonanych, nie widząc już przed sobą żadnego argumentu ku obronie, cisnął margrabiemu w oczy już nie dowodzenie lecz prawie obelgę:

— Margrabia tak ciagniesz za Rosyą, boś w niej położył wszystkie swe nadzieje, a nawet syna przyodzialesz w mundur rosyjski.

— Cóż z tego — odparł Wielokolski, nie tracąc zimnej krwi i spokoju — ja w tem występku nie widzę, ani zdrady wobec ojczyzny. Miałem takie przekonanie i uznałem to za stosowne. Zresztą nikomu nie przyznaję prawa stanowienia o mych sprawach domowych i rodzinnych.

Rozprawa na tem się zakończyła. Aluzya do służby wojskowej syna, zawsze niemile dotykała margrabiego. Czując się obrażonym tym niewłaściwym wyskokiem w kółku osób, wśród których mógł się czuć bezpiecznym od wszelkiej napaści, Wielopolski nie pokazał się więcej w hotelu Lambert, a jeśli spotkał kogo z tego obozu, starannie unikał wszelkiej politycznej rozmowy. Wkrótce też wrócił do Chrobrza i dalej przypatrywał się rozwijającym się szybko wypadkom.

W tym czasie Świdzińscy, zapewne przekonani, że chwila po temu, wznowili proces. Margrabia nie uważał na czasie, oddawać się sprawie, wymagającej i czasu wolnego i swobodnego umysłu i pełnej energii w działaniu, nadto był nieusposobiony; miał już tych uciech procesowych do przesytu, wołał więc zakończyć spór z Świdzińskimi polubownie. Oddał im Sulgostów pod warunkiem zrzeczenia się z ich strony wszelkich domniemyanych praw do biblioteki i zbiorów na rzecz Ludwika hr. Krasińskiego i przyjęcia obowiązku opłacania z Sulgostowa na utrzymanie biblioteki po 11.000 złp. rocznie. W 1862 roku układ ten został ostatecznie zatwierdzony.

W ten sposób doszliśmy do chwili, stanowiącej początek naszego opowiadania o Wielopolskim. Dnia 6. marca 1861 roku wezwany przez Enocha, margrabia przybył do Warszawy i zaraz został zaproszony do Zamku ¹⁾. Książę Gorczaków po dłuższej rozmowie o stanie kraju i sposobach zaradzenia wszelkim niedostatkom i wadliwościom, był nadzwyczaj uradowany z wyniku konferencyi. Niema w tem nic dziwnego. Wielopolski znał swój kraj bez porównania dokładniej i głębiej niż dziesięciu rosyjskich namiestników razem wziętych, nawet razem z ich szefami sztabów, generał-gubernatorami, dyrektorami kancelaryi i całym zastępem urzędniczym. On bez przy-

¹⁾ List Enocha nadszedł do Chrobrza dnia 5. marca. — *Lisicki* tom I, str. 172—173.

gotowania się mógł im wszystkim wypowiedzieć nader interesujący wykład o zarządzanym przez nich kraju, ze szczegółami, o których oni pojęcia nawet nie mieli. Francuzczyzna jego była świetna i bez zarzutu, jeżeli nie poprawniejsza, to stokroć ognistsza od wymowy hr. Zamoyskiego. Sama jego postać i zachowanie się już za nim przemawiały. Wyglądał jak bastyon forteczny, najeżony działami grubego kalibru. Cała postawa była jakaś surowa, nieugięta, pełna wyrazu i znaczenia. Gdy szedł, niepodobna mu było nie ustąpić z drogi. Z niewielkich, nieco przymkniętych, ocienionych naksztalt daszku nad gankiem, albo poetyczniej, naksztalt czarnych nagromadzonych chmur, brwią gęstą oczu, błyskały gromy Jowisza. Historyczny fotograf Bayer, nieco później wprawdzie, nadzwyczaj szczęśliwie schwycił ten mianowicie jowiszowy wygląd Wielopolskiego, gdy go przedstawił jako naczelnika rządu cywilnego, siedzącego w fotelu, z orlem (wprawdzie nie olimpijskim) na opareiu. Dłoni jego, silnie zaciskającej poręcz krzesła, brak tylko wiązki piorunów...

Na przestarzałym namiestniku, w którym niegdyś, a nawet i później już po Paskiewiczowskiej tresurze, odzywała się żyłka poetyczna, odrazu sprawiło wrażenie to wszystko, co Wielopolski miał w sobie wybitnego i imponującego. Wszelka inna stroina, wszelka proza tej postaci została zakryta dla jego wzroku. On był uszczęśliwiony jak dziecko, zacierał ręce z radości; znałzł albowiem, jak sądził, wyjście z przykrego położenia.

Za pierwszą konferencją bezzwłocznie nastąpiły inne...

Księżę Gorczaków zaproponował margrabiemu, by wstąpił do służby rządowej i wśród panującego chaosu wynalazł w społeczeństwie żywioly przyjazne dla Rosyi, a oparty na nich przeprowadził zamierzone reformy. Wielopolski się zgodził z zastrzeżeniem, że na krok nie odstąpi od swych przekonań i zasad, a kraj uzyska zupełną autonomię. Namiestnik w odpowiedzi uznał, że to jedno właśnie może tylko doprowadzić do pożądanego celu i zapewnił, że wobec cesarza będzie najsilniej popierał to żądanie; że już przedtem wyprawil

do Petersburga sekretarza stanu Karnickiego z propozycjami w tym duchu i ma już stamtąd wiadomości, że projekta te w najwyższych sferach wcale przychylnie znalazły przyjęcie ¹⁾.

Następnie namiestnik zażądał od Wielopolskiego, by niezależnie i niezważając na to, co się robi w Petersburgu, opracował swój projekt co do reform, które należałoby zaraz zaprowadzić w Królestwie, a któryby mógł służyć niejako za pisemny dowód, że ich poglądy, aczkolwiek nie we wszystkim zgodne, są jednak bardzo zbliżone do siebie.

Margrabia ułożył żądany memoriał, a właściwie streścił kilka swych opracowań, od dawna już obmyślanych i przygotowanych, w którym, dla nawiązania łączności z konstytucją 1815 roku, zalecał wprowadzenie następujących zmian i reform:

1. Senat dożywotni z władzą prawodawczą i prawem inicjatywy.
2. Przywrócenie ministerstwa wyznań i oświaty.
3. Założenie uniwersytetu o pięciu wydziałach.
4. Wprowadzenie języka polskiego, jako urzędowego w wewnętrznym zarządzie kraju, używanie zaś francuskiego w stosunkach z władzami centralnymi cesarstwa.
5. Sejmiki prowincjonalne z prawem petycyonowania do senatu.
6. Sąd najwyższy, w miejsce znieść się mających IX i X departamentów rządzącego senatu.
7. Rada stanu, zamiast ogólnych zebrań departamentów senatu.
8. Oddzielny zarząd dróg i komunikacji, niezależny od władzy centralnej w Petersburgu.
9. Zwinięcie komisji kodyfikacyjnej dla Królestwa Polskiego w Petersburgu.
10. Skasowanie godności marszałków szlachty.

¹⁾ *Fr. hr. Skarbek.* „Dzieje Polski“ tom III, str. 199. Karnicki wyjechał do Petersburga w nocy z 2. na 3. marca, a zatem zaraz po pogrzebie pięciu ofiar. — *Lisicki* tom I, str. 172.

11. Zniesienie sądów wojennych.
12. Uzupełnienie kodeksu karnego przepisami co do ochrony porządku publicznego.
13. Oczynszowanie włościan z urzędu.
14. Równouprawienie żydów.
15. Nadanie Warszawie zarządu municypalnego — i
16. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, wprowadzając natomiast zjazdy i komisye rolnicze po powiatach ¹⁾.

Książe Gorczaków po przeczytaniu tego memoriału oświadczył, że dużo z tych żądań zna już z memoriału Enocha, ale sądzi, że w obu tych pracach są rzeczy zbyt czyste i nie na czasie. Odwoływanie się do konstytucyi z 1815 roku, słowa: uniwersytet, sejmiki, ministerya, są wcale niestosowne. Uważałby także, że nie byłoby dobrze spieszyć się z rozwiązaniem Towarzystwa rolniczego, a przynajmniej *ne pas parler de cela maintenant*, jak to z boku ołówkiem napisał ²⁾. »Co zaś do oczynszowania włościan, równouprawienia żydów i zniesienia komisji kodyfikacyjnej, zupełnie nic nie mam do zarzucenia« — zakończył namiestnik.

Wielopolski odpowiedział na to, że tak przerażającą namiestnika nazwę uniwersytetu można zamienić na »szkołę główną«, że nazwa nie stanowi i rzeczy nie zmienia; również sejmiki i ministerya mogą być inaczej nazwane... lecz co do Towarzystwa rolniczego, to sądzi, że rozwiązanie tego jest nieuniknione i konieczne, że to samo przedstawiał już dyrektor komisji spraw wewnętrznych, Muchanów; »sądzę nawet, że należałoby ogłosić na jaki tydzień stan wojenny, rozwiązać delegacyę i poaresztować głównych agitatorów!« ³⁾.

— Nie teraz! Później o tem pomówimy — przerwał Gorczaków.

Z tem się rozstali.

¹⁾ *Łisicki* tom I, str. 173—174.

²⁾ „Sprawy domowe“. Kraków 1880, str. 81.

³⁾ *Łisicki* tom II, str. 174.

Tymczasem Karnicki, rzecz swoją szybko prowadził w Petersburgu. Obstawał i on także za samorządem, ale nieśmiało. Jego projekty polegały głównie na wprowadzeniu w życie nadanego w lutym 1832 roku, lecz dotychczas nie wykonanego, statutu organicznego z dodatkiem reformy szkół. Odrzucając rozwielnioną w Polsce rutynę biurokratyczną, Karnicki żądał współdziałania społeczeństwa w miejscowym zarządzie, z zachowaniem w ostatniej instancji władz centralnych, to jest dotychczasowych rządowych komisji. Proponował dalej zaprowadzenie rad gubernialnych, powiatowych i miejskich, powstałych z wyborów, ustanowienie rady stanu, mającej zastąpić istniejący w radzie państwa departament dla spraw Królestwa Polskiego i komisję kodyfikacyjną przy drugim oddziale kancelaryi cesarskiej. Też w radzie stanu miałyby się poruczyć funkcje, spełniane dotąd przez pierwszy departament rządzącego senatu i przez radę państwa w Petersburgu, a mianowicie: wygotowywanie projektów do praw, rozpatrywanie budżetu, sprawozdań komisji rządowych i ocenianie petycji, wnoszonych przez rady miejscowe co do potrzeb i żądań kraju.

Wszystko to, nadzwyczaj prędko (tak prędko, jak może nie innego przedtem i potem w Rosji nie było załatwione) przeprowadził przez obrady rozmaitych władz i zebrań pomocnik sekretarza stanu dla spraw Królestwa Polskiego Platonow¹⁾.

Wówczas w Petersburgu i w całej Rosji panowało w stopniu niemiejszym jak w Polsce, jakieś pełne elektrycznych prądów usposobienie. Usposobienia takiego Rosya jeszcze nigdy nie zaznała; dosyć uprzytomnić pamięci czytelnika, że w sam dzień wyjazdu Karnickiego z Warszawy, dnia 3. marca (19. lutego st. st.) cesarz Aleksander II podpisywał manifest o zniesieniu poddaństwa!

¹⁾ Sekretarz stanu Tymowski, schorowany a do tego leniwego usposobienia człowiek, nie mógł, czy też nie chciał osobiście się zająć całą tą sprawą.

Gdy Karnicki przybył do Petersburga, umysły wszystkich były zajęte tym wiekopomnym wypadkiem i oczekiwano dalszych, niemniej doniosłych reform. Wyobraźnia powszechna bujała w przestworzach, wszyscy i wszystko od dołu do góry fermentowało. Młody, niedoświadczony cesarz, wszystkiego się obawiał. Podczas gdy zacofańcy epoki Mikołajowskiej babskimi strachami starali się hamować jego postępowe i szlachetne zamiary, drugie przeciwne stronnictwo także wypowiadało swoje obawy, niemniej nieuzasadnione. Dla kogoś wszakże, który wciąż czegoś oczekuje i czegoś się boi, który widzi nieprzewyciężone przeszkody i na gładkiej drodze, dla takiego szmer liści już straszny, straszny szelest przebiegającej myszy, lub zrywającego się ptaka.

Nieźnośnie było w ostatnich czasach Mikołajewskiej epoki. Wszyscy, choć cokolwiek myślący, niezbyt zarażeni właściwą Rosyanom apatyą i zbliżeni pojęciami i uczuciami do Europy, dusili się formalnie w tej atmosferze zarażonej absolutyzmem, któremu nikt nie przewidywał końca... Wtem naraz błysnęła zorza! Marzycielom się zdało, że chwila, w której właśnie żyją, podobna do tej epoki niezwyklej, gdy inny Aleksander, nadając Polsce konstytucyę, nawpół przyobiecował ją Rosyi. Przypomniały się słowa mowy tronowej z 1818 roku, że »połączenie na jednej skroni dwóch koron, samowładnej cesarskiej i konstytucyjnej królewskiej — jest jednym z tych nienaturalnych, politycznych zjawisk, które długo obok siebie istnieć nie mogą, a jeśli się przedłużają, to kończą burzami.« Jednym słowem, ludzie ci zaczęli marzyć, że jakimś sposobem, bez upuszczenia krwi, można się będzie wydobyć z tego zgnilego trzęsawiska... i ten błędny ognik migotliwie zjawiający się na bagnach, rozwiewający się i niknący przy zbliżeniu się człowieka, uważały chorobliwe wyobraźnie za jasny promień słońca, przedzierający się gdzieś z oddali na europejskim horyzoncie, skąd — sądzono — fale jego dobroczynnego światła popłyną po zimnych ulicach Petersburga, a potem po całej Rosyi — tak, jak na wiosnę zaczynają płynąć fale Newy, przy grzmocie dział i ra-

dośnych okrzykach tłumów. — Czemu nie próbować i nie skierować się na tę drogę. Jakoś to będzie!

W ten sposób tylko można sobie wytłumaczyć tę gorącą pomoc, jaką okazali Karnickiemu, a następnie Wielopolskiemu, w radzie państwa, w sekretaryacie stanu dla spraw Królestwa Polskiego, a nakoniec w samym gabinecie cesarza, najwybitniejsi i najszlachetniejsi przedstawiciele wyższych sfer rosyjskiej inteligencji. Winić ich za to, niby braterskie połączenie z Polakami, w żaden sposób nie można. Zasady ich i cele były szlachetne i patryotyczne *à la* Jakow Dołgorukij. Tylko ludzie ci, w pośpiechu, chwycili za broń nieodpowiednią. Spieszyli się zaś w obawie, tak łatwej w państwach despotycznych zmiany usposobień najwyższej osobistości w kierunku wręcz przeciwnym. Posądzać zaś, że wcale nie nadzwyczajnie mądry polak Karnicki, a potem zaś rzeczywiście mądry, zręczny i przebiegły Wielopolski, wyprowadzili ich wszystkich w pole i zaślepili jak zniechęconego i zbitego z tropu księcia Górczakowa, byłoby i niemądrze i niesprawiedliwie.

Między innymi straszakami przedstawiano także cesarzowi niebezpieczeństwo zbliżenia rosyjskiej inteligencji do polskiej i małoruskiej. Naprawdę zbliżenia tego nie było, a jeśli gdzie się zawiązały stosunki, to w nader nieznaczących rozmiarach, i to więcej na papierze niż w samej rzeczy, w motywach i dźwiękach pieśni, a nie w zwyczajnej, codziennej rozmowie; w marzeniach nie w życiu, w poezji ale nie w prozie. A i w tem, co nastąpiło, po bliższem przyczepieniu się można było skonstatować tylko pewne zbliżenie się Rusinów, którzy równie prześladowani i podejrzewani, również nie równouprawnieni z Rosyanami i codziennie pozbawiani jednego lub drugiego prawa, odezwali się sympatycznie na wezwanie przebudzonych Polaków. Polacy, noszący się już z dalszymi planami, radzi byli temu współnictwu, na którym zawsze skorzystać coś mogli. Wszak Ruś już nie raz podobne sztuki płatała. Rosyjanie właściwi ani myśleli o tych wspólnych z Polakami robotach, o których zamysłali chochlacy. Ludzie, którzy pomagali

Karnickiemu i Wielopolskiemu, nigdy nie tracili gruntu pod nogami i nie uczęszczali na burzliwe schadzki Polaków. Oni ani myśleli brać udziału w jakichkolwiek polskich demonstracjach, a nawet sami Polacy, chętnie przypuszczający chochlów do swych robót, Rosyan do niczegoby nie dopuścili.

Najlepiej dowiodą tego następujące wydarzenia.

Dnia 25. lutego 1861 roku umarł Taras Szewczenko, znany małoruski poeta, męczennik, ofiara najsroźszych prześladowań cara Mikołaja. Wycierpiane przez tegoż męki i prześladowania, tak dobrze z doświadczenia znane i polskim i ruskim wybitniejszym ludziom, połączyły przy jego trumnie znaczną liczbę Rosyan, Polaków i Rusinów. W pogrzebie wzięła udział cała młodzież petersburskiego uniwersytetu. Nie były to żadne plemienne sympaty, gdyż tych sympaty nigdy nie było między temi narodowościami, bo jakież być mogą sympaty między zawojowanymi a zaborcą, gdy ten nadto odtrąca wszelkie objawy jakiegoś zbliżenia się?

Studenci Polacy, uczestniczący w pogrzebie, uwiadomili swoich kolegów Rosyan, że nazajutrz dnia $\frac{1}{13}$ marca odprawionem zostanie w kościele św. Katarzyny nabożeństwo żałobne za inne pięć ofiar tegoż samego rządowego despotyzmu, które kilka dni temu gwałtowną śmiercią legły na ulicach Warszawy. Rosyanie nie zdawali sobie dobrze sprawy o co chodzi, w jakich okolicznościach, kto i za co poległ. Usposobienie ogólne umysłów nie dopuszczało bliższego rozbiur i zastanowienia; powiedziano ofiary, dodano także ofiary, czyż mogła długo namyślać się żywa i wrząca młodzież? Studenci Rosyanie przyrzekli swym kolegom Polakom, że przyjdą i przyszliz wszyscy, równie jak na pogrzeb Szewczenki. Nadto przyszło do kościoła także czterech profesorów: Czajkowski, Kostomarów, Laguna i Spasowicz. Wśród nabożeństwa ktoś zaintonował *»Boże coś Polskę«*, inni podchwycili, hymn zabrzmiał. Większość Rosyan nie rozumiała nawet co śpiewają. Hymn ten podówczas mało jeszcze był znany w Rosyi, dzienniki nie wyjaśniły jego znaczenia.

W mieście zaczęto mówić o tem nabożeństwie. Kurator petersburskiego naukowego okręgu, radca tajny Deljanow, pociągnął profesorów, którzy byli w kościele, do odpowiedzialności. Wskutek wdrożonego dochodzenia kilku studentom Polakom, mianowicie tym, którzy u Dominikanów zamawiali nabożeństwo za dusze pięciu nieżyjących kolegów, polecono opuścić uniwersytet. Rosyanie oświadczyli, że to niesprawiedliwie, że jeżeli mają wydalać, to powinni wydalić wszystkich, gdyż wszyscy byli na nabożeństwie. Profesora Łagunę, który się wyparł swej bytności w kościele, młodzież zaczęła tak szykanować, że musiał opuścić katedrę petersburką i wyjechał do Warszawy.

Wszystko to miało miejsce w pierwszej połowie marca, w czasie, gdy z Warszawy przybył Karnicki z projektami księcia Gorczakowa i gdy następnie nadszedł program Wielopolskiego. Rząd potrzebował spokoju. Deljanow otrzymał z góry wskazówkę, ażeby zaniechał całą sprawę. Wydaleni studenci Polacy zostali napowrót przyjęci do uniwersytetu i rzecz cała poszła w niepamięć¹⁾.

Sprawa ta wywołała inną. Studenci Rosyanie, z upoważnienia władz uniwersyteckich, mieli przy uniwersytecie własną bibliotekę i zaproponowali Polakom bezpłatny w niej udział. Polacy jednak, pomimo żywego zajęcia się rosyjskiem dziennikarstwem i wszystkim, co się wówczas działo w Rosyi, do biblioteki nie uczęszczali²⁾. Okoliczność ta nietylko zdziwiła, lecz nadto obraziła Rosyan, dowodzących, że: Rosyanie przyjmują zaproszenia Polaków i biorą udział bez względu, czy to bezpiecznie lub nie, dobrze czy źle, że nawet śpiewają razem *Boże coś Polskę*; gdy zaś Rosyanie zawezwali Polaków do

¹⁾ Niektóre szczegóły tej sprawy zamieścił *Kotokoł* z 1861 r. nr 102 str. 856. — Także *Independance Belge* nr 82.

²⁾ Autor zdaje się nie wiedzieć, że młodzież polska posiadała od dawna własną swą bibliotekę i Towarzystwo wzajemnej pomocy, wprawdzie nie upoważnione przez rząd i mieszczące się w mieszkaniu prywatnem obieranego bibliotekarza. *Przyp. tłumacza.*

współdziału w rzeczy bynajmniej nie kompromitującej, nie zabronionej i nie demonstracyjnej, Polacy odmawiają! Znów ta dawna, przekłeta różnica! Czyż niema środka na wykorzenie tej choroby, i na czem właściwie ona polega?

Dla rozwiązania postawionej tak kwestyi, studenci najwyższego kursu wszystkich wydziałów, postanowili się zebrać na wspólną rozprawę. Jako miejsce schadzki wybrano obszerne mieszkanie studenta wydziału prawa Nekludowa, a dla zachowania spokoju zastrzeżono, że prócz herbaty i lekkiej przekąski, żadnego przyjęcia nie będzie.

Zeszło się ze trzydziestu studentów, przeważnie prawników, Polaków i Rosyan. Mikołaj Utin zagaił zebranie wierszem, w którym wypowiadał, że nadszedł już czas, aby dwie narodowości, mające tyle wspólnego w charakterze i obyczajach, tyle powodów do wzajemnej miłości, raz zaprzestały wiekowej waśni i podały sobie dłonie do braterskiego uścisku.

Polacy, po wysłuchaniu tej improwizacji (wcale udatnej i odpowiadającej chwili, jak to wszyscy przyznali) oświadczyli, że zawsze są gotowi do zbliżenia się, lecz temu stają na przeszkodzie dziejowe przyczyny, których usunięcie nie od nich samych zależy i nie da się na razie przeprowadzić.

— Zanim zaczniemy roztrząsać te historyczne przyczyny, dzielące masy, żyjące nad brzegami Wisły, Bugu i Niemna, od ludu zalegającego brzegi Wolgi, Donu, Dniepru i Uralu, rzekł któryś z Rosyan, należy przedewszystkiem rozstrzygnąć pytanie, co nas dzieli?... nas, studentów, jednego i tego samego uniwersytetu? Dlaczego nie możemy żyć zgodnie, my studenci? Na co i tu mają być jakieś koterye i stronnictwa, szepczące między sobą po kątach o swych sprawach? Dlaczego nie mają nas zajmować ogólnoludzkie sprawy? Przecież zanim staniemy się obywatelami jednego lub drugiego narodu, zanim przejmujemy się tymi lub innymi obywatelskimi obowiązkami, jesteśmy uczącą się młodzieżą, korporacją, noszącą jeden i ten sam mundur, zbierającą się i prawie żyjącą w jednym gmachu, pod jednym dachem. Cokolwiek tam mówią,

my przecież przede wszystkim jesteśmy studentami, a jeszcze bardziej powinniśmy być przede wszystkim ludźmi.«

— Bardzo to pięknie i sprawiedliwie — odparł Seweryn Markiewicz także prawnik z czwartego roku, przytem ogromny zapaleńiec — lecz tylko w stosunku do was, Rosyan, moi panowie. My stoimy na innym zupełnie stopniu, tak pod względem rodu i wychowania, jako też i pod względem służenia sprawie ojczystej. Wy, z dzieci postępujecie na gimnazyalistów, studentów uniwersytetu, a w końcu na obywateli; to dla was możliwe i naturalne, tak się składają wasze życie i wasze dzieje. Dla nas to wszakże niemożliwe. My już od pieluch jesteśmy Polakami; od pieluch czemś skończonem, wytrawionem w ogniu nieszczęść i przeciwności; my od pieluch zaczynamy służbę ojczyźnie i jesteśmy jej oddani tak, jak u was oddają się tylko starsi... a i to pytanie, czy się oddają? Powiem wam więcej, my od pieluch jesteśmy pierwaj Polacy, niż ludzie! My nie rozumiemy abstrakcyjnego istnienia człowieka i ludzkości. Sądźcie o tem jak chcecie, lecz my wierzymy, że narody, zdające sobie sprawę ze swego bytu, żyją każdy ze swem ściśle oznaczonem imieniem, z taką lub ową przeszłością, z temi lub innemi nadziejami na przyszłość. Każdy powinien pielegnować swoje ideały, a ideały drugiego narodu wcale go nie obchodzą; on ich nie rozumie, może nawet o nich niewiedzieć. Każdemu drogie tylko to, co jego: polskie, francuskie, niemieckie, rosyjskie, choćby nawet tureckie, ale w żadnym razie nie ogólno-ludzkie. My jesteśmy Polacy, i nam drogie wszystko, co nasze, polskie: nasza literatura, nasza historia, być nawet może, że nasze wady, zaślepienia i błędy. W ten sposób uczymy się żyć, wierzyć, myśleć i marzyć, Bóg wie od jak dawna... może jeszcze w łonie matek naszych. Wy, życie zaczynacie znacznie później. Wtem leży już pierwsza między nami różnica. Wy nigdy nie spiskujecie, albo tylko w pewnym wieku i to wypadkiem, zlekka, oględnie, rzucając wzrok na prawo i lewo. My na świat przychodzimy spiskowcami, i to nie zwykłymi, ostrożnymi — przeciwnie gorącymi

waryatami, gotowymi każdej chwili na wszystko. Niemasz Polaka, któryby nie był zarazem spiskowcem; dziecko czy dorosły, student czy urzędnik — on zawsze o jednym i tem samym marzy, do jednego dąży i ciągle spiskuje. Zwykli śmiertelnicy nie mogą zawiązywać stosunków ze spiskowcami; to są prądy elektryczne, odpychające się a nie przyciągające nawzajem — i to druga różnica między nami. Wy, razem z nami spiskować nie możecie; były próby, ale nigdy nie doprowadziły do jakichkolwiek rezultatów...

— Uznajemy waszą kwalifikację na spiskowców, od pie-luch już, nie dzieci — odpowiedział ten sam Rosyanin — przyznajemy, że sąsiedzi obeszli się z wami nie po sąsiedzku, że nie mogliście i nie możecie pogodzić się z warunkami, w jakich pozostajecie. Bóg z wami! pielęgnujcie jakie chcecie, najbardziej wrogie uczucia dla waszych łupieżców; podkładajcie pod nich miny... lecz przecież wszystko na świecie musi mieć swój cel i koniec. Wieczna nienawiść i wieczne spiskowanie, nie prowadzące do celu, rzecz niemądra i nielogiczna. Rozmówmy się o tem otwarcie, po bratersku, w tem tutaj, jakby rodzinnem, koleżeńskim kółku. Stąd nic na zewnątrz nie wyjdzie. Rozpatrzmy, czy choroba ta da się radykalnie wyleczyć? czy moglibyśmy się pogodzić naprawdę, usunąć wszelkie rozdwojenia? nie być nawzajem dla siebie wrogami? dać pokój wszelkim spiskom?

Jeśli takie pojednanie nastąpi między nami, młodzieżą uniwersytecką, to sądzę, że ono się z czasem ułoży i między ludami. Przypuśćmy, że tak jak tu jesteśmy, my Rosyanie, przedstawiamy rząd nasz i naród; że możemy zrobić co chcemy, według naszego dobrego rozumienia. Otóż chcielibyśmy wiedzieć, czy bylibyśmy w stanie zadowolnić was, obywateli innego, opanowanego przez przodków naszych kraju? Co mamy zrobić, byście podali nam dłoń bratnią i uważali nas za przyjaciół, nie za wrogów? Jak to urządzić? Czy to nastąpi, jeśli przy pomocy wszystkich uczciwych ludzi w Rosyi, otrzymanie autonomię, swobodę wiary, słowa i druku? jeśli wznowią Pol-

skę w jej etnograficznych granicach? Odpowiedzcie szczerze, z ręką na sercu, czy to wam wystarczy? czy też pójdziecie dalej w waszych żądaniach? A mianowicie zapytujemy was, jak się zapatrujecie na kraje dawnego W. Księstwa Litewskiego, wy! już na szkolnych ławkach dojrzali obywatele, wy! zapewniający, żeście pierwiej Polacy niż ludzie?»

— Dla nas — odrzekł Markiewicz — kwestya ta od dawna rozstrzygnięta, to nasz kraj i naszym pozostać powinniemy! tak chciało przeznaczenie i tak zrzuciły dzieje! I dopóki chociaż jeden Polak na ziemi żyć będzie, dopóty pojęcia te ani o jeden włos nie ulegną zmianie. Pamiętajcie panowie, że Litwa, a mianowicie główna, najżywotniejsza część dawnego W. Księstwa Litewskiego, dobrowolnie połączyła się z Koroną, tylko jakaś bardzo niewielka część została zdobyta orężem. Bez wojny nie obeszło się w żadnym organizmie politycznym sprostowanie i skonsolidowanie granic. Fakt zaś Unii nie tylko historycznie, ale i prawnie da się usprawiedliwić i obronić bez trudu.

— A tak! potomkowie Napoleona także i *suffrage universel* potrafią prawnie obronić — odparto ze strony rosyjskiej. — Zapytano o połączenie tylko nielicznych wybranych dla których Unia pod wszelkimi względami była korzystną, a i tak niechętnych przemocą od obrad wykluczono. Ale ludu nawet nie zapytano; wszystko zawczasu było zřęcznie ułożone i przygotowane.

— Ludu nie pytano zapewne, bo gdzież wówczas pytano lud jaki i gdzie go było szukać!

— A więc zapytano tych, którzy czuwali, nie pytano śpiących albo uśpionych. Otóż pozwólcie, aby i ci uśpieni narzeczcie się ocknęli i zdanie swoje wypowiedzieli.

— I owszem, niech się budzą, lecz kwestye tego rodzaju, raz już rozstrzygnięte, nie podlegają nowym wyrokom. To się nigdy i nigdzie nie dzieje!

— Rzeczywiście się nie dzieje! Ziemie, o których mowa, już są nasze, zrusyfikowane, szczególnie zaś ta część Rusi,

która wchodziła w skład W. Księstwa Litewskiego. Skądże przychodzimy do tego, byśmy mieli odstępować wam panowie Polacy, tę ogromną, najżyźniejszą część państwa, od źródeł Dniepru po ujścia Dunaju! Takich dziwnych żądań dla zadowolenia was Polacy, my przyjąć nie możemy.

Polacy przytaczali, że w wielu miejscowościach Litwy i Rusi, ludność jest czysto Polska.

— Być może — odpowiadali Rosyanie — ale wogólności procent Polaków jest znikająco mały i coraz bardziej się zmniejsza. Z każdym dniem kraj ten staje się bardziej rosyjskim, na równi z miejscowościami, zamieszkałemi przez Mordwinów, Korelców albo Zyryan. Nie będziemy przecież dla każdego z tych ludków urządzać osobnego państwa, jak nie wznowimy krymskiego lub astrachańskiego hanatu!

— Tu niema porównania! Ludy te nie miały ani historii, ani literatury; kto kiedy słyszał o nich w Europie? kto się interesuje ich przeszłością? Polska miała i ma cywilizację i historię świetniejszą i uczciwszą od waszej.

— No, o tem jeszczeby się dało szeroko pomówić, odparli Rosyanie, zresztą możecie mówić o waszem W. Księstwie Litewskim, o waszej świetnej przeszłości i waszej cywilizacji, ale to rzeczy nie zmieni. Dla nas kwestya Rusi i Litwy i innych dziedzin, które weszły w skład państwa, jest rzeczą stanowczo rozstrzygniętą. Że tem wszystkiem można lepiej zarządzać, to rzecz inna; lecz abyśmy przywracali mapę tych ziem według stanu z wieku zeszłego — o tem nawet mowy być nie może. Kto myśli inaczej, ten nie Rosyanin!

Po tem dyskusya zamieniła się w burzliwy gwar, krzyki i spory. Ktoś się w końcu odezwał, że szkoda czasu tracić na takie rozprawy, które do niczego nie doprowadzą. Późno już, najlepiej się rozejść!

Tak się też stało i na tem rzecz cała się zakończyła ¹⁾.

¹⁾ Opisane ze wspomnień jednego z uczestników tej schadzki. Po ośmnastu latach, nie jedno zostało zapewne niedokładnie przyto-

W ten sposób młoda, gorąca i bardziej czujna część petersburskiego społeczeństwa, przypadkiem i jakby żartem, na nowo stwierdziła stary aksyomat, że między Rosyanami a Polakami nie wspólnego niema; że jedni albo drudzy muszą być wyłącznymi panami i gospodarzami na ziemiach wspólnie zamieszkiwanych, i że drugiego wyjścia być nie może i niema. Starsi zaś, można powiedzieć, że z nader nielicznymi wyjątkami cała rosyjska inteligencya, patrzyli na rozwijające się wypadki z ośpałą obojętnością i nie stawiali sobie żadnych zadań. Byli nawet tacy, którzy się cieszyli z nominacyi Wielopolskiego na ministra i oczekiwali po powierzonej mu misyi pomyślnych rezultatów.

Byli jednak i lepiej przewidujący. Do rzędu takich należał i znakomity profesor prawa, Kawelin. Ten wiedział o schadzce studentów u Nekludowa i niecierpliwie oczekiwał jej wyniku. Wiedział on i o żalobnem nabożeństwie w kościele św. Katarzyny i chociaż był niezmiernie ciekawy naocznie się przekonać, jak się tam zachowują Rosyane obok Polaków, jednak do kościoła nie poszedł, jak również nie poszli i inni profesorowie Rosyane. Cóż im stanęło na przeszkodzie, idąc mimo po Newskim Prospekie, wstąpić choćby na chwilę do kościoła i gdzieś z kąta, niespostrzeżenie, przypatrzeć się wszystkiemu? Wszak nie obawa odpowiedzialności przed władzą. Stało na przeszkodzie coś innego, i nikt nie poszedł. I ta najzwyczajniejsza okoliczność, że Kawelin i inni profesorowie Rosyane, mimo swych sympatyj dla idei odrodzenia polskiego narodu i szczerych życzeń, by Polacy wspólnie z Rosyanami otrzymali większe polityczne prawa, mimo otrzymanego zaproszenia, nie poszli na to nabożeństwo, okoliczność ta świadczy najlepiej, że polskie demonstraacye nie mogą oddziaływać i nie napotkają oddźwięku w sercach prawdziwych Rosyan; że w takich da-

czone, lecz istota rzeczy i sama schadzka ma być skreśloną dokładnie. Może inni współuczestnicy przypomną sobie coś więcej, poprawią i uzupełnią ten szkic utworzony z pamięci. To samo się odnosi i do innych wydarzeń, w tem dziele opisywanych.

nych wspólne działanie jest niemożliwe, gdyż nie może być oparte na wspólnych politycznych interesach.

Nazajutrz po schadzce Kawelin zawezwał do siebie kilku studentów, o których wiedział, że brali udział w rozprawach, a wypytawszy o wszystko, powiedział: »Zobaczycie panowie, że wkrótce ta sama sprawa będzie rozpatrywana w gabinetach bardziej wpływowych niż ten Nekludowa, i przez ludzi poważniejszych od was, lecz i oni dojdą do tego samego rezultatu, do którego doszliście wy, gorąca i czujna młodzieży... ale, niestety, decyzja ludzi starszych nie zakończy się tak pokojowo, jak wasza — herbatą i zimną przekąską.«

Mniej więcej w tym samym czasie Karnicki ostatecznie zrezagował swoje projekta, które miały być przesłane do rozpatrzenia namiestnikowi do Warszawy, bez opinii którego nie mogły być przedłożone do sankeyi cesarskiej. Tymczasem zaś dla uspokojenia wzburzonych umysłów i dla okazania krajowi i Warszawie, że rzeczywiście coś się robi i to robi prędko, i bez zwykłych biurokratycznych formalności, przesłano dnia 13. marca namiestnikowi telegraficzne upoważnienie, aby, nie podając szczegółów, zapowiedział jednak oficjalnie, bądź ustnie bądź na piśmie, komu to za potrzebne uzna, że wysłane przez Karnickiego projekta w Petersburgu doznały przychylnego przyjęcia.

Książę Gorczaków tegoż dnia jeszcze zaprosił do Zamku arcybiskupa księdza Fijalkowskiego, Andrzeja hr. Zamoyskiego, Władysława hr. Małachowskiego oraz delegatów: Kronenberga i Szenkiera i odczytał im telegram cesarza, sądząc, że ten zrobi na nich jak najlepsze wrażenie. Ale się w tem zawiódł! Przed nim stał już nie ten Andrzej hr. Zamoyski, który przed kilkoma jeszcze miesiącami we fraku i białym krawacie bywał na Zamku jako przedstawiciel najbardziej lojalnych i umiarkowanych poglądów i zasad; nie ten Zamoyski, który jeszcze 27. lutego żądał wojskowej ochrony dla Towarzystwa rolnicze-

go, a zaraz potem wygłaszał mowy pełne umiarkowania i rozsądku. Teraz się spotkał z jakimś innym Zamoyskim; z Zamoyskim, który już podał rękę ruchowi, u którego co wieczór zbierano się na ożywione i głośnie obrady, na których Królikowski i inni czerwoni, protegowani gospodarza, z kółka ničem nie ochłodzonych sybiraków, wykładali nieprzedawnione prawa Polaków do Litwy i Rusi, i to jeszcze bardziej stanowczo, niż to czyniła młodzież polska na schadzce u Nekludowa. Ten nowy Zamoyski oświadczył namiestnikowi, »że dla nich, umiarkowanych, aż nadto to wystarcza; że przechodzi nawet ich oczekiwania, lecz... stronnictwa przeciwnego — prawdopodobnie to nie zadowolni«¹⁾.

Nazajutrz dnia 14. marca nadeszła odpowiedź cesarza na podany adres. Zredagowaną ona była w formie listu do namiestnika, który został udzielony do wiadomości różnym wpływowym osobistościom w ten sam sposób, jak i poprzednia depesza telegraficzna. List ten był następującej treści:

»Przeczytałem przesłaną mi prośbę. Powinienbym ją uważać za nieistniejącą *comme nulle et non avenue*, ze względu, że kilku ludzi, korzystając z chwilowych nieporządków, przywłaszczyło sobie samowolnie prawo lekceważenia wszelkich rozporządzeń rządu. Nie chcę atoli w tem widzieć nic innego, jak chwilowe zapomnienie.«

»Całą uwagę moją skupiam nad wypracowaniem reform odpowiednich czasowi i rozwojowi potrzeb państwa. Poddani moi w Królestwie Polskiem są także ciągłym przedmiotem mej

¹⁾ *Spasowicz* powiada: „Zamoyski i jego przyjaciele pesymistycznie spoglądali na podanie adresu i nie oczekiwali stąd żadnych dodatnich rezultatów, owszem, obawiali się zwiększenia surowości i cofnięcia się rządu z dotychczas obranego kierunku. Naradzali się nawet nad tem, jak się w razie takiej zmiany mają zachować? Większość oświadczała się za biernym oporem na wzór Anglików w XVII wieku, albo Włochów w Lombardyi i Wenecyi w XIX wieku, a więc, niepłacenie podatków, gremialne opuszczenie służby rządowej, co nawet później próbowano zastosować.“ — str. 128.

pieczy. Wszystko, cokolwiek im zapewnić może dobrobyt, nie znajduje mnie i nigdy nie znajdzie obojętnym.»

»Dalem już im dowód tego, że chcę, aby i oni uczestniczyli w wprowadzanych ulepszeniach i reformach w państwie. Trwam dalej w tych samych zamiarach i uczuciach. Mam prawo polegania na tem, że te uczucia będą odwzajemnione; że ich nie zniweczą żądaniami nieumiarkowanemi lub nie będącemi na czasie, którychbym nie mógł uwzględnić bez wyrażenia krzywdy moim innym poddanym w cesarstwie. Ja swe obowiązki wypełnię i w żadnym innym wypadku nie będę pobrażał nieporządkom. Na takiej bowiem podstawie nie da się zbudować. Żądania, opierające się na nieporządkach ulicznych, same siebie podkopują, we mnie zaś zniszczyłyby wszelkie zaufanie i znalazłyby potężną odprawę, jako coś takiego, coby mogło zwiechnąć państwo z legalnej drogi, na której je niezmiennie utrzymać pragnę¹⁾.

Wraz z nadejściem tej odpowiedzi delegacya przestawała istnieć, tak było umówione przy jej utworzeniu i o tem wszyscy wiedzieli. W mieście jednak wyrażano ubolewanie i zaczęto naradzać się, jakby i nadal utrzymać delegacyę, która mimo krzyków na nią podnoszonych, przecież wyświadczyła niejedną rzeczywistą usługę i byłaby szczególnie tem pożyteczną dla kraju, że za jej pośrednictwem Zamek, wogóle mało przystępny dla opinii, dowiadywał się o potrzebach i życzeniach kraju. W Zamku jej słuchano i nieraz wysłuchano, chociaż żądania te nieraz przekraczały granicę, której władza, chcąc zachować swój urok i pozostać władzą, nie powinna była nigdy dozwolić przekroczyć.

Nie sami biali czynili starania o dalsze utrzymanie delegacyi, czynili je i czerwoni, ale na swój właściwy sposób,

¹⁾ Wydrukowano to w różnych dziennikach z tego czasu. Oryginał francuski w numerze 60 *Gazety urzędowej Królestwa Polskiego*, po polsku i po francusku, w n-rze 70 *Gazety warszawskiej* i w numerze 69 *Kuryera warszawskiego*. Także w broszurze „*Affaires de Pologne*“ str. 9. List ten przywiózł z Petersburga adjutant namiestnika

oto: przez wybijanie okien, śpiewanie hymnów, wyprawianie kocich muzyk. Tymi wybrykami okazywali oni, że sama pogłoska zniesienia delegacyi — wywołuje rozdrażnienie i uliczne nieporządki; cóż dopiero będzie, gdy delegacyę naprawdę rozwiążą?

Namiestnik dnia 16. marca wydał nową odezwę do mieszkańców Warszawy:

»Dla położenia granic poduszczaniom ludzi złej woli, którzy zwolują zbiegowiska dla urządzania manifestacyi rozmaitego rodzaju, ze względu, że takie manifestacye są niewłaściwe i zakłócają porządek publiczny, oznajmiam, że od dnia dzisiejszego: zabraniają się wszelkie zgromadzenia na placach i na ulicach w celu jakiegokolwiek manifestacyi. Również zabraniają się wszelkie procesye, nie ustanowione przez kościół katolicki.

Mieszkańcy Warszawy! usłuchajcie mojej przestrogi, nie zmuszajcie mnie do użycia siły zbrojnej dla przywrócenia porządku.

Jednocześnie, władza policyjna obwieszczenie to rozeszła wszystkim właścicielom domów, aby nikt niewiadomością tłumaczyć się nie mógł.«

Delegacya — oficjalnie wprawdzie jeszcze nierozwiązana, lecz od dnia nadejścia odpowiedzi cesarskiej niezbierająca się w ratuszu, lecz w resursie kupieckiej — uczuła się obrażoną, że władza wydała powyższe obwieszczenie, nie zasiągnąwszy przedtem jej zdania, jak to się dotychczas stale praktykowało w podobnych razach.

Nazajutrz dnia 17. marca, gdy przyszedł do Resursy kupieckiej generał Paulucci (uczęszczający tam z polecenia namiestnika, dla zasięgnięcia stałych informacyi), delegacyi spotkali go zapytaniem: »Co znaczy wczorajsze obwieszczenie o zbiegowiskach, których obecnie nie bywa, lecz które widocznie rząd

baron Meyendorf. W mieście natychmiast rozszerzyła się pogłoska, że Meyendorf przywiózł konstytuęę. Dziennik pułkownika Krywonosowa, daje wyobrażenie o panującym usposobieniu i oczekiwaniach.

stara się wywołać takimi prowokacyjnymi zarządzeniami?« Nadto delegaci wyrazili swe niezadowolenie, że dotychczas nie otrzymali odpowiedzi na pewne uwagi i wytknięte niedostatki w zarządzie miasta.

Jeneral odparł, że nie tu miejsce dla dania odpowiedzi, lecz prosi panów delegatów, by nazajutrz zechcieli przybyć do ratusza, a tam otrzymają wyjaśnienia na wszystko co ich obchodzi.

Rozmówiwszy się tego samego wieczora z namiestnikiem o całym tem zajściu, Paulucci natychmiast przesłał wice-prezesowi, jeneralowi Lewińskiemu, bilecik następującej treści:

»Kochany jenerale! Co się tyczy wczorajszego rozporządzenia, mam honor zawiadomić, że J. E. Namiestnik uznał potrzebnem ogłosić je dlatego, że doszły do niego wieści o istnieniu w mieście rewolucyjnych agentów, którzy starają się twożyć lud i niepokoić rząd rozmaitemi manifestacyami, nadto, wielu z pociągniętych do odpowiedzi po smutnych wypadkach 25. i 27. lutego, tłómaczyło się, że zgola nie wiedzieli o istniejącym zakazie podobnych manifestacyi. Co zaś do municypalnych urzędzeń J. E. Namiestnik oświadczył, że sprawa ta jest już ostatecznie zakończona.«

Lewiński odczytał tę kartkę zebrany dnia 18. marca w ratuszu delegatom w obecności Paulucciego, który na zapytanie, czy w tem się mieści cała odpowiedź na postawione zapytanie i poczynione uwagi — oświadczył: że co do zarządzenia z dnia 16. marca i co do projektów miejskiego zarządu — nie więcej dodać nie może; zaś co do sądów nad politycznymi przestępcami — odpowiedź jutro nastąpi.

— A więc nasza rola skończona... nie pozostaje nam nic innego, jak prosić o uwolnienie — odezwalo się naraz kilka głosów.

— To już rzecz panów, zrobicie, jak się wam podoba! — odrzekł z lekceważeniem jeneral, który, jako zostający w ciągłym zetknięciu z namiestnikiem, a zresztą jako szef tajnej policyi, wiedział co się przygotowywało za kulisami, w taje-

mniey, zdala od wszelkich ciekawych oczu. Dla świadomego, co właśnie w tym czasie zaszło i jak radykalnie zmieniło się położenie, dziwnem co najmniej wyglądało żądanie zajmowania się jakimiś municypalnymi projektami i tym podobnymi drobiazgami.

Zaszedł zaś fakt następujący.

Gdy pomimo ogłoszenia, wydanego dnia 16. marca, zaszły jakieś nieporządki uliczne, Gorczakowowi wydały się one powtórzeniem zająć lutowych, to też przeląkł się i stracił głowę w niemniejszym prawie stopniu, jak wówczas. »Na ulicach Bóg wie co się dzieje, a z Petersburga zamiast raz już coś stanowczego postanowić i przysłać jak było umówione, wciąż piszą i piszą tylko bez końca!«

U starców, niecierpliwość tak dobrze jak trwoga, gdy raz ich opanuje, nie daje już im spokoju, wzmaga się co chwila, wzrasta jak lawina. Faktor zjawił się jak na zamówienie. Kierował nim jakiś szczególniejszy żydowski instynkt i przecucie, że w chwilach dla Gorczakowa trudnych on zawsze umiał znaleźć się pod ręką, i to właśnie w połączeniu z wesołem usposobieniem charakteru i dowcipem, nie opuszczającym go nigdy, a którym tak doskonale umiał podtrzymywać upadającego ducha u namiestnika; i to było główną przyczyną, że ten go tak polubił i wyróżniał przed drugimi.

Jak niegdyś 16-go sierpnia 1855 roku, gdy opanowany taką samą gorączkową niecierpliwością, stojąc na nowej redukcie nad Czarną rzeczką, Książę zapytał swego przybocznego adjutanta Krasowskiego: »Czemu nareszcie nie zaczynają?« — tak teraz zapytał swego przybocznego faktora: »Czemu nareszcie nie przysyłają? Czas drogi. Na ulicach Bóg wie co się dzieje!«

— W rzeczy samej, każda chwila droga — potwierdził faktor — lecz sądzę, że wasza ekscelencya masz zawsze w ręku środek do przynaglenia Petersburga.

— A cóż to za środek?

— Najlepiej wybijać klin klinem. Dodatkowo do projektów Karnickiego niech książę pośle projekty Wielopolskiego

i jednocześnie napisze do cesarza, że jeżeli margrabia nie zajmie natychmiast przeznaczonego dlań stanowiska, to książę za nie ręczyć i odpowiedzialności za utrzymanie spokoju na siebie brać nie może. Klin ten albo jeszcze silniej wbije klin dawny, albo też sam miejsce dawnego zastąpi. Należy tylko nieco nastraszyć Pałac zimowy, byle prawdopodobnie. Tam dziś panuje usposobienie skłonne do trwogi, nawet do przesadnej trwogi, więc można śmiało coś dodać. Ja, gdybym był na miejscu księcia, ani chwili nie zawahałbym się, chociażby nawet wobec cesarza, coś jaskrawiej przedstawić. Są to chwile krytyczne!...

Dla Gorczakowa nie było to zresztą żadną nowością okłamywać cesarza. On tak do tego przywykł, że najczęściej nie zdawał sobie nawet sprawy przed sobą, że kłamie.

Po niejakej chwili odezwał się do Enocha: »Każ tu poprosić Wielopolskiego.«

Wielopolski stawił się na wezwanie. Książę poprosił go ostatecznie o zredagowanie memoriału co do uznanych za potrzebne reform, zmieniając tylko niektóre szczegóły, stosownie do ich uprzedniej rozmowy.

Wielopolski był gotów z żadaną pracą we 24 godzin ¹⁾, a Gorczaków natychmiast wysłał ten operat do Petersburga przez urzędnika Kretkowskiego. Dnia 23. marca Kretkowski stanął w Petersburgu, a na 25. została zwołaną rada państwa, która pod przewodnictwem samego cesarza miała ostatecznie rozpatrzyć i zatwierdzić pierwszą seryę reform Karnickie go które już przeszły przez wszystkie widły kaudyńskie petersburskiej biurokracji. Projekty Wielopolskiego spadły jak piorun na głowy członkom rady państwa. Sprawozdawca, mając w rękę oba projekty, Karnickiego i Wielopolskiego, był w trudnem położeniu... wyszedł z kłopotu, łącząc w jedno. Karnicki wcale się o to nie zgniewał, widząc o ile Wielopolski był śmielszy i szczery w swych planach. Owszem jako Polak, tylko się mógł cieszyć z takiego obrotu sprawy.

¹⁾ Zmiany u *Lisickiego*, tom I, str. 174—176.

Dnia 26. marca, a więc we dwadzieścia dni po wezwaniu Wielopolskiego z Chrobrza, a w tydzień po wysłaniu Kretkowskiego z Warszawy — w sekretaryacie stanu dla spraw Królestwa Polskiego wydane zostały następujące postanowienia:

Ustanawia się w Królestwie Polskiem:

1. Radę stanu, jako organ prawodawczy, złożony z miejscowych dygnitarzy i z członków, powołanych przez najjaśniejszego pana.
2. Komisję wyznań i oświaty.
3. Rady miejskie w Warszawie i główniejszych miastach Królestwa Polskiego.
4. Rady gubernialne i powiatowe, pochodzące z wyborów, dla których przewodniczących rząd wyznaczy.

W końcu przeprowadzi się zasadniczą reorganizację niższych i wyższych zakładów naukowych ¹⁾.

Program ten postawiono jako ogólny zarys. Szczegóły miano opracować w Warszawie pod kierunkiem Wielopolskiego i przesłać do Petersburga w formie już ostatecznie wygotowanych projektów do praw. Wielopolski został zamianowany głównym dyrektorem komisji wyznań i oświaty.

Wszystko to działo się w gabinecie sekretnym cesarza, między niewielu osobistościami, pojmującemi całą doniosłość sprawy. A matuszka Rosya, cały stumilionowy naród, wcale się tem nie zajmował. Nawet Moskwa białokamienna, oddalona o 15, a na dobry ład o jakie 10 lub 8 godzin jazdy od sekretnego gabinetu cesarza, nie wiedziała o tem, co się tam tak pospiesznie tworzyło w Petersburgu — na szczęście, czy też na nieszczęście państwa. Takie to były czasy. *Moskowskija Wiedomosti* teraz tak o nich piszą: »Nie było żadnej jawności, nie, coby odpowiadało pojęciom prasy i publicystyki w europejskiem słów tych znaczeniu, żadnej opinii publicznej... nigdzie nie okazywano najmniejszego zajęcia dla spraw i kwe-

¹⁾ *Gazeta urzędowa* z 1861 roku nr 71, szczegóły w n-rze 75. *Spasowicz* str. 140—141. — *Lisicki* tom II. str. 59—62.

sty najżywotniejszych dla Rosyi; nikt o niczem nie wiedział, nikt o nic nie pytał, to też nikt nie miał o sprawach tych jasnego pojęcia i wyrobionego zdania.« (1867 roku nr 22).

Tak było i z zamianowaniem Wielopolskiego na ministra i z przyjęciem jego niezwykłych projektów. Wzrok ogółu ślizgał się po tej kolosalnej postaci, ale »jasnego pojęcia i wyrobionego zdania« nikt o niej nie miał. Nadzwyczajny, tak pelen niesłychanego dla Rosyi znaczenia fakt, spełniał się w ciszy, bez rozgłosu. Nikomu nawet na myśl nie przyszło, że tu zapominano o dziejach przeszłości i to bardzo niedawnej przeszłości; że powtarza się to, coby nigdy nie powinno się być powtórzyć; że raz jeszcze nie pamiętano o tem, »że niema takiego Polaka, w jakichkolwiek okolicznościach i na jakimkolwiek stanowisku postawionego, któryby rozwiązał sprawę polską w duchu i kierunku interesów rosyjskich.« Raz jeszcze wyostrono na siebie oręż i dało go w ręce drugiego Adama Czartoryskiego.

Gdy w jakiś czas potem zagraniczne pisma ilustrowane podały wizerunek tego nadzwyczajnego czarodzieja, rosyjska publiczność przypatrywała się mu zupełnie obojętnie, przerzuciła kartkę z takim samym zajęciem, jak kartkę z wyobrażeniem jakiego malabarskiego królika, lub widokiem chińskiego miasta Peihoo...

A zaiste, zasługiwała ta postać, podobna do ciężkiego, zawsze wycelowanego i gotowego do strzału pozytywnego działa, by się jej dobrze i uważnie przypatrzeć. Jeszcze dziś polecamy czytelnikowi wyszukanie gdziekolwiek tego portretyku, a jestem pewny, że po głębszem wpatrzeniu się odnajdą wskazane podobieństwo...

„Czy dokładnie artysta myśl swoją wyjawił,
Gdy jego nam takim, nie innym przedstawił?
Czy mimowolne było to natchnienie
Czy też Bayer mu tylko dał takie wejście?“

Jeszcze raz powtarzamy: nie możemy oskarżać gorących pomocników w spełnieniu tych wszystkich czarów...;

nie mamy na to ani dosyć odwagi, ani też serca... Im tak było pilno...

Opowiemy tu małe zajście, które może da najlepsze wyobrażenie o usposobieniu ówczesnego »tajnego parlamentu« w Petersburgu.

Jakoś wkrótce po strzałach Zabołockiego przybył do Warszawy adjutant skrzydłowy cesarza, dawny oficer wojsk polskich, pólkownik Giecewicz, i chociaż Polak, z przekonania oddany Rosyi. Ten rozglądnąwszy się, co się w około niego działo: na ulicach, po kościołach, w teatrze i resursach, odezwał się do kogoś ze swoich przyjaciół: »Ależ panowie, jak możecie nie widzieć, że u was rewolucya! W Petersburgu ani pojęcia nie mają o tem, co się tu dzieje!« I jako przyboczny adjutant cesarza czuł się w obowiązku bezzwłocznie wrócić do stolicy dla zdania sprawy i przestrzeżenia kogo należy.

Wyjechał z 14. na 15. marca w nocy i na piąty dzień stanął w Petersburgu, a więc właściwie na cztery dni przed przybyciem Kretkowskiego z projektami Wielopolskiego i listami namiestnika oraz innych osób, które zapatrywały się na stan spraw w Warszawie wcale nie różowiej od Giecewicza.

Czy zawiadomił Giecewicz samego cesarza — nie wiadomo, to pewna tylko, że z ministrem wojny obszernie i szczegółowo się rozmówił. Suchozanet zatrwożył się na dobre i wezwał do siebie swego pomocnika, generała Milutina. Na zapytanie, czy to prawda, co powiada Giecewicz, tylko co przybyły z Warszawy, Milutin odpowiedział, że w istocie miały miejsce drobne, uliczne nieporządki, lecz głównie skutek słabości namiestnika. Teraz wszakże już temu zapobieżono. Wszystko, co jest znakomitszego w kraju, zupełnie nam jest oddane; Wielopolski zamianowany ministrem wyznań i oświaty, a wkrótce zapewne zostanie ministrem spraw wewnętrznych; jest to człowiek niezwykle rozumny i zupełnie nam oddany, dosyć powiedzieć, że nie wahał się syna swego oddać do wojska: krok niesłychany, bezprzykładny wśród polskiej arystokracji. Nim się na coś podobnego taki pan polski zdecyduje, musi sta-

nowczo stanąć po stronie rządu. Nie należy straszyć napróżno cesarza. Żyjemy w chwilach, gdzie nawet w carskich komnatach spokój jest potrzebny. Spełniają się rzeczy wielkie, wiekopomnego znaczenia! Daj Boże, by się tylko skończyły tak, jak się zaczęły!

Suchozanet, pomimo tyloletniego pobytu w Królestwie Polskiem, nie słyszał nic ani o Wielopolskim, ani o jego przeszłości, albo też bardzo mało, nie mógł więc zaprzeczyć Milutinowi, jak wogóle nie umiał i nie mógł zaoponować człowiekowi, pod każdym względem bezporównania wyżej od niego stojącemu. Rozmowa się urwała. Milutin, powróciwszy do siebie, zaraz posłał po Giecewicza, zrobił mu ostrą wymówkę, że się miesza do spraw, których nie rozumie i które go wcale nie dotyczą, kazał mu wracać do Warszawy i siedzieć cicho, jeśli się nie chce spotkać z nieprzyjemnościami. Giecewicz wrócił i z największym zadziwieniem opowiadał znajomym o tem, co najmniej dziwnem przyjęciu, które go spotkało w Petersburgu.

Warszawa pełna była najrozmaitszych pogłosek o Wielopolskim, który tymczasem od 17. marca bawił w Krakowie i szukał tam zetknięcia i porozumienia z ludźmi poważniejszymi w Galicyi. Zachęty i przyrzeczeń nie brakło, lecz gdy przyszła poważna chwila działania — nic nie spełnili, chociaż wszystko obiecywali; »znikli jak kamfora, i ani na próbkę ich nie pozostało«, pisze Zygmunt Wielopolski w swej odpowiedzi Stanisławowi hr. Tarnowskiemu ¹⁾.

Namiestnik, gdy otrzymał z Petersburga potwierdzone projekta Wielopolskiego, zaczął przemyśliwać i naradzać się ze swem najbliższem otoczeniem nad drugim trudnem zadaniem: »Co począć z Muchanowem, tym drugim niedźwiedziem w tem samem legowisku.« Że ten dobrowolnie nie ustąpi, wiedzieli doskonale wszyscy, co go bliżej znali. Zresztą nic wtem

¹⁾ Do J. W. Stanisława hr. Tarnowskiego Zygmunt Wielopolski, m. m. Kraków 1879, str. 12—13.

nie było dziwnego; najmniejsze nawet dziecko wie, że taki urzędnik, dosłużywszy się wysokiego stanowiska, przywyka do swej zaszczytnej i wygodnej pozycyi, bardziej niż niejeden żebrak do swej torby żebraczej; przestaje rozumieć, że być może inna egzystencya, że się nie zawsze będzie rozkazywać innym. Te wydawane rozkazy, udzielane nagany lub pochwały, ta uniżoność i pochlebstwa tłumów, to ciągle kłanianie się i gotowość do usług na najmniejsze skinienie, stają się w końcu potrzebą, warunkiem życia tych panów i bywały przykłady, że taki dygnitarz, gdy opuścił zajmowane stanowisko, naraz zaczął niedomagać, smutniał i niknął, i bardzo prędko opuszczał ten padół placzu, na którym już mu było tak smutno, nudno, tak nieswojsko...

W takich właśnie warunkach znalazł się podówczas Muchanów, wiedzący, ma się rozumieć, doskonale, co się na około dzieje i co wkrótce ma nastąpić. On wiedział, że będzie musiał ustąpić Wielopolskiemu głównej dyrekeyi komisji wyznań i oświaty, lecz był przekonany, że tekę spraw wewnętrznych zawsze zatrzyma. W tym celu zapewne zrzekł się zawczasu kuratorji warszawskiego okręgu naukowego, którą tymczasowo powierzono tajemnemu radcy Łaszczyńskiemu¹⁾.

Tego był pewny i nie troszczył się wcale o ogólną niechęć i niepopularność. »Chwilowe to usposobienie sfer najwyższych przejdzie, wszystko się przemiele i będzie mąka — jak powiada przysłowie« — i on po dawnemu rządzić będzie w swym rozległym zakresie władzy, a kto wie, może nawet przetrwa i tego nowego Adama Czartoryskiego.

O tych marzeniach wiedziały nietylko osoby, otaczające namiestnika, ale i sam namiestnik. Wiedzieli także, że ci dwaj ludzie obok siebie są niemożliwi... Co zrobić wszakże, aby dać uczuć Muchanowowi potrzebę podania się do dymisji?...

Usłużny faktor podszeptał namiestnikowi, że w takich okolicznościach nie czas na względy i ceremonie dla nikogo;

¹⁾ *Kuryer warszawski* nr 71.

że się korzysta z pierwszej lepszej drobnostki i usuwa się tego, który jest niepotrzebny lub, co gorsza, szkodliwy, i staje na zawadzie nowemu kierunkowi spraw politycznych. Kotzebue tylko, osobisty nieprzyjaciel Muchanowa, przytwierdził temu zdaniu.

Pretekst niebawem się znalazł.

W owym czasie, wskutek propagandy, prowadzonej ze stron różnych między włościanstwem, w niektórych okolicach Królestwa Polskiego wybuchły niepokoje i przyszło nawet do starć chłopów z miejscowymi gminnymi władzami. Muchanów, do którego, jako głównego dyrektora w komisji spraw wewnętrznych należało przedewszystkiem utrzymanie porządku, rozesał do gubernatorów sekretny okólnik, datowany dnia 18. marca, polecający: »największą baczność nad podżegaczami; zarządzenie odpowiednich środków, by takowych w danych razach chwytano i odstawiano wprost do naczelników powiatów z ominięciem miejscowych wójtów gminnych«, którym wogóle rząd mało dowierzał¹⁾.

Tajemnica jakoś bardzo prędko stała się wszystkim wiadomą przez tychże gubernatorów, do których polecenie było wystosowane. Zerwała się straszna burza! Potrzeba zaś wiedzieć, że okólnik ten nie był weale rzeczą nową, *ad hoc* wydana. Było to po raz piąty rozsyłane powtórzenie rozporządzeń, wydanych w 1846 roku, gdy się obawiano, że ruchy socyalne, których widownią była Galicya, mogą się przenieść na tę stronę Wisły. Cztery razy rozsyłano ten okólnik zawsze sekretnie; czy tajemnica lepiej bywała dochowana, czy też inne było usposobienie — dosyć, że nigdy większego wrażenia okólnik ten nie wywołał. Teraz posypały się do Muchanowa bezimienne listy z największemi inwektywami. Do żony jego, z domu hr. Łubieńskiej, pisano, by jak druga Judyta zasłużyła się narodowi i ucięła głowę swemu Holofernesowi. Następnie

¹⁾ Cały cyrkularz przytoczony w „Zapiskach naocznego świadka“, str. 140—141. — *Lisicki* tom II, str. 63—64.

posłano jej w koszu, napelnionym kwiatami — stryczek¹⁾. — Wówczas kursowała także po Warszawie szarada, Mucha-now, zaczynając się od słów:

„Pierwsza moja dokuczliwa,
A szczególnie w czasie żniwa“ ... i t. d.

Muchanow wściekał się, srożył, lecz postanowił znieść wszystko, choćby z największym wysiłkiem woli i pozostać na stanowisku. Dni jego były już wszakże policzone; otaczający namiestnika coraz natarczywiej powtarzali, że rzeczy tak, jak są, pozostać nie mogą, że należy skorzystać z popelnionej niezręczności i usunąć Muchanowa, gdyż inaczej wprowadzenie reform napotka na nieprzezwyciężone trudności. Przedewszystkiem zaś należy uspokoić umysły w kraju i oczyścić drogę Wielopolskiemu. Dodawano także, że dnia 20. marca w Resursie kupieckiej głośno wykrzykiwano »precz z Muchanowem!«

Nielubiący wszelkich stanowczych wystąpień ksiązę Gorczaków, spostrzegł jednak, że w tym wypadku należy się rozmówić zupełnie otwarcie ze swym dawnym przyjacielem i faworytem. Mimo to rozmowa wlokła się niejasno i niestanowczo, namiestnik dziwnie się jakoś wikłał we frazesach i tak był mglisty, że Muchanow udał, jakoby się nie domyślał o co chodzi. W odpowiedziach swych również był nieuchwytny i odszedł z czem przyszedł, ani myśląc prosić o uwolnienie. Należało więc pominąć wszelkie względy. Namiestnik przyzwyczajony w każdym wypadku zasięgać rady Petersburga, dnia 23. marca w południe zażądał telegraficznie pozwolenia do

¹⁾ Muchanów po dwakroć był żonaty. Pierwszy raz ożenił się z wdową po baronie Morenheimie, córką hrabiego Mostowskiego, ministra spraw wewnętrznych z przed 1830 rokiem. Wkrótce po owdowieniu oświadczył się hrabiance Łubińskiej (hrabinie Łubińskiej z domu pani Jarmond. *Przyp. tłumacza*), od której był trzy razy starszy. Gdy tej rodzina odradzała tak niestosowny związek, odpowiedziała, że lepiej być senatorową, mając lat ośmnaście, niż pięćdziesiąt. — Dziennik pułkownika Krywonosowa.

udzielenia dymisyi najwyższemu po sobie dygnitarzowi w Królestwie Polskiem. Było to w sam dzień przyjazdu Kretkowskiego do Petersburga. O godzinie 2-giej otrzymał przyzwalającą odpowiedź. Wezwano po raz drugi Muchanowa na Zamek i teraz Gorczaków oświadczył mu, że dla ważnych względów państwowych muszą rozstać się. — (*Spasowicz* str. 131).

Muchanów został tą wiadomością rażony jakby gromem; zrobiło mu się słabo, wrócił do siebie, lecz nie nadsyłał tak niecierpliwie oczekiwanego podania o uwolnienie. Wówczas Gorczaków użył ostatecznego środka. Na godzinę dziewiątą wieczór kazał kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej przygotować nadzwyczajny pociąg, a o siódmej posłał po Muchanowa własną karetę. Gdy ten przybył do Zamku, książę oświadczył mu głosem wzruszonym: »Pan nie możesz tutaj dłużej pozostać, wyjeżdżaj natychmiast, rozkazuję to panu imieniem Najjaśniejszego Pana! Na kolei stoi już przygotowany pociąg! Nic więcej nie mam do powiedzenia i żegnaj pana!«

Muchanów zaledwie mógł zebrać potrzebne na drogę fundusze, posłał na kolej, że wsiądzie do pociągu w Pruszkowie, i pojechał tam razem z żoną w zamkniętej karecie. Tymczasem jego miastowi przyjaciele zgromadzili już na placu przed dworcem kolejowym do 4.000 ludu, który przejeżdżającą karete przyjął taką wspaniałą kocią muzyką, jakiej Warszawa jeszcze nie słyszała. Skonsygnowane na stacyi wojsko stanęło pod bronią. W wagonie, przeznaczonym dla eksministra, lud wybił wszystkie okna, tak, że w Skierniewicach musiano wagon zmienić. W Piotrkowie pociąg był przyjęty inną kocią muzyką, a w Dąbrowie oprócz kociego koncertu na dworcu, stanęły dwie lokomotywy obok pociągu, wiozącego Muchanowa, i gwizdały tak długo, aż pociąg ten ruszył z miejsca. We Wrocławiu studenci uniwersytetu urządzili jakąś niemilą demonstracyę, a gdy towarzyszący dyrektorowi kuryer Lange zaczął ich upominać, rzucili się na niego i do krwi poturbowali ¹⁾.

¹⁾ Dziennik pułkownika Krywonosowa.

W kilka dni potem wybito okna w mieszkaniach Enocha i Abramowicza. Abramowicz, tak niegdyś straszny dla każdego Polaka, i jako dawny ober-policmajster czujący na sobie mnóstwo najrozmaitszych grzechów, stchórzył do tego stopnia, że noc tę spędził u komendanta miasta, a nazajutrz opuścił Warszawę, odprowadzany na równi z Muchanowem dźwiękami niesfornej muzyki. Do Teatru różnaitości wstawiono kompanię wojska. W dziedzińcu, pod samemi oknami opustoszałego pomieszkania dyrektora warszawskich teatrów, przesuwały się wąsate twarze rosyjskich żołnierzy, częstokroć odzianych w zupełnie lekki negliż; broń stała w kozłach, na sznurach suszyła się bielizna żołnierska.

Enochowi zaś ani w myśli powstała jaka trwoga, najspokojniej kazał wprawić potłuczone szyby i ani na chwilę nie opuszczał mieszkania.

Wielu innym osobom w mieście wysłano także bezimienne wezwania, aby póki czas wynosiły się z kraju...

Wszystko to wyższe władze tolerowały i znosiły w nadziei, że wkrótce nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju umysły się uspokoją i wróci dawny porządek, pozwalający opracować spokojnie projekty dalszych reform i wprowadzić je stopniowo w kraju.

Wszakże dla wszelkiego bezpieczeństwa książę Gorczaków prosił o przysłanie do Warszawy generała Chrulewa, człowieka z ustaloną wojskową reputacją, jako jednego z bohaterów obrony Sebastopola. Cesarz uczynił zadosyć temu żądaniu, lecz żegnając Chrulewa, powiedział: »Masz o ile można unikać krwawych starć z ludem i dopiero po wyczerpaniu wszelkich możliwych środków uspokojenia tłumów, możesz użyć broni.«

Stronnictwo umiarkowane także ze swej strony robiło co mogło w celu uspokojenia rozigranych umysłów, i w tym celu *Kuryer warszawski* w numerze 75. z dnia 20. marca 1861 r. umieścił następujący artykuł wstępny, napisany pod wpływem jeśli nie samego Wielopolskiego, to ludzi podzielających jego zapatrywania:

»Przez zjednoczenie się w jedno bratnie koło, daliśmy dowód tej siły moralnej i tej dojrzałości, która naprawdę cześć każdemu przynosi. Lecz raz połączeni, nie powinniśmy na tem poprzestać; nam potrzeba i w przyszłości zjednoczyć się w jednych uczuciach, jednakich dążeniach, a odpychając pokuszenia mniejszości, słuchać jedynie głosu rozsądku i iść za tą większością, która, przed wszelkimi innymi obowiązkami, na pierwszym miejscu stawia miłość ojczyzny.«

»A zatem, hasłem każdego uczciwego człowieka i każdego dobrego i prawdziwego Polaka niech będzie spokój i tylko spokój!«

»Tymczasem dochodzą nas głuche wieści, gotowe, na kształt wzburzonych fal morskich, zalać brzegi stałego lądu, które przejmują serca nasze obawą najsmutniejszych następstw.«

»Mówimy tu o tych tłumnych zebraniach ludu, które pod pokrywką modlitwy i procesyi, ukrywają właściwą swą nazwę ulicznych zbiegowisk przezwanycy teraz: »manifestacyami.« Zatrzymajmy się i zastanówmy sumiennie nad tem, do czego to wszystko prowadzi? Oddawajmy cześć i chwałę Bogu w świątyniach, gdzie się wznoszą Jego ołtarze; chwalmy Go w domu, czy to pod ubogą strzechą włościańską, czy u warstata rzemieślnika, który był schronieniem świętej pracy Chrystusa; czcimy Boga całym sercem i myślą, lecz nie nadużywajmy Jego świętego imienia na ulicach miasta, nie zasłaniajmy się Jego obrazami od ciosów, których i bez tego możemy uniknąć, a to tem bardziej, że Kościół, święta Matka nasza, wcale podobnych czynów nie pochwała.«

»Wiedziecie szanowni czytelnicy i bracia, że odzywa się do was głos wcale nie podszeptany z boku, lecz pochodzący z głębi serca, głos naszego sumienia, którego nie możemy stłumić, jak skoro doszły nas podobne wieści.«

»Zapiszmy odtąd w głębi duszy i na czołach naszych to święte hasło, że wszelki wróg porządku, szczególnie zaś spokoju publicznego, jest tem samem wrogiem ojczyzny, a wów-

czas. żadne poduszczenia nie potrafią nas zwrócić z drogi, na którąśmy weszli kosztem największych ofiar.»

»Mamy nadzieję, że to nasze braterskie odezwanie się trafi wam do przekonania, a nasze szczere i otwarte słowa wzbudzą u was zaufanie, na pozyskanie którego pracowaliśmy całe życie i za które gotowiśmy oddać wszystko.«

Artykuł ten pióra popularnego i powszechnie lubianego redaktora *Kuryera* Aleksandra Kucza, nie wywarł, co było do przewidzenia, żadnego wrażenia na manifestantów, ale za to przysporzył autorowi mnóstwo nieprzyjaciół i nieprzyjemności. W mieście szły sprawy tym samym trybem.

Wreszcie władza, chcąc choć cokolwiek upamiętać rozgączkowane i wzburzone umysły i okazać dowodnie, że w każdej chwili może być ogłoszony stan oblężenia i zapanować represya, wydała rozporządzenie, ustanawiające w mieście cztery okręgi wojskowe, na czele których zostali postawieni wejenni naczelnicy z szerokim zakresem działania.

Naczelnikiem pierwszego okręgu, obejmującym 1. i 2. cyrkuly do cytadeli i część 11. do Trębackiej i Bednarskiej ulicy z pałacem Prymasowskim, Ratuszem i placem Teatralnym, został generał Chrulow, który przybył do Warszawy dnia 2. kwietnia.

W drugim okręgu, złożonym z 3., 4., 5. i 6. cyrkulu oraz gmachu Bankowego z przylegającym placem, został naczelnikiem generał-major Weselickij.

Do trzeciego okręgu, złożonego z reszty 7-go cyrkulu, 10-go i reszty 11-go cyrkulu, zostałznaczony generał-porucznik Michników.

Wreszcie w czwartym okręgu, obejmującym 8. i 9. cyrkuly, generał-adjutant Merchielewicz.

Jednocześnie wysłał namiestnik na prowincyę generał-majora księcia Bebutewa z poleceniem rozwiązania powstałych w wielu miastach i miasteczkach samowolnych delegacyi na wzór warszawskiej.

Delegacya, zbierająca się ciągle w Resursie kupieckiej, zatrwożyła się temi zarządzeniami bardziej, niż ogłoszeniem z dnia 16. marca. Chciano robić jakieś przedstawienia prezesowi, lecz ten już wcale nie zważał na te gawędy... nakoniec dnia 22. marca namiestnik wezwał do siebie: generała Lewińskiego, Kronenberga, Szlenkera i Rosena i na ręce ich wyraził podziękowanie Delegacyi za oddane usługi, a zarazem oświadczył, że delegacya, jako taka, z dniem tym przestaje istnieć — tymczasem zaś, nim się wprowadzą nowe urządzenia, będzie ustanowiony przy magistracie wydział, złożony z 8 członków, któremu będą przysługiwały prawa rozwiązanej delegacyi.

Po skończonej audyencyi zaproszeni wrócili do resursy, dla oznajmienia reszcie członków delegacyi woli namiestnika; poczem delegacya raz jeszcze zebrała się w ratuszu i ułożyła memoriał, jak według jej zdania należałoby rządzić krajem, oczekującym ważnych i doniosłych przeistoczeń, usposobienie którego znają lepiej, niż obecni i możliwi przyszli wielkorządcy.

Był to ostatni głos pożegnalny uchodzącej z widowni publicznej delegacyi. Na horyzoncie wschodziła gwiazda Wielopolskiego.

Nazajutrz we wszystkich dziennikach czytano, że »Delegacya na żądanie jej członków zostaje rozwiązana; warszawski okrąg naukowy i wydział spraw duchownych przy komisji spraw wewnętrznych się znoszą; ustanawia się komisya wyznań i oświaty, w której na głównego dyrektora zostaje powołany Aleksander hr. Wielopolski margr. Gonzaga Myszkowski.

Dawny program reform z niektórymi zmianami i dodatkami, zawarty w ośmiu paragrafach, powtórzono w dziennikach: *Gazeta warszawska* nr 82; *Kuryer warszawski* nr 81 i *Gazeta urzędowa Królestwa Polskiego* nr 75.



K S I Ę G A III.

Wystąpienie Wielopolskiego. Strzały kwietniowe. Śmierć Gorczakowa.
Od 27. marca do 8. czerwca 1861 roku.

Rzadko się zdarzają w życiu ludzi takie nagle wyniesienia się po nad poziom ogółu. Wczoraj jeszcze zwykły obywatel ziemski nad brzegami Nidy, nawet bez czynu¹⁾, obudził się naráz nad brzegami Wisły ministrem. Łatwo można było dostać zawrotu głowy, nawet głowie tak mocnej, jaka spoczywała na potężnych barkach margrabiego Aleksandra. Pojmował on doskonale, jakiemu wypadkowi, jakiemu niezwykłemu przewrotowi biegu w sprawach ludzkich, wreszcie jakim słabościom i niedostatkom rosyjskich rządów w Królestwie — zawdzięczał to swoje nagle wyniesienie. Ale też równie dobrze wiedział, jak jest łatwo w Rosyi runąć i nie z takiej wysokości, i znów się znaleźć już nie nad brzegami rodzinnej Nidy, ale nad brzegami jakiej innej, bardziej oddalonej rzeki. Łatwem było do przewidzenia, że nowego dygnitarza zaraz, od pierwszej chwili otoczą zawiść i podejrzenie; że będą go baczenie śledzić nie tylko w Warszawie, lecz i w Petersburgu. Przecież nie wszyscy Rosyanie zasnęli snem martwym, nie wszyscy oślepli i ogłupieli. Zawsze znajdują się tacy, co na wszystko pilnie baczą,

¹⁾ Dla rządu rosyjskiego. Rząd rewolucyjny 1831 roku mianował go radcą stanu, wyprawiając do Anglii. Nadto w czasie koronacji Mikołaja I na króla polskiego 12. marca 1829 roku, Wielopolski jednocześnie z Andrzejem hr. Zamoyskim, zostali mianowani szambelanami dworu Królestwa Polskiego. (*Lisicki. A. Wielopolski t. I, str. 16*).

znają dobrze przebieg i polskich i ruskich dziejów, umieją geografję i etnografję, a zresztą znają zapewne i jego przeszłość ze wszelkimi szczegółami.

Zważywszy to wszystko, należało koniecznie, stanawszy na stanowisku uspokoiiciela kraju w nadzwyczaj trudnych warunkach, oraz organizatora nowego systemu rządowego — a z czasem być może i zbawcy Polski, imię którego niezatar-temi głoskami wyryje się w dziejach kraju — należało od razu stłumić w sobie wszelkie polskie marzenia, zapomnieć, że istnieje na kuli ziemskiej jakaś Ruś i Litwa, lecz przyzwawszy na pomoc siłę rozumu, doświadczenia i przezorności, ściśle ograniczyć swe działania do jednej tylko Kongresówki, i cokolwiekby dziać się miało wokoło, jakiegokolwiekby pokusy i marzenia oblegały serce i głowę, nie zważając na możliwe krzyki i groźby z różnych stron, iść ściśle wytkniętą drogą i raczej paść trupem, niż na krok z niej zboczyć.

Taki był, w krótkich słowach streszczony, program działania nowego ministra. Dopytały się doń wkrótce wszystkie stronnictwa: konserwatyści i zwolennicy ruchu, biali i czerwoni. Nagle i niespodziewane, w pierwszych dniach marca, zjawienie się Margrabiego na Zamku, zwróciło uwagę całego miasta, szczególnie zaś białych, to jest Towarzystwa rolniczego. Wszyscy chcieli wiedzieć, co sprowadziło i co porabia na Zamku ten odludek z Chrobrza, tak rzadko widywany w Warszawie. Zaczęto szukać rozwiązania zagadki. Wielu członków Towarzystwa rolniczego znało się dobrze z Enochem. Jeden z nich, uchodzący w całym kraju za człowieka nadzwyczaj rozumnego i zdolnego, będący do pewnego stopnia wyrocznią całej inteligencji: Aleksander Kurtz, widząc się z Enochem w pierwszej połowie marca, rozpytywał go o wszystko, co go mogło obchodzić. Wracając z tej rozmowy, spotkał się z autorem *Aspiracyi politycznych narodu polskiego*, i powiedział: »Wracam od Enocha, Wielopolski targuje się z księciem Górczakowem o zajęcie jakiego stanowiska i urzeczywistnienie swego programu działania, czegoś w rodzaju *Listu polskiego szlachcica*

do księcia Metternicha. A to prawdziwe nieszczęście. Margrabia nie zna kraju i sam utonie i nas pociągnie za sobą! — (*Aspiracye polityczne* str. 222).

Słowa te szybko rozniosły się po mieście. Zanim się jeszcze jakiegokolwiek działanie Wielopolskiego rozpoczęło, wartość jego już zawczasu przesądzoną została. Sąd swój wyrzekli marzyciele różnego wieku i stanu, przepelnieni nadziejami, które się nigdy spełnić nie miały, ani mogły. On się spodziewał wyprowadzić ojczyznę z błędnych marzeń i przygotowań na drogę ocalenia, obdarzyć kraj reformami; a jemu już w pierwszej chwili najlepsi ludzie w kraju zaczęli stawiać przeszkody...

Dnia 27. marca, we środę przed Wielkanocą, Wielopolski, rozpoczynając urządowanie, przyjmował w sali posiedzeń warszawskiego okręgu szkolnego, urzędników swego ministerstwa. Trzymając w ręku, według swego zwyczaju, małą kartkę papieru z notatkami tego, co miał powiedzieć, przemówił do nich te słowa:

»Panowie!

Witam was współpracowników, witam urzędników, nie okręgu naukowego warszawskiego, lecz przywróconej komisji wyznań i oświecenia. Zmiana ta nazwy — głębszą zmianę rzeczy oznacza. Przez nią monarcha, sprawę dla narodu najważniejszą, sprawę wiary jego i oświaty, znowu jak dawniej, na łono kraju zwraca.

Obecne zejście się nasze jako kolegów, jest pierwszym ziszczeniem reform łaskawie nam zapewnionych, a ta w nas i przez nas dokonać się mająca zmiana, jest podstawą innych ulepszeń: bo na cóżby one się wszystkie przydały, gdybyśmy nie pracowali nad ukształceniem młodego pokolenia na obywateli, zdolnych do udziału w tych poprawach.

Praca nasza jest ważną i trudną. Reorganizacya zupełna szkół, uzupełnienie wydziałów szkoły głównej po latach tyłu, nie małym jest zadaniem. Aby mu z Bożą pomocą podolać, podajmy sobie ręce.«

Tak tedy uprzejmie obszedł się nowy minister z przedstawiającymi się mu urzędnikami po swej instalacji.

Następnie oczekiwał drugiej połowy swych podwładnych: duchowieństwa. To się nie spieszyło, bardzo być może wskutek nawału pracy przy wielkim tygodniu, a może z rozmysłu zwlekalo swe spotkanie z nowym swym zwierzchnikiem aż po Wielkiejnocy. Był to rzadki, demonstracyjny wielki tydzień, wszędzie księża upominali wiernych »o ciężkich mękach, które się zakończą zmartwychwstaniem pełnem chwały, na wstyd i hańbę wrogów« Pięć ofiar lutowych, porównywano do pięciu ran Chrystusa Pana, przyczem słowo »pięć« zawsze się wymawiało z naciskiem i pisało rozstawionemi literami. (*Kuryer warszawski* z 1861 roku numeru 78., 79., 83., 84. i 85. *Giller* w »Historji powstania 1861—1864 roku«, tom I, str. 247 wyraźnie powiada: »Pięć ofiar, jak pięć ran Chrystusowych, naród poniósł do grobu.«

Zwierzchnik tymczasem rozpatrywał się w ogólnem położeniu spraw w Warszawie i w kraju, a czem się więcej wpatrywał, tem cięższa zaduma osiadala na jego czole. Wszystko, na co patrzył, nie mogło go cieszyć. Wszystko w około czerwieniało. Tak zwani biali, czyli konserwatyści, przemawiali jak dzieciaki. Spotkaliśmy się już z orzeczeniem wyroczni białych, a cóż dopiero myśleli i mówili zwykli śmiertelnicy. Zadziwiająca zdobycze Wielopolskiego, dokonane tak nagle i niespodzianie, przerażające niektórych Rosyan, a nawet sam rząd napelniające obawą, dla tych dorosłych dzieci nic nie znaczyły, gdyż rozciągały się tylko na Królestwo, nie tykając Litwy i Rusi! Swawolne i nieopatrne dzieci rwały się za tę granicę ustępstw rządowych, nie bacząc, że po za nią następowała zguba i zniszczenie wszystkiego co się uzyskało, że krew się lała... pieścili swe niedościgłe ideały, zwąc je »politycznemi aspiracyami narodu polskiego.« Chcieli, ażeby zwycięski i szczęśliwy ich zastępca odkrył przed nimi najtajniejsze zakątki swych myśli — żądali, aby pokazał im — jak w zwierciadle czarno-księskim, że tam na dnie duszy, jak na dnie morskiem, leży

głęboko ukryty gotowy już plan oswobodzenia Litwy i Rusi. Na biurkach konserwatystów obok różnych pism zabronionych, spotykało się już i tymczasowy plan powstania, przypisywany Mierosławskiemu, w którym była mowa o konieczności zjednoczenia wszystkich stanów, o dobrowolnem uwolnieniu i uwłaszczeniu włościan, o pozyskaniu sympatyj w Europie i o najspieszniejszych przygotowaniach do podjęcia walki zbrojnej z Rosją. (Patrz dodatek 16. — *Traugut* tak się o tem wyrażał: »Brozura kursująca jako programat rewolucyjny Mierosławskiego, nie miała nic wspólnego z powstaniem naszym, a nawet nie jest mi wiadomem, czy pochodzi rzeczywiście z pod pióra Mierosławskiego«). Bardzo być może, że wielu spokojnych obywateli czytało to pismo jedynie przez prostą ciekawość; lecz to pewna, że mało rzeczy z równą ciekawością czytano.

Kogoż miał przyzwać do pomocy nowy minister? Grunt, na którym jedynie mógł i obowiązany był pracować, z dniem każdym z pod nóg się mu usuwał. Postanowione rozwiązanie Towarzystwa rolniczego jeszcze bardziej musiało zwiększyć trudności, odsunąć jeszcze bardziej białych od rządu i dlatego to minister wahał się czas jakiś z wydaniem odnośnego rozporządzenia, czuł jednak, że prędzej czy później będzie musiał to uczynić. Jako Polak, jako patriota, nie mógł nie uznawać, że na śmierć skazane Towarzystwo, jest wielką i dobroczynną dla kraju instytucją, nie łatwo, z wielkim trudem i zabiegami uzyskaną w chwili wyjątkowo szczęśliwej, która się już może niepowtórzyć; że w innych okolicznościach Towarzystwo to może oddać Polsce ogromne usługi. A jeśli ta chwila i to »może« niezadługo nastąpi?... Wszystko to skłaniało tego wogóle stanowczego i wcale nie czułościwego człowieka do powolności, ręka wahała się podpisać rozkaz, rozpędzający jego współbraci, między którymi tyle było ludzi, zasługujących na wszechstronne poważanie i względy.

Naraz Towarzystwo samo zepsuło sprawę i przyspieszyło rozwiązanie. Dnia 20. marca, zaraz po okólniku Muchanowa z dnia 18. marca, Towarzystwo, jak jaka władza niezależna od

namiestnika, rozesłało półsekretny cyrkularz do wiejskiego duchowieństwa, prosząc: »o wytłumaczenie nieoświeconym włościanom, w jaki sposób najłatwiej i najprędzej mogą przyjść do własności tej ziemi, na której siedzą.« Duchowieństwo poszło dalej i wyjaśnienia, przesłane przez Towarzystwo rolnicze, w wielu miejscach wyłożono w duchu zapatrywań partyi czerwonej. (*Le marquis Wielopolski*, t. II, str. 169). Namiestnik, dowiedziawszy się o tym kroku Towarzystwa, zdał je na łaskę i nielaskę Wielopolskiego. Ten wszakże, nim przystąpił do stanowczego kroku, chciał jeszcze poprobować zbliżenia, jeżeli już nie z samem Towarzystwem, to przynajmniej ze stronnictwem białych, którego wodzem był i pozostanie hr. Andrzej, a które jeszcze przez czas dłuższy będzie rządowi potrzebne. Przemógłszy więc znaną swą dumę, zdecydował się na zrobienie pierwszego kroku, i kiedy miastowe plotki, rozpuszczone może przez czerwonych, powtarzały jakoby wypowiedziane przez Margrabiego słowa, o niemożności zbliżenia się z prezesem Towarzystwa rolniczego: »mnie nie tak łatwo się ruszyć, za gruby jestem, hr. Andrzej: szczuplejszy ode mnie« — w tym samym czasie, on, tradycyjny antagonistą rodziny Zamoyskich, pierwszy przestępował próg ich domu.

Był to pierwszy dzień Wielkiejnoocy, 31. marca: chwila ułatwiająca zbliżenie. Na święcone można przybyć bez zaproszenia, byle się było znajomym, a Wielopolski nie raz bywał gościem w Klemensowie. W Warszawie zbierało się u hrabiego Andrzeja na święconem całe miasto. Zjawienie się więc osoby choć cokolwiek znanej, nie dziwiło nikogo. Gospodarz prawie nie zważał, kto mu się przesuwał przed oczami, wszystkim się kłaniał, podawał rękę, uśmiechał, z innymi dzielił się święconem jajem. Margrabia, witając się jak umiał najuprzejmiej z gospodarzem, powiedział: *Monsieur le comte, j'ai tenu à joindre mes hommages et mes vœux à ceux de tout le monde; j'espère que désormais nous allons travailler de concert pour le bien du pays...* Alleluja, Alleluja! odpowiedział zimno gospodarz. — (*Le marquis Wielopolski*, tom II, str. 180).

Zajście to wywołało różne gawędy w mieście. Ponieważ powszechnie spotrzeżono, że nietylko gospodarz z gościem nie zbliżyli się jak przystało, lecz owszem widocznym było, że Zamoyski nierad był tej wizycie, mówił urywkowo, często się zamyślał, więc wszyscy pragnący tego zbliżenia, chcieli raz jeszcze doprowadzić do spotkania na neutralnym u wspólnych znajomych gruncie i tam pod pewnym naciskiem doprowadzić do istotnego zbliżenia się i porozumienia. Spotkanie to urządzono w poniedziałek, dnia 1. kwietnia, w powszechnie poważanym domu Łuszczewskich, rodziców Deotymy.

Przeciwnicy nic nie wiedzieli o spisku. Zamoyski przypadkiem przybył pierwszy i, oczekując zaproszenia na święcone, przechadzał się z kimś po salonie. Wtem drzwi się ponownie otwarły i na progu stała ogromna postać Wielopolskiego. Zamoyski, spostrzegłszy go, słowa nie wyrzekł do nikogo, lecz natychmiast wyjechał. (Z opowiadań Kraszewskiego, obecnego tej scenie). Margrabia nie mógł się spodziewać czegoś podobnego: chłód i obojętność u siebie, rażąca niegrzeczność i wstręt do jakiegokolwiek zbliżenia, jawnie okazane w domu wspólnych przyjaciół, z podeptaniem najzwyczajszych prawideł przyzwoitości; można sobie wyobrazić, co myślał i w jakim usposobieniu wracał ten człowiek ze świątecznej wizyty do domu...

Nazajutrz, dnia 2. kwietnia, w tej samej sali kuratoryi zebrało się miejscowe duchowieństwo dla powitania nowego zwierzchnika. Minister wyszedł ze zwykłym papierkiem i po krótkim powitaniu przemówił:

»Dostojny Księżę Biskupie,
Szanowni Pralaci i Ojcowie!

W obecnem tu duchowieństwie, rzymsko-katolickiem i unickiem, pozdrawiam dzisiaj, zwiastunów pokoju.

Otworzoną w społeczeństwie w naszych czasach przepaść, silne ramię Opatrzności zamykać poczyna, a po dniach żalości nastaje pociecha, oby i wesele.

I gdzież teraz mniej może być powodów żalu, jak wśród duchowieństwa? Czujecie to z nami, a jako doświadczeniśi lepiej od nas, czem nas obdarzył monarcha, ustanawiając osobną dla spraw duchownych władzę w kraju i dawnym zwyczajem powołując pasterzy kraju do rady krajowej.

Kościółowi rzymsko - katolickiemu należy się szczególna moja względność; pamiętać mi o tem łatwiej, że wiara katolicka jest moją i ojców moich wiarą. Lecz tę moją życzliwość dla Kościoła potrafię utrzymać na wodzy. Tak jest, dostojny księżu Biskupie, szanowni Pralaci i Ojcowie. Jestem dyrektorem władzy, opiekującej się wszystkimi wyznaniem w połączeniu z oświeceniem; nie zбочę więc z toru prawdziwej tolerancji, jednego z wielkich nabytków wieku.

Jestem członkiem rządu Najjaśniejszego Pana: nigdzie, a tem bardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uznaję; z pod ustaw nadanych nikomu samowolnie wylamywać się nie dam; wszakże wszelkie zażalenia chętnem uchem wysłucham, a jeśli będą uzasadnione, wedle mocy albo im zarządę, albo wyżej do łaskawego zarządzenia przedstawię.

Potrzeby kościołów i osób duchownych stale mieć będę na pieczy. Ufam Waszej mądrości i umiarkowaniu; Wy zaś, szanowni Panowie, dobrym moim chęciom zaufajcie.«

Wysłuchawszy tej mowy, nadzwyczaj zdumieli się księża, nie spodziewając się bynajmniej podobnego przyjęcia od nowego zwierzchnika. Mniemali, że zawaha się on wystąpić ostro przeciwko sile, jaką w kraju reprezentowali; to też zaraz, od tej chwili odwet został postanowiony.

Ku wieczorowi, już po wszystkich ogródkach i bawarych szeroko rozprawiano nad mową Wielopolskiego do duchowieństwa, a sądząc ją ostro, dodawano najrozmaitsze komentarze, zręcznie dorabiane.

Przeważnie podnoszono: Widzisz, jaka duma, on tylko dlatego pamięta o wierze katolickiej, że to jego i jego ojców wiara! A gdyby ona nie była jego wiara? — Zarzut ten jeszcze do dziś dnia powtarzają.

Wtedy także ukazała się fotografia, przedstawiająca Margrabiego w fotelu, z groźną twarzą, z pięścią na stole i podpisem: »Rządów w rządzie nie ścierpię.« Postawa i wzrok typowo były oddane.

Powiedzenie to, skądinąd tak proste i naturalne, obleciało świat cały i stało obok wizerunków zgruchotanego krzyża i pięciu ofiar. Artyści nabrali już biegłości i wprawy.

W parę dni później, 4. kwietnia, przedstawiali się ministrowi: dozór bożniczy okręgów warszawskich, komitet głównej synagogi, oraz deputacya żydów z miasteczka Pinczowa (majątku Wielopolskiego).

I o nich także wiedział coś nieco J. W. Dyrektor; lecz czy ich za mniej niebezpiecznych uważał, czy może na przekór własnemu duchowieństwu, okazał się dla nich nader uprzejmym i łaskawym, podał nawet rękę starszemu rabinowi, Majzelsowi, popularnemu i gorliwemu przedstawicielowi polskich żydów w delegacyi miejskiej po wypadkach 27. lutego.

I tu była przemowa: »Panowie! wdzięczny wam jestem za okazaną mi ufność, której nowy, zaszczytny dla mnie dowód, w pismach publicznych wczoraj wyczytałem.

»Dażenia nasze ku usunięciu, na drodze zawsze ściśle legalnej, rozmaitych względem was wyłączeń, życzę szczerze, aby skutek odniosły, a życzę jako zwierzchnik nad wyznaniem, którego zasadą jest zdrowa tolerancya, i jako prawnik.

»Wiadomo panom, iż jestem zwolennikiem prawodawstwa cywilnego, które od pół wieku stanowi ogniwo, spajające narodowość naszą z europejską cywilizacyą. Duchowi tego kodeksu obce są ustawy wyjątkowe, obce wyłączenia przed prawem cywilnem. Nie miejcie panowie obawy, ażebym podzielał zdanie tych, którzy wam radzą i za warunek kładą, byście przestali być tem, czem głównie jesteście i, schodząc z drogi przemysłu, handlu i połączonych z tem zajęć, zapręgli się do pluga. Szanowne jest powołanie rolnicze, w którym pragnę, abyście i wy udział mieli; ja sam z zawodu jestem rolnikiem; lecz rolników moi panowie mamy zawsze podosta-

tkiem; naszemu zaś krajowi zbywało na poważnym, tak zwanym trzecim stanie, zaród którego przez Opatrzność w was złożony, wskutek nieuznania, marnieje.

»Wspólnych więc starań dołożmy, ażeby ten zaród ożywić i rozwinąć.

W tem jest społeczna wasza godność. Będzie to zależało w znacznej mierze od waszej przezorności i roztropności. Przymioty te od dawna was cechują, oby się stały wspólnym udziałem nas wszystkich.«

(Z powodu tego przyjęcia żydów kursowała następująca anegdota. Wielopolski zapytał Majzelsa, rozmawiając z nim po niemiecku: »Proszę, powiedz mi kochany Majzelsie, dlaczego wy zawsze lewą rękę podajecie? *Wir können nicht anders machen, da wir keine Rechte haben.* Później jeden z rosyjskich dygnitarzy miał temu samemu Majzelsowi powiedzieć: »Za to teraz macie obie ręce prawe«).

Ta mowa, tak różniąca się od tej, którą minister powitał swoje własne duchowieństwo, do reszty oburzyła księży, szczególnież czerwonych. Wkrótce też potem, wśród mnóstwa rozmaitych bezimiennych paszkwilów i pism obelżywych, odebrał Wielopolski pismo, pochodzące jakoby »od całego duchowieństwa katolickiego w Polsce«, noszące datę 4. kwietnia 1861 r. treści następującej:

Panie Dyrektorze!

Mowa Pańska do przedstawiającego się Panu dnia 2-go kwietnia duchowieństwa katolickiego, zdumiała wszystkich i serca goryczą napelniła. Wszyscy katolicycy kapłani Polski widzą w niej groźby, niewiadomo czem spowodowane; oraz nieuszanowanie ich stanu, niczem niezasłużone. Czują się więc w świętym i koniecznym dla siebie obowiązku zaprotestowania przeciwko temu, co w niej znajdują obrażającego dla ich sumienia, poniżającego dla ich godności.

Ta mowa nosi przedewszystkiem na sobie piętno niezwykłej jakiejś surowości, czegoś niezmiernie ostrego i rozka-

zującego, do czegośmy zgoła nie przywykli i na cośmy wcale nie zasłużyli, czego zresztą w odezwanii się pana Dyrektora do przedstawicieli innych wyznań dostrzedz nie można było. Dalej słyseć się dają zarzuty, że naruszamy prawo, przez Kościół ustanowione, aluzye do jakichś zajęć i sporów z władzą, która pana Dyrektora poprzedzała. Wszystko to mowa groźnie potępia, i być może, że jest wtem nieco i prawdy. Ale te naruszenia istniejących przepisów nie były niczem innym jak tylko gorzką i ciężką próbą zapobieżenia zgubnym następstwom rozporządzeń władzy, które miały na celu niechybną demoralizację i zepsucie naszego narodu; o czem się pan Dyrektor przekonać potrafi, rozpatrzywszy się bliżej w archiwach. Te zaś spory i zajęcia z władzą były jedynie trzydziestoletnią krwawą walką z gwałtem, dążącym do zagłady w kraju świętej wiary naszej i narodowości; do zespolenia nas z narodem, obcym dla nas pod względem religii, uczuć i oświaty. Podobna walka dumę naszą podnosi, czyni nam zaszczyt i wzmacnia w nas zarazem siłę i przekonanie, że wytrwać musimy do końca. Wątpimy, aby pan Dyrektor, jako Polak i katolik, który się powołujesz na swych przodków, również Polaków i katolików, abyś Pan miał prawo ganić nas za podobne czyny, za podobne naruszanie przepisów, i rzucać na nas kamieniem.

Co do ustępu, w którym pan Dyrektor powiadasz, że rządów w rządzie nie uznajesz, my go dokładnie nie rozumiemy. Czy on znaczy, że pan Dyrektor ogłaszasz się przeciwnikiem tych narodowych i samoistnych żądań, które mają na celu wybawić nas od zupełnego rozkładu, i dać nam możliwość rozpoczęcia i prowadzenia walki z tem wszystkim, co tylko naszej wierze i naszej narodowości zagraża? Czyli też ma znaczyć, że pan Dyrektor, stosownie do widoków rządowych, chciałbyś przekształcić wyższych dygnitarzy stanu duchownego w urzędników własnej kancelaryi, nas zaś w ślepe narzędzia, posłuszne wszechmocnej woli rządu w każdym wypadku? Panie Dyrektorze! Mąż, który przedtem władzę Pańską piastował, te same miał względem nas zamiary, ale zabrakło mu odwagi

wypowiedzieć je wobec całego kraju, wobec całego świata cywilizowanego. Pan zaś, panie Dyrektorze, pod tym względem zamýślasz go uzupełnić, i jako Polak katolik, wobec zmarłych wstającej ojczyzny, wobec leż jeszcze nie oschłych, krwi lejącej się i ran niezagojonych, wobec trzydziestoletniej walki za to, co dla nas jest najdroższem w świecie, grozisz nam pan w imieniu rządu najmiłościwszego cesarza dopełnić to, czego poprzednik Pański dokonać nie mógł. Podobne postępowanie odpowiada zapewne widokom rządu, ale sprzecznem jest z najświętszym interesem ojczyzny naszej, oraz z dawnymi tradycjami naszego historycznego rozwoju, czego niepodobna żebyś pan Dyrektor nie czuł także w głębi duszy swojej.

Na tej drodze napotkasz, panie Dyrektorze, taką samą opozycję, taką gotowość do naruszenia ustanowionych przepisów, jakie natrafił twój poprzednik. Z jednej strony wystąpi pan Dyrektor, jako potomek starożytnego rodu polskiego, jako katolik i Polak, w obronie dążenia rządu do centralizacyi, która tak błogie skutki w sąsiednim państwie wydaje — z drugiej, wystąpi polskie duchowieństwo w imieniu Boga, i zawsze odwieczna walka, pomimo nierówności sił, dotąd trwająca, za wiarę, za prawa, za wolność sumienia i swobody narodu! Zwycięstwo w ręku Boga, na Jego miłosierdziu z pokorą polegamy.«

Pismo to było naturalnie dziełem partyi czerwonych; lecz ci, chcąc mu dodać więcej wagi i znaczenia, rozgłosili, że autorem pisma był jakoby biskup Dekert z kilku innymi dygnitarzami duchownymi, działającymi w imieniu całego duchowieństwa. Za granicą śledzono bacznie za wszystkim, co się w Królestwie działo, i gdy zachodziła potrzeba, każde zajście przedstawiano w odpowiedniem świetle. Otóż i cała sprawa pisma duchowieństwa do dyrektora komisji spraw duchownych, znalazła gorliwych komentatorów. — Gazeta lwowska *Głos* w numerze 93. ogłosiła, że autorem pisma jest Dekert.

Wielopolski polecił urzędownie zapytać Dekerta, co znaczą te pogłoski, a gdy ten odpowiedział, że o niczem nie wie

i że autorem pisma nie jest, zażądał publicznego zaprzeczenia wiadomości *Glosu*. — Dekert odmówił i to jeszcze bardziej utrwaliło rozszerzone pogłoski.

Wśród takiej to wrzawy rozpoczął Wielopolski swoją polityczno-administracyjną działalność. Dalecy jesteście od sądów surowych nad postępowaniem ministra w owym czasie; nie zaprzeczając w ogólności, że był zbyt drażliwym i często grzeszył brakiem taktu, musimy jednak uwzględnić i ogólne rozgorączkowanie i to z umysłu drażnienie człowieka, stojącego niejako wobec kwadratury koła, szukającego rozwiązania zadania tak trudnego i spletanego. Pamiętajmy i o tym potopie pism bezimiennych, przepelnionych groźbami i obelgami, i o tych podejrzliwych spojrzeniach Polaków i Rosyan, narzecie o tym ogólnym braku zaufania i o tej ciągłej walce, każdego dnia i każdej godziny. Trzebaby nie być człowiekiem, aby pozostać przez cały ten czas zupełnie spokojnym i żadnego błędu nie popełnić.

Minister już przedtem naradzał się z różnemi osobami rządowemi w Warszawie, nad zamknięciem Tow. rolniczego.

Dnia 6. kwietnia, w sobotę wielkanocną, zdumiona Warszawa, przeczytała we wszystkich dziennikach następujące obwieszczenie :

»W imieniu Jego C. Mości Najjaśniejszego Aleksandra II i t. d. i t. d. Rada administracyjna Królestwa Polskiego :

Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem, ustanowione w jedynym celu podniesienia rolnictwa, przez postawę, jaką w ostatnich czasach wbrew swej ustawie przybrało, dzisiejszym okolicznościom nie jest odpowiednie, z tego więc powodu, za szczególnem upoważnieniem Jego Cesarsko-Królewskiej Mości stanowi :

Artykuł 1. Towarzystwo rolnicze, ustanowione ukazem z dnia 12/24 listopada 1857 roku, rozwiązuje się.

Artykuł 2. Komisya rządowa spraw wewnętrznych przedstawi do wyższego zatwierdzenia projekt urządzenia w różnych miejscach Królestwa komisji rolniczych.

Artykuł 3. Remanent kasy Towarzystwa przeniesiony będzie jako depozyt do Banku polskiego, dla zwrotu komu z prawa należy.

Wykonanie niniejszego postanowienia, które ma być zamieszczone w *Dzienniku praw*, poleca się komisji rządowej spraw wewnętrznych.

Podpisali: »Namiestnik, jeneral-adjutant księżę Gorczaków; pełniący obowiązek dyrektora głównego, prezydującego w komisji rządowej spraw wewnętrznych, jeneral-major Gecewicz; sekretarz stanu przy radzie administracyjnej, J. Karnicki.

W mieście zapanowało ogólne wzburzenie.

Nie można powiedzieć, aby Towarzystwo rolnicze na bruku warszawskim, między czerwonymi posiadało wieką sympatyę i popularność. Wszystkim było wiadomo, jak więksi właściciele ziemscy, składający komitet Towarzystwa rolniczego, zapatrywali się na najważniejszą ówczesną kwestyę, zajmującą umysły wszystkich w Cesarstwie, na kwestyę usamowolnienia włościan i na sposób, w jaki nimi rządono.

Wiedziano także, jak większa część obywateli czas swój przepędza, na co idą pieniądze, ciężką pracą włościan zdobywane. Jeden tylko hr. Andrzej, dzięki swej prostocie i życzliwemu obejściu się z każdym bez różnicy, a także wskutek kilku patryotycznych przedsięwzięć i ofiar, posiadał prawdziwą popularność. Lecz i jemu zarzucano: że w stosunku do włościan nie hołduje nowym zasadom, że uważa ich za bydło robocze, niemające prawa do swobody i do lepszego z nimi obejścia. Znane czytelnikom rokowania między czerwonymi a Towarzystwem rolniczym przed wypadkami 27. lutego i postanowienie komitetu Towarzystwa, dotyczące usamowolnienia i uwłaszczenia włościan, wkrótce potem jeszcze bardziej odstręczyło od obywateli miasto, które już i bez tego coraz bardziej sympatyzowało ze stronnictwem czerwonym, wręcz obywatelstwu wiejskiemu przeciwnem. Zaszкодziło im także w opinii tłumu owo zażądanie od władzy siły zbrojnej w dniu 27. lutego. Pomimo usiłowań hr. Andrzeja Zamoyskiego i hr. To-

masza Potockiego odzyskać raz utraconej międy ludem popularności nie mogli.

Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego naraz zmieniło usposobienie ludności. O hrabim Andrzeju zaczęto mówić jakby o poległym bohaterze, pełnym sił i przyszłości, któremu przeskadzało jakieś fatum przekłete. Przypisywano Wielopolskiemu rozwiązanie Towarzystwa wprost z uczucia zemsty: »przekreskowało go Towarzystwo, otóż i on je przekreskował i jeszcze jak zęczenie«. Czuwali też i czerwoni, aby wyzyskać tak dogodną sposobność do urządzenia manifestacyi. Na cóżby byli Frankowscy, Szachowscy, Nowakowscy!

Tej samej nocy z 6. na 7. kwietnia, »artyści« umówili się o główne szczegóły manifestacyi, której treścią i pretekstem miał być »obchód żałobny po zmarłym Towarzystwie rolniczem oraz złożenie hr. Andrzejowi Zamoyskiemu, który tyle w niem położył zasług dla dobra ogółu, w dowód czci i uznania, olbrzymiego wieńca z nieśmiertelników.«

Chociaż żadnych ogłoszeń o manifestacyi nie było, wszelako tyle o niej wszędzie mówiono, że policya mogła z łatwością dowiedzieć się o najdrobniejszych szczegółach i niedopuszczyć nieporządku. Tego wszakże nie uczyniła. Nowi naczelnicy okręgowi, ani nie pomyśleli o jakichkolwiek krokach zapobiegawczych, nie widzieli nawet potrzeby uwiadomienia księcia Gorczakowa i zażądania od niego rozkazów. Wszyscy o wszystkim wiedzieli i przygotowywali się do ciekawego widowiska.

Manifestacya odbyła się w następującym porządku. Z rana dnia 7. kwietnia, wyszły procesye, jedna z kościoła Kapucynów na Miodowej ulicy, druga z kościoła Bernardynów na Krakowskim przedmieściu. Na czele procesyi bernardyńskiej szedł Nowakowski z krzyżem w rękę, o którym mówiono ludowi, »że to ten sam, który zgruchotano dnia 27. lutego.«

Obie procesye udały się na Powązki, gdzie już zgromadzono znaczny tłum ludu na grobie pięciu ofiar. Mogiłę zdobyły kwiaty i różne godła z orłami polskimi; śpiewano pieśni

narodowe, potem wszyscy tłumnie wracali do miasta, niosąc w ręku kwiaty i gałązki.

Okolo godziny 4-tej po południu cała ta masa ludu, zwiększona jeszcze ciekawymi z miasta, zatrzymała się przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego na ulicy Erywańskiej, gdzie było biuro Towarzystwa rolniczego. Tłum wynosił do 10.000 ludzi, leez wkrótce się zdwoił napływem ciekawych ze wszystkich ulic. Z Marszałkowskiej ulicy nadszedł także pochód, niosący gałązki i kwiaty oraz ogromny wieniec z napisem »Towarzystwu rolniczemu.« Sam gmach, gdzie się mieściły biura Towarzystwa, ubrano kwiatami i girlandami. — Istniejący herb z orłem dwugłowym przykryto czarną krepą, a obok niego uroczyście zawieszono orła białego i wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, wśród hucznych oklasków i śpiewania hymnu: »Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko.« — Pod koniec zagrzmiała pieśń: »Jeszcze Polska nie zginęła!« — Słowem, znowu dziwne rzeczy, w rodzaju lutowych, dziać się zaczęły. Rząd, bynajmniej nie nauczony doświadczeniem, tak samo postępował, jak i w owym czasie. Nietylko dozwolono tłumom gromadzić się i urosć do liczby przeszło dwudziestu tysięcy ludzi, ale przez kilka godzin pozwolono mu robić, co się podobało. Nareszcie ksiązę Gorczaków wysłał na miejsce zbiegowiska generał-gubernatora Paniutyna, gdy tłumy zalewały cały plac przed Towarzystwem kredytowym, oraz przyległe ulice: Erywańską, Królewską i Mazowiecką. — Generała Paniutyna lubiono w mieście, sądził więc namiestnik, że tłumy go posłuchają i rozejdą się.

Przybywszy na plac z jednym kozakiem, Paniutyn z łatwością dostał się aż do samego gmachu Towarzystwa. Kozaka wszakże nie puszczoneo, mówiąc: »panu generałowi nie potrzebna eskorta, między nami nic mu się złego nie stanie — niech żyje generał!«

Stanąwszy przed gmachem Towarzystwa kredytowego, gdzie obecni byli wszyscy przywódcy ruchu, generał zapytał łagodnie: »Co to wy tu robicie moje dzieci?«

— Obchodzimy żałobne nabożeństwo po zmarłym Towarzystwie rolniczym.

— A te girlandy?

— Jest to pośmiertny dar, złożony na grobie według zwyczaju przodków naszych, od prowincyi: Mazowska, Wołyń, Ukrainy, Podola i Litwy.

— A ten orzeł.

— To orzeł polski; Polacy zebrali się dla uczczenia zgasłego Towarzystwa polskiego, a więc i nasz polski orzeł jest tu potrzebny; waszego zasłoniliśmy, a na jego miejsce wnieśliśmy naszego.

— To wszystko moje dzieci zowie się nieporządkiem. Proszę was jako wasz, dobrze wam życzący przyjaciel, rozejdźcie się do domów, inaczej ściągniecie na siebie nieprzyjemności.

— Dobrze, rozejdźmy się! — rzekło kilka głosów, i po tych słowach część ludu istotnie ruszyła przez ulicę Mazowiecką, następnie Świętokrzyżską i Nowy świat przed pałac hr. Andrzeja Zamoyskiego. Za nimi podążyła i reszta tłumu, jak tylko Paniutyn odjechał do Zamku dla zdania sprawy księciu o wyniku swoich układów z ludem¹⁾.

W pierwszych szeregach, tuż przy balkonie, trzymano ów przez nas wspomniany, ogromny wieniec z nieśmiertelników. Zamoyski był w domu, jednak mimo okrzyków tłumów, zapelniających dziedziniec przed jego skromnym mieszkaniem, nie chciał, czy też nie ośmielał się wyjść na balkon, lecz tylko wysłał swego sekretarza Garbińskiego, aby podziękował przybyłym i przyjął od nich wieniec. Gdy jednak tłum nie przestawał wywoływać gospodarza, i on wreszcie był zniewolony wyjść²⁾...

¹⁾ Spisano według rozmaitych pisanych i drukowanych źródeł, oraz z opowiadań osób prywatnych, Rosyan i Polaków, którzy byli naocznyimi świadkami tej manifestacyi.

²⁾ Zamoyski mieszkał w niewielkim domu, w głębi dziedzińca. Pałac wraz z bocznemi skrzydłami stale był wynajmowany licznym lokatorom i miał przynosić do 30.000 rubli sr. rocznego dochodu. Obe-

Gdy się to działo, w Zamku wydano rozkaz wojsku, aby wystąpiło na plac, mniej więcej w takim samym porządku, jak 27. lutego. Od czasu rozpoczęcia się rozruchów, w Zamku stał zawsze batalion wojska. Oficerowie mieścili się w sali tronowej i tam obiadowali, dwie kompanie zajmowały bibliotekę i salę pod nią będącą. Jedna kompania kwaterowała w oranżeryi, czwarta zaś w różnych pokojach, jak wypadło. Był czas, że żołnierze biwakowali w sali kolumnowej na rozeslanej słomie.

W marcu i kwietniu 1861 roku pełniły służbę z kolei pierwszy i trzeci batalion Kostromskiego pułku piechoty i jeden batalion pułku Symbirskiego.

Gdy wydano rozkaz wystąpienia wojsku przed Zamek, generał Chrulew, jako wojenny naczelnik pierwszego okręgu miasta wraz z Zamkiem, uszykował rozwiniętym frontem od rogu Bernardyńskiego kościoła do trzeciej bramy zamkowej dwie kompanie piechoty z pierwszego batalionu Kostromskiego pułku, który dnia tego pełnił służbę. Na otrzymaną wiadomość, że na Senatorskiej ulicy zaczynają się gromadzić tłumy, generał wysłał jedną kompanię dla oczyszczenia tej ulicy, lecz kompania wróciła nie nie wskórawszy, gdyż tłumy zalegały już ulicę gęstą, nieprzebitą ścianą. Czwartą kompanię poprowadził osobiście przez Krakowskie Przedmieście ku gmachowi Towarzystwa kredytowego, lecz tam już nikogo nie zastał, białego orla już usunięto. Spotkane małe gromadki ludu, powiedziały generałowi, że tłum udał się do pałacu hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, aby ofiarować mu wieniec; zwrócił się więc i Chrulew w tamtą stronę, lecz i tam już nikogo nie znalazł. Tłum rozminał się z Chrulewem w ten sposób, że gdy generał prowadził wojsko przez Krakowskie Przedmieście i plac Saski, tłum postępował Mazowiecką i Świętokrzyżską ulicą, tak, że jedni drugich nie widzieli. Tymczasem tłum pociągnął przed

enie skonfiskowany; mieści się tam klub rosyjski. — Garbiński był także redaktorem *Roczników gospodarstwa krajowego*, które otrzymywali wszyscy członkowie Towarzystwa rolniczego. Umarł w Warszawie w listopadzie 1866 roku.

Zamek i stanął naprzeciw wojska. Wśród prostego ludu da-
wało się widzieć wielu lepiej ubranych ludzi, a nawet i damy,
należące do inteligencyi.

Książę Gorczaków, jak wiadomo, dał delegatom przyrzeczenie, że w razie jakiego zbiegowiska, sam osobiście wyjdzie do ludu. To też w istocie, gdy tłum się gromadził, książę w paltocie, z łaską wyszedł przed wojsko, niedaleko Zjazdu i kilkakrotnie powtórzył: »Rozchodźcie się, rozchodźcie«¹⁾. Na to odpowiedziano mu z tłumu: »Niech książę idzie do domu, my jesteśmy u siebie w domu.« Dawaly się słyszeć i muiej grzeczne wołania: »Wy rozchodźcie się kapuśniaki! Idź stary do domu, bo zimno; kataru dostaniesz!«²⁾.

Po takim przywitaniu, namiestnik cofnął się za wojsko, a do tłumów wysłał generała Kotzebue, swego szefa sztabu. Ten, w towarzystwie kilku generałów i wyższych oficerów wjechał konno w tłum. Każdy, jak mógł po swojemu, począł namawiać lud do rozejścia się, lecz nikt ani myślał ruszyć się z miejsca. Gdzieniedzie wznoszono żartobliwe okrzyki: »Niech żyje generał«, w innych zaś miejscach przywitania podobne do tych, które spotykały księcia Gorczakowa. Młodzież, stojąca na przodzie, o parę kroków od wojska a nieraz i tuż obok, zapytywała oficerów:

— Powiedzcie z łaski swej, czego wy tu stoicie?

— Nam raczej wypada was o to zapytać, odpowiadali oficerowie, my byśmy tu nie przyszli, gdyby się was nie spodziewano od Towarzystwa kredytowego, gdzieście Bóg wie co wyrabiali.

— No, to odejdźcie wy, i my sobie pójdziemy — odzywano się dalej z tłumu.

— To być nie może — mówili oficerowie.

¹⁾ Szczegóły te i inne poniżej, podane przez oficera Kostromskiego pułku p., pełniącego podówczas służbę z pierwszą kompanią. Od niego też pochodzą szczegóły o rozmieszczeniu wojsk w Zamku.

²⁾ Kapuśniaki, urągliwe przezwisko, dawane rosyjskim żołnierzom w Polsce, od ulubionego kapuśniaku pochodzące.

— Więc i nam odejść niepodobna!

Niektórzy podawali cygara żołnierzom, a gdy ci odmawiali, mówiąc, że im nie wolno w szeregach palić, zwracali się do oficerów, mówiąc: »Panie poruczniku, pozwól pan palić biednym żołnierzom.«

Scena ta z każdą chwilą stawała się bardziej drażliwą. Wojsko musiało użyć całej przysłowiowej cierpliwości i biernego posłuszeństwa rosyjskiego żołnierza, by przenieść to wszystko z bohaterskim spokojem i nie rzucić się na tłumy, dla ukarania śmiazków. Wszakże, jakkolwiek nieruchomo stali żołnierze, dawały się spostrzegać oznaki rozdrażnienia a nawet powstawało ciche szemranie, coś, jakby zwiastuny nadciągającej burzy.

Ludzie poważniejsi, widząc, na co się zanosi, i przewidując smutny koniec tych żartów, starali się wszelkimi sposobami skłonić tłum do rozejścia się. Lud naśmiewał się z nich głośno; wdali się w to delegaci, lecz i ci nie wskórać nie mogli. Tłum stał wciąż nieruchomy; zuchwalstwa i naśmiewanie się z wojska nie ustawały.

Raz koniecznie potrzeba było koniec temu położyć.

Zapewniają, że kilku wyższej rangi wojskowych nalegało na Gorczakowa, siedzącego z binoklami w oknie, aby polecił generałowi Chrulewowi użyć broni i rozprószyć zbiegowisko strzałami, i że książe z tym rozkazem wysłał swego adjutanta Meyendorfa, na co jakoby Chrulew miał odpowiedzieć adjutantowi: »Dam sobie radę i bez tego!« poczem, wyjechawszy konno między tłum, zaczął z nim traktować. Z tłumy oświadczone generałowi, że jak długo wojska z placu nie zostaną ściągnięte, nikt się z miejsca nie ruszy. No dobrze, rzekł Chrulew, ja zwrócę na lewo, pamiętajcież i wy to samo uczynić! »Zgoda, zgoda«, lecz zaledwie wojsko z miejsca ruszyło, rozległy się śmiech i oklaski. Wojsko zajęło napowrót dawne stanowisko.

Tymczasem ściemniało się zupełnie. Tylne szeregi wojska odprowadzono do Zamku, a gdy zauważono, że tłum rze-

dzień zaczyna, ściągnięto i resztę wojska. Na placu pozostały gdzieś kupki łobuzów, którzy krzyczeli, że nie odejdą, póki kozaków nie odwołają do Zamku. Ściągnięto i kozaków. Wtedy krzykacze, sformowawszy się w szereg, pociągnęli ku ogrodowi Saskiemu, śpiewając: »Wygrana, wygrana!« co się przeciągnęło przez całą noc, przyczem polowano na kapelusze cylindrowe, zrzucając je przechodniom lub plaszcząc na głowach.

W Zamku oczywiście nie spano. Powiadają, że namiestnik wymawiał generałowi Chrulewowi, że nie wykonał jego rozkazu, użycia broni dla rozpędzenia zbiegowiska, Chrulew zaś jakoby miał się tłumaczyć instrukcyami, otrzymanemi przed odjazdem z Petersburga. Sądził, że potrzeba wyczerpać przedtem wszelkie możliwe środki łagodności, i bądź co bądź dopiął swego, bo tłumy się rozeszły. Naturalnie, nikt nie mógł zaręczyć, czy się nazajutrz zbiegowisko nie powtórzy; to też większość zebranych na naradę wojskowych radziła namiestnikowi zarządzić, co potrzeba, aby w danym razie bardziej stanowczo rozprawić się z rozzuchwalonym tłumem. Chrulew i inni żądali wydania zupełnie ścisłych rozkazów, w jakim razie i kiedy dowodzący wojskiem mieć będzie prawo strzelania lub wogóle użycia broni, a to dla usunięcia jakichkolwiek możliwych wątpliwości i uniknięcia odpowiedzialności.

Wskutek tych nalegań, teje jeszcze nocy wydano następujące przepisy w formie postanowienia rady administracyjnej Królestwa Polskiego :

Na mocy ukazu Jego Ces. Król. Mośćk i t. d. i t. d. Rada administracyjna Królestwa Polskiego zważywszy, że powtarzające się tłumne zebrania naruszają spokój publiczny i stają na przeszkodzie swobodnemu rozwojowi instytucyi, przez Najjaśniejszego Pana Królestwu najmiłościwiej nadanych, z upoważnienia Najjaśniejszego Pana stanowi co następuje :

1. Wszelkie zbiegowiska lub jakiebądź przez rząd nie upoważnione zebrania na ulicy lub na drodze publicznej są zakazane.

2. Gdy nastąpi zbiegowisko lub jakiebądź nieupoważnione zebranie na ulicy lub drodze publicznej, prezydent, wójt gminny, burmistrz lub ich zastępcy: komisarz policyi lub inny urzędnik, uda się na miejsce zbiegowiska.

Uderzenie w bęben zapowie przybycie urzędnika. Urzędnik wezwie zgromadzone osoby, aby się rozeszły. Gdyby wezwanie to nie odniosło skutku, powtórzy wezwanie jeszcze dwa razy; przed każdym wezwaniem każe uderzyć w bęben. Po ostatnim wezwaniu, gdyby zbiegowisko dalej trwało, użytą będzie siła zbrojna ¹⁾.

Siła zbrojna może być użytą po pierwszym lub drugim wezwaniu, jeśliby następne wezwania okazały się niemożliwymi.

3. Każdy, któryby mimo wezwania nie ustąpił, będzie bezzwłocznie zatrzymany i do jednej z fortec Królestwa odesłany, celem oddania go właściwym sądom.

4. Nieustępujący na pierwsze wezwanie będzie zamknięty w areszcie od ośmiu do dwudziestu dni; nieustępujący po drugim uderzeniu w bęben podlega zamknięciu w domu poprawy od trzech do sześciu miesięcy; nakoniec, nie ustępujący po trzecim wezwaniu skazany będzie na zamknięcie od sześciu miesięcy do dwóch lat.

Ktoby stawiał jakikolwiek opór sile zbrojnej, skazanym będzie na więzienie w jednej z fortec Królestwa od lat trzech do pięciu.

5. Ktoby w jakikolwiek sposób namawiał do nieposłuszeństwa lub oporu, skazanym będzie na karę w dwójnasób większą, niż ci, którzy jego namowom ulegli.

6. Wszelkie podbudzanie do zbiegowisk § 1 zakazanych, czy to ustne, czy przez pisma lub druki, przylepiane lub rozdawane, ukaranem będzie zamknięciem w domu poprawy od

¹⁾ Chrulew miał radzić, by w tem miejscu napisać wprost „będą strzelać“, lecz Gorczaków i inni bliżsi jego doradcy utrzymali redakcyę jak powyżej. Nieco później, a mianowicie dnia 29. czerwca 1861 roku Chrulew uczynił to samo przedstawienie nowemu namiestnikowi, generałowi Suchozanetowi, lecz i ten na tę redakcyę się nie zgodził.

sześciu miesięcy do dwóch lat. Tej samej karze ulegnie autor pisma, litografii, druku. Roznoszący lub rozlepiający ulegnie karze od ośmiu do dni dwudziestu aresztu.

7. Gdyby przy zbiegowisku inne jakie przestępstwa popełnione zostały, te oddzielnie w drodze prawa będą dochodzone.

8. W czasie często powtarzających się zbiegowisk lub zaburzeń w danej miejscowości, podżegacze takowych będą ujęci i osadzeni w jednej z fortec Królestwa, celem dalszego poszukiwania w drodze prawa.

9. Wykonanie niniejszego postanowienia, które ma być zamieszczonem w *Dzienniku praw*, poleca się dyrektorom, przewodniczącym w komisjach spraw wewnętrznych i sprawiedliwości.

Napisano nadto krótką odezwę do ludu i doręczono ją policyjnemu oficerowi Ojrzyńskiemu, który od lat przeszło 30 pełnił służbę w Zamku. Jenerał Chrulew, mieszkający wówczas na Zamku obok głównej strażnicy, zawezwał do siebie Ojrzyńskiego w nocy z 7. na 8. kwietnia i dał mu ustną instrukcyę, jak się ma nazajutrz zachować, jeśli lud zacznie się zgromadzać, jak ma wyjść z Zamku, w jakiej odległości stanąć od ludu i co ma mówić¹⁾.

Wcześniej z rana dnia 8. kwietnia, policya krzątała się po mieście, z rozdaniem postanowienia rady administracyjnej o zbiegowiskach. Przyklejano je na rogach ulic, rozdawano przechodniom, mało kto wszakże zwracał na nie uwagę. Miasto, rzec można, upojone było wczorajszą »wygraną«, u wszystkich na myśli i na języku były tylko girlandy, orły polskie i ów zwrot »na lewo w tył« przez wojsko dokonany.

Gromadki pospólstwa snuły się już po ulicach, zanim jakiegokolwiek rozporządzenie zostało ogłoszone. Chcąc w jakikol-

¹⁾ Ogłoszenie w gazetach nastąpiło dopiero dnia 9. kwietnia z datą 8. z podpisami: namiestnika, J. K. Wołowskiego, pełniącego obowiązek głównego dyrektora prezydującego w komisji sprawiedliwości i sekretarza stanu Karnickiego. Ogłoszenie wcześniej nie mogło nastąpić, gdyż dnia 8. kwietnia gazety nie wychodziły.

wiek bądź sposób zapobiedz rozejściu się tych garstek, przewódey manifestacyi, chcący koniecznie powtórzenia wczorajszego widowiska, dali hasło udania się ku Powązkom w celu wzięcia udziału w pogrzebie obywatela Ksawerego Stobnickiego, niedawno przybyłego z Syberyi. W ówczesnym stanie rozbałamucenia umysłów i rozpróżniaczenia ludności, mnóstwo zaraz ludu przyłączyło się do pogrzebu. Po dokonanej ceremonii tłum, jak zwykle, udał się na grób pięciu ofiar.

W tej samej chwili nauczyciele izraeliccy poprowadzili młodzież żydowską na cmentarz żydowski, tak zwany Kierkut, dla uczczenia pamięci byłego dyrektora szkoły rabinów, Eisenbauma, który przepowiadał zjednoczenie się wszystkich plemion i zlanie się Żydów z Polakami, krwią stwierdzone. Wielu Żydów poczytywało go za proroka.

Kierkut znajduje się w pobliżu cmentarza katolickiego na Powązkach. Tłumy modlące się na obu cmentarzach, spostrzegłszy się wzajemnie, wnet się połączyły i wśród łez przysięgano sobie miłość braterską i gotowość do wszelkich ofiar ¹⁾. Następnie cały ten tłum Żydów i Polaków pociągnął do miasta, nie robiąc wszakże żadnych demonstracyi.

Tak przeszedł poranek, tłumy nie zaczepiane przez policję, znudzone bezcelowem błąkaniem się po ulicach, zaczęły rzadnąć i rozchodzić się po domach. Widząc to Nowakowski ze swymi pomocnikami, zaczęli zbierać pozostałych przed posąg Matki Boski na Krakowskiem Przedmieściu i tam znowu się modlić, w oczekiwaniu, że może się co z tego wykluje.

Gdy drużyna Nowakowskiego, złożona ma się rozumieć z samych chrześcijan, klęcząc przed figurą śpiewała rozpowszechnione podówczas pieśni, od strony poczty nadjechała pocztowa karetka, jadąca do Lublina. Pocztylion zamiast zwykłego sygnału, czy to z wlanego popędu, czy też z czyjzego polecenia, zatrąbił na nutę »Jeszcze Polska nie zginęła.«

¹⁾ *Aweyde* tom II, str. 39—40.

Zaledwie powóz zrównał się z modlącymi przed figurą Matki Boskiej, wnet tłum go otoczył i wśród głośnych okrzyków, odprowadzał aż do Zjazdu, gdzie od rana rozstawione było wojsko, a mianowicie: szwadron żandarmów, sotnia kubańskich kozaków, 1. i 2. kompanie symbirskiego i 10., 11. i 12. kompanie kostromskiego pułków piechoty.

Tłumy, nie dochodząc do wojska, tak jak wczoraj zatrzymały się w pewnej odległości. Do nich zaczął się zbiegać lud z sąsiednich ulic. Już o pół do szóstej cały plac Zamkowy był zapelniony skupionym tłumem, stojącym w milczeniu. Porządniej ubranych w tłumie nie było wielu, kobiet bardzo mało, przeważnie zbiegowisko składało się z pospólstwa.

Oficerowi policji Ojżyńskiemu, polecono wyjść do tłumy z dwoma doboszami i oficerem jednego z pułków w Zamku zakwaterowanych. Stanąwszy w takiej odległości, ażeby dobrze mógł być słyszany, kazał uderzyć w bęben i donośnym głosem wyrzekł:

»Z moey prawa i rozporządzenia władzy, wzywam was, abyście się rozeszli, gdyż po bezskutecznem trzechkrotnem wezwaniu, zostaniecie rozpedzeni siłą zbrojną¹⁾.

Tłum odpowiedział na to gwizdaniem, śmiechem i lajaniem. Wielu groziło kijami. Jedna baba, odwróciła się do wojska i podniosła spodnicę i to trzykrotnie powtarzała wśród śmiechu i oklasków motłochu. Stwierdzają to urzędowe dokumenta, zresztą powszechnie to sobie opowiadano.

Po dziesięciu minutach po raz drugi uderzono w bęben i Ojżyński po raz drugi powtórzył wezwanie. Rezultat był ten sam: śmiech, gwizdanie i odgrażano się kijami. Gdy i trzecie wezwanie nie odniosło skutku, Ojżyńskiego cofnięto do Zamku, plutonowi żandarmów zaś kazano szarżować klusem na lud.

¹⁾ Przy jednej ze spraw naczelnika 1-go okręgu są w dwóch egzemplarzach wazkie karteczki, na których wezwanie to po polsku jest drukowane. Ojżyński mieszkał w Zamku i zwykle przebywał pod pierwszą arkadą głównych wrót, tak, że bez jego wiedzy nikt zgola nie mógł wejść do Zamku.

Tłum nieco się usunął, po części na chodniki, częścią zaś w ulice Podwale i Senatorską.

Żandarmi zatrzymali się, przedzieleni od ludu ściekowymi kanałami przy chodnikach. Niektórzy z młodzieży, stojąc na chodnikach, wywijali kijami przed końmi, które się płoszyły, wspinały i zawracały. Inni znów chwyтали za cugle od munsztuków i silnem szarpnięciem osadzali konie na kolana, co wywoływało śmiechy i szyderstwa otaczających. Tak przeszło pół godziny, zbiegowisko zaś widocznie wzrastało; ogromne fale ludu zaległy Krakowskie Przedmieście, Podwale, Senatorską i Świętojańską ulicę. Na Podwalu zaczęto wznosić barykadę z dorozek.

Oczywiście, że rzeczy w tym stanie pozostać nie mogły. General Chrulew rozkazał żandarmom dobyć pałaszy i plązować lud.

Pierwszy pluton żandarmów, stojący wprost ulic: Senatorskiej i Podwala, wykonał cztery szarże; drugi zaś pluton, stojący wzdłuż chodnika od kolumny Zygmuntońskiej ku kamienicy Resslera na Krakowskim Przedmieściu, szarżował dwa razy, co wszystko wszakże nie odniosło prawie żadnego skutku. Lud rozstępował się przed szarżującymi a potem skupiał się na nowo. Zaczęto wydobywać kamienie z bruku i rzucać nimi na żandarmów, wskutek czego dwóch oficerów i dziewięciu żołnierzy poniosło silne obrażenia. Nieco później raniono jeszcze trzydziestu żołnierzy¹⁾. Wtedy general Chrulew cofnął żandarmów i wysunął naprzód dziesiątą kompanię liniową kostromskiego pułku piechoty i pierwszą kompanię strzelców sibirskiego pułku piechoty, i kazał żołnierzom broń nabić. Gdy to się działo, oficerowie zaczęli namawiać lud do rozejścia się, przekładając, że żartować nie będą, że broń na-

¹⁾ W tym samym czasie na ulicy Bednarskiej lud schwytał i zabił okrutnie: kozaka Małachowa i artelszczyka Fiedorowa. Kozak jeszcze tego samego dnia umarł. Wszystkie szczegóły o działaniach wojska, zaczerpnięte przeważnie z aktów naczelnika pierwszego okręgu miasta Warszawy, od marca po sierpień 1861 roku.

bita ostrymi ładunkami. Wszystskie atoli przestrogi spelży na niczem.

Spróbowano jeszcze uderzyć kolbami, tłum wprawdzie cofnął się, miejscami nawet zupełnie się cofnął w ulice, lecz jak skoro żołnierze cofnęli się do szeregów, lud znów powracał, wykrzykując drwiąco i ciskając kamieniami.

Widząc to, Chrulew podjechał do okna, w którym siedział namiestnik i rzekł: »Ja każę strzelać!« Książę Gorczaków skinał głową...

Wtedy wystąpiły naprzód pierwsze plutony stojących dwóch kompanii piechoty, sibirskiego pułku piechoty naprzeciw Podwała, kostromskiego pułku piechoty naprzeciw Krakowskiego Przedmieścia i strzeliły po raz.

Lud rzucił się w boczne przecznice i w bramy domów; wkrótce atoli powrócił, łącząc wojsko i spiesźnie unosząc rannych i zabitych.

Kazano wystąpić 12-stej kompanii kostromskiego pułku naprzeciw Senatorskiej ulicy, 11-sta zaś kompania tego pułku stanęła naprzeciw ulicy Pivnej i św. Jana.

Zaledwie wojsko zajęło wskazane miejsca i broń nabiło, od kościoła Bernardynów rozległy się śpiewy i wysunęła się procesya, prowadzona przez Nowakowskiego z krzyżem w ręku. Nastąpiła powszechna cisza, śpiew dobitnie rozlegał się w powietrzu.

— Istni Hugenoci! — rzekł ktoś z otoczenia do księcia Gorczakowa.

— Prawda! — odpowiedział książę.

Procesya coraz bardziej zbliżała się do Zamku, Nowakowski uroczyście intonował: »Święty Boże! Święty mocny, Święty a Nieśmiertelny!«... Chrulew przez chwilę przypatrywał się tej scenie, nakoniec kazał żołnierzom schwytać człowieka niosącego krzyż i przyprowadzić go do Zamku. W jednej chwili poskoczyło kilku żołnierzy z pierwszych szeregów wojska. Zmiarkowawszy niebezpieczeństwo, Nowakowski z wściekłością zaczął się bronić krzyżem i zupełnie go zgru-

chotał o karabiny, mimo to schwytyany został przez pięciu żołnierzy, a gdy się ciągle opierał, zaniesiony na rękę do Zamku, następnie został wysłany i osadzony w twierdzy w Modlinie.

Dodać tu należy, że w tym wypadku krzyż istotnie pogruchotany został, lecz czy to z powodu zbytelnego powtarzania, czyli, że chwila była nieodpowiednią, faktu tego wcale nie podniesiono. Opowiadano tylko, że Nowakowski poddając się, wręczył krzyż jakiemuś młodemu człowiekowi, który go tak długo nad głową trzymał, aż padł przebity lancą kozacką. Dla tem większego wrażenia, mówiono, że to był żyd. W urzędowym sprawozdaniu niema wzmianki o użyciu pik przez kozaków. — Przez cały czas, gdy go nieśli żołnierze, szamotał się i ochryplym z wysiłku głosem śpiewał: »Święty Boże, Święty mocny...

Procesya, straciwszy wodza, stanęła. Część złała się z tłumem, zalegającym Krakowskie Przedmieście, inni zaś przebrali się przechodnią kamienicą Resslera na ulicę Senatorską i Podwale, tam ukląkszy hymny śpiewać poczęli.

Wyczerpawszy wobec skupionych tłumów wszelkie środki upomnień i przekonania, generał Chrulew nakazał wojsku rozpocząć strzelanie. W ulice: Krakowskie Przedmieście i Podwale, dano po dwa strzały plutonowe, wzdłuż zaś ulicy Senatorskiej w kwadrans jeden po drugim dano aż pięć strzałów. Puszczono kilka pojedynczych strzałów na ulicę Marienstaską, gdzie zebrała się ciżba wrzeszczących żydów.

Ostatni raz strzelono w ulicę Pivną, na ulicę św. Jana nie strzelano wcale ¹⁾.

¹⁾ Zaraz po pierwszym strzale dowódca 12. kompanii kostromskiego pułku piechoty, kapitan Kulezycki, Polak, podał się za chorego. Dowództwo kompanii objął starszy z kolei oficer, a Kulezyckiemu na drugi dzień kazano podać się do dymisji.

Ogółem dnia 8. kwietnia 1861 wypuszczono strzałów: pierwsza kompania strzelców sibirskiego pułku piechoty w Krakowskim Przedmieściu dwa strzały, patronów 93; druga kompania sibirskiego pułku p. w ulicę Mariensztat pojedynczo patronów 18; dziesiąta kom-

W tej samej chwili widziano, jak ku Zamkowi przeskakała się powoli wśród tłumów karetą z drem Chałubińskim na koźle obok furmana. Był to Wielopolski z synem Zygmuntem, który jechał do księcia Gorczakowa, dla wyjednania zaprzestania strzałów. Tłum, poznawszy Wielopolskiego, przywitał go gradem kamieni. Okna w karecie zabrzęczały, Zygmunt zraniony szkłem w twarz, margrabia dostał kamieniem w piersi a nawet dr Chałubiński nie wyszedł bez szwanku, gdy mu kamień napędził kapelusz na oczy. Karetę wnet otoczyli żołnierze i odprowadzili do Zamku, gdzie Wielopolski przez następne sześć tygodni zamieszkał¹⁾. Obliczono w przybliżeniu liczbę zabitych, (przeszło 200 ludzi), których natychmiast żołnierze zebrali i znieśli na dziedziniec zamkowy, i generał Chrulew udał się do namiestnika z raportem, że »taka to kompania dała tyle strzałów i t. d., poległych zaś jest tyłu.«

Książę Gorczaków uchylający się, jak zwykle, w ważniejszych chwilach od wszystkiego, co by nań mogło spowodować odpowiedzialność, bąknął niewyraźnie: »Więc chyba strzelano ostrymi ładunkami? Z czyjego polecenia?«

Chrulew oburzył się i ostro odpowiedział: »O, nie, Ekscelencyo, teraz zapóźno wymawiać się i kręcić. Odwołuję się do wielu tu obecnych... A przytem chyba dzieci w podobnych wypadkach kazaliby strzelać pustymi ładunkami!«

Gorczaków zamilkł²⁾.

Zajście to doskonale go charakteryzuje. We wszystkim był takim. Polecał i zaraz odwoływał dane rozkazy, to znów zapomniał o wydanem rozporządzeniu, z umysłu czy też mimowolnie.

pania liniowa kostromskiego pułku p. w ulicę Podwale dwa strzały, patronów 188; jedenasta kompania liniowa kostromskiego pułku p. w ulicę Piwną jeden strzał, patronów 35; dwunasta kompania liniowa kostromskiego pułku p. w ulicę Senatorską 5 strzałów, patronów 150; razem 484 patronów. — Akta naczelnika 1-go okręgu m. Warszawy.

¹⁾ Z opowiadań hr. Zygmunta Wielopolskiego

²⁾ Autor słyszał całe powtórzone to zajście od samego generała Chrulewa i od innych jeszcze osób, obecnych rozmowie.

Po niejakej chwili Chrulew znów się odezwał: »Należało uderzyć na trwozę, toby w jednej chwili miasto uśmierzyło.

Bodaj czy w innej chwili Warszawa byłaby to hasło usłyszała, lecz w tej chwili Książę był zmieszany i z toru zbity. Z ócz Chrulewa iskry się sypały i usta mu drżały z gniewu, Gorczaków znalazł go jeszcze z Sebastopola, więc łatwo mu było ocenić, w jakim stanie moralnego rozdrażnienia się znajdował, rzekł więc nieśmiało: »A więc, każ pan dać hasło!«

Sześć strzałów armatnich rozległo się z fortu Włodzimierza w cytadeli, a odgłos ich wstrząsnął obumarłem miastem, pogrążonem w zupełnej ciszy. Zaraz potem 12 rac z Zamku ze świstem przerznęło powietrze. Był to znak, aby wojska natychmiast zajęły wskazane już uprzednio stanowiska.

Wojska już od kilku dni były skonsygnowane i niecierpliwie wyczekiwały umówionego sygnału. To też na dany znak, jak huragan wszystko pomknęło.

Szwadron żandarmów, stojący w Łazienkach, o cztery kilometry od Zamku, w kwadrans po wypuszczeniu pierwszej racy, przybył na Plac zamkowy. Batalion oloneckiego pułku piechoty, rozłożony w Namiestnikowskim palacu, stanął na Saskim placu, nim się sygnały skończyły. Z równą, prawie nie do uwierzenia szybkością i inne oddziały wojsk zajęły wskazane im punkta, bez najmniejszego zamieszania. Każdy oddział miał wskazane ulice, któremi miał postępować, by uniknąć możliwych spotkań i skrzyżowań w czasie ruchu.

Nadto, niewiadomo z czyjzego polecenia, zarządzono silniejsze oświetlenie ulic przez zwiększenie prężności gazu. Wrażenie, wywołane przez pędzące kolumny jazdy po pustych, jasno oświetlonych ulicach, było nadzwyczajne. Przechodnie przejeżdżający byli drżeniem i trwożą. W mieście zamarło wszystko, jak w grobie.

Wojska po zajęciu stanowisk natychmiast rozesłały patrole na wsze strony, nadto wyznaczono osobne komendy dla odszukania zabitych i rannych po domach, sklepach i klasztorach. W domu hrabiego Zamoyskiego znaleziono pięć tru-

pów, równie w hotelu Europejskim; w klasztorze Sakramentek, w restauracyi Bellego, w domu Resslera i innych. Mieszkańcy wydawali ich bez oporu. Wszędzie spostrzegano się przestraszonych i gotowość do posłuszeństwa.

Wojska, rozłożywszy ognie, obozowały na zajętych stanowiskach, to jest na placach: Zamkowym, Saskim, Krasińskim i przed kościołem św. Aleksandra, również i na Nalewkach i przed Bankiem. Później porozbijano namioty.

Prócz tego umieszczono dwie kompanie w ogrodzie pałacu Namiestnikowskiego, jedną w dziedzińcu pałacu Brühlowskiego, a dwie w teatrze ¹⁾.

Pierwszą noc wszakże wojska przebyły w ciągłym alarmie; agitatorzy starali się rozsiewać najrozmaitsze fałszywe pogłoski. Naraz przybiegł do któregoś z dowódców żołnierz z nowiną: »Wasze wysokoblahorodie! Polacy stawiają barykady na Starem mieście! Wasze wysokoblahorodie! odkryto skład broni i prochu!« i t. p. — Dowódcy posyłali patrole, lecz nigdzie nic podobnego nie było.

Z rana dnia 9. kwietnia zatoczono u kolumny Zygmunta dwa działa, skierowane na Krakowskie Przedmieście i Senatorską ulicę ²⁾.

Warszawa przepędziła noc bezseną. Zewsząd rozlegały się przekleństwa na Rosyan, a w tajemnicy, gdzieś po dom-

¹⁾ W teatrze stało wojsko już przedtem, od czasu kocięj muzyki, wyprawionej dyrektorowi teatrów przez łobuzów Kozubskiego i Jaczewskiego. Dyrektor teatrów, były oberpolicmajster Warszawy, Abrahamowicz, był bardzo nielubiany w mieście. O nim to przechowała się dotychczas charakterystyczna anegdota. Jako oberpolicmajster z winnym zwykle od tego zaczynał rozmowę: „Czy znasz alfabet?“ A. Abramowicz, B. baty, C. cytadela, „a więc zapierać się nie masz potrzeby.“ — Wojska zajęły tylko teatr Rozmaitości, w którym odtąd ustały przedstawienia.

²⁾ Oficjalne sprawozdanie i dziennik pułk. Krywonosowa.

kach i chałupach przedmiejskich, na poddaszach i w piwnicach, w różnych zaułkach oddalonych ulic, mieszczących najniższe warstwy ludności, które w starciu najbardziej ucierpiały, wypowiedano groźby i kurczowo zaciskały się pięście. Oburzenie było równe i w pałacach arystokracji.

Zapewne najgłośniejszemu odgrządzali się czerwoni; wieczni, niepoprawni czerwoni. W końcu uznali, że należy wydać odezwę w imieniu skrwawionej, sponiewieranej i obrażonej Warszawy do całej Polski z wezwaniem do walki z dzikim wrogiem, do walki na śmierć i życie, gdyż obecnie nic innego nie pozostało do zrobienia i byłoby dziwnem, gdyby ktokolwiek mieniący się Polakiem zaproponował co innego a szczególnie jakieś porozumienie z nienawistnym i najstraszniejszym wrogiem. Skończono! porozumienie niemożliwe, pozostaje tylko walka, straszna walka, bez ustępstw i przebaczenia, wszystko, co żyje, winno powstać od morza do morza.

Lecz kto napisze podobną odezwę, by miała dosyć zapалу, by była pisana krwią i łzami, by poruszyła wszystkich do szpiku kości. Gdzie taki człowiek? Ogół wskazywał na Agatona Gillera, literata, sybiraka i dawnego powstańca. Giller napisał żadaną odezwę bardzo prędko, a majster studniarski, Marcin Borelowski, wytłoczył odezwę tę w stu tysiącach egzemplarzy w potajemnej drukarni, pod tytułem: »Posłanie mieszkańców Warszawy« rozdając zaraz pewną ilość egzemplarzy dla rozrzucenia między publiczność i rozlepiania po murach, stąd też niektórzy Borelowskiemu przypisywali autorstwo odezwy.

To robili czerwoni. Biali zaś, jeszcze przed katastrofą kwietniową, przeczuwając widocznie zbliżającą się burzę, poczęli się schodzić prywatnie u różnych osób i omawiać zaprowadzenie tajemnej organizacyi, którejby poruczono kierownictwo sprawą i obustronne śledzenie tak dobrze działania czerwonych, jak i zarządzeń Wielopolskiego. Pierwsze takie schadzki odbyły się u Adama Goltza, jednego z najbardziej wpływowych członków komitetu Towarzystwa rolniczego. Mó-

wiono o potrzebie wyboru mężów zaufania, ludzi najbardziej wpływowych, którzyby utworzyli niejako pierwsze kadry organizacji narodowej. Zaraz wszakże zauważono, że takie kadry, złożone z najlepszych obywateli kraju, mające moc zaprowadzenia dalszej organizacji, muszą zachwiać i osłabić związek konserwatystów, istniejący dotychczas dzięki wpływowi sympatycznego hr. Andrzeja i kierujący nie potajemnie, lecz jawnie i otwarcie stronnictwem białych. — Między mężami zaufania mogą się znaleźć łatwo ludzie różnych poglądów i przekonań, którzy w końcu porozumieją się z czerwonymi i dopomogą im w działaniach, na które biali nigdy się nie godzili i zgodzić nie mogą. Uwagę tę uznano za zupełnie uzasadnioną i postanowiono: Zamiast wyboru tajnych mężów zaufania w całym kraju, zawiązać tajny biały komitet, kierujący jako władza centralna pod wodzą tegoż samego hrabiego Andrzeja, wszystkimi sprawami kraju ¹⁾.

Wtedy to więc powstał pierwszy związek tak zwanej Białej albo szlacheckiej dyrekcji. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i idąca w ślad za tem wielka manifestacya czerwonych, zakończona strzelaniną Chrulewa, pomieszała im szyki zupełnie. Biali zaczęli tłumnie wyjeżdżać za granicę ²⁾ i tam postępowali jak czerwoni, dostarczali funduszków Mierosławskiemu na założenie polskiej wojskowej szkoły w Genewie, służyli za agentów i kuryerów wszystkim możliwym emigracyjnym kółkom. Niechby tylko wybuchło w tym czasie powstanie,

¹⁾ *Aspiracje polityczne Polski* str. 221—223.

²⁾ *Dziennik pułkownika Krywonosowa* przytacza, że w nocy z 8. na 9. kwietnia wyjechało z Warszawy do dwóch tysięcy obywateli ziemskich. Czy nie otrzymali rozkazu opuszczenia Warszawy? Hrabia P. E. Kotzebne opowiadał autorowi, że jeden z pierwszych paragrafów ogłoszenia o zaprowadzeniu stanu wojennego, które już w marcu 1861 roku było przygotowane, zawierał: Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i bezzwłoczne wydalenie z Warszawy wszystkich zamiejscowych członków Towarzystwa rolniczego, następnie: rozwiązanie delegacyi i wszystkich polskich klubów, zaczynając od Resursy kupieckiej; rozstawienie wojsk na placach i t. d.

a wszyscy ci niedawni konserwatyści, przed chwilą rozprawiający tak poważnie o karności i zgodzie, o jakimś cudownym prawie wpływie hrabiego Andrzeja na cały ich ogół, w imię tej samej karności znaleźliby się w szeregach powstańców i z równą zapamiętałością szliby do boju z wrogiem, jak gołowała młodzież!...

Za pośrednictwem któregoś z tych panów, »Odpowiedź katolickiego duchowieństwa na przemowę Wielopolskiego«, mianą dnia 2. kwietnia, oraz »Posłanie mieszkańców Warszawy«, napisane przez Gillera, ogłoszono w lwowskim dzienniku *Głosie*, założonym przez ks. Adama Sapiechę. Główny redaktor dziennika, podówczas jeszcze zdecydowany radykał, Zygmunt Kaczkowski, dostał się za to do więzienia, w którym przesiedział półtora roku, do grudnia 1862 roku, dziennik zaś został przez władze austriackie zawieszony. (*Giller* t. I, str. 17—18).

Co się zaś tyczy ludu warszawskiego, pospólstwa, rzemieślników, którzy najbardziej ucierpieli, ci przebudzili się w zupełnie innym usposobieniu. Wogóle ranek 9. kwietnia zaświtał nad zupełnie inną Warszawą, cichą, potulną, bladą bez kontuszów i konfederatek. Nawet i czerwoni nakrzyczawszy się dostatecznie między swoimi, gdy znaleźli się na ulicach, zupełnie inaczej się zachowywali i oni się zalekli, a zresztą ponieśli dotkliwie straty w swych szeregach. Chwila była nader dogodna do przywrócenia zupełnego spokoju nie tylko w Warszawie, lecz i w całym kraju. Potrzeba na to było, wcale niewielkich rzeczy: innego usposobienia w Petersburgu i innego namiestnika w Warszawie. Tymczasem w królewskim Zamku, siedział ten dziwny, moralnie i fizycznie podupadły staruszek, biegający co chwila to do Wielopolskiego, to do Kotzebuego lub Enocha o poradę, jak rozwiązać gromadzące się trudności i zadania, a nadto przekonany, że następcy jego w całej Rosji nie da się wynaleźć¹⁾.

¹⁾ Hrabia P. E. Kotzebue w listopadowym zeszycie *Ruskiej stariny* za rok 1880, str. 793, najlepiej wykazuje, jak wysokie wyo-

Nieszczęsny ten starzec oprócz wysiłków mózgu na opowanie szybko po sobie następujących wypadków i ciągle zmieniającego się położenia, jeszcze zadawał sobie pracę, by wszystko wydarzone przedstawiać cesarzowi w mniej rażącym świetle; zajścia od 7. do 9. kwietnia opisać mniej jaskrawo i krwawo, niż było w rzeczywistości. Pod tym względem całe otoczenie namiestnika posiadało aż nadto dostateczną praktykę; doniesiono więc, że zginęło tylko dziesięciu ludzi... i kuryer popędził ¹⁾.

W Petersburgu po zestawieniu wszelkich wiadomości, nadeszłych z Warszawy z różnych źródeł, postanowiono wstrzymać na razie reformy, utrzymując Gorczakowa i Wielopolskiego na ich dotychczasowych stanowiskach. Stało się nawet, że Wielopolski otrzymał jeszcze większą władzę. Wołowski, główny dyrektor komisji sprawiedliwości, który podpisał rozporządzenie rady administracyjnej o zbiegowiskach, oburzony

brażenie człowiek ten miał o swych zdolnościach. „W marcu 1861 roku powiedział mi książę Gorczaków: *J'ai beaucoup médité sur ma retraite et je suis venu à la conclusion qu'il n'y a personne en Russie qui aurait pu me remplacer ici.* Tenże sam P. E. hr. Kotzebue opowiadał autorowi dnia 19. marca 1880 roku w swoim gabinecie na Zamku: „Cały rok 1859 i 1860 gotowaliśmy się w Warszawie do wojny. Gdy raz o tem w grudniu 1860 roku zawiązała się rozmowa z szefem sztabu (hr. Kotzebue), Gorczaków ani przypuszczał, aby kto inny mógł być naczelnym wodzem. — Ależ jakież z pana będzie wódz naczelny, pan o trzy kroki nie nie widzisz, przytem gdzież odpowiednie siły; naczelnemu wodzowi czasem wypadnie i cały tydzień, od rana do późnej nocy nie zsiadać z konia, czyż pan to wytrzymasz? — *Nous sommes maries* — odpowiedział na to Gorczaków — pan będziez zawsze ze mną, będziemy dowodzić wspólnie. — O nie, książę! — odparł Kotzebue — jak tylko wybuchnie wojna, ja się podaję do dymisji. — Gorczaków zamilkł, lecz po niejakej chwili znów się odezwał: „A przecież im więcej myślę, to na wypadek wojny nie znajduję w Rosyi człowieka, odpowiedniejszego odemnie na naczelnego wodza.“

¹⁾ W odezwie księcia Gorczakowa do mieszkańców Warszawy z dnia 9. kwietnia, także mowa tylko o dziesięciu zabitych. — Zobacz *Gazetę urzędową Królestwa Polskiego* z 1861 roku nr 81 str. 1.

strzelaniem, podał się o uwolnienie. Jego posadę oddano Wielopolskiemu ¹⁾.

Dnia 10. kwietnia 1861 r. przedstawiali się nowemu dyrektorowi urzędnicy komisji sprawiedliwości. Spotkał ich Wielopolski ze zwykłym papierkiem w rękę następującą przemową:

Panowie!

»Ocalony porządek publiczny, niestety wśród krwawego starcia, i przykryty tarczą nowych instytucji, dziś w waszą pieczę powierzyć pragnę. Waszą to rzeczą będzie, postarać się o przechowanie w nienaruszonej ciszy i spokoju tego skarbu, zarówno wam wszystkim drogiego. Porządku społecznego nie zebrze się każdodziennie, naksztalt jałmużny. On w samym sobie znaleźć podpórę powinien, trwać niewzruszenie, i w sobie każdej chwili czerpać potrzebne siły.

Jeżeli zaś porządek ma żyć wyżebranym chlebem z laski samowoli, lekkomyślności i intrygi, wtedy wszystko ginie w narodzie, gdyż u obywateli wyczerpuje się źródło energii, znika niezależność zdania i zamiera swoboda myśli.

Wskutek najwyżej nam nadanych instytucji, czeka nas nader ważna praca; z powodu zwinięcia komisji kodyfikacyjnej, my, a nie kto inny, zająć się powinniśmy przerobieniem i ulepszeniem prawodawstwa. Zwłaszcza wiele zmian uczynić wypadnie w kodeksie karnym. Nowe rozporządzenie o tłu-

¹⁾ Nieco później w maju 1863 roku Jan Kanty Wołowski został posadzony o utrzymywanie politycznej korespondencji z bratem swym Ludwikiem w Paryżu. W nocy z 3. na 4. czerwca odbyto w jego mieszkaniu w obecności oberpoliemajstra, pułkownika Lewszyna, generała Witkowskiego i oficerów żandarmeryi, Tałajewskiego i Zengbusza, niespodziewaną, najściślejszą rewizję, następnie uwięziono w cytadeli. Po miesiącu zesłany do Penzy, wkrótce tam umarł. Wołowski właściwie był prokuratorem IX departamentu rządzącego senatu, obowiązek zaś głównego dyrektora komisji sprawiedliwości sprawował przez 5 dni po ustąpieniu Dębowskiego. Jednocześnie w czerwcu 1863 roku odbyto rewizję u mecenasa Kojśewicza i uwięziono Augusta Trzeźwińskiego.

mnych zbiegowiskach, zawiera w sobie już to ulepszenie, że kary za nie oznaczone, wykonywać się będą tu, w Polsce, a nie gdzieindziej.

Tej pracy w całym jej zakresie, do końca z wami dzielić nie mogę. Wzywają mnie inne obowiązki, między którymi a waszymi trudami, łącznem ogniwem będzie wspólne staranie o utworzenie fakultetu prawnego. Wszelako mam nadzieję, że mi jeszcze sił wystarczy na przejrzanie w czasie naszego wspólnego urzędowania, nakreślonych projektów i tego wszystkiego, co zostanie przygotowanem do ulepszenia i uzupełnienia naszego prawodawstwa. Liczę na waszą pomoc, na doświadczenie sędziów, prokuratorów, o których zdolności i biegłości miałem już sposobność się przekonać. Całe zaś dzieło, doprowadzi do końca mój stały następca, który, jak tuszę, między wami się znajduje.

Życie moje w rękę Boga. Lecz gdyby mi danem było, przy waszej pomocy, choć tego dopiąć, że wsparty przekształconem prawodawstwem, utwierdzonym i zapewnionym zostanie porządek społeczny, pierwszy ten warunek rozwoju narodowego na drodze legalnej, to sądzę, że dzieciom moim dobrą po sobie pamięć pozostawię w spuściźnie.«

Jednak czuł Wielopolski doskonale, że wszelkie podobne mowy pozostaną czerzmi frazesami, jeżeli społeczeństwo, ogół opinii odmówi mu swego poparcia.

Rozpatrzywszy się szczegółowo i uważnie w położeniu spraw, uznał, że potrzeba raz jeszcze przemódz swą dumę i zbliżyć się do Andrzeja hrabiego Zamojskiego. Wspólnie więc z żoną złożył wizytę Zamoyskim, a nie zastawszy nikogo z gospodarstwa w domu, zostawił, jak zwyczaj wymaga, kartę wizytową żony i dwie swoje. Ktoś sprzątnął jeden bilet margrabiego i Zamoyskim po ich powrocie do domu oddano tylko dwie karty wizytowe.

— Widzisz, jak mnie margrabia traktuje, powiedział hr. Andrzej do jednego ze wspólnych znajomych, był u mojej żony, a mnie nawet karty nie zostawił.

— To być nie może — odparł ten, do którego mówiono. Przywołano kamerdynera, który odpowiedział, że dwa tylko były bilety ¹⁾.

I taka drobnostka ostatecznie rozdzieliła tych dwóch ludzi, których zgodne i szczerze działanie mogło nadać zupełnie inny kierunek ówczesnym polskim sprawom. Dodać należy, że hrabia Andrzej w owej chwili, wskutek niesłychanego rozgoryczenia na rząd, był mniej niż kiedykolwiek usposobiony do zbliżenia się z Wielopolskim. On do tego stopnia szorstko i niegrzecznie odpychał wszystko co rosyjskie, lub co się zbliżało do rządu, bez względu na stan i osoby, że odmówił namiestnikowi przejrzenia nawet »projektu o radzie stanu Królestwa Polskiego«, i tylko co za to nie został wysłany do Wiatki. Sprzeciwił się temu stanowczo Wielopolski w piśmie swem z dnia 22. kwietnia 1861 roku, w którym powiada: »Zamoyskiego uważam za polityczne zero i nie radzę jakimkolwiek prześladowaniem nadawać mu polityczne znaczenie... jeśli się go ześle do Wiatki, moje stanowisko w Warszawie stanie się absolutnie niemożliwe ²⁾.

Rozumie się, że tak usposobiony wódz białych nie był w stanie kierować swem stronnictwem, w którym wszystko się rozsprzęgło i poczęły się działania na własną rękę. Młoda szlachta conajprędzej spieszyła z przeprowadzeniem w kraju tajnej narodowej organizacyi o kierunku bardzo nieśmiało podnoszonym na zebraniach u Adama Goltza, jeszcze przed wypadkami kwietniowymi. Trudno było Wielopolskiemu szukać stronników i oparcia w tym obozie, szczególnie po dwukrotnem fiasko z Zamoyskim.

Zwrócił się więc do krajowej inteligencyi, literatów, publicystów i innych wykształconych ludzi, starając się im przedstawić całą niestosowność i głupotę, w chwili, gdy rząd po-

¹⁾ *Lisicki* tom I, str. 151. Gdzież się podziała trzecia kartka? czy się zarzuciła wypadkiem, czy też usunął ją jaki duch opiekuńczy?

²⁾ *Le marquis Wielopolski* tom II, str. 182.

daje Polakom swą wszechmocną rękę i zapowiada nadzwyczajne reformy, nieprzyjmowania tego i stawiania mu przeszkód, wyzywając do walki siłę, której się oprzeć niema najmniejszych widoków. Dzisiaj zginęło dwustu, jutro zginie w dwójnasób tyle, w końcu wymordują lub zaszłą na Sybir taką ilość porządniejszych i energiczniejszych ludzi, że w końcu ubytek ten nietylko jednorazowo, lecz na długie lata odbije się chorobliwie i niszcząco w ustroju całego kraju.

W średnich klasach inteligencji w Warszawie i na prowincyi, był zawsze pewien zastęp ludzi rozumnych, zdrowo i bez szowinizmu zapatrujących się na stosunki; ci ludzie wszakże nie czuli w sobie odwagi, ażeby otwarcie wypowiedzieć swe zdanie i na podstawie tego skupić się w stronnictwo z jasno wytkniętym programem, jak to zrobili swego czasu wobec Młodoczechów Staroczesi. A chociaż spostrzegli, że spisek ich zaczepia i może doprowadzić do szkodliwych ustępstw i kompromisów, pozostali biernymi.

Szezególnie między delegatami, gdy się ku nim zwrócił Wielopolski, uznawano, że trzeba się koniecznie koło niego skupić i wesprzeć jego działanie, gdyż inaczej dzieciaki wtrąca kraj w przepaść. Znany redaktor Kucz, w Nr. 93 *Kuryera warszawskiego* z dnia 12. kwietnia 1861 roku, a więc w trzy dni po strzelaninie Chrulewa, nazajutrz zaś po objęciu przez Wielopolskiego głównej dyrekeji w komisji sprawiedliwości wystąpił z następującym artykułem wstępnym, oznaczonym †, stąd następnie nazwanym »artykułem z krzyżykiem«: »Szczęście narodów zawisło od reform odpowiednich, w odpowiednim czasie zastosowanych, lecz dla ich wprowadzenia, obok siły i inteligencji, potrzeba także serca. Przed potęgą rozumu i siły każdy skłoni głowę z uznaniem, z zupełnem zaś zaufaniem zawierzy tylko sercu. Najtrudniejsze zadania potrafi spełnić, kto pozyska miłość ludu i na niej, jak na niewzruszonej opoce się oprze. Najpiękniejszą epopeą w dziejach ludzkości jest i będzie zawsze głos serca, na nim też kreślił swe ustawy pierwszy prawodawca ludzkości. Gdzie brak miłości, tam brak

wiary, a bez wiary w proch się rozsypią najwznioślejsze pokuszenia. Ufności nakazać nie można, raz ją jednak zbudziwszy w sercach ludu, można ją następnymi czynami utwierdzić niewzruszenie. Wobec postępujących szybko po sobie wypadków, wobec zamierzanych wielkich przeistoczeń i przemian, których wszyscy z niecierpliwością oczekują, tembardziej czujemy potrzebę ufności i wiary. I jedno i drugie się znajdzie, gdy ostrze żelaza zniży się ku ziemi, a otworzy się serce.»

Ponieważ w tym artykule, acz zarzucającym Wielopolskiemu brak serca, mowa głównie o reformach i przeistoczeniach, związanych nierozdzielnie ze znienawidzonym już imieniem margrabiego, więc stronnictwo czerwonych w reformach tych widząc tylko rządową reakcyę, skierowaną ku ich zgubie i zatraceniu najdroższych im ideałów, z całą gwałtownością napadło na Kucza.

Stronnicy zaś, którzy dzień przedtem byli zupełnie tegoż samego zdania, a nawet brali udział w redakcyi potępionego artykułu, gdy się burza podniosła, znikli gdzieś bez śladu. Artykuł z krzyżykiem został stanowczo potępiony i wyśmiany, a popularny i lubiany przez wszystkich Kucz, stał się naraz przedmiotem napaści i dopiero odzyskał dawną popularność, gdy się przerzucił na stronę ruchu, za co w końcu został zesłany do Orenburga.

Wielopolski pozostał zupełnie osamotniony, wystawiony na ciągłe napaści. To zaczęło go z wolna drażnić i zwracać jego uwagę na wiele drobnych ukłuc, które dawniej przechodziły niespostrzeżenie. Zaczął od zniesienia miejskiej poczty, jako ułatwiającej nadsyłanie mu bezimiennych, obelżywych pism i paszkwilów. Następnie gdy otrzymał numer dziennika Kackowskiego ze znaną nam już odpowiedzią duchowieństwa, podpisaną przez biskupa Deckerta, Wielopolski zapytał go urzędownie »czy jest autorem tej odpowiedzi?« A gdy Deckert temu zaprzeczył, margrabia zażądał ogłoszenia drukiem tego zaprzeczenia, co też Deckert w końcu skutecznie w numerze 114-ym *Kuryera warszawskiego* z 1861 roku str. 541.

W połowie maja zaszedł znów mały wypadek, który wywołał nowe rozjątrzenie. Wielopolski mieszkając w Belwederze, przyjeżdżał stale do pałacu Kazimirowskiego, gdzie miał biura w mieszkaniu obecnym rektora warszawskiego okręgu naukowego. Lubiąc drzewa i kwiaty, a potrzebując nieraz wytchnienia po pracy, rozkazał z ogrodu przytykającego do tego mieszkania, pewną część dla siebie oddzielić. Dotąd z ogrodu tego korzystali niepodzielnie uczniowie szkoły głównej, gimnazjum realnego i szkoły sztuk pięknych, zakładów, które się wszystkie mieściły w obszernych skrzydłach pałacu. Jak skoro młodzież spostrzegła, że na ich gruncie zabierają się do jakichś robót, zaraz się zbiegła z krzykami na wdzieranie się przemocą do ich ogrodu. »Ty nie ścierpisz rządów w rządzie, my też nie ścierpimy ogrodu w ogrodzie!« Z temi słowami młodzież rzuciła się na robotników, łatwo ich rozpędziła, a przygotowane materiały, jak: wapno, cegły, piasek, wrzuciła do stawu. Wezwana dla przywrócenia porządku policya, zachowała się dwuznacznie. Składając się niedostatecznością sił, zasiadła poprostu na trawnikach, przypatrując się spokojnie buszowaniu młodzieży ¹⁾.

Wielopolski rozkazał pociągnąć młodzież do odpowiedzialności. Wystraszeni rodzice natychmiast zarządzili wystawienie kraty, do dziś dnia istniejącej. Lecz Wielopolski przestał bywać w Kazimirowskim pałacu i od 18. maja zamieszkał stale w pałacu Namiestnikowskim.

Wrzawie i gadaniom o tę historję z kratą nie było końca. Młodzież wrzała gniewem, rodzice dowodzili, że Wielopolski chciał młodzież zesłać na Sybir; uskarżali się i urzędnicy, że ich Wielopolski co chwila przyzywa do siebie i despotycznym tonem nakazuje, jak mają załatwiać powierzone sobie sprawy. Wielu z nich jeszcze i teraz nie może mówić obojętnie o tych naradach z panem ministrem.

¹⁾ Sprawozdanie oficera policji, wysłanego z oddziałem policyantów dla przywrócenia porządku.

Chcąc nieco umysły uspokoić a przytem zrobić coś dla zjednania sobie niższych warstw ludności, rząd dnia 22. maja ogłosił ukaz o skasowaniu pańszczyzny. Wszakże nie natychmiastowo, lecz od 1. października po ukończeniu zbiorów, które się miały odbyć jeszcze na zasadzie dawnego, poddańczego prawa.

Chciano tem zarządzeniem zadowolnić obie strony, co się naturalnie nie udało, jak również nieudaną próbą pozostało postanowienie «o powiększeniu czynszów», mających wynagrodzić obywateli za zniesioną pańszczyznę, a tylko bardziej jeszcze zwiększyło zamieszanie i trudności.

W innym czasie wszystko to dałoby się urządzić i spokojnie przeprowadzić, trudności dałyby się obejść i nie wywołałyby nawet zbyt wielkiego narzekania. W owej wszakże chwili, gdy wszystkie stosunki tak były naprężone, należało postępować z największą ostrożnością i pewnością siebie.

Czujna na wszystko partya czerwonych, natychmiast rozesała po kraju zręcznych agentów, dla wyjaśnienia włościanom podstępu i dwulicowości rządu rosyjskiego, i nakłonienia obywateli do dobrowolnego zrzeczenia się na rzecz włościan przewyżki wymyślonego przez wspólnego wroga czynszu i porzestania dla dobra rozpoczętej sprawy przy dawnej, uświęconej już zwyczajem stopie czynszów. Agenci pracowali bez znużenia i z pewnem powodzeniem, gdyż dosyć wielu obywateli zrzekło się nowo ustanowionych czynszów.

Chcąc pod tym względem zaprowadzić jakąś jednoliłość w kraju, namiestnik ze swej strony wydał objaśnienie do ukazu z dnia 22. maja i nowej uchwały o czynszach i rozesał do wszystkich gubernii osobnych urzędników, dla wyjaśnienia włościanom wszelkich mogących powstać wątpliwości i nieporozumień.

Lecz wysłani urzędnicy w przeważnej części już należeli do tej organizacyi, która zwolna zawiązywała się w Warszawie i obejmować zaczynała swą siecią kraj cały. Postępowali więc oni nie jako delegaci rządu, ale w duchu spiskowców

i nie tylko że nie wpłynęli na uspokojenie ludu, lecz owszem bardziej go poduszczali przeciw rządowi, przekładając, że »wszystko się skończy na zwiększeniu czynszów, a wolności żadnej nie będzie, i że panowie to wszystko przerobią do października.«

Już tedy ze spiskiem zaczynało się mieć do czynienia!

W Warszawie ukazał się obrazek, przedstawiający Faryzeusza, okazującego Chrystusowi grosz czynszowy, litografowany w zakładzie Dzwonkowskiego. Obrazkowi temu, sprzedawanemu po 2 złp., nadawano znaczenie emblematyczne co do rozporządzeń o czynszach.

Równie krążyły w odpisach wiersze Syrokomli, napisane »na zamknięcie Towarzystwa rolniczego«, kończące się tem, że gdy rząd rozpędził rolników, wskazywał przez to, że przyszła już chwila, w której należy »przekuć żelazne sochy i plugi na miecz i oręż!«

Wskutek nowego rozporządzenia oberpolicmajstra, nakazującego noszenie latarek po godzinie 10. wieczór, zaczęto nosić ogromne latarnie na kijach z najrozmaitszymi karykaturami. Wywołało to nowe aresztowania, wreszcie i miejsca zabrakło po więzieniach.

Wielopolski tymczasem przedkładał namiestnikowi, że jedynie niezwłoczne ogłoszenie reform, przez najjaśniejszego pana zapowiedzianych, a Bóg wie dla jakich przyczyn dotychczas wstrzymywanych, następnie zaś rozpisanie wyborów do rad powiatowych i miejskich, uspokoi umysły a odciągając umiarkowańszą i poważniejszą sferę ludności, szczególnie zaś obywatelstwo ziemskie od przeciwrządowych działań, stanowczo wpłynie na poprawę sytuacji; że tylko powstrzymanie reform wywołało częściowe przyłączenie się tych ludzi do stronnictwa czerwonych.

Ks. Gorczaków, słuchając Wielopolskiego, patrząc na tę ogromną, brylowatą postać, która samą masą swoją zdawała się go przygniatać, stawał się czemś godnym politowania, czemś w rodzaju królika, odrętwiałego wobec wzroku, mającego go

pochłonać węża. Płatał się w słowach, niejednej rzeczy dokładnie nie rozumiał, z trudnością rozróżniał polskie wyrażenia od rosyjskich i prawie na wszystko się zgadzał i po oddaleniu się straszego Margrabiego jeszcze długo z niepokojem przechadzał się po gabinecie, mówiąc głośno: »wybory! wybory!... ach! gdyby mi pozwolono wiaść w ręce wybory!«... Te słowa nieraz słyszało otoczenie księcia... wkrótce atoli zachodziła w umyśle jego, zwykła, gwałtowna zmiana zdania, nie wierzył Wielopolskiemu, nie przyznawał aby reformy były konieczne, owszem uważał je za szkodliwe, że społeczeństwo kierowane przez zapaleńców nie zasługuje na nie, przyznawał, że rząd dobrze postępuje, powstrzymując je... a nawet dochodził do przekonania, że i sam Wielopolski... niepotrzebny, zbyt czyste koło u wozu... przywoływał swego szefa sztabu i radził się go, radził innych generałów, każdego kto się nawinał pod rękę...

Takie nagłe przeskoki z jednych wrażeń do drugich, wahanie się, niejasność i niepewność zdania, ta ciągła walka z samym sobą, ten jednym słowem rozkład przestarzałego i zawsze słabego umysłu, pod nawalem zadań ponad siły, wstrząsnęły ostatecznie organizmem. Przyszedł atak nerwowy, podobno wskutek otrzymanego z Paryża telegraficznego ostrzeżenia, że w Warszawie ma wybuchnąć rzeź na ulicach. Przywołany dr Cycuryn znalazł »silne zaatakowanie całego nerwowego ustroju, a nawet mózgu«, i o tem zawiadomił szefa sztabu generała Kotzebue'go. Ten zażądał poświadczenia lekarskiego na piśmie i gdy to otrzymał, napisał do ministra wojny z przedstawieniem rzeczywistego stanu rzeczy, radząc przedsięwzięcie stanowczych środków. Uważał, że należałoby w Polsce znieść wszystko; urzędnicy i ludzi, albowiem wszyscy na wyższych stanowiskach i przestarzały i nieodpowiedni, fałszywy również i cały system rządzenia, próżne marzenia o wytworzeniu w kraju jakiegoś rządowego stronnictwa.

By zaś list ten nie wyglądał na denuncjację, Kotzebue uznał za konieczne, okazać go swemu »staremu druhowi.« Stary przyjaciel przeczytał pismo na pozór zupełnie spokojnie,

poprawił nawet jedną omyłkę w pisowni ¹⁾ i dodał: »Poszlij, nie mam przeciw temu« ²⁾.

Kotzebue włożył do listu *parère* Cycuryna, zapieczętował pakiet pieczęcią Gorczakowa na tegoż biurku i wręczył zaraz kuryerowi.

Książę wszakże przyjął to zwierzenie wcale nie tak spokojnie, jak się jego szefowi sztabu zdawało. Tenże sam kuryer powiódł list Księcia do jego stryjecznego brata, kanclerza A. M. Gorczakowa, w którym gorzko się żali, że jest otoczony zdrajcami i na nikim polegać nie może. »List Kotzebuego do ministra wojny, który odechodzi tym samym kuryerem, najlepiej ci udowodni, wśród jakich intryg muszę działać.«

Wskutek tego, list napisany w najczystszych chęciach i zamiarach, został uznany za intrygę, dążącą do »usunięcia Gorczakowa i zajęcia jego miejsca.« Wrażenie to tak było powszechne, że do dziś dnia o tem powtarzają w Warszawie.

Sprawa skończyła się w ten sposób, że Kotzebue otrzymał 11-miesięczny urlop do Rosyi i za granicę, co się równało zupełnemu uwolnieniu, ks. Gorczakowowi zaś doradzono, by się udał na czas jakiś do kąpiel dla wzmocnienia sił ³⁾.

¹⁾ List był pisany po rosyjsku.

²⁾ Z opowiadań samego Kotzebuego, senatora Kruzenszterna i br. radey Sł. Stamirowa, dyrektora kancelaryi Kotzebuego. Dwaj ostatni widzieli brulion listu i poprawkę, ręką Gorczakowa uczynioną.

³⁾ *Dziennik urzędowy Królestwa Polskiego* z 1861 roku numer 109, str. 705. Tam nie wspomniano wszakże na jak długo Kotzebue otrzymuje urlop. Uwolnienie to szefa sztabu czynnej armii, stało się za przyczyną ministra wojny Suchozaneta, który niecierpiał Kotzebuego. Na to zaś miejsce polecił swego protegowanego, generał-majora Kryżanowskiego. Ten, będąc jeszcze kadetem, bywał w domu u Suchozaneta, który wszystkim i każdemu zwykł powtarzać: „Zobaczycie, z tego chłopca wyrośnie dzielny oficer.“ *Kołokoł* w dodatkowym arkuszu z dnia 1. sierpnia 1867 r. str. 7. podaje niektóre szczegóły o zamianowaniu Kryżanowskiego szefem sztabu czynnej armii.

Dziennik pułkown. Krywonosowa przytacza mowę, powiedzianą przez generała Kotzebuego przy pożegnaniu ze swymi podwładnymi dnia 10. maja 1861 r. we własnym mieszkaniu przy ulicy Senatorskiej

Mówiono nawet, że otrzymał trzymiesięczny urlop i wybierał się do Ems, lecz wszystkim powtarzał, że jedynie tylko na miesiąc, po miesiącu zaś wróci i rozpisze wybory.

Choroba wszakże powaliła go na łożę, z którego już nie miał powstać. Dnia 27. maja choroba przybrała tak groźny charakter, że z Petersburga w drodze telegraficznej polecono generał - adjutantowi Merchelewiczowi, pełniącemu obowiązki wojennego generał - gubernatora miasta Warszawy, objąć zarząd cywilny Królestwa Polskiego.

Nazajutrz po objęciu urzędowania, dnia 28. maja, generał Merchelewicz wydał następującą odezwę do ludu:

»Mieszkańcy Warszawy!

Z woli Monarchy wezwany jestem do zarządu sprawami cywilnymi Królestwa Polskiego, na cały czas trwania choroby Jego Ekscelencyi namiestnika.

Zawiadamiając o tem mieszkańców Warszawy, mam nadzieję, że zachowaniem spokoju publicznego i posłuszeństwa władzy, dadzą mi możliwość myślenia jedynie o ich pomyślności.

W razie zaś powtórzenia nieporządków i tłumnych zbiegowisk, wypełnię z całą sumiennością żołnierza postanowienie Rady administracyjnej z dnia 8. kwietnia 1861 roku, które przy niniejszem powtórnie ogłaszam!»

Jenerał - adjutant *Merchelewicz*.

w dawnym Prymasowskim pałacu: „Panowie! Miło mi jest raz jeszcze widzieć was u siebie i podziękować za pamięć. Dziękuję szefom za ich współdziałanie, podwładnym za ścisłe wykonywanie zarządzeń. Przebaczenie mi, jeśli komu co złego wyrządziłem, gdyż jeżeli coś podobnego się stało, stało się to mimo mych chęci; sumienie pod tym względem mam spokojne. Po 42-letniej służbie w wojsku mam nadzieję, że złej pamięci po sobie nie zostawiłem. — Zapewne już się z sobą nie spotkamy!“ (Łzy w oczach).

Tegoż samego dnia sztab główny przedstawiał się swemu nowemu szefowi, który w następujący sposób ich przyjął: „Rad jestem z panami zabrać znajomość i czuję się w obowiązku zaraz na wstępie oświadczyć panom, że moją zasadą jest: Prawo! Osobistość moja nie

Odezwę tę wraz ze wspomnianem postanowieniem rady administracyjnej rozlepiono po rogach ulic, natychmiast je wszakże poździerano. Policya przykleiła powtórnie, lecz i te w momencie poznikały. Nie rozlepiano już więcej i nikt nie zwrócił uwagi na ten wybryk, zwłaszcza, że uwaga wszystkich zajęta była chorobą ks. Gorczakowa, już jedną nogą w grobie stojącego.

Smutnie umierał starzec, pod koniec opuszczony przez wszystkich, wśród ogólnego narzekania, że on wszystkiemu był winien, co jednak nie zupełnie było zgodne z prawdą...

W południe dnia 29. maja, zgasła ostatnia iskra życia...

Ciało przez dni dziesięć wystawione było w cerkwi pałacu Łazienkowskiego; poczem w spełnieniu żądania nieboszczyka, by mógł spocząć wśród swych współbojowników w Sebastopolu, tamże z polecenia cesarza przewiezionem zostało.

Dnia 8. czerwca o godzinie 11-tej z rana, sześciokonny karawan, ozdobiony herbami wszystkich gubernii Królestwa Polskiego, wyruszył na dworzec kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej¹⁾. Mieszkańcy Warszawy na tę chwilę pozapuszczali okna, urzędnicy zaś, przybyli z rozporządzenia władz, szli za pogrzebem tylko do Nowego Świata i stamtąd rozeszli się po domach. Małą cząstkę, która towarzyszyła zwłokom aż do dworca, przy powrocie gawieź uliczna wygwizdała.

istnieje, jest tylko prawo. Nie będzie w to wchodzić, czy dobre ono jest, czy złe, gdyż nas o to nie pytają; dopóki wszakże jakakolwiek ustawa obowiązuje, winniśmy najściślej ją wykonywać. Jestem tylko narzędziem w ręku prawa i będę pilnował ścisłego tegoż przestrzegania. To główna zasada, z niej wypływają wszystkie inne. Proszę się zawsze wprost do mnie udawać. Czy to w sprawach osobistych, czy służbowych, zawsze będę się starał zrobić wszystko, co odemnie może zależeć; lecz raz jeszcze powtarzam, moja osoba nie istnieje. Prawo postanawia, prawo nagradza, prawo karze! Jeśli będziecie ciągle o tem pamiętali, wszystko pójdzie dobrze. Mogę być waszym znajomym, kolegą — ale prawo przedewszystkiem.

¹⁾ Opisanie pogrzebu patrz *Kuryer warszawski* z 1861 roku numer 136.

Aż do granicy towarzyszyło zwłokom czterdziestu żołnierzy z trzeciej kompanii kostromskiego pułku piechoty, oraz sześciu kozaków liniowych kubańskich i ci ostatni odprowadzili ciało do samego Sebastopola.

Na stacyach, gdzie się pociąg zatrzymywał, występowały warty honorowe ze sztandarem. Publiczność przypatrywała się obojętnie i milcząco.

Na granicy warta austriacka przyjęła zwłoki. W Wiedniu odbyło się nabożeństwo żałobne w obecności cesarza, poczem trumnę przewieziono na statek parowy.

Pogrzeb w Sebastopolu odbył się dnia 19-go czerwca 1861 roku ¹⁾.

¹⁾ Pułkownik Krywonosów w swym dzienniku powiada, że według doktora Cycuryra Gorczaków cierpiał na organiczną wadę serca, umarł zaś na porażenie płuc. Drudzy zaś doktorzy twierdzili, że umarł na rozmięczenie mózgu i mlecza pacierzowego. — Cesarz wyznaczył wdowie po księciu Gorczakowie 35.000 rubli sr. dożywotniej pensyi, każdej zaś z córek po 50.000 rubli sr. jednorazowo.



D O D A T E K.

Wymiana depezb między namiestnikami Królestwa a cesarzem Aleksandrem II.

Do księgi I. — od 26. do 27. lutego 1861 roku.

Warszawa — Petersburg.

26. lutego 1861 roku.

Dnia 25. lutego szajka wicherzycieli zamierzała urządzać uliczną demonstrację, połączoną z nabożeństwem za poległych pod Grochowem i w tym celu zwołała lud na Staremiasto.

O 6-tej wieczorem zebrało się do 5.000 ludzi na rynku Starego miasta. Policya zawczasu uprzedzona, rozprószyła zbiegowisko bez rozlewu krwi. Procesyę, postępującą z kościoła księży Paulinów z chorągiewkami, pochodniami, przy śpiewie hymnów, rozpędzili konni żandarmi. Kilku ludzi uwięziono. Obecnie panuje spokój.

Jen. adj. ks. *Gorzaków*.

Warszawa — Petersburg.

28. lutego 1861 roku.

Dnia 27. lutego liczne zbiegowiska ludu wystąpiły na różnych ulicach. W niektórych miejscach rzucano kamieniami na wojsko, stojące w pogotowiu. Jedną kompanię piechoty, stojącą na Krakowskiem Przedmieściu, zarzucano kamieniami tak dalece, że dla utorowania sobie drogi pierwszy pluton musiał dać ognia. O ile na razie dało się skonstatować, zabito sześciu ludzi i tyluż raniono. Wkrótce potem tłum ustąpił, a z nastaniem nocy spokój został przywrócony. W mieście panuje wiel-

kie rozdrażnienie umysłów, i bardzo być może, że niepokoje dziś się powtórzą. Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Warszawa — Petersburg.

28. lutego 1861 roku.

Gubernialni marszałkowie szlachty, widząc, że nie mają żadnego wpływu na obywateli, wczoraj rano złożyli dymisyę. Wzburzenie w mieście wzmogło się, szczególnie po strzałach wojska, które obrzucano kamieniami. Strzelać rozkazał Zabolockij wbrew memu wyraźnemu zarządzeniu, aby broni nie nabijano. Z tego powodu zarządziłem śledztwo. Polecilem Trepowowi, by się podał za chorego, gdyż taką nienawiść wywołał, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo. W tej chwili spokojnie, lecz obawiam się groźnych zaburzeń. Proszę o zezwolenie na ogłoszenie w razie potrzeby stanu oblężenia.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Petersburg — Warszawa.

28. lutego 1861 roku.

Niecierpliwie oczekuję wiadomości, jak uplynie dzień dzisiejszy. Jestem pewny, że zarządzenie wszystko, co potrzeba wskaże dla przywrócenia należnego porządku. Czy są ranni wśród wojska? i czy zauważono uzbrojonych w tłumach. — W razie potrzeby proszę mnie uwiadamiać rano i wieczorem.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa.

28. lutego 1861 roku.

Uważam dymisyę marszałków zupełnie nie na czasie i dowodzącą z ich strony braku charakteru. Nie mogę też pochwalić zarządzenia co do Trepowa. W obecnych okolicznościach każdy powinien się znajdować na wskazanem stanowisku. Ogłoszenie stanu oblężenia pozostawiam zupełnie waszemu uznaniu.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

28. lutego 1861 roku.

W tej chwili arcybiskup Fijałkowski z pięcioma najznakomitszemi osobistościami w kraju, przedstawili mi prośbę,

podaną na imię Waszej Imperatorskiej Mości. W ogólnikowych i nader liberalnych wyrażeniach żądają nadania Królestwu Polskiemu różnych praw. Proszący oświadczyli, że przedłożenie tej prośby do stóp W. C. Mości wielce się przyczyni do uspokojenia umysłów. Wyszę ją dzisiejszej jeszcze nocy ze szczegółowemi wyjaśnieniami. Obecnie w mieście panuje spokój.

Jen. adj. ks. *Gorzaków.*

Petersburg — Warszawa.

28. lutego 1861 roku.

Jeżeli prośba Fijałkowskiego w istocie zawiera to, o czem mi wspominasz, to nie należało jej przyjmować. Czekam waszych wyjaśnień. W każdym razie teraz nie czas na ustępstwa i na nie nie zezwolę.

Aleksander.

Do księgi II. — od 1. do 26. marca 1861 roku.

Warszawa — Petersburg.

1. marca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że przez wczoraj w mieście panował najzupełniejszy spokój. Kuryera zaledwie wieczorem zdołam wysłać.

Jen. adj. ks. *Gorzaków.*

Petersburg — Warszawa.

1. marca 1861 roku.

Potwierdzam raz jeszcze wszystko, wypowiedziane wczoraj. Chcę wiedzieć, co wywołało niepokoje z dnia 27. lutego i kto w nich głównie występował? Jeśli prośba jeszcze nie wysłana, to ją wstrzymajcie. Proszę działać spokojnie i energicznie. Na żadne ustępstwa nie myślę zezwalać. Szyfrowane depesze mają być adresowane do ministerstwa wojny.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

2. marca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że dzień wczorajszy przeszedł w mieście zupełnie spokojnie.

Jen. adj. ks. *Gorzaków.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

2. marca 1861 roku.

Prośby podanej na Najwyższe Imię nie przedkładam, lecz posyłam panu jej odpis. O pobudkach i głównych działaczach w zbiegowiskach z dnia 27. lutego mogę tylko powiedzieć, że wywołała je partya demokratyczna. Jen. adj. ks. *Gorzaków*.

Petersburg — Warszawa.

2. marca 1861 roku.

Oświadczcie w imieniu własnem, że podanej wam na najwyższe imię prośby nie możecie przyjąć i zwróćcie ją proszącym, gdyż zawarte w niej żądania są nieprzyzwoite i nie na czasie. Proszę mi podać telegraficznie nazwiska tych pięciu osób, które wraz z Fijałkowskim doręczali wam prośbę. Czy niepokoje warszawskie nie wywołały takichże objawów na prowincyi?

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

2. marca 1861 roku.

Położenie w Królestwie tak jest poważne, że potrzebuję obok siebie człowieka, posiadającego zupełne zaufanie cesarza. O takiego proszę — również o odpowiedź telegraficzną.

Jen. adj. ks. *Gorzaków*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

3. marca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień przeszedł w mieście zupełnie spokojnie. Jen. adj. ks. *Gorzaków*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

3. marca 1861 roku.

Błagam o najwyższe zezwolenie, bym mógł wstrzymać się z wykonaniem danego mi telegraficznie polecenia aż do przybycia do Petersburga Karnickiego, którego dziś wysyłam jako kuryera.

Prośbę mi doręczyli wraz z Fijałkowskim: Andrzej hrabia Zamoyski, hr. Małachowski, oraz Kronenberg i Szlenker,

obywatele z miasta. W kraju niepokojów nie było, lecz wrażenie wypadków warszawskich jest bardzo silne.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Petersburg — Warszawa.

3. marca 1861 roku.

Posiadasz zupełnie moje zaufanie i dlatego nie widzę potrzeby przysyłania wam kogokolwiek. Jeśli chcesz mieć kogo do pomocy dla spraw cywilnych, to wskaż osobę. Możesz wstrzymać wykonanie wczorajszego polecenia do czasu przybycia tu Karnickiego. Czy nie chcesz mieć przy sobie Chrulewa?

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

3. marca 1861 roku.

Z głębi serca dziękuję W. C. Mości za łaskawą depezę. Pomocnika do spraw cywilnych i Chrulewa, jak się zdaje, obecnie nie potrzeba, ale byłoby pożądanem mieć tutaj kogoś z wyboru W. C. Mości, ze świeżym poglądem na sprawę.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Petersburg — Warszawa.

4. marca 1861 roku.

Nim kogo wyszlę, zaczął am przybycia Karnickiego. Proponuję wam Płatonowa.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

4. marca 1861 roku.

Płatonów niezbędny w Petersburgu. Pozwólcie niech pomyśle o kim innym.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Petersburg — Warszawa.

5. marca 1861 roku.

Kuryer dziś przybył. Prośbę znajduję zupełnie niewłaściwą. Odpowiem po przybyciu Karnickiego. Rozkaż odebrać broń mieszkającym Warszawy i w całym Królestwie. Kazałem ministrowi wojny, by wysłał do Królestwa brygadę huzarów z 1-szej dywizji, i całą drugą dywizję piechoty, z Donu zaś 4 pulki kozaków. Warszawy nie opuszczaj pod żadnym warunkiem. Wrazie potrzeby każ zbombardować miasto.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

5. marca 1861 roku.

Posłałem przez Karnickiego projekt ogłoszenia, które mam wydać we własnem imieniu. Sądzę, że takie ogłoszenie jest konieczne, nie wyłączając nawet i drugiej jego części.

Prawdopodobnie wypadnie zmienić niektóre nazwiska osób, mających się wysłać do Petersburga. Ks. *Gorzaków*.

Warszawa — Petersburg. Przez ministra wojny.

7. marca 1861 roku.

Powzięte po przybyciu Karnickiego postanowienie proszę mi przesłać w depeszy szyfrowanej. Ks. *Gorzaków*.

Petersburg — Warszawa.

7. marca 1861 roku.

Karnicki przybył. Odpowiem jutro.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa.

8. marca 1861 roku.

Odpowiedź moją przywiezie wam adjutant Meyendorff, którego jutro wieczorem wyprawię. Nie zgadzam się stanowczo na wysyłanie tu deputacyi, wszakże nie ogłaszajcie o tem aż do otrzymania mego pisma i oficjalnej odpowiedzi.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa.

9. marca 1861 roku.

Meyendorff zabrał mój list i oficjalny reskrypt w odpowiedzi na podaną mi prośbę. Oznajmiwszy ją komu należy, możecie ją ogłosić w dziennikach tem bardziej, że samą prośbę wydrukowały już wszystkie zagraniczne pisma.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

12. marca 1861 roku.

Dowiaduje się, że warszawski adwokat Majewski pojechał do Petersburga. On jest członkiem tutejszego Towarzy-

stwa rolniczego. Jest to człowiek niebezpieczny i należy go mieć na oku.

Jen. adj. ks. *Gorczałków*.

Petersburg — Warszawa. Minister wojny do ks. Gorczakowa.

13. marca 1861 roku.

Proszę o wiadomości, czy przybył już do Warszawy Meyendorf. Cesarz o to zapytuje i dziwi się, żeście sami o tem nie donieśli.

Suchozanet.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

13. marca 1861 roku.

Meyendorf przybył wczoraj. Za parę godzin wysyłam depezę szyfrowaną.

Jen. adj. ks. *Gorczałków*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

13. marca 1861 roku.

Reskrypt odczytałem tym pięciu osobom, które mi doręczyły prośbę. Przyjęli go bez żadnych uwag i tem się sprawa zakończyła. Proszę o zezwolenie wstrzymania się chociaż kilku dni z ogłoszeniem reskryptu. Ponieważ publiczność nie wie jeszcze o poufnych komunikacjach co do zamierzanych reform, ogłoszenie mogłoby wywołać niemile wrażenie, któreby potem z trudnością dało się usunąć.

Ks. *Gorczałków*.

Petersburg — Warszawa.

14. marca 1861 roku.

Żądam, aby reskrypt natychmiast został ogłoszony w dziennikach.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do hr. Adlerberga 1-go.

13. marca 1861 roku.

Proszę natychmiast w drodze telegraficznej powołać mnie do Petersburga. — Muszę przedstawić Najjaśniejszemu Panu sprawę doniosłości państwowej.

Jen. maj. świty J. C. Mości *Gieccewicz*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

14. marca 1861 roku.

Reskrypt już się drukuje we wszystkich dziennikach. Wczoraj jeszcze, już po wysłaniu depezy, zdecydowałem się dziś go ogłosić¹⁾.
Jen. adj. ks. *Gorzaków*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

14. marca 1861 roku.

Czynność policyi przywrócona już od ośmiu dni. Delegacya miejska nie posiada żadnej oficjalnej władzy ani własnych patrolów nie wysyła. Ona dopomaga tylko swym wpływem do utrzymania spokoju w mieście. Ks. *Gorzaków*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

15. marca 1861 roku.

Wypada koniecznie powierzyć kuratoryę warszawskiego okręgu naukowego radcy tajnemu Łaszczyńskiemu. — Proszę o zezwolenie.
Jen. adj. ks. *Gorzaków*.

Petersburg — Warszawa.

15. marca 1861 roku.

Meyendorf przybył wczoraj wieczorem. Pochwalam ostannie wasze zarządzenia. Na główne zapytania odpowiedziałem już listownie przez Meyendorfa. Na przesunięcie wojsk zgoda. Zawiadamiajcie telegraficznie o wysłaniu kuryerów, również o przybywaniu moich. Karnicki w tych dniach powraca z wygotowanymi planami reform.
Aleksander.

Petersburg — Warszawa.

15. marca 1861 roku.

Na Łaszczyńskiego się zgadzam.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

15. marca 1861 roku.

Za parę dni wysyłam projekt Wielopolskiego z dodaniem moich uwag. Proszę nie zatwierdzać projektów sekretaryatu zanim nie przybędzie mój kuryer.
Ks. *Gorzaków*.

¹⁾ Po otrzymaniu tej depezy cesarz Aleksander II miał powiedzieć: *Ces térgiversations sont déplorables*.

Petersburg — Warszawa.

15. marca 1861 roku.

Cieszę się, że reskrypt wywarł dobre wrażenie. Nim zatwierdzę prace przygotowane w sekretaryacie, przeszlę je wam pierwaj do zaopiniowania.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

16. marca 1861 roku.

Umiarkowani nie przestają pracować nad uspokojeniem umysłów i mam nadzieję, że to się im powinno udać.

Ks. Gorczaków.

Petersburg — Warszawa.

17. marca 1861 roku.

Cieszę się z usiłowań umiarkowanych. Dzisiaj tu i w Moskwie został ogłoszony manifest o uwolnieniu włościan. Wszystko odbyło się zupełnie spokojnie.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

17. marca 1861 roku.

O dziesiątej wieczorem wyprawiam kuryera.

Ks. Gorczaków.

Warszawa — Petersburg.

18. marca 1861 roku.

Stan w Warszawie bez zmiany. — Winszuję szczęśliwego ogłoszenia manifestu o uwolnieniu włościan. *Ks. Gorczaków.*

Petersburg — Warszawa.

18. marca 1861 roku:

Giecwicz przybył rano. Wasze listy obok jego przedstawień utwierdzają mnie jeszcze bardziej w mych dawnych przekonaniach. Odpowiem po przybyciu następnego kuryera. Zastąpienie stanowcze Trepowa pozostawiam do waszego wyboru. Proponuję adjutanta waszego Mezeńcowa. Czy zwinięta miejska delegacya? Uważam to za konieczne, również jak zamknięcie wszelkich klubów i podobnych zebrań. Odpowiedzcie teregraficznie.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

19. marca 1861 roku.

Przez wszorajszego kuryera prosiłem o zezwolenie zatrzymania jeszcze na pewien czas delegacyi, gdyż w obecnej chwili

ona jest pożyteczną, niedopuszczając demonstracyi. Upraszam o zezwolenie utrzymania jej aż do przybycia kuryera.

W kupieckiej resursie bywały liczne zebrania. Od wczoraj polecono, aby wstęp tylko rzeczywistym członkom był dozwolony. Co do innych zebrań wydam stosowne zarządzenia.

Sam chciałem naznaczyć Mezeńcowa na miejsce Trepowa, lecz w czasie demonstracyi posyłałem go wszędzie, gdzie zachodziły niepokoje i wskutek tego został znieawidzony. Nazywają go wszędzie katem. W tych dniach przybędzie Kroiński i policya przejdzie w jego zawiadywanie. Ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

19. marca 1861 roku.

Kiedy mogę się spodziewać powrotu Karnickiego z projektami?

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

20. marca 1861 roku.

Dziś wieczór wysyłam z powrotem generał-majora Giecwicza. Zabiera list, którego treści nie zna, na ważność zaś którego zwracam szczególniejszą waszą uwagę. Żądam, byście koniecznie zamianowali oberpolicmajstra. Wasza uwaga co do Mezeńcowa nie powinna bynajmniej stać na przeszkodzie jego nominacyi. Czy nie przysłać wam do pomocy, albo dla czasowego zastąpienia Paniutyna, generał-adjutanta księcia Uru-sowa? To człowiek energiczny i dobrze wam znany. Po otrzymaniu zapowiedzianego kuryera, znów do was napiszę.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa.

20. marca 1861 roku.

Karnickiego wyprawię zapewne na drugi tydzień, gdy otrzymam wasz projekt i porównam go z przygotowaną robotą w sekretaryacie.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

21. marca 1861 roku.

Projekt margrabiego Wielopolskiego wysyłam dzisiaj przez urzędnika, który może udzielić potrzebnych wyjaśnień.

O oberpolicmajstrze doniosę oddzielnie — o księcia Urusowa
proszę. Jen. adj. ks. *Gorexaków*.

Petersburg — Warszawa.

21. marca 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Dalsze istnienie delegacyi uważam stanowczo za szkodliwe i dlatego żądam, aby bezwzględnie została rozwiązana.

Czy to prawda, że zbierają składki na pomnik dla zabitych? Na to nie można pozwalać, i oddzielnego pomnika nie wznosić. Żałuję, żeście wstrzymali projekt Wielopolskiego, przez to traci się na czasie. Praca sekretaryatu w sobotę ma być rozpatrywana na radzie ministrów w mojej obecności, w przyszłym zaś tygodniu przyślę ją przez Karnickiego. Platonów tu niezbędny.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

21. marca 1861 roku.

Delegację jutro rozwiążę. Składki na pomnik zbierają wspólnie z ofiarami na rzecz rodzin poległych i rannych. Nie dopuszczę wystawienia pomnika. — Na oberpolicmajstra mianuję pułkownika Rozwadowskiego ¹⁾. Ks. *Gorexaków*.

Petersburg — Warszawa.

22. marca 1861 roku.

Uważam, że koniecznie potrzeba uwolnić Muchanowa, nie jako ustępstwo, lecz we własnym interesie. Pozostawiam panu, kim go zastąpisz. Do czasu proponuję Łaszczyńskiego, lecz wolalbym Rosyanina. Dla wydzielonych spraw wychowania proponuję generał-majora artyleryi Krzyżanowskiego, to człowiek światły i pewny. Na Rozwadowskiego się zgadzam.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

23. marca 1861 roku.

Muchanow uwolniony. Niebawem doniosę kim go zastąpię. Jen. adj. ks. *Gorexaków*.

¹⁾ Dowódzca Symbirskiego pułku piechoty.

Warszawa — Petersburg.

23. marca 1861 roku.

Delegacya rozwiązana. Ośmiu z pomiędzy delegatów będzie zasiadało, dla dobra spraw miejskich, w magistracie.

Blagam o przysłanie chociażby na tydzień Platonowa, gdy nadejdą projekta. Jest to niezbędne. Czasowo mógłby go zastąpić sekretarz Żukowski ¹⁾.

Proszę o telegraficzną wiadomość co do postanowień powyższych w sprawie projektowanych reform a szczególnie co do projektów Wielopolskiego. Wiele zależy na tem, by nie zwlekać z decyzją co do projektów tegoż w sprawie urządzenia okręgu naukowego i spraw wyznaniowych.

Proszę o przysłanie tu generała Krzyżanowskiego, w każdym razie będzie mógł z korzyścią być tu użyty.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

24. marca 1861 roku.

Dziś otrzymałem projekt Wielopolskiego, jutro wspólnie się go rozpatrzy. Wieczorem spodziewam się, że będę mógł dać chociażby przedwstępna odpowiedź. Kogoście zamianowali na miejsce Muchanowa? Nie widzę potrzeby wysłać teraz Krzyżanowskiego.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

24. marca 1861 roku.

W plany moje zastąpienia Muchanowa na obu jego stanowiskach wchodzi także Giecwicz. Doniosę po jego powrocie.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

24. marca 1861 roku.

W tej chwili przybył Giecwicz. Przeprowa w Janowie zatrzymała go przez 36 godzin.

Ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

25. marca 1861 roku.

Dnia 23. marca wyprawilem Muchanowa za granicę. Dojechał w karecie do najbliższej stąd stacyi drogi żelaznej, dalej

¹⁾ Stefan Michałowicz, sekretarz stanu, umarł w 1877 roku.

miał specjalny pociąg. O godzinie 9. wieczorem na dworzec warszawski zbiegło się naraz mnóstwo ludu. Gdy go nie zastali, hałasowali, a po wybiciu kilku szyb w pociągu, natychmiast się rozeszli. Prawie na wszystkich stacjach spotykano go gwizdaniem. Wyznaczę śledztwo dla zbadania tych zajść. Czy Wasza C. Mość rozkaże, by Muchanow przybył teraz do Petersburga? Wkrótce doniosę kogo naznaczyć do zarządzania komisją spraw wewnętrznych. — Dalsze działania zastosuję do listu W. C. Mości z dnia 20 marca. *Ks. Gorczaków.*

Petersburg — Warszawa.

25. marca 1861 roku.

Nie mogę w zupełności przyjąć projektu Wielopolskiego. Depesza księcia Gorczakowa (kanclerza) objaśni, w czym polegają zmiany. Na podstawie przyjętych zasad zostanie wygotowany ukaz, który jutro podpiszę i wyszlę jutro albo we środę przez Platonowa i Karnickiego. W razie nowych nieporządków spodziewam się energicznych zarządzeń z waszej strony.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

26. marca 1861 roku.

Wczoraj wieczorem tłum zebrał się nagle przed teatrem i wybil kilka szyb w mieszkaniu generała Abramowicza, potem zaś w mieszkaniu rządowego rady stanu Enocha, poczem zaraz się rozprószył. — Nie było potrzeby użycia wojska.

Dziś jeszcze doniosę o zastępstwie na miejsce Muchanowa. *Jen. adj. ks. Gorczaków.*

Warszawa — Petersburg.

26. marca 1861 roku.

Potrzeba koniecznie ogłosić jutro w mojem imieniu o ustanowieniu rządowej komisji wyznań i oświaty i o nominacji na jej dyrektora Wielopolskiego. Potrzeba także ogłosić jutro w skróceniu program zamierzanych reform. Proszę o zezwolenie. Giecewicza czasowo przeznaczyłem do komisji spraw wewnętrznych. Na Łaszczyńskim nie można w zupełności polegać. Zarządzam co potrzeba, by niedopuszczyć do dalszych nieporządków. *Jen. adj. ks. Gorczaków.*

Petersburg — Warszawa.

26. marca 1861 roku.

Nie można żadną miarą zezwolić na powtórzenie się nieporządków, jakie zaszły w sobotę i poniedziałek. Dziś wieczór wyprawiam zięcia waszego Meyendorfa z listem. Platonow jutro wyjedzie z ukazem. Muchanowowi polećcie, by przyjeżdżał tutaj.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa.

26. marca 1861 roku.

Zgadzam się na ogłoszenia, również na nominacye Wielopolskiego i Giecewicza.

Aleksander.

Do księgi III. — od 28. marca do 12. czerwca 1861 r.

Warszawa — Petersburg.

28. marca 1861 roku.

Ogłoszenie o reformach wywarło jak najlepsze wrażenie na umiarkowanych. Czy i jaki wpływ wywrze na innych, dopiero za kilka dni da się osądzić.

Ks. Gorczaków.

Warszawa — Petersburg.

29. marca 1861 roku.

Ogłoszenie łask Monarszych nie przestaje wywierać jak najlepszego wpływu. Nominacyę Wielopolskiego także dobrze przyjęto.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

29. marca 1861 roku.

Jeneral-porucznik Wagner, liczący się w wojskach zapasowych, stoi pod pańskimi rozkazami. Potrzebuję koniecznie powierzyć mu czasowo stanowisko, na którem powinien się znajdować wojskowy jeneral. Proszę o odpowiedź, czy mogę go użyć.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

29. marca 1861 roku.

W tej chwili przybył Meyendorf.

Ks. Gorczaków.

Petersburg — Warszawa. Minister wojny do ks. Gorczakowa.

30. marca 1861 roku.

Na spisie jenerałów Cesarz własnoręcznie zaznaczył przy Wagnerze: »dać dymisyę.« Wszakże to nie przeszkodzi przedstawieniu, lecz w każdym razie wątpię, czy da się on użyć do jakiegokolwiek poważnej pracy administracyjnej. Czekam odpowiedzi ¹⁾.

Suchoxanet.

Warszawa — Petersburg.

30. marca 1861 roku.

Dobre wrażenie wywołane przez nadane łaski nie przestaje się rozszerzać.

Ks. *Gorczaków.*

Warszawa — Petersburg.

30. marca 1861 roku.

Proszę wyjednać najwyższe zezwolenie na zamianowanie w razie potrzeby, naczelników wojennych po guberniach.

Jenerał Wagner nadaje się na taką posadę.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Warszawa — Petersburg.

30. marca 1861 roku.

W tej chwili przybyli: Płatonów i Karnicki.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

Warszawa — Petersburg.

31. marca 1861 roku.

Najwyżej udzielone łaski wywierają dalej swój wpływ dobroczynny.

Jen. adj. ks. *Gorczaków.*

¹⁾ Sprawdzona przez jenerała Gerstenzweiga lista kwalifikacyjna jenerała Wagnera podaje następujące daty: Jenerał-porucznik Wagner oficerem od 1819 roku. Jenerałem w 1848 roku, w obecnym stopniu od 20. października 1855 roku. Dowodził trzynastą dywizyą piechoty. Prosił o inne naznaczenie, w czem był poparty przez naczelnego wodza na Kaukazie. Dnia 26 stycznia 1860 roku zaliczony do wojsk zapasowych. Na ogólnym spisie jenerałów, zaliczonych do wojsk zapasowych, Najjaśniejszy Pan przy nazwisku jenerała Wagnera raczył własnoręcznie zaznaczyć „uwolnić“ ze służby.

Warszawa — Petersburg.

1. kwietnia 1861 roku.

Ukaz został odczytany na radzie administracyjnej, następnie ogłoszony. Pierwsze wrażenie dobre. Dla dokładniejszego zdania sprawy wyszłę za parę dni kuryera.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

2 kwietnia 1861 roku.

Ukaz nie przestaje wywierać dobrego wrażenia. Wszakże dotychczas nie da się osądzić, w jakim stopniu podziałał on bezpośrednio na umysły ogółu mieszkańców Warszawy.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

3 kwietnia 1861 roku.

Dobre wrażenie ukazu trwa widocznie dalej. Wieczorem wysłałem kuryera ze sprawozdaniem o ważnych zarządzeniach, o których także telegraficznie doniosę. — Muchanow wyjechał już z Berlina udając się do Petersburga.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

3. kwietnia 1861 roku.

Rozwiązałem wydział obywatelski przy magistracie i równocześnie zawiesiłem jego czynność policyjną. W resursie ogłoszono, że odtąd, nie zważając na postanowienia statutu, osobom nie będącym stałymi członkami resursy, wstęp zostaje wzbroniony.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

3. kwietnia 1861 roku.

Kretkowski przybył dziś wieczór. Ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

4. kwietnia 1861 roku.

Drzewiecki za słaby na terażniejsze stosunki. Potrzeba niezbędnie energicznego dyrektora sprawiedliwości. Proszę o zatwierdzenie czasowe w tej godności ober-prokuratora działającego departamentu, Wołowskiego. On nie podpisał adresu.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

4. kwietnia 1861 roku.

Na Wołowskiego się zgadzam. Potrzeba koniecznie zwrócić baczniejszą uwagę na telegraficzną korespondencję tak do brze z Rosją, jak i z zagranicą.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

6. kwietnia 1861 roku.

Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem, postanowieniem rady administracyjnej dziś zostało rozwiązane, co się jednocześnie ogłasza w dziennikach.

Ks. Gorczaków.

Warszawa — Petersburg.

7. kwietnia 1861 roku.

Gubernator lubelski Mackiewicz wyjechał do Warszawy, nie zażądawszy pozwolenia. W obecnych stosunkach przykład potrzebny. Proszę o zezwolenie na wydalenie go ze służby.

Jen. adj. ks. Gorczaków.

Petersburg — Warszawa.

7 kwietnia 1861 roku.

Kuryer wasz nadszedł dziś rano. Najzupełniej pochwalam wszystkie ostatnie energiczne zarządzenia, jako zupełnie odpowiadające moim niezmiennym zamiarom. Gubernatora Mackiewicza dla przykładu usunąć ze służby. Kim się go zastąpi? Kryżanowskiego poszłę wam ku końcowi tego tygodnia, kuryera wyszłę we wtorek.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

8. kwietnia 1861 roku.

Wczoraj miała miejsce wielka manifestacya na cześć rozwiązanego Towarzystwa rolniczego. Wojsko wystąpiło. Tłumy długo stały na ulicach, lecz w końcu się rozeszły. Obeszło się bez rozlewu krwi. Szczegóły z kuryerem, którego jutro wieczorem wyszłam.

Jen. adj. ks. Gorczaków.

Warszawa — Petersburg. Do Jego Cesarskiej Mości.

8. kwietnia 1861 roku.

Na miejsce Mackiewicza tymczasowo mianuję Boduszynskiego, prokuratora przy trybunale cywilnym w Lublinie.

Jen. adj. ks. Gorczaków.

Warszawa — Petersburg. Do Jego Cesarskiej Mości.

9. kwietnia 1861 roku.

Wczoraj znów się powtórzyło zbiegowisko na placu Zamkowym. Rozpędzono je bronią, i walka po kilkakroć się wznowiała. Zabito około 10-ciu ludzi, tyleż rannych. Aresztowano 45-ciu opornych. Z naszej strony zginęło 5 ludzi.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

9. kwietnia 1861 roku.

Wczorajsze zaburzenia nie dziwią mnie wcale, oczekiwaliśmy tego. Spodziewam się, że teraz, bez żadnych ustępstw, porządek jak najenergiczniej zostanie przywrócony. Jeśli nieporządki się powtórzą, każ ogłosić w mieście stan oblężenia. Czy jest jaki oficer między poległymi, a między uwięzionymi czy jest którykolwiek z główniejszych kierowników? Resursę potrzeba koniecznie zamknąć. Kuryera wysyłam wieczorem.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

9. kwietnia 1861 roku.

Dotychczas w mieście spokojnie. Lud nadzwyczaj rozdrażniony, lecz jeszcze bardziej wystraszony. Ogłaszam nowe rozporządzenia co do zbiegowisk. Stanu oblężenia nie ogłaszam, zatrzymując to jako ostatnią pogroźkę, tem bardziej, że *de facto* stan ten istnieje. Kuryera wyszlę jutro wieczorem.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

9. kwietnia 1861 roku.

Z oficerów nikt nie zginął. Między uwięzionymi nie ma nikogo ważniejszego, przeważnie zwykli awanturnicy. Resursa sama się zamknęła i pozostanie zamkniętą. Ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg.

10. kwietnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczoraj w całym mieście panował spokój.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

13. kwietnia 1861 roku.

Wasz feldjeger przybył dziś o godzinie 8. rano, zdoławszy 12-go wsiąść na pociąg w Dynaburgu o godzinie 2. minut 20 po południu. Na przyszłość należy tak wyprawiać kuryerów, by przybywali do Dynaburga przed godziną drugą po południu.

Suchozanet.

Petersburg — Warszawa.

13. kwietnia 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Daj Boże, aby nauczka dana ósmego warszawskiemu ludowi, pozbawiła go ochoty do podobnych zbiegowisk. Żądam, by za pierwszym powtórzeniem się takowych ogłoszono w Warszawie i w całym kraju stan oblężenia. Proszę mi przysłać szczegółowe sprawozdania o wszystkim, co się u was dzieje. W razie użycia wojska donosić dokładnie o wszystkim za pośrednictwem ministra wojny. Od jakiej broni byli zabici i ranni w Warszawie? Jutro napiszę przez kuryera wiedeńskiego. Kryżanowski wyjeżdża we wtorek.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

14. kwietnia 1861 roku.

Jeśli wypadnie mi rozprószyć siłą oręża jakie zbiegowisko, natychmiast ogłoszę stan oblężenia, wszakże nie spodziewam się, by tak zaraz przyszło do tej ostateczności, gdyż widocznie wszyscy spokornieli.

Przez najbliższego kuryera przeszlę szczegółową relację o zajęciach na prowincyi, gdzie wszakże nigdzie nie zachodziła potrzeba użycia broni.

W Warszawie tumultanci zginęli wyłącznie od strzałów karabinowych, których dano 450. Działa nie były użyte.

Jen. adj. ks. *Gorzaków.*

Warszawa — Petersburg. Do Jego Cesarskiej Mości.

15. kwietnia 1861 roku.

Jeden kozak zginął, ugodzony kamieniem. Żołnierz, o którym sądzono, że zabity, odnalazł się w szpitalu, ciężko raniony

kamieniem. Czternastu żołnierzy jest rannych kamieniami lub kijami o galkach ołowianych. Dziewiętnastu zaś lekko kontuzjonowanych kamieniami. Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

16. kwietnia 1861 roku.

Urzędnikom w Królestwie, którzy wskutek obecnych zajęć będą prosić o uwolnienie od obowiązków, albo też z urzędu zostaną uwolnieni ze służby, nie przyznawać emerytury aż do dalszego rozporządzenia. Co należy ogłosić w rodzaju ostrzeżenia. *Aleksander*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

19. kwietnia 1861 roku.

Dziś jestem niezdrów. Kuryera dopiero jutro wyprawię. Tutaj wszystko w porządku. Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

21 kwietnia 1861 roku.

Proszę oświadczyć Najjaśniejszemu Panu, że pozawiązywane w różnych miejscowościach Królestwa delegacye, wszystkie zostały rozwiązane i nadzór nad publicznym porządkiem wszędzie poruczono miejscowym władzom policyjnym, którym w razie potrzeby udziela pomocy władze wojskowe.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

21. kwietnia 1861 roku.

Kryżanowski przybył dziś rano. Ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

23. kwietnia 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Wszystkie poczynione zarządzenia pochwalam. Napiszę jutro. *Aleksander*.

Warszawa — Petersburg.

27. kwietnia 1861 roku.

Czy nie możnaby przysłać tutaj jakiego bardzo tegiego audytora dla śledczej komisji w cytadeli. Niezmiernie mi jest potrzebny. Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

28. kwietnia 1861 roku.

W tych dniach zostanie wysłany audytor Achszarumow¹⁾. — Książę Urusow dziś przyjechał.

Minister wojny *Suchoxanet*.

Warszawa — Petersburg.

29. kwietnia 1861 roku.

Czy mam już teraz oznajmić Paniutynowi o jego uwolnieniu i czy mogę do czasu nadejścia odpowiedzi od Lamberta, poruczyć tymczasowo pełnienie obowiązków generał-gubernatora Merchielewiczowi. Ani Urusow, ani Chrulew lub Kucyński do tego się nie nadają.

Ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

29. kwietnia 1861 roku.

Paniutyna można zaraz uprzedzić, na Merchielewicza się zgadzam. Kuryer wasz przybył wczoraj rano. Odpowiem jutro.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

30. kwietnia 1861 roku.

Tutaj wszystko spokojne. Kuryera wyszłę zapewne nie prędzej aż za dni parę. Zabierze projekta o urządzeniu włościan, nad którymi wiele pracujemy. Paniutyn życzy sobie być przy cesarzu. Tymczasowo poruczam zastępstwo Merchielewiczowi. Oby się tylko Lambert zgodził. Lepszego wyboru trudno życzyć.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

9. maja 1861 roku.

Kuryer wasz przybył wczoraj. Zatwierdzenie ukaz o urządzeniu włościan odkładam aż do nadejścia opinii Giecewicza, którą proszę mi spiesznie przysłać. Odpowiem, gdy otrzymam oświadczenie Lamberta, które powinno już za parę dni nadejść.

Aleksander.

¹⁾ Jan Dymitrowicz Achszarumow, asesor kolegiálny, lat 30, prawosławny, żonaty, kandydat praw z uniwersytetu petersburgskiego. (Notatka ministra wojny).

Warszawa — Petersburg. 12. maja 1861 roku.

W tej chwili wyrusza feldjeger do Petersburga.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa. 13. maja 1861 roku.

Odpowiedź na sprawozdania nastąpi po przybyciu kuryera, którego wczoraj wyprawiliście z Warszawy.

Minister wojny *Suchozanet*.

Petersburg — Warszawa. 13. maja 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Jutro zostanie załatwiony ukaz o urządzeniu włościan. W piątek stąd odejdzie. Jeszcze nie otrzymałem stanowczej odpowiedzi od hr. Lamberta, spodziewam się jej za tydzień.

Aleksander.

Dnia 15. maja generał-adjutant Suchozanet telegrafował do księcia Gorczakowa, że dnia 24. maja cesarz wyjeżdża do Moskwy i że byłoby bardzo do życzenia, aby Platonów powrócił do Petersburga jeszcze przed tym terminem. Następnie na zapytanie księcia Gorczakowa, jak długo cesarz zamierza zabawić w Moskwie, odpowiada: do 21. czerwca 1861 roku.

Warszawa — Petersburg. 17. maja 1861 roku.

Platonów dziś w nocy wyjeżdża.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Warszawa — Petersburg. 19. maja 1861 roku.

Proszę zakomunikować Platonowowi: Rota przysięgi. Ja, niżej podpisany obiecuję i przysięgam, że prawem określone obowiązki członka... będę spełniać sumiennie i gorliwie, i tak wszędzie i zawsze postępować, jak na uczciwego i wiernego poddanego Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, Aleksandra II przystało. Zwroty i formuły religijne, stosownie do wyznania.

Jen. adj. ks. *Gorczaków*.

Petersburg — Warszawa.

21. maja 1861 roku.

Platonow przybył. Projekta zostaną rozpatrzone na radzie ministrów w mojej obecności. Z tego powodu odłożyłem wyjazd do Moskwy do 29. b. m.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg.

22. maja 1861 roku.

Jermolów nie umie prowadzić spraw komisji śledczej. Upraszam o zezwolenie na poruczenie przewodnictwa w tej komisji pułkownikowi von Tschudi, który nareszcie przybył. (Cesarz się zgodził).

Jen. adj. ks. *Gorczałków.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

25. maja 1861 roku.

Dziś o południu ksiązę Gorczaków silnie zasłabł. Doktory powiadają, że wyraźnego niebezpieczeństwa niema. Donoszę o tem, uprzedzając prywatne depesze. O dziesiątej wieczorem ponownie zatelegrafuję.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

26. maja 1861 roku.

Księżciu nie lepiej, lecz i nie gorzej. Lekarstwa nie skutkują. Ksiązę upadł na duchu i mówi o śmierci. Cierpi bardzo. Zajmować się sprawami nie może.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

26. maja, godz. 11. m. 45 przed poł.

Ksiązę bardzo osłabiony, polecił mi, bym objął dowództwo nad armią. Lekarze nie widzą niebezpieczeństwa. Noc była niespokojna.

Kryżanowski.

Petersburg — Warszawa. Do jen. adj. Merchielewicza, pełniącego obowiązki warszawskiego wojennego generał-gubernatora.

26. maja 1861 roku.

Z najwyższego rozkazu poleca się panu na czas choroby namiestnika objąć zarząd spraw cywilnych i przewodniczyć na

radzie administracyjnej Królestwa aż do przybycia ministra wojny, który wyjeżdża 28. b. m. *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

26. maja 1861 roku.

Kuryer w tej chwili wyjeżdża. Doktorzy nie pozwolili oznajmić księciu o waszem przybyciu. Kiedy i gdzie mam was oczekiwać? Czy nie rozkażesz pan zatrzymać kurjera w Dynaburgu dla odebrania ważnych papierów, które wiezie?

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

26. maja, wieczorem.

Księżę czuje się nieco lepiej, lecz jest bardzo osłabiony. Lekarze oświadczyli, że do zupełnego wyzdrowienia potrzeba co najmniej czterech tygodni.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

27. maja 1861 roku.

Noc przeszła w silnych napadach astmy. Chwilami uspokajał się siedząc w fotelu. Siły wciąż bardzo słabe.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

27. maja, godz. 12. m. 21 po południu.

Stan chorego nic się nie poprawił. Mdłości większe, oddech trudniejszy i osłabienie coraz większe. *Kryżanowski.*

Petersburg — Warszawa. Do księcia M. D. Gorczakowa.

27. maja 1861 roku.

Stosownie do pańskiego życzenia, wysyłam ministra wojny, by was czasowo zastąpił. On wyjeżdża 17/29 b. m. Proszę Boga o jak najprędzszy powrót wasz do zdrowia.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa. Do generała Kryżanowskiego.

27. maja 1861 roku.

Doczekam się na miejscu waszego kuryera. Dnia 29-go rano przeprowadziwszy Najjaśniejszego Pana kilka stacyi ku Moskwie, wrócę do Carskiego Siola i tego samego dnia o godzinie 2. minut 30 po południu wyjadę do Warszawy, dokąd zapewne przybędę 31-go w nocy. Proszę nie zarządzać żadnych przyjęć i spotkań. Kuryer poprzędzi mnie o całą dobę.

Minister wojny *Suchozanet*.

Warszawa — Petersburg.

27. maja 1861 roku.

W Warszawie zaczyna się objawiać pewne wzburzenie. Na czwartek, a może nawet na środę przygotowują się demonstracye. Zamierzam jutro wybębnić, że pierwszy strzał dany z cytadeli na alarm, będzie zarazem znakiem zaprowadzenia w mieście stanu wojennego. Proszę o rozkazy. *Kryżanowski*.

Zgodnie z wydanym z tego powodu najwyższym rozkazem, minister wojny depeszą z dnia 27. maja 1861 roku polecił Kryżanowskiemu, by tenże oznajmił Merchelewiczowi, że cesarz zezwala na wydanie takiego ogłoszenia.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

27 maja 1861 r. wieczorem.

Chory spędził dzień nieco lepiej. Oddech swobodniejszy.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

28. maja 1861 roku.

Umysły wzburzone. Dziś miały miejsce zajścia z policją na Lesznie i w Czerniakowie. Wkrótce należy oczekiwać poważniejszych zaburzeń. Proszę o polecenie, by generał - adjutant Merchelewicz ogłosił we własnem imieniu, że pierwszy strzał

alarmowy dany z cytadeli, będzie zarazem znakiem postawienia miasta w stanie wojennym. *Kryżanowski.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

28. maja 1861 roku.

Dziś rano zawiadomiono księcia o pańskim przyjeździe, z czego jest bardzo zadowolony. Lekarze nie pozwolili wcześniej zakomunikować tej wiadomości choremu.

Kryżanowski.

Petersburg — Warszawa. Do księcia Gorczakowa.

28. maja 1861 roku.

Nowe ustawy dla Królestwa wczoraj zostały rozpatrzone na radzie ministrów i ostatecznie je zatwierdziłem. Szczerze dziękuję za tę sumienną pracę. Minister wojny wyjeżdża jutro. Platonowa wyszłę, jak tylko prace przygotowawcze zostaną tu wykończone. Zgadzam się na wasz wyjazd za granicę. Daj Boże, aby był skuteczny.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

28. maja 1861 roku.

Ogłoszenia po mieście uskuteczniiono i przypomniano wydane rozporządzenia na wypadek nieporządków. Po naradzie z Wielopolskim nie wspomniano o zaprowadzeniu stanu oblężenia.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do jen. adj. hr. Adlerberga 2-go.

29. maja 1861 roku.

W nocy silne ataki astmy połączone z mdłościami. Bezsenność. Zupełny upadek sił.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do jen. adj. hr. Adlerberga 2-go.

29. maja 1861 roku.

Książę Gorczaków dzień spędził dosyć spokojnie, oddech mniej utrudniony. Bezsenność ciągle. W mieście spokojnie.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do jen. adj. hr. Adlerberga 2-go.

30. maja 1861 roku.

Bezsenność trwa ciągle, lecz noc była spokojniejsza.
Astma nie tak silna. Zanik sił zupełny. *Kryżanowski.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

30. maja, godz. 1. min. 52 po południu.

Książę Gorczaków nie żyje. Umarł spokojnie w południe.

Kryżanowski.

Warszawa — Petersburg. Do jen. adj. hr. Adlerberga 2-go.

30. maja 1861 roku.

Dziś wieczorem wysyłam kuryera do Moskwy z listem księcia Gorczakowa do Najjaśniejszego Pana, który znalazł się po jego śmierci. Między innymi w liście tym jest prośba o zezwolenie, by zwłoki jego zostały pochowane w Sebastopolu na północnej stronie. Księżna prosi o telegraficzną wiadomość, co Najjaśniejszy Pan postanowi w tym względzie.

Kryżanowski.

Moskwa — Warszawa.

30. maja 1861 roku.

Najjaśniejszy Pan z największą gotowością zezwala na pochowanie zwłok ś. p. Gorczakowa na północnej stronie Sebastopola. Honory wojskowe mają być oddane stosownie do wydanego ministrowi wojny w Warszawie rozkazu, to jest pułk piechoty, pułk kawaleryi i bateria artyleryi powinny przeprowadzić zwłoki od Belwederu do rogatki i tam oddać ostatnie honory.

Hr. Adlerberg 2-gi.

Warszawa — Moskwa.

4. czerwca 1861 roku.

Wyprowadzenie zwłok ks. Gorczakowa odbędzie się 27. maja (8. czerwca). Do Wiednia przybędą 28. maja (9. czerwca) do Gałęczu lub ujścia Dunaju dnia 30. maja (11. czerwca). Upraszam o polecenie wysłania na dzień i miejsce oznaczone parostatku dla zabrania zwłok i rodziny nieboszczyka i przewiezienia ich do Sebastopola. Minister wojny *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. Do jen. adj. hr. Adlerberga 2-go.

6. czerwca 1861 roku.

Lambert wyjechał 4-go, przybędzie do Petersburga za-
dwa 7-go wieczorem, albo 8-go rano. Zamierzał zabawić tam
dwa lub trzy dni. Jen. adj. *Kryżanowski*.

Moskwa — Warszawa. Do jen. adj. Suchozaneta.

6. czerwca 1861 roku.

Przed trzema dniami podpisałem ukazy o nowych usta-
wach dla Królestwa. Platonowa zatrzymuję aż do przyjazdu
hr. Lamberta. Tuczko w stanowczo wymawia się od Warszawy
i dlatego mocno jestem zafrasowany kogo naznaczyć¹⁾.

Aleksander.

Warszawa — Moskwa. Do Jego Cesarskiej Mości.

7. czerwca 1861 roku.

Wczoraj ostatni dzień procesyi, odbywanych z powodu
Bożego Ciała. Na Lesznie było do 20.000 ludu, na Solcu ja-
kie 8.000. Wszystko się odbyło w zupełnym porządku, z po-
wagą i nabożeństwem, o czem mam szczęście donieść Waszej
Cesarskiej Mości. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. Do Jego Cesarskiej Mości.

7. czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień w mieście
przeszedł spokojnie. Dziś rano odprawiają się egzekwie a o
pierwszej po południu nastąpi odjazd zwłok i rodziny ś. p.
księcia Gorczakowa do Wiednia. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. Do Jego Cesarskiej Mości.

7. czerwca 1861 roku.

Depeszę z dnia 7-go, godzina trzecia po południu, otrzy-
małem 8-go o godzinie 9-tej rano. Błagam nie spieszyć się

¹⁾ List Tuczko w na końcu tej korespondencji.

z ostateczną decyzją. Jeżeli bez szkody dla sprawy da się prowadzić tymczasowy zarząd, mogę takowy pełnić. Wszakże jestem przeświadczony, że na dotychczasowem stanowisku mogę być pożyteczniejszym Waszej Cesarskiej Mości. Ostatecznie jako wierny poddany i obowiązkowy sługa nie będę Cesarzowi mojemu stawiał trudności, jeśli się okaże stanowcza potrzeba tej nominacji. Lecz, Najjaśniejszy Panie, dla dobra samej sprawy musimy wszyscy i każdy z osobna być pewni, że posiadamy zupełne zaufanie Waszej Cesarskiej Mości. Lambert przedstawi osobiście stan tutejszego kraju i jedynie możliwy według naszego mniemania system dalszego działania, również zrobi przedstawienie o osobach, które w każdym razie są tu konieczne.

Jen. adj. *Suchozanet*.

Warszawa — Moskwa.

8. czerwca 1861 roku.

Zwłoki ś. p. księcia Gorczakowa przeniesiono dziś z należnymi honorami wojskowymi z cerkwi pałacu Łazienkowskiego na dworzec drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. O pierwszej po południu wyruszył pociąg, zabierając rodzinę nieboszczyka, jego adjutantów (Mezeńcowa, bar. Meyendorfa, ks. Golicyna, Ładomirskiego i ks. Urusowa), sześciu kozaków liniowych i czterdziestu żołnierzy piechoty pod dowództwem generał-majora Stahla von Holstein. W Skierniewicach, Piotrkowie, Częstochowie i Granicy ustawiono strażę honorową, gdyż w tych miejscach pociąg się zatrzymuje. W Szczakowym Stahle zda zwłoki komendantowi miasta Krakowa, który je spotka z oddziałem pułku piechoty króla hanowerskiego. — W czasie pogrzebu w Warszawie wszystko się odbyło spokojnie i z godnością, jak na taką smutną okoliczność przystało.

Jen. adj. *Suchozanet*.

Moskwa — Warszawa.

8. czerwca 1861 roku.

Wasz kuryer przybył dzisiaj. O pensjach dla księżny Gorczaków i jej córek otrzymacie zawiadomienie. Lamberta oczekuję pojutrze.

Aleksander.

Warszawa — Moskwa.

10. czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że dzień wczorajszy w mieście upłynął spokojnie. W ogrodzie Saskim było dosyć publiczności i ta zachowywała się zupełnie spokojnie. W parku Łazienkowskim po raz pierwszy przygrywała muzyka. W następnym tygodniu zamierzam rozpocząć przedstawienia w teatrach.

Feldjeger Weisman przybył wczoraj o czwartej, dziś rano wysyłam go do Wiednia, do księżny Górczaków.

Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa.

11. czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień przeszedł spokojnie. W kościele św. Krzyża odprawiono nabożeństwo żałobne za Lelewela.

Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa.

12. czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień w mieście przeszedł spokojnie. W Suwałkach wczoraj zaszły nieporządki, wskutek czego wojsko aresztowało kilka osób, wszakże bez użycia broni. Dla przeprowadzenia śledztwa wysyłam tam generał-adjutanta Rudawskiego. — Dla przywrócenia porządku mianuję tam naczelnika wojennego.

Jen. adj. *Suchozanet.*

List Pawła Aleksiejewicza Tuczkowa, adresowany do szefa żandarmów księcia Dolhorukiego, celem oświadczenia cesarzowi, dla jakich powodów nie może przyjąć ofiarowanej sobie wysokiej godności namiestnika w Królestwie Polskiem.

Miłościwy Książę Wasylu Andrejewiczu!

Chociaż nadzwyczaj pochlebnym i drogocennym dla mnie jest ten wysoki dowód zaufania Jego Cesarskiej Mości, wyrażony w zrobionej mi propozycji, jednak, stłumiwszy w sobie wszelkie porywy osobistej próżności i sławy, wszelkie wyrachowania materyalnych korzyści — jako uczciwy człowiek po-

czuвам się do obowiązku sumiennego zbadania sił swych i zdolności, i bezstronnego rozważenia, czy mogę odpowiedzieć poręczonym mi obowiązkom.

Po długim namyśle w tak ważnej sprawie, muszę z całą szczerością przyznać się do braków, które mogłyby zaszkodzić samej sprawie.

W obecnym wypadku niezbędnie mieć potrzeba charakter niezawisły, by móż działać bez względu na jakiegokolwiek miejscowe wpływy. Czyż ja, nie znający zupełnie kraju, jego stosunków i skomplikowanej administracyi, nie znając zupełnie ludzi, z którymi przyjdzie się mieć styczność, nie mając żadnych ani politycznych, ani dyplomatycznych wiadomości, a do tego nie władając swobodnie obcymi językami, w których potrzeba się stale porozumiewać z miejscowemi rządowemi władzami i osobistościami — posiadam te warunki?

W takich więc okolicznościach, bez wiary w siebie, a przy wrodzonej, niczem niedającej się przewyciężyć nieśmiałości — jak się uchronić od mimowolnego ulegania wpływom postronnym, jak się zastrzedz przed obraniem fałszywego kierunku w chwilach, gdzie stosunki mogą wymagać natychmiastowej decyzji i działania?

Zważywszy to wszystko, jakkolwiek ciężko mi opierać się świętej dla mnie woli mojego Cesarza i Pana, jakkolwiek trudno przewyciężyć podszepty miłości własnej i względy osobistych korzyści — to jednak wewnętrzny głos sumienia i uczciwość ułatwi mi to, pochodzące z najgłębszego przeświadczenia, wyznaczenie mej zupełnej w danym wypadku nieudolności, a tem uchroni Cesarza i ojczyznę od fałszywego i szkodliwego wyboru.

Oby Najjaśniejszy Pan raczył mi najmiłościwiej przebaczyć, że się wymawiam od ofiarowanego mi stanowiska; lecz nie mam w tem żadnego innego celu ani pobudek, jak tylko wzgląd na rzeczywiste dobro Jego Cesarskiej Mości.

Racz przyjąć książę i t. d.

Moskwa, w czerwcu 1861.

Paweł Tuczkow.

Wiersz Władysława Syrokomli

(Ludwika Kondratowicza)

napisany z powodu zamknięcia Towarzystwa rolniczego
w Królestwie Polskiem.

Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy.
Więc rozwiązał swym ukazem
Legion rolniczy!

Sam przypomniał Twoje długi
Rolniczy człowiecze,
Że żelazne sochy, pługi
Czas przekuć na miecze!

Wszak młocarnie i żniwiarki
Bezczynnne nie żyją;
Żać i młócić wrogów karki
Jest agronomią.

Gospodarka trzechpolowa
Wrogom się podoba.
Łan Poznania, łan Krakowa
Wzięli Niemcy, oba.

Moskwa wzięła resztę łanów
Polski, Litwy, Rusi.
Więc reforma płodozmianów
Klucć ich w oczy musi.

Łanów tych czy nie odbierzem?
Rady na to nie ma?
Złącz Łokietka z Kazimierzem —
To Polska systema!

Miecz i lemiesz — w swoją kolej
Wyborne narzędzie.
Łan zasiewaj, krwią go polej,
A pszenica będzie!

Gdy trzy łany wydrzem dziecy,
Gdy się kąkol wytnie —
Nasz odwieczny dom rolniczy
Znowu nam zakwitnie.

Kwiecień, 1861.



T R E Ś Ć.

	Strona
Od Tłumacza	5
Przedmowa Autora	11
Wstęp	15

K s i ę g a I.

Śmierć Paskiewicza Książę Gorczakow mianowany namiestnikiem. Charakterystyka i przeszłość tegoż. Aleksander II w Warszawie. *Point de reveries*. Niezadowolenie i pierwsze kółka patryotyczne. Andrzej hrabia Zamoyski. Towarzystwo rolnicze. Muchanów. Żydzki i artykuł Königa. Kółka czerwone. Jurgens. Jankowski. Akademicy. Początek manifestacyi. Bytność w Warszawie trzech monarchów Zuchwalstwa czerwonych. Nowakowski. Manifestacye na Lesznie i na Starem mieście. Zebranie Towarzystwa rolniczego. Strzały. Pięć ofiar. Delegacya. Pogrzeb ofiar. Ustępstwa władzy. (Od 20. stycznia 1856 do 27. lutego 1861 roku) str. 29

K s i ę g a II.

Podanie adresu do cesarza. Sądowo-lekarskie oględziny zabitych z ramienia drugiego oddziału warszawskiego sądu policyi poprawczej. Przeniesienie zwłok do kościoła św. Krzyża. Przygotowania do pogrzebu. Charakterystyka polskich kobiet. Pogrzeb pięciu ofiar. Wyjazd Karnickiego do Petersburga. Posiedzenia delegacyi w resursie i w ratuszu. Oktawa. Śledztwo w sprawie strzałów Zabołockiego. Margrabia Wielopolski. Zatwierdzenie reform, zaprojektowanych przez niego. Manifestacya studentów w kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Następstwa. Zebranie studentów petersburskiego uniwersytetu u k. legi Nekludowa. Nowe wybrki czerwonych w Warszawie. Odpowiedź cesarza na adres. Rozkaz namiestnika z dnia 16. marca. Okólnik Muchanowa. Następstwa. Wyjazd. Muchanowa Demonstracye przed mieszkaniem Abramowicza

i Enocha. Osadzenie przez wojsko Teatru Rozmaitości. Podział Warszawy na cztery okręgi wojenne. Rozwiązanie delegacyi. Zamianowanie Wielopolskiego dyrektorem komisji wyznań i oświaty. (Od 28. lutego po 22. marca 1861 roku) str. 161

K s i ę g a III.

Wystąpienie Wielopolskiego. Strzały kwietniowe. Śmierć Gorczakowa. (Od 27. marca do 8. czerwca 1861 roku) str. 251

D o d a t e k.

Wymiana depeš między namiestnikami Królestwa a cesarzem Aleksandrem II. str. 299



Miejska Biblioteka Publiczna
w Jaworznie
94(438)



801-007040-00-0

6
X
✓